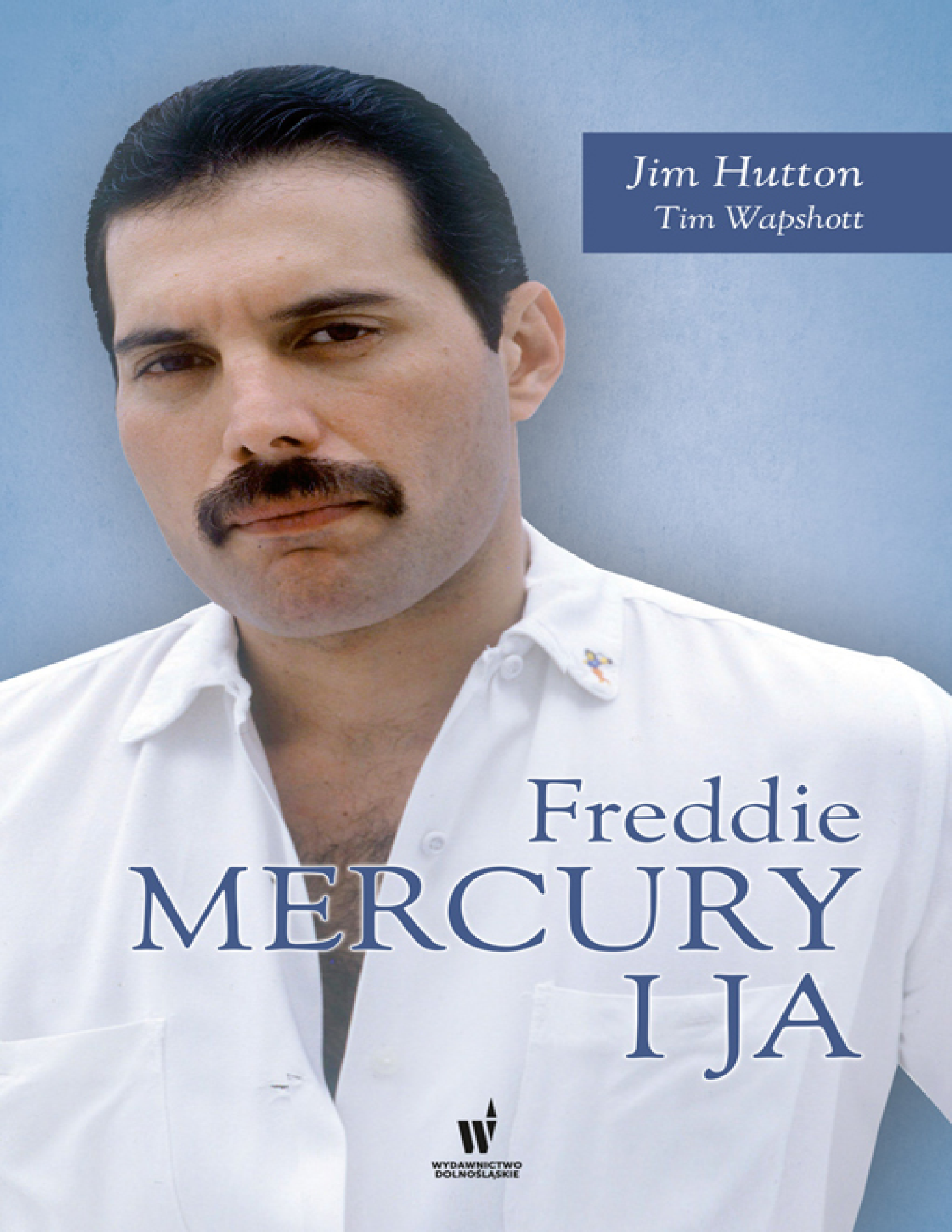

Jim Hutton
Tim Wapshott

Freddie MERCURY I JA

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

Jim Hutton, Tim Wapshott

Freddie MERCURY I JA

Przełożył z angielskiego
Maciej Pertyński

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

Tytuł oryginału: *Mercury and Me*

Projekt okładki: ILONA GOSTYŃSKA-RYMKIEWICZ
Fotografie na okładce: © Rex Shutterstock/EAST NEWS, © Scalaphotography/Fotolia.com
Fotografie wewnątrz książki oraz na skrzydle okładki pochodzą z archiwum autora i zostały przez niego udostępnione.
Korekta: IWONA HUCHLA, JOANNA RODKIEWICZ
Redakcja techniczna: LOREM IPSUM

© Tim Wapshott and Stephen Lennhoff, 1994
Polish edition © Publicat S.A. MMXVI (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-5613-6

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

Spis treści

Przedmowa
Jaki Freddie?
Zdecyduj się!
W drodze wyjątku
Jeny i zakupy
Jesteś zwolniony!
Uwertury i wstępy
Pałac Duckingham
Odwrót
Współtowarzysze niedoli
Rezygnacja
Nie uciekniesz przed rzeczywistością
Sam
Podziękowania
Przypisy

Dla mojej rodziny, Marthy i Stephena

Przedmowa

Freddie Mercury był wyjątkowy. Zanim podejmę tę myśl, muszę się przyznać, że w jego ocenie nie umiem się zdobyć na bezstronność. Przez te dwanaście lat, kiedy byłem jego osobistym asystentem, nauczyłem się od niego na temat sztuki, mebli, porcelany i wielu innych rzeczy więcej, niż ktokolwiek zdołałby mi wtłoczyć do głowy na jakichkolwiek studiach. Entuzjastyczne podejście do życia było u Freddiego zaraźliwe.

Uważam się za szczęściarza, że byłem z nim w dobrych czasach, ale zarazem – mimo że wolałbym inne zakończenie – sądzę, że miałem szczęście, będąc jednym z tych, których obecności życzył sobie pod koniec. Był muzycznym geniuszem o silnej woli, uparciuchem, egocentrykiem, otaczającym innych troskliwością, i przede wszystkim człowiekiem uczciwym.

Jednym z tych, których Freddie chciał mieć przy sobie do końca, był Jim Hutton, znany mi od przeszło dwudziestu lat. Spotkaliśmy się kiedyś, w 1973 roku, w barze zatłoczonej restauracji przy domu towarowym Selfridge'a. Potem straciliśmy kontakt aż do pewnego wieczoru, kiedy wpadłem do Freddiego na kolację i natknąłem się na Jima. Nie widzieliśmy się już ładne parę lat, ale wydawało się, że to ledwie kilka tygodni.

Freddie i Jim stanowili z pewnością dziwaczną parę. Ze względu na ich temperamenty życie z nimi trudno było nazwać łatwym, za to z pewnością nigdy nie było nudne.

To, co przeczytacie dalej, na pewno będzie niezwykle ciekawe. Jest to bowiem nieujawniany dotąd portret kogoś, o kim napisano

całe tomy. A Jim Hutton z natury jest człowiekiem prostolinijnym i szczerym.

Peter Freestone
Londyn, sierpień 1994

Jaki Freddie?

Był jeden ze zwyczajnych londyńskich weekendów pod koniec 1983 roku. Większość czasu spędzałem wówczas, popijając w pubach i klubach dla gejów z moim kochankiem, Johnem Alexandrem. Był to krępy ciemnowłosy chłopak, a ja szalałem na jego punkcie. Niedzielny wieczór skończyliśmy w klubie dla gejów o nazwie Copacabana w podziemiach hotelu w South Kensington w Londynie. Byłem tam pierwszy raz w życiu.

Staliśmy przy barze i popijaliśmy piwo wprost z puszek. Klub był dość zatłoczony. Wokół kłębiło się mnóstwo anonimowych twarzy, a na parkiecie tańczono w rytm ryczących z głośników utworów disco.

Byłem chyba w połowie czwartego piwa, kiedy to się stało. John poszedł do ubikacji, a ten facet mnie zaczepił. Miałem wtedy trzydzieści cztery lata, on był trochę starszy. Ubrany był zwyczajnie, w dżinsy i biały podkoszulek. Podobnie jak ja miał wąsy. Był delikatnej budowy, zupełnie nie w typie mężczyzn, których uważałem za atrakcyjnych. Wolałem większych i potężniejszych facetów.

– Pozwolisz, że postawię ci drinka? – spytał.

Miałem jeszcze ponad pół puszki piwa, więc odparłem:

– Nie, dziękuję.

Wtedy spytał, jakie mam plany na noc.

– Odwal się – powiedziałem mu. – Możesz o to zapytać mojego chłopaka.

Obcy się zorientował, że nic mu ze mną nie wyjdzie, i dał spokój. Wrócił do swoich przyjaciół w kącie klubu.

– Ktoś mnie właśnie próbował poderwać – powiedziałem Johnowi, kiedy wrócił.

– Kto? – spytał. – Który to?

– Tamten – odparłem, wskazując palcem.

– Przecież to Freddie Mercury! – szepnął John z przejęciem, choć dla mnie to nic nie znaczyło. Nic a nic. Może gdybym był dyrektorem hotelu Savoy, gdzie pracowałem, może wówczas byłoby inaczej. Ale nigdy nie nadążałem za nowoczesną muzyką. Mimo że ciągle słuchałem radia, nie byłem w stanie odróżnić jednej grupy od drugiej czy jednego piosenkarza od drugiego. Nigdy w życiu nie słyszałem o Queen. John wcale się nie zdenerwował, że Freddie robił do mnie podchody – wręcz przeciwnie, był dumny, że sławny piosenkarz podrywa jego partnera.

Popijaliśmy z Johnem aż do północy, kiedy zamykano knajpę, a potem poszliśmy do domu, do naszego mieszkania w Clapham w południowym Londynie. Następnego dnia wcześnie rano byłem znów w pracy – fryzjer męski w małym zakładzie w hotelu Savoy.

Cztery czy pięć miesięcy po tym wieczorze John zabrał mnie na kolację do szpanerskiej restauracji September w Earl's Court w zachodnim Londynie.

Siedziałem tyłem do drzwi i jadłem wspaniały posiłek. Byłem zadowolony z życia i losu. Nagle John zerknął ponad moim ramieniem i powiedział:

– O, jest tu twój przyjaciel!

– Kto? – spytałem.

– Freddie Mercury – odparł. – Ten gość, który próbował cię poderwać parę miesięcy temu w Copacabanie.

Odwróciłem się, starając się, żeby ten ruch był niezauważalny, i faktycznie, zobaczyłem tego samego faceta. Jadł kolację z przyjaciółmi. Chyba mnie nie widział.

Wkrótce potem John i ja przenieśliśmy się do Sutton w Surrey, gdzie wynajęliśmy mieszkanie. Naszą gospodynią była teraz Ivy Taverner, pani po siedemdziesiątce. Zajmowaliśmy wspólnie dwa pokoje na poddaszu jej willi. Było to przyjemne miejsce: sypialnia, salonik i skromna kuchenka na półpiętrze.

Po pewnym czasie stwierdziliśmy jednak, że mamy za mało miejsca i że przez to działamy sobie na nerwy. Nie oczekiwałem od życia wiele, ale rozpaczliwie potrzebowałem harmonijnego związku pełnego miłości. Stałem się zaborczy wobec Johna, a on powoli zaczął mnie traktować jak kulę u nogi. Tęsknił za wolnością. Wiosną 1984 roku, po dwóch spędzonych razem latach, rozstaliśmy się. Ja zatrzymałem mieszkanie, John się wyprowadził. Pozostaliśmy przyjaciółmi.

Pracowałem w zakładzie fryzjerskim pięć dni w tygodniu i co jakiś czas w sobotę rano. W ciągu tygodnia wychodziłem z pracy około szóstej, a nim dojechałem do domu – czterdzieści pięć minut pociągiem z Victoria Station – i ugotowałem sobie coś do jedzenia, mijała większość wieczoru.

Prowadziłem spokojne, samotne życie u pani Ivy Taverner. Raz na jakiś czas zdarzało mi się spotkać z jakimś przyjacielem na drinku w Sutton, ale z reguły trzymałem się na uboczu. Nie jestem typem motyla i nigdy nie wychodziłem z domu specjalnie z zamysłem poderwania kogoś. We własnym towarzystwie czułem się zdecydowanie lepiej niż między ludźmi. Czasami spotykałem kogoś, i bywało, że nawet trochę się zabawiliśmy, ale zawsze wyznawałem filozofię: „Jeśli się przydarzy, to dobrze, jeśli nie, to drugie dobrze". Nabrałem zwyczaju wychodzenia z domu raz w tygodniu,

w czwartki, dzień wypłaty, do Market Tavern, klubu dla gejów w Vauxhall w południowym Londynie. Jak na skok na drinka z Sutton był to kawał drogi, ale ja traktowałem ten klub jako swój. Zawsze siedziałem w tym samym miejscu przy końcu baru i rozglądałem się po obecnych z kuflem w dłoni i paczką papierosów wsuniętą w rękaw. Przesiadywałem tam przez cały wieczór, nie ruszając się z miejsca, wypijając kilka kufli i napawając się atmosferą. Traktowałem wszystkich obojętnie, a rozrywką było dla mnie obserwowanie, jak nieznajomi ludzie spędzają czas na zabawie.

Kiedy nadeszło lato, spędzanie całych weekendów w Sutton stało się nudne, przeniosłem się więc z piciem na sobotni wieczór. Zawsze myślałem, że w owe wieczory byłem zupełnie sam, lecz najwyraźniej tak nie było. Wiele lat później, po śmierci Freddiego, pogadałem sobie od serca z Joem Fanellim, poprzednim kochankiem Freddiego, jego kucharzem, spowiednikiem i powiernikiem. Choć Freddie miał mieszkanie w Londynie, przez cały 1984 rok mieszkał głównie w Niemczech, w Monachium. Kiedy bywał w Londynie w weekendy, niezmiennie kończył wieczory w Heaven, klubie nocnym dla gejów pod Charing Cross Station.

Nie wiem, jak to się stało, ale Freddie dowiedział się, gdzie popijam. W drodze do Heaven kazał swojemu szoferowi, facetowi o imieniu Gary, nadrabiać trochę drogi i przejeżdżać obok Market Tavern. Stary mercedes Freddiego parkował pod klubem, a Gary dostawał polecenie sprawdzenia, czy jestem na swoim miejscu przy barze. A kiedy już wracał do Freddiego i informował go, że istotnie, takie stworzenie siedzi tam gdzie zawsze, kontynuowali swoją podróż do Heaven na dalszą część wieczoru.

Jeśli się jest Irlandczykiem, a ja jestem, to data siedemnastego marca nigdy nie wylatuje z głowy: Dzień Świętego Patryka. W roku

1985 ten dzień przypadał w niedzielę, a poprzedni wieczór spędziłem w Market Tavern, popijając z kilkoma irlandzkimi przyjaciółmi. Umówiliśmy się na następny dzień na lunch w pubie. Bardzo rzadko piję alkohol w porze lunchu, ale tego dnia zrobiłem wyjątek. Popołudnie prędko zmieniło się w wieczór, aż wreszcie, późno, ruszyłem do domu, by się położyć. Następnego ranka musiałem przecież iść do pracy. Gdybym został i pił jeszcze dłużej, mógłbym poderżnąć komuś gardło przy goleniu.

Ze względu na wdrukowany w mózg Dzień Patryka wiem na pewno, że to właśnie w następną sobotę, dwudziestego trzeciego marca, spotkałem ponownie Freddiego. Dzień zaczął się jak wszystkie inne – zrobiłem sobie coś na kolację, a potem wyszedłem ubrany zgodnie z obowiązującymi wtedy gejowskimi standardami – dżinsy i biały podkoszulek.

Uzupełnieniem wyglądu był zalecany wąsik. Do Vauxhall pojechałem metrem, po czym – biorąc po trzy stopnie naraz – niemal wypadłem z dżinsów. Pękły w szwach. Tyłek i nogi częściowo wyszły mi na wierzch.

Kiedy zamknięto Market Tavern, wskoczyłem prosto na tylne siedzenie taksówki. Jej kierowca był już przyzwyczajony do mojego cotygodniowego bełkotu „Sutton". Tym razem jednak uznałem, że mam ochotę na zabawę, i kazałem mu się zawieźć do Heaven. Jak na mnie, było to dość niezwykłe; zawsze uważałem tę knajpę za zbyt wielką jak na moje potrzeby i pozbawioną charakteru.

Dotarłem dosyć późno. Byłem już tak skuty, że ledwie ruszałem nogami, a myślami sięgałem innych planet. Co gorsza, po opłaceniu taksówki zostało mi w kieszeni tylko pięć funtów. Na szczęście nie musiałem płacić za wstęp, kiedy okazało się, że w drzwiach stoi jeden z moich przyjaciół. Poszedłem wprost do baru w piwnicy i zamówiłem kwaterkę piwa.

– Pozwól, że ja ci to postawię – powiedział ktoś do mnie. Podniosłem wzrok. To był ten gość z Copacabany w osiemdziesiątym trzecim roku, Freddie Coštam. Miałem dobrze w czubie. Język mi się rozwiązał. Moje linie obronne już nie istniały.

– Nie, ja ci postawię – odparłem.

– Duża wódka z tonikiem – padła natychmiastowa odpowiedź. Wtedy, z opóźnieniem, dotarło do mnie, że jak dobrze pójdzie, to zostanie mi trochę ponad jeden funt, z trudem na nocny autobus do Sutton.

– Dużego masz kutasa? – spytał Freddie z uśmiechem. Jak się później dowiedziałem, był to jego typowy skandalizujący gambit.

Nie cierpię odpowiadać na takie osobiste pytania, więc rzuciłem tylko:

– Nie twoja sprawa!

Gdybym nie był tak pijany, powiedziałbym mu zapewne, żeby się odpieprzył. Teraz jednak uczepiłem się tylko jego akcentu, czegoś w rodzaju środkowoatlantyckiego slangu.

– Na miłość boską, daj spokój z tym niby-amerykańskim akcentem! – powiedziałem.

– Ależ ja nie mam amerykańskiego akcentu – odparł.

Przedstawił mi się jako Freddie. Wiedziałem już oczywiście, że to Freddie Mercury, ale nadal nie miałem bladego pojęcia, kim jest ani co robi. Nie bardzo mnie to ciekawiło.

Freddie zaproponował, bym przyłączył się do jego przyjaciół, którzy tłoczyli się w środkowej części baru. Byli tam Joe Fanelli i Peter Straker, ten piosenkarz, oraz kilku innych. Joe był jasnowłosy i wyraźnie przepracowany. Miał trzydzieści parę lat i ostrożne podejście do ludzi i życia. Nie wiem, o czym paplaliśmy tamtego wieczoru. Ale i tak właściwie tylko oni gadali.

Po jakimś czasie Freddie szepnął mi do ucha:

– Chodź, zatańczymy.

Poszliśmy wprost na parkiet. W tamtych czasach dostawałem małpiego rozumu, jeśli sobie trochę podpiłem. Ruszałem do tańca nawet sam ze sobą, kiedy miałem nastrój. A wtedy z parkietu leciały drzazgi, a każdy, kto stał na mojej drodze, mógł się uważać za męczennika. Przez kilka godzin rzucałem Freddiem po całej podłodze. Chyba mu się podobał mój szaleńczy, niekontrolowany taniec.

Około czwartej nad ranem Freddie doszedł do wniosku, że ma już dość, i zaprosił wszystkich do swojego mieszkania na Stafford Terrace 12 w Kensington. Siedziałem obok niego na tylnej kanapie samochodu.

Mieszkanie Freddiego zajmowało dolną część przebudowanego domu. Na parterze były hall i jadalnia, kuchnia na antresoli. Na poziomie piwnicy były dwie sypialnie – Freddiego od strony ulicy, a Joego Fanellego na tyłach – i wielki salon wychodzący na mały ogród w patio.

Mimo że na dworze już wstawał świt, wszyscy byli w nastroju do zabawy. W pewnej chwili Freddie zaproponował mi kokainę, lecz to nie było w moim stylu.

– Nie, dziękuję – powiedziałem. – Ja nie dotykam tego świństwa. – W swoim czasie zdarzało mi się popalać skręty z maryśką, ale nigdy nie próbowałem niczego mocniejszego.

W każdym razie byłem już tak nawalony, że bardziej interesowała mnie zabawa z dwoma kotami Freddiego, Tiffanym i Oscarem, niż pakowanie sobie czegokolwiek do nosa. Mimo że pokój był pełen hałaśliwych ludzi, Freddie i ja cały czas ze sobą flirtowaliśmy. Co chwila nasze spojrzenia się spotykały,

posyłaliśmy sobie jakieś dziwaczne mrugnięcia, skinienia, dotykaliśmy się niby niechcący.

W końcu wylądowaliśmy razem w łóżku, byliśmy jednak tak pijani, że nie starczyło nam sił na nic poza niezbyt skoordynowanymi dotknięciami, które i tak nie przyniosły właściwie żadnego efektu. Freddie czule się do mnie tulił i paplaliśmy coś obaj, póki nie zasnęliśmy. Następnego ranka obudziliśmy się wtuleni w siebie i natychmiast podjęliśmy paplaninę w tym samym miejscu, gdzie skończyliśmy przed snem. Kiedy doszliśmy do tego, z czego żyjemy, powiedziałem mu, że jestem fryzjerem męskim.

– Ja jestem piosenkarzem – powiedział Freddie.

Potem zaproponował, że zrobi mi filiżankę herbaty.

Później, około południa, kiedy już wychodziłem, Freddie dał mi swój numer telefonu.

– No to masz, to mój telefon – powiedziałem.

Po tej nocy nie miałem żadnych wiadomości od Freddiego i więcej o tym wszystkim nie myślałem.

Trzy miesiące później, wczesnym latem, jednak się ze mną skontaktował. Wróciłem do domu w piątek i zacząłem sobie przygotowywać zapiekankę z kiełbasek, fasoli i smażonej cebuli. Właśnie postawiłem na gazie ziemniaki, kiedy na dole, w hallu, rozdzwonił się telefon. Pani Taverner podniosła słuchawkę i po chwili mnie zawołała.

Zbiegłem na dół i usłyszałem nieznany głos, który zapytał:

– Zgadnij, kto to?

Wymieniłem kilka imion, ale nie trafiłem.

– Tu Freddie – powiedział w końcu. – Jest u mnie impreza. Zbieraj się i przyjedź.

– Nie mogę – odparłem. – Właśnie zacząłem sobie robić kolację.

– No więc zostaw to wszystko natychmiast! – zażądał. – Przyjeżdżaj zaraz. Dobrze się zabawisz, obiecuję.

Wyłączyłem więc gaz pod zapiekanką i wyszedłem. Nie miałem butelki wina, żeby ofiarować ją gospodarzowi, a czułem, że powinienem przynieść ze sobą jakiś prezent. Kiedy więc dojechałem do Victoria Station, kupiłem Freddiemu dwa bukiety frezji po 1,99 funta.

Potem złapałem autobus do High Street w Kensington, wysiadłem i poszedłem w kierunku jego mieszkania. Pomyślałem sobie po drodze: „To idiotyczne. Odbija mi". Jeszcze nigdy nie przyszedłem do faceta z kwiatami. To, że je kupiłem, zaskoczyło nawet mnie. Poza tym były już na pół zwiędnięte. Skręciwszy w Stafford Terrace, zobaczyłem śmietnik i zawstydzony wyrzuciłem kwiaty. Nie wiedziałem, że frezje to jedne z najukochańszych kwiatów Freddiego. Gdybym mu je dał tego dnia, oszalałby z radości.

A tak – kiedy Freddie już otworzył mi drzwi, ofiarowałem mu tylko szeroki uśmiech. Uścisnęliśmy się i zeszliśmy na dół, do salonu. Siedziało tam ze sześć osób.

Miałem niejakie opory, jeśli chodzi o spotykanie się z przyjaciółmi Freddiego. Kiedy szliśmy po schodach w górę, do jadalni, jeden z nich położył mi rękę na ramieniu i uścisnął. Zabolało.

– Dobra – syknął. – Olewaj mnie dalej.

– Jezu! – jęknąłem.

Przyjrzałem mu się uważnie i dopiero po chwili rozpoznałem. Był to Peter Freestone, mój niegdysiejszy kolega z czasów przed Savoyem, kiedy jeszcze pracowałem na Oxford Street, w domu towarowym Selfridge's. Ja wtedy byłem pomocnikiem sprzedawcy peruk, Peter zaś pracował jako kierownik sali w położonej

na parterze restauracji. Później był garderobianym w Królewskiej Operze. Teraz pomagał Freddiemu w organizowaniu życia i był na każde zawołanie.

Peter dopiero co przekroczył trzydziestkę. Mierząc dobrze ponad sześć stóp, górował nad wszystkimi, wielki i zwalisty. Był pucołowaty i miał ciepły uśmiech. Na pierwszy rzut oka widać było, że to z gruntu dobry człowiek.

Freddie i pozostali zawsze nazywali Petera „Phoebe". Freddie uwielbiał wymyślać przezwiska – z reguły o odmiennym rodzaju gramatycznym – dla wszystkich, którzy go otaczali. Jego ksywką była „Melina", na cześć pełnej życia greckiej aktorki, Joe zaś występował jako „Liza", co świetnie brzmiało w połączeniu z jego nazwiskiem – „Liza Fanelli". (Mimo że zatytułowałem swoją książkę *Freddie Mercury i ja,* nazywałem go wyłącznie „Freddie" przez cały czas, gdy byliśmy razem).

W czasie kolacji siedziałem obok Freddiego. W którymś momencie znowu walnął sobie kokainę i nie mógł przestać gadać. Był taki nabuzowany, że mówiłby nawet wtedy, gdyby przed nim była ściana.

Po kolacji poszliśmy na kilka godzin do Heaven, a potem, wykończeni, wróciliśmy na Stafford Terrace. Wszyscy pozostali goście Freddiego, a szczególnie facet o imieniu Paul Prenter, starali się dowiedzieć czegoś na mój temat.

Nie czułem się swobodnie w towarzystwie Prentera. Był to drobny mężczyzna z wąsikiem i w okularach. Jego oczy nieustannie prześlizgiwały się po pokoju, obserwując wszystkich i wszystko wokół. Nic nie uszło jego uwagi. Był bardzo gadatliwy, ale miał w sobie coś wrednego.

W ogóle wśród przyjaciół Freddiego czuło się mnóstwo fałszu. Wyglądało na to, że wszyscy wciąż konkurują ze sobą, próbując

zwrócić na siebie jego uwagę. Żaden z nich nie spotkał mnie dotąd w tym gejowskim światku. W przeciwieństwie do poprzednich chłopaków Freddiego byłem zupełnie obcym facetem. I wobec nich wszystkich pozostałem chodzącą tajemnicą. Znali moje imię, wiedzieli, gdzie mieszkam i jak zarabiam na życie, ale nic więcej. Kiedy zadawali pytania, byłem tak mrukliwy, jak tylko się dało. W końcu to nie był ich zakichany interes!

Freddie nie zadawał żadnych pytań. Podjęliśmy znajomość dokładnie w tym samym momencie, gdzie ją przerwaliśmy trzy miesięce wcześniej. Nie odzywał się do mnie przez ten czas i tego wieczoru wyjaśnił mi, dlaczego tak się stało. Po prostu po naszym poprzednim spotkaniu wyjechał do swojego mieszkania w Monachium. Właściwie to Monachium było jego prawdziwym domem, bo wówczas mieszkał poza Wielką Brytanią jako podatkowy banita. Odbył też tournée po Australii, Nowej Zelandii i Japonii ze swą grupą Queen. W styczniu zespół Queen zamieszkał na stałe na czołówkach gazet w związku z największym festiwalem rockowym „Rock in Rio" w Rio de Janeiro w Brazylii. Według wszelkich znaków na niebie i ziemi ta wyprawa była dla Freddiego jedną wielką orgią. Opowiedział mi, że jeździł wszędzie w opancerzonym samochodzie z policyjną eskortą, niekiedy grzejąc z wielką prędkością pod prąd jednokierunkowych ulic. Jeden z policjantów wciąż przyprawiał Freddiego o napady śmiechu, kiedy wsadzał sobie załadowany pistolet w spodnie. A gdy Freddie i Joe wymknęli się z hotelu, żeby zrobić zakupy, zostali otoczeni przez fanów i zamknięci dla własnego bezpieczeństwa w sklepie, póki obstawa nie nadciągnęła z odsieczą i nie wydobyła ich z oblężenia. Nawet wielki południowoamerykański piłkarz, Diego Maradona, okazał się fanem Queen, i gdy spotkał się z Freddiem, dał mu na pamiątkę swoją koszulkę futbolową.

Na koncercie w Rio Freddie zrobił okropny błąd, występując w rozpoczynającym występ utworze *I Want to Break Free* w przebraniu i z wielkimi plastikowymi piersiami. Brazylijczycy zaadaptowali tę piosenkę jako swój hymn wyzwoleńczy i poczuli się mocno obrażeni ubiorem Freddiego. Zaczynało się już robić bardzo gorąco, lecz Freddie uratował sytuację, zdzierając z siebie przebranie.

Jedynym utworem, jaki rozpoznawałem, była piosenka z debiutanckiego solowego singla Freddiego, *Love Kills.* Była ona wielkim przebojem w londyńskich klubach dla gejów pod koniec 1984 roku. Freddie wydał właśnie swój pierwszy solowy album *Mr Bad Guy,* zadedykowany jego kotom, i drugi singiel *I Was Born to Love You.*

Kiedy owego lata Freddie opowiadał mi historię swego życia, odkryliśmy istnienie między nami czegoś specyficznego. Zakochałem się bardzo we Freddiem i nie miało to związku z tym, z czego żył. Miał ogromne piwne oczy i bardzo delikatną, niemal dziecięcą osobowość. Był zupełnym przeciwieństwem typu mężczyzny, jaki mnie dotąd interesował. Lubiłem dużych mężczyzn o mocnych nogach, a Freddie miał talię jak osa i najcieńsze nogi, jakie kiedykolwiek widziałem. Na dodatek – mimo wszystkiego, co dotąd osiągnął – wydawał się wyjątkowo niepewny siebie. Był całkowicie szczery i otwarty, a ja poczułem, że jestem zgubiony.

Freddie powiedział, że wpadłem mu w oko od pierwszego wejrzenia, bo przypominałem mu jego ulubionego bohatera – Burta Reynoldsa! Jego mężczyźni musieli być potężni i silni, pod warunkiem jednak, że mieli dobre serca.

Po trzymiesięcznej ciszy obaj dojrzeliśmy do rozpoczęcia romansu. Zdaje się, że stanowiłem dla niego swego rodzaju wyzwanie: był

jedną z największych gwiazd rocka na świecie, tymczasem na mnie ta strona jego życia nie robiła najmniejszego wrażenia.

Spędziliśmy tę noc razem. Wyszedłem dopiero po południu, zanim Freddiego zabrano na Heathrow na samolot z powrotem do domu w Monachium. Moje życie niezmiennie biegło dalej w Londynie. Poszedłem w stronę Kensington High Street na przystanek autobusowy. Idąc, miałem jak zwykle pochyloną głowę. Ale nie dlatego, że byłem smutny czy wymęczony. Wręcz przeciwnie.

Samochód Freddiego przemknął obok, lecz tego nie zauważyłem. Później Freddie powiedział mi, że dostrzegł mnie wtedy, odniósł wrażenie, że jestem przybity, i zepsuło mu to humor. Odezwał się do Joego i kierowcy:

– Tam idzie mój facet. Wygląda smętnie, prawda?

Nie byłem przybity. Byłem po prostu sobą. Niemniej Freddie powiedział, że miał ochotę zawrócić i pocieszyć mnie.

Następnego dnia byłem z powrotem w Savoyu w pracy i moje życie potoczyło się jak zwykle, bez żadnych wypadków. Potem, w piątek, do zakładu fryzjerskiego zadzwonił ktoś z biura Queen i poinformował mnie, że Freddie oczekuje mnie wieczorem w Niemczech. Chce, żebym mu dotrzymał towarzystwa. Jego szofer miał być wysłany do Savoyu, odebrać mnie po pracy i zawieźć na Heathrow. Wpadłem w panikę. Byłem zupełnie zdruzgotany.

– Przykro mi – odrzekłem przepraszającym tonem. – Nie stać mnie na to. Nie jestem w stanie ponieść kosztów przelotu.

– O to nie musisz się martwić – brzmiała odpowiedź. – Twój bilet już jest opłacony.

Tego samego wieczoru, kiedy już zamknąłem zakład, szofer Freddiego wręczył mi bilet lotniczy Lufthansy i wkrótce już leciałem do Monachium.

Przelot był dla mnie zupełnie wyjątkowym przeżyciem. Pierwszy raz w życiu podróżowałem pierwszą klasą. Miałem dla siebie całą kabinę i czterech stewardów czekających na każde moje skinienie.

Miałem raczej mieszane uczucia na temat tego weekendu. Chociaż byłem mile połechtany, że kupił mi bilet, jednocześnie odczuwałem rozdrażnienie. Lubię bowiem sam za siebie płacić i nie mieć żadnych zobowiązań wobec innych. Pierwszy raz w życiu nie stać mnie było na niezależność. Byłem przecież tylko fryzjerem za siedemdziesiąt funtów tygodniowo.

Kiedy samolot wylądował w Monachium, Freddie już czekał. Był z Joem i Barbarą Valentin, niemiecką aktorką, która w swoim czasie stanowiła niemiecką odpowiedź na Brigitte Bardot, a teraz była obiektem kultu z powodu współpracy z modnym niemieckim reżyserem filmowym Rainerem Wernerem Fassbinderem.

Freddie złapał mnie i przytulił. Takie publiczne okazanie uczuć okropnie mnie zawstydziło. Tego dnia brytyjską prasę brukową ominęła okazja do zrobienia wspaniałego zdjęcia na pierwsze strony. Freddiego jednak zupełnie nie obchodziło, czy ktoś zobaczy, że się ze mną ściska. Czuł, że w Niemczech ludzie są dużo bardziej tolerancyjni, i faktycznie – nikt na lotnisku nawet nie mrugnął okiem.

Z lotniska pół godziny jechaliśmy przez ciemności do mieszkania Freddiego. Kiedy tylko dojechaliśmy, dosłownie na mnie wskoczył. Ledwie zdążyłem postawić na ziemi torbę podróżną, a już się kochaliśmy. Trwało to jakieś pół godziny. Miałem się dopiero nauczyć, że był bardzo impulsywny, jeśli chodzi o seks, który na szczęście obu nas bardzo satysfakcjonował. Kiedy nachodziła go ochota, nic nie było w stanie go powstrzymać – chciał już, zaraz. Był bardzo seksownym mężczyzną i chyba częściowo – co dla mnie samego było zadziwiające – zakochałem się w jego zdumiewająco

smukłym ciele. Miał zaledwie dwadzieścia osiem cali w pasie. Uprawiany przez nas seks był gwałtowny, ale zarazem bardzo stonowany – żadnych akrobacji. Freddie mógł być zarówno czynny, jak i bierny, jednak przez cały czas trwania naszego związku miał raczej skłonność do pasywności. Zresztą jak później zauważyłem, jego postawa uzależniona była od fazy Księżyca! Myślę, że w tych początkowych dniach Freddie uważał to, co robiliśmy, za kochanie się, ale według mnie był to czysty seks. Sądzę, że nasze stosunki można by nazwać „kochaniem się" dopiero dużo później.

Kiedy wychynęliśmy ponownie z sypialni, Freddie pokazał mi resztę mieszkania. Mieściło się ono na trzecim piętrze czteropiętrowego bloku i miało dwie sypialnie. Było jasne i przestronne, umeblowane skromnie, ale ze smakiem. Stół, gotowy do kolacji, połyskiwał błyszczącą zastawą. Wkrótce nadeszli goście Freddiego, w większości angielskojęzyczni Niemcy. Po kolacji wybraliśmy się na wycieczkę po gejowskich barach w monachijskim „Trójkącie Bermudzkim", dzielnicy cyganerii. Wieczór skończyliśmy w cudownym klubie New York, New York.

Freddie był regularnym gościem honorowym tego klubu. Cały jeden narożnik był na stałe zarezerwowany wyłącznie dla niego i dla najbliższego kręgu jego przyjaciół, nazywanego z niejakim szacunkiem „Rodziną". Freddie znów był na kokainowym haju, a kiedy dotarliśmy do New York, New York, podkręcił się jeszcze raz. A ja, kiedy już wypiłem kilka drinków i trochę się rozkrochmaliłem, złapałem go za rękę i bezlitośnie powlokłem na parkiet.

Tego wieczoru Freddie wręcz mi nadskakiwał; traktował mnie jak najważniejszą osobę i przedstawiał wszystkim swoim przyjaciołom. Sam byłem zaskoczony, że zdołałem to przetrwać. Otwierały się przede mną drzwi do zupełnie nowego świata.

Mimo balowania do późna obudziłem się sobotniego ranka bardzo wcześnie i wstałem z łóżka, zostawiając śpiącego Freddiego. Poszedłem do kuchni, zrobiłem sobie filiżankę kawy i gapiłem się przez okno sypialni. W końcu, po bardzo długim czasie, dom ożył. Było dobrze po dziesiątej, kiedy Freddie wstał z łóżka, a Joe wyszedł, żeby kupić coś do jedzenia. Po raz pierwszy w czasie tego wypadu Freddie i ja byliśmy razem, sami. Przytuliliśmy się do siebie na sofie i gadaliśmy o wszystkim, co nam przyszło do głów. Dzień upłynął, zanim się spostrzegliśmy.

Po kolacji wypuściliśmy się znów do pubów i klubów. Uświadomiłem sobie, że jako tajemniczy facet u boku Freddiego Mercury'ego stałem się sławny. Monachijskie środowisko gejowskie zastanawiało się, kim, do cholery, jestem. A Freddie ograniczał się do przedstawiania mnie jako „mój nowy mężczyzna". Wieczór upłynął nam na śmiechu i tańcach, aż znów padliśmy na łóżko.

Następnego dnia, w niedzielę, musiałem późnym popołudniem wracać do Londynu. Trudno mi było żegnać się z Freddiem. Kiedy jeden z nowych przyjaciół odwoził mnie na lotnisko, zacząłem nastawiać się psychicznie na powrót do mojego cichego, uporządkowanego życia w Sutton i codziennej rutyny w zakładzie fryzjerskim w Savoyu. Weekend z Freddiem był dla mnie niebywałym przeżyciem, ale nie ośmieliłem się powiedzieć nikomu, gdzie byłem. Po prostu obcinałem i układałem dalej włosy klientom, ciesząc się po cichu, że poznałem Freddiego.

Napisałem do niego, dziękując za cudowny weekend, i dołączyłem zdjęcie wielkiego rudego kocura o imieniu Spock, którego kiedyś miałem. Kiedy Freddie zadzwonił do mnie w połowie tygodnia, byłem bardzo przejęty.

W następny weekend byłem znów sam w Londynie. W sobotni wieczór wybrałem się na kilka piw do Market Tavern. W niedzielę długo wylegiwałem się w łóżku, a potem zabrałem się do pracy w ogródku pani Taverner, co bardzo lubiłem. Zawsze uwielbiałem ogrodnictwo, potrafiłem całymi dniami kopać i pielić.

Jeden z wersów piosenki Freddiego *I Was Born to Love You* brzmiał: „Tak trudno uwierzyć w to, co mi się przytrafiło: to przedziwne uczucie". To zdanie idealnie odzwierciedlało moje odczucia dotyczące romansu z Freddiem. Kolejny raz spotkałem go, kiedy zaprosił mnie jako widza na kręcenie wideoklipu do tego właśnie utworu w studiu w East Endzie w Londynie. W tym klipie dwoje holenderskich tancerzy odtwarzało role bawiącej się w dusznym barze pary – Francuza i jego seksownej partnerki. Późnym wieczorem wydarzyło się nieszczęście: „Francuz" zakręcił partnerką na parkiecie i przerzucił ją przez całą szerokość sceny, tak że poślizgnęła się i rozbiła sobie głowę. Freddie wstrzymał nagranie i zabrał ją do szpitala, gdzie czekał na korytarzu, kiedy dziewczynę badano. Mimo że była już późna noc, wizyta Freddiego wywołała potężne zamieszanie. Już po chwili musiał rozdawać autografy ustawiającym się w kolejkę podnieconym młodym pielęgniarkom i cierpiącym na bezsenność starszym pacjentom.

W następny piątek znów dostałem bilet lotniczy do Monachium, gdzie czekał mnie weekend; niewiele brakowało, a byłaby też pierwsza awantura z Freddiem. Tym razem odrzuciłem jego wielkoduszną ofertę i nie zgodziłem się, aby kierowca odwiózł mnie na Heathrow. Po prostu uważałem, że to już przesada: musiał jechać po mnie z zachodniego Londynu do West Endu i z powrotem na Heathrow. Pojechałem metrem. I znowu leciałem pierwszą klasą.

Na lotnisku przywitał mnie Joe. Freddiego z nim nie było. Joe powiedział mi, że Freddie ma jakieś przedłużające się zajęcia.

Zwykle Joe znał każdy najmniejszy ruch Freddiego, był informowany o wszystkim, ale tym razem twierdził, że nie ma zielonego pojęcia, gdzie on może być. Nie był nawet pewien, czy pojawi się na noc w domu.

Zgodnie z instrukcjami Freddiego Joe zabrał mnie do „Trójkąta Bermudzkiego" i znów skończyliśmy noc w New York. New York. Kiedy Joe doszedł do wniosku, że ma już dość, i chciał iść do domu, ja wciąż miałem ochotę siedzieć w klubie. Zostawił mnie więc pod pieczołowitą opieką innego członka Rodziny, mojego krajana, Irlandczyka o imieniu Patrick.

Kiedy New York, New York już zamykano, poszedłem do domu Patricka na drinka, a potem on mnie odprowadził do mieszkania Freddiego. Freddie był już w domu i – jak sądziłem – głęboko spał. Rozebrałem się po cichu, wsunąłem do łóżka i przytuliłem.

– Gdzieś się włóczył aż do rana? – rzucił Freddie.

– Byłem z Patrickiem – odparłem.

Przez resztę nocy już się nie odezwał. Następnego ranka całymi godzinami nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem. Wreszcie Freddie zdobył się na przełamanie lodów i przeprosił mnie, że nie czekał na lotnisku.

Nie wiem dlaczego, ale odnosiłem wrażenie, że Freddie ma gdzieś na mieście innego chłopaka. Przemyślałem jeszcze raz swój przyjazd dwa tygodnie wcześniej i domyśliłem się, dlaczego Freddiemu tak bardzo zależało wtedy na mojej wizycie: miałem być po prostu częścią gry między kochankami. Freddie chciał się ze mną ostentacyjnie pokazać, żeby jego chłopak nas zobaczył albo o mnie usłyszał i żeby zrobił się zazdrosny. Biorąc wszystko pod uwagę, udało mu się zrealizować swój plan.

Tego wieczoru znów Freddie i Rodzina wylądowali na koniec w New York, New York. Tam też dostrzegłem swojego rywala.

Barbara wskazała mi pewnego młodego Niemca i powiedziała, że to kochanek Freddiego. Pod wieloma względami różnił się ode mnie. Freddie lubił, żeby jego mężczyźni byli dość potężni; o tym Niemcu można by powiedzieć, że był raczej pulchny. Nazywał się Winnie Kirchberger i był przy kości – być może dlatego, że prowadził restaurację. Podobnie jak ja miał czarne włosy i nosił wąsy, ale w przeciwieństwie do mnie na oko wydawał się agresywny.

Gdy tylko Winnie pojawiał się w polu widzenia, Freddie ostentacyjnie się do mnie czulił, a ciemnowłosy Niemiec obrzucał mnie wściekłym spojrzeniem. Po powrocie do domu korciło mnie, żeby powiedzieć Freddiemu, że nie mam ochoty na odgrywanie takich ról w jego gierkach, ale kiedy już poszliśmy do łóżka, postanowiłem nic nie mówić.

Następnego dnia, w niedzielę, szwendaliśmy się po mieszkaniu, czuliliśmy się do siebie na sofie i oglądaliśmy telewizję. Potem poleciałem do domu i w ciągu następnych dwóch tygodni napisałem do Freddiego kilka listów. Stawał się ważną częścią mojego życia.

Pod koniec drugiego tygodnia przyleciał do Londynu na weekend i przedstawił mnie Mary Austin, drobnej kobietce o blond włosach do ramion, niebieskich oczach i jasnej cerze. Mary była pełna rezerwy, ale odnosiła się do mnie bardzo uprzejmie. Była szefową biura w prywatnej firmie Freddiego, Goose Productions Ltd., zajmującej się jego wszystkimi prywatnymi sprawami i opłacającej jego pracowników. Mieszkała i pracowała jakieś sto jardów dalej, w mieszkaniu należącym do Freddiego bądź jego firmy.

Następnego weekendu, wpadając już niemal w stałe koleiny, poleciałem znowu do Niemiec. Z lotniska odebrano mnie

samochodem, a kiedy dotarłem do mieszkania, czekał na mnie Freddie i na powitanie rzucił mi w twarz:

– Wyjeżdżam z Winniem z Monachium!

Dodał jeszcze, że będą gdzieś „wśród wzgórz Bawarii", i wyszedł. Nie wrócił tej nocy do domu. Nie pozwoliłem, żeby mi to zepsuło nastrój. Chyba byłem trochę naiwny. Wyobrażałem sobie, że oni dwaj usiłują po prostu jakoś sobie poradzić ze swoim dobiegającym kresu, rozpadającym się związkiem.

Na drugi dzień wcześnie rano zadzwonił telefon. To był Freddie. Poprosił, żebym zabrał ze sobą Joego i przyszedł do mieszkania Winniego, nad jego restauracją. Przespacerowaliśmy się przez centrum miasta i weszliśmy do tego mieszkania. Freddie pojawił się znikąd, przemknął koło nas i syknął:

– Dobra, spadamy stąd.

Poszliśmy z powrotem tą samą drogą i zajrzeliśmy do sklepiku zoologicznego, gdzie z miejsca zakochaliśmy się w oferowanych tam kotach. Freddie kupił kilkadziesiąt puszek pokarmu dla kotów w smakach, których nie można było dostać w Londynie, i małe kocie zabawki dla swoich ukochanych zwierzaków, Tiffany'ego i Oscara.

Kiedy wyszliśmy ze sklepu, stało się. Przechodziliśmy właśnie przez główną ulicę, gdy Freddie nagle padł mi w ramiona. Gdybym go nie złapał, przewróciłby się na ziemię. Pokrył mnie całego wilgotnymi pocałunkami. Byłem tak zawstydzony, że puściłem go i uciekłem. Zanim dał mi spokój, dopadał mnie jeszcze kilka razy. Nie byłem w stanie znieść czegoś takiego przy ludziach, toteż w końcu szedłem daleko przed nim.

Wróciliśmy do domu, a Freddie jak szalony zaczął mnie wciągać do łóżka. Chciał natychmiast się kochać. Był niesamowicie napalony. Potem tuliliśmy się do siebie na sofie i oglądaliśmy

telewizję. To było coś, co robiliśmy bardzo często, kiedy byliśmy razem. Na sofie z reguły siedzieliśmy obok siebie, ale czasami kładliśmy się wzdłuż, głowami w przeciwne strony, i wówczas masowałem mu stopy. Uwielbiał to. W ciągu dnia bardzo rzadko pijaliśmy coś mocniejszego niż woda czy herbata, ale każdego wieczoru szybko nadrabialiśmy zaległości.

Freddie kochał stare, czarno-białe filmy i klasykę z wczesnego technikoloru – repertuar z czasów Bette Davis. Bardzo lubił też stare komedie. Jego największymi ulubieńcami byli bracia Marx. Był ich wielkim fanem, o czym świadczą tytuły dwóch albumów płytowych Queen: *A Night in the Opera (Noc w operze)* i *A Day at the Races (Dzień na wyścigach)*. Zespół musiał wystąpić do Graucha Marxa o pozwolenie na wykorzystanie tych tytułów. Freddie opowiedział mi, że odpowiedź komika była bardzo ciepła, ale też – jak można było się spodziewać – żartobliwa. Graucho odpisał: „Niezwykle mnie cieszy, że nazwaliście jeden ze swoich albumów tytułem mojego filmu i że dobrze wam idzie. Byłbym szczęśliwy, gdybyście zatytułowali swój następny album tak samo jak ja swój ostatni film – *Największe przeboje Rolling Stonesów*".

Tydzień później, na Stafford Terrace, Freddie ujawnił niezwykły sekret. Po śniadaniu, w niedzielę, przybyło kilku jego przyjaciół – w tym Trevor „B.B." Clarke, jego dostawca żywności, artysta Rudi Peterson i Mary Austin ze swoim przyjacielem Jo Burtem, muzykiem grającym przedtem w grupie Toma Robinsona Sector 27.

– Idziemy na spacer – oznajmił nam Freddie.

Był cudownie słoneczny dzień. Szliśmy jakieś dwadzieścia minut – około pół mili – aż doszliśmy do furtki w długim murze. Freddie otworzył ją wyjętym z kieszeni kluczem i wpuścił nas do czarodziejskiego, tajemniczego ogrodu.

Garden Lodge, 1 Logan Place to wielki georgiański dom, osadzony w ogromnym bujnym angielskim ogrodzie za wysokim ceglanym murem.

Freddie kupił tę posiadłość pod koniec lat siedemdziesiątych od bankierskiej rodziny Hoare – stąd nawet w czasach, gdy właścicielem jej był Freddie, potocznie nazywano ją „Hoare House". Freddie kazał zupełnie opróżnić budynek, wręcz wypatroszyć, całkowicie go odnowił i wyposażył dokładnie według swojego gustu. Tej właśnie niedzieli mieli się wynieść ostatni budowlańcy i dekoratorzy; posiadłość była właściwie gotowa do zamieszkania.

Frontowe drzwi Garden Lodge prowadziły do olbrzymiego jasnego hallu z eleganckimi szerokimi schodami. Na lewo i prawo podwójne drzwi otwierały się na dwa niebywale wielkie, wyłożone parkietem pokoje z gigantycznymi, wychodzącymi na ogród oknami. Pokój po prawej był najwspanialszy – wielkie pomieszczenie z galerią dla minstreli i wysokimi oknami. Kiedyś pokój ten stanowił studio jakiegoś artysty – i stąd te okna. Za tym pokojem znajdowały się kuchnia i jadalnia.

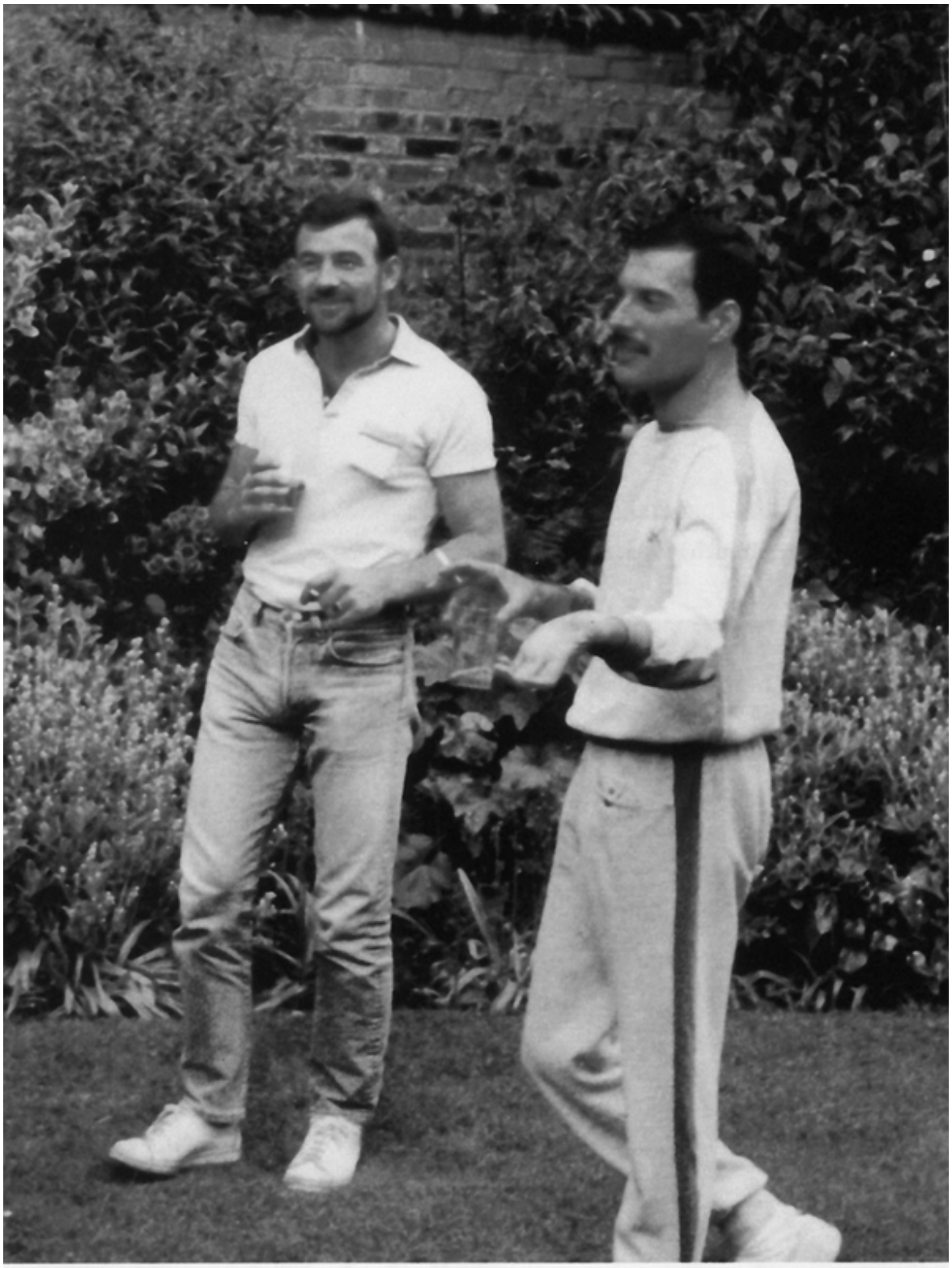

Z Freddiem na terenie Garden Lodge w 1985 roku, gdy pierwszy raz mnie tam zabrał

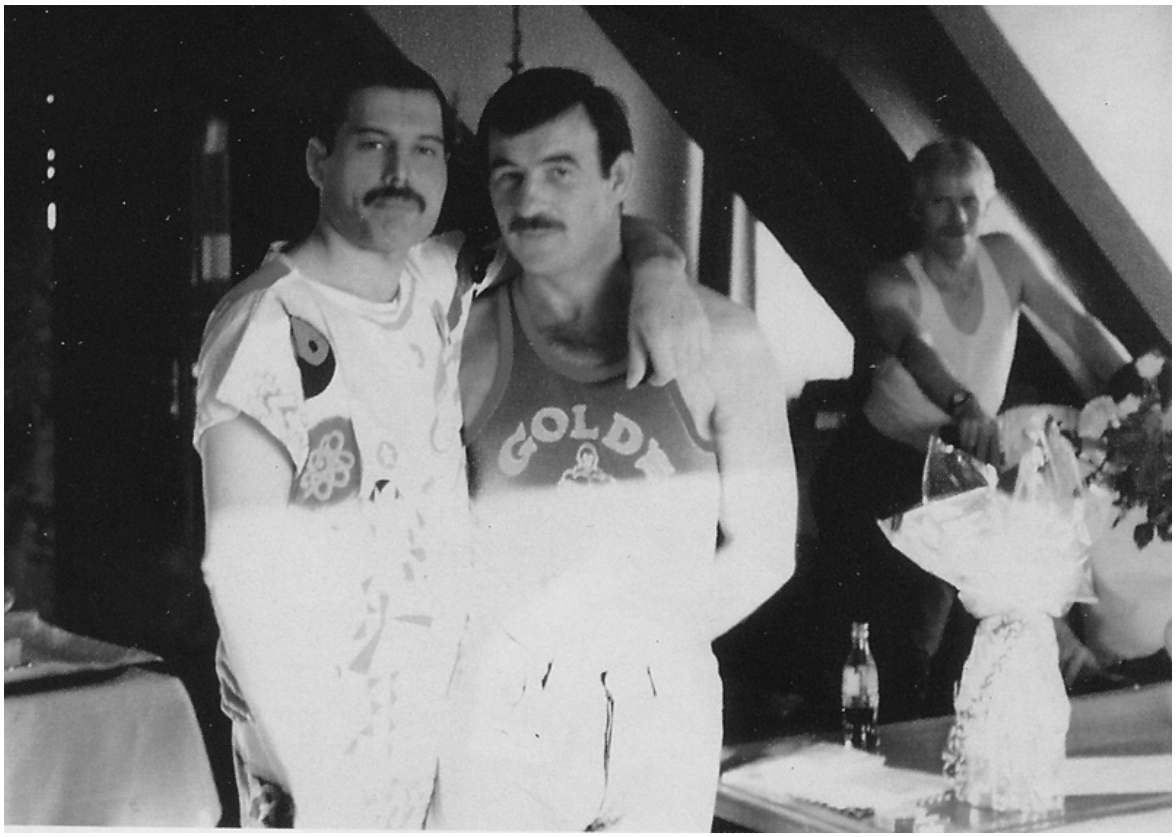

Z Freddiem w Monachium, 1985 rok

Na piętrze kilka mniejszych pokoi połączono w jeden, tworząc wielką, główną sypialnię Freddiego. Z półpiętra wchodziło się najpierw do garderoby z dużym gipsowym plafonem. Po jej obu stronach były łazienki, obie wykładane włoskim marmurem ze złotymi okuciami. Łazienka na lewo, wyłożona żyłkowanym białym, szarym i różowym marmurem, miała jacuzzi tak wielkie, że mogłyby się w nim kąpać naraz trzy osoby. Ta po prawej stronie lśniła płytami czarnego marmuru. Na wprost znajdowały się podwójne przesuwane drzwi, które zawsze stały otworem. Tędy wchodziło się do sypialni. Jej ściany pokrywała różowawokremowa mora malowana wodnymi farbami. Przeszklona ściana szczytowa otwierała się na długi balkon, a wielkie okno po prawej stronie

wychodziło na ogród. Łóżko Freddiego – „Queen Size”[1], jak je nazywano – stało pod lewą ścianą sypialni.

Klejnotem całej posiadłości był bez wątpienia ogród, dzięki któremu dom nabierał bardzo prywatnego charakteru. Większą część tej pierwszej wizyty spędziliśmy na zewnątrz, siedząc na niewielkim pagórku i wdychając powietrze pełne słońca i świergotu ptaków.

Kiedyś Freddie mimochodem wspomniał coś o Garden Lodge, ale ten dom był o wiele wspanialszy, niż się spodziewałem. Jednakże, pomimo piękna tej londyńskiej posiadłości, w tym okresie Freddie wciąż jeszcze uważał, że jego prawdziwy dom jest w Niemczech.

Pracował wtedy nad albumami Queen zarówno w Londynie, jak i w Monachium. W czasie jednej z wielu takich sesji poznałem członków zespołu – gitarzystę Briana Maya, perkusistę Rogera Taylora i basistę Johna Deacona. Byli dla mnie niezwykle mili od pierwszej minuty i zaskoczyli mnie swoją naturalnością. Wiele lat wcześniej Roger prowadził z Freddiem kramik w Kensington Market i wyraźnie byli pokrewnymi duszami. Bardzo często siadywali obok siebie gdzieś w kącie i chichotali. Brian mial zdecydowanie inklinacje intelektualne i był bardzo dokładny, gdy chodziło o jego kompozycje. Ale to Johna Deacona najbardziej polubiłem. Był milczącym członkiem grupy. Zadziwiająco skromny, cichy i bezpretensjonalny. On i Freddie byli najbardziej zaangażowani w organizacyjną stronę działalności grupy na początku kariery, a John dodatkowo trzymał kasę. Później ich sukcesy sprawiły, że ta praca stała się niezwykle absorbująca. Ulubionym dowcipem Johna było stwierdzenie: „Ja tu tylko gram na basie”.

Następnym wielkim przeżyciem było dla mnie przygotowywanie przez Freddiego nowego solowego singla. *Made in Heaven.*

Wideoklip do tego utworu kręcono przy niewiarygodnych nakładach sił i środków. Główne tematy zaczerpnięto z *Piekła* Dantego – na planie obracał się sześćdziesięciostopowej wysokości glob ziemski, otoczony apokaliptycznymi ogniami, szalejącymi burzami i mnóstwem innych przedmiotów.

Freddie zaprosił mnie, żebym po pracy wpadł i obejrzał to wszystko, ale nie spodziewałem się, że czeka mnie takie powitanie. Podszedłem do strażnika przy bramie studia i zapytałem o garderobę Freddiego. Wskazał mi kierunek i nie interesował się mną więcej.

Kiedy otwarłem drzwi, Freddie podskoczył z wrażenia.

– Jak się tu dostałeś? – niemal wrzasnął. Potem, wściekły, zaczął krzyczeć, że trzeba zwiększyć ochronę studia.

Kiedy już się uspokoił, wyjaśnił mi, co go tak wkurzyło. Jakiś czas temu pewien człowiek włamał się do jego mieszkania i przymierzał wszystkie jego ubrania. Schwytany przez policję, został wsadzony za kratki, ale to wydarzenie bardzo rozzłościło Freddiego.

Tego ranka, kiedy zaczęto kręcić teledysk, Freddie dowiedział się, że ten człowiek uciekł z więzienia. Jego dziewczyna powiadomiła policję, że widziała swojego chłopaka na wolności – był uzbrojony, niebezpieczny i prawdopodobnie zasadzał się na Freddiego. Policja tak poważnie wzięła sobie do serca zagrożenie, że zaplombowała oba wejścia do mieszkania Freddiego na Stafford Terrace. Niewiele później dramat się skończył; mężczyzna został schwytany i wsadzony z powrotem tam, gdzie powinien był się znajdować – do więzienia.

Filmowanie wideoklipu trwało do późnej nocy, a kiedy wreszcie dotarliśmy z powrotem do mieszkania Freddiego około piątej nad ranem, czekało na nas dwóch policjantów. Poinformowali nas, że chcieli się upewnić, czy Freddiemu nic nie dolega po tym całym

koszmarze, i zostali z nami jeszcze przez chwilę, dowcipkując. Freddie nie pozostał im dłużny. W pewnej chwili wskazał ręką małe starodawne japońskie pudełeczko z laki.

– Pewnie się zastanawiacie, co jest w środku, prawda? – powiedział. – Tam są moje prochy!

Policjanci wybuchnęli śmiechem.

Gdy już sobie poszli – a musiało być koło szóstej – Freddie zwrócił się do mnie:

– Idź i prześpij się choć godzinę. Obudzę cię do pracy, nie martw się.

Godzinę później zbudził mnie delikatnie, mówiąc:

– Czas iść do pracy, kochany. Przygotowałem ci kąpiel.

Zdecyduj się!

Mniej więcej tydzień później w Savoyu jakaś kobieta zadzwoniła do mnie z wewnętrznej linii i poprosiła o zarezerwowanie wizyty dla pana Jonesa. Chciała umówić się jak najpóźniej, a to oznaczało siedemnastą trzydzieści.

Nigdy nie robię halo z dziesięciominutowego spóźnienia klienta, ale kiedy pan Jones nie pojawił się jeszcze za dwadzieścia szósta, zadzwoniłem i poprosiłem o połączenie z jego pokojem. Słuchawkę podniosła ta sama kobieta, która się ze mną umawiała, a ja powiedziałem jej kilka słów na temat punktualności jej męża.

– Niedługo zamykamy. Pracujemy do szóstej – powiedziałem. – Pan Jones musi zejść natychmiast.

Przyszedł po kilku minutach: był to David Bowie. Nie rozpoznałem Freddiego, widząc go pierwszy raz, ale Bowie to co innego. Bądź co bądź jako Ziggy Stardust dekadę wcześniej wprowadził własny styl – modę na fryzurę à la Bowie, z czego i ja czerpałem zyski.

– Czy jest pan tym, kim wydaje mi się, że pan jest? – spytałem, gdy skończyłem obcinać mu włosy.

– A jak się panu wydaje, kim jestem? – odpowiedział pytaniem.

– Davidem Bowiem – powiedziałem.

– Tak – odrzekł po prostu.

I to była cała nasza rozmowa.

Następna sobota, trzynastego lipca 1985 roku, była piekielnie upalna i miała być bardzo wyjątkowym dniem dla Freddiego i dla mnie. Po skończeniu pracy w Savoyu pojechałem do jego

mieszkania. Cały dom wydawał się naelektryzowany. Freddie był w imprezowym nastroju. Wszyscy byli pochłonięci oglądaniem koncertu „Live Aid" w telewizji.

Około czwartej po południu Freddie popatrzył na mnie i zapytał:

– A ty nie masz zamiaru się wybrać?

Ciągle jeszcze byłem w swoim garniturze wprost z pracy.

– Dokąd? – spytałem.

– Jedziemy przecież na „Live Aid"! – wykrzyknął, a mnie opadła szczęka. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem na koncercie, o czym Freddie nie miał pojęcia.

– Nie mam nic do ubrania – wysapałem.

– Niczego nie potrzebujesz – odparł. – Włóż po prostu dżinsy, a w szafie są koszulki. Zbieraj się!

Pojechaliśmy na Wembley na tylnym siedzeniu jednej z długiego szeregu czarnych limuzyn. Miałem pierwszy raz zobaczyć Queen na żywo na scenie. Dotarliśmy na Wembley mniej więcej na godzinę przed koncertem. Specjalnie wyznaczony i ogrodzony teren aż kipiał od największych wykonawców rockowych w kraju. Byłem naprawdę podniecony.

Każdy członek grupy miał swoją własną przyczepę kempingową jako garderobę. Na miejscu były już wszystkie trzy żony – Chrissy May, Dominique Taylor[2] i Veronica Deacon, a także dzieci Mayów i Taylorów.

Przebywanie tego dnia za sceną na Wembley było nieprawdopodobnym przeżyciem. Atmosfera była tak naelektryzowana. Freddie znał wszystkich: Paula McCartneya, Status Quo, Stinga, U2, Dire Straits... Kiedy napotkaliśmy Eltona Johna, zostałem mu przedstawiony przez Freddiego jako „mój nowy facet". Podszedł do nas Phil Collins i poprosił Freddiego o autograf.

– Dla ciebie? – spytał Freddie.

– Nie – odparł Phil. – Dla moich dzieciaków.

Freddie roześmiał się i podpisał.

Potem poszedł się przygotowywać. Queen miał występować po Davidzie Bowiem, który właśnie był na scenie. Freddie postanowił wyjść w tym, co miał na sobie – dżinsy, biały podkoszulek, amulet na szyi i nabijany gwoździami pas.

Kiedy David Bowie zszedł ze sceny i pomaszerował do swojej przyczepy, Freddie podreptał cichaczem za nim, ciągnąc mnie ze sobą. David wyglądał dziwnie. Siedział przepocony przed elektrycznym wentylatorem, usiłując wysuszyć sobie włosy.

– To twój jedyny fan, co, David? – zażartował Freddie[3]. Roześmieli się obaj. Potem Freddie powiedział: – To jest Jim. Już się chyba spotkaliście?

David zerknął na mnie i wydawał się trochę zdziwiony.

– Nie, nie znam go.

– A kto panu wczoraj obcinał włosy? – spytałem, ale chyba to nic nie dało. Bardzo dziwne.

Kiedy przyszedł czas na Queen, poszedłem z Freddiem na scenę i obserwując go spoza kulis, przeżyłem najbardziej czarodziejskie dwadzieścia minut w życiu. Zespół brawurowo zagrał *Hammer to Fall Crazy Little Thing Called Love, Bohemian Rhapsody, Radio Ga Ga* i na koniec *We Are the Champions.* Później Freddie i Brian wykonali w duecie wzruszającą piosenkę *Is This the World We Created* z repertuaru Queen, oddając wszystkie należne z niej dochody na Fundusz „Ratujmy dzieci".

Wreszcie zobaczyłem prawdziwego Freddiego Mercury'ego przy pracy, wprawiającego siedemdziesiąt tysięcy ludzi w szaleństwo. Włożył w występ wszystko; nic innego się nie liczyło. Kiedy zszedł wreszcie ze sceny, pognał do swej przyczepy, a ja podreptałem za nim jak szczenię. Jego pierwsze słowa to:

– Dzięki Bogu, już się skończyło!

Joe zdarł z niego mokre ciuchy i przebrał go. Freddiego wciąż roznosiła buzująca w żyłach adrenalina, więc dla uspokojenia wlał w siebie dużą wódkę. Dopiero wtedy, po dłuższej chwili, rozjaśniła nu się twarz. Widać było, że myśli: „Taaak, udało się!".

Wychodząc z przyczepy, nadzialiśmy się na uśmiechniętego Eltona Johna.

– Wy skurwiele! – powiedział do Freddiego. – Zdominowaliście ten cały koncert! – A potem się objęli i uścisnęli. Za sceną wszyscy gratulowali Freddiemu, Brianowi, Rogerowi i Johnowi. Organizator koncertu, Bob Geldof, powiedział później: „Queen był po prostu najlepszym zespołem dnia".

Zostaliśmy do końca koncertu i spotkaliśmy jeszcze George'a Michaela, ale cichaczem urwaliśmy się z pokoncertowego przyjęcia, żeby świętować spokojnie w domu i obejrzeć w telewizji amerykańskie zakończenie tego zadziwiającego koncertu.

Kiedy na filadelfijskim stadionie imienia Johna F. Kennedy'ego pojawił się Phil Collins, który otworzył koncert na Wembley, a potem przeskoczył nad Atlantykiem na pokładzie concorde'a, Freddie pokręcił głową w podziwie.

– Czy ten facet kiedyś usiądzie na tyłku? – spytał.

Siedzieliśmy wokół telewizora, popijając i półgłosem komentując występy. Freddiemu najbardziej podobali się Tina Turner i Mick Jagger śpiewający *Private Dancer*.

A gdy wreszcie padliśmy na łóżko, Freddie wtulił się we mnie i szepnął:

– Podobało ci się?

– A jak myślisz? – odparłem, obejmując go mocno. – Pierwszy raz w życiu byłem na koncercie.

– Żartujesz chyba? – powiedział zadziwiony.

– Nie.

Freddie był naprawdę zaszokowany. Zasnąłem w przekonaniu, że pierwszy raz widziałem prawdziwą gwiazdę – Freddiego Mercury'ego robiącego to, w czym był najlepszy – przyprawiającego ludzi o amok.

Następnego ranka „Live Aid" był już odległy o całe lata świetlne od Freddiego, ale nie ode mnie. Kiedy w poniedziałek przyjechałem do Savoyu, wciąż jeszcze miałem pełne uszy koncertu.

Wkrótce znów wpadłem w rutynę codzienności. Co dwa tygodnie latałem do Monachium, gdzie ktoś mnie odbierał z lotniska. Kiedy poleciałem do Niemiec pierwszy raz po „Live Aid", zostałem zabrany wprost do studia Musicland, gdzie obserwowałem, jak Freddie pracuje nad nowym albumem Queen zatytułowanym *A Kind of Magic,* zawierającym również muzykę do filmu *Highlander (Nieśmiertelny).*

Przestronne, położone w piwnicy studio mieściło się na skraju miasta pod masywnym kompleksem mieszkalnym, który Joe nazwał „blokiem samobójców". Głównym powodem do chwały tego studia był fakt, że tam Giorgio Moroder napisał i nagrał większość swoich największych przebojów disco.

Freddie zabrał mnie do pokoju reżyserskiego i przedstawił swojemu niemieckiemu producentowi, Reinholdowi Mackowi. Był to wysoki chudy mężczyzna pod czterdziestkę. Wyglądał jak podstarzały hipis i miał włosy do ramion. Freddie posadził mnie i zniknął, żeby kontynuować nagrywanie.

W studiu umysł Freddiego zajmowała tylko jedna myśl – praca, praca, praca. Obserwowałem go przez szybę, ale on na mnie zerkał bardzo rzadko, bo był całkowicie pochłonięty pracą. Cały czas palił – a raczej tylko zapalał – silk cuty, a dla okiełznania roznoszącej go

energii i adrenaliny co jakiś czas wlewał w siebie kieliszek rosyjskiej wódki. Pił wyłącznie stoliczną.

Niezmiennie zdumiewał mnie swoją energią. Musiał ciągle coś robić; była to nierozdzielna część jego życia. Kiedy nie śpiewał, wpadał do reżyserki, siadał za konsoletą i sam sprawdzał efekty miksowania playbacku. Zawsze miał wszystko pod kontrolą. Pod koniec sesji zdarzało mi się wspomnieć, że w jakiejś piosence podobało mi się to czy tamto, ale nigdy nie wiedziałem, czy w ogóle zauważył moje spostrzeżenie.

Tego wieczoru Freddie pracował do jedenastej, zanim ogłosił fajrant. Przed pójściem do domu wpadliśmy jeszcze do „Trójkąta Bermudzkiego". Następnego dnia Freddie chciał wrócić do studia i popracować. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że miał zwyczaj wpadać do studia, mówiąc, że „zajrzy tylko na pięć, sześć minut", i zostawał na pięć, sześć godzin.

Bywały weekendy, kiedy Freddie pracował w studiu sam, ale częściej razem z Brianem, Rogerem i Johnem. Kiedy pozostali członkowie Queen byli w Monachium, mieszkali w hotelu. A w studiu chłopcy lubili mieć koło siebie swoje „ekipy" do czarnej roboty, na przykład do robienia herbaty czy kawy. Freddie miał dwóch asystentów, Phoebego i Joego; Brian miał Jobby'ego, a Roger swojego Chrisa „Crystala" Taylora. W rogu studia stał rower treningowy, z którego korzystano od czasu do czasu, kiedy komuś zaczynało brakować szwungu.

Po zakończeniu sesji cała ekipa rzucała wszystko w kąt i wychodziliśmy na miasto, żeby razem coś zjeść. Znajdowaliśmy gdzieś w pobliżu jakąś przyzwoitą knajpkę na świeżym powietrzu i zjadaliśmy prosty lunch albo kolację.

Pracując w tym rytmie przez wiele godzin, grupa wyrobiła sobie sposób na rozładowanie napięć: przekręcali właściwe teksty

utworów i wyśpiewywali jakieś śmiesznostki i głupstwa. Te nienagrywane wersje przebojów Queen były z reguły wręcz opętańczo śmieszne i całe studio wyło ze śmiechu.

Pewnej nocy zespół nagrywał jeden z utworów napisanych do filmu *Iron Eagle* zatytułowany *One Vision (Jeden sposób myślenia)*. Otóż w trakcie jednego z owych „rozładowywań napięć" wyszło *Fried Chicken (Pieczony kurczak*)! Dużo później tej samej nocy, kiedy już byłem z Freddiem sam, powiedziałem:

– No dalej, na miłość boską! Przecież Queen jest już wystarczająco sławny! Chyba wam wystarczy jaj!

– Na co? – spytał, nie rozumiejąc.

– Na wstawienie tego wersu! „Fried Chicken"!

Nic nie odpowiedział.

Za każdym razem kiedy Freddie wpadał do Londynu, zatrzymywał się w Garden Lodge. Tam właśnie pewnego sierpniowego weekendu dyskutowaliśmy nad rodzajem przyjęcia, jakie powinien wydać z okazji swoich trzydziestych dziewiątych urodzin, piątego września. Zasugerowałem przyjęcie czarno-białe, a jemu chyba spodobał się ten pomysł. I jak zwykle u Freddiego pomysł ten przekształcił się w prowokacyjne, szokujące wydarzenie – czarno-biały bal przebierańców.

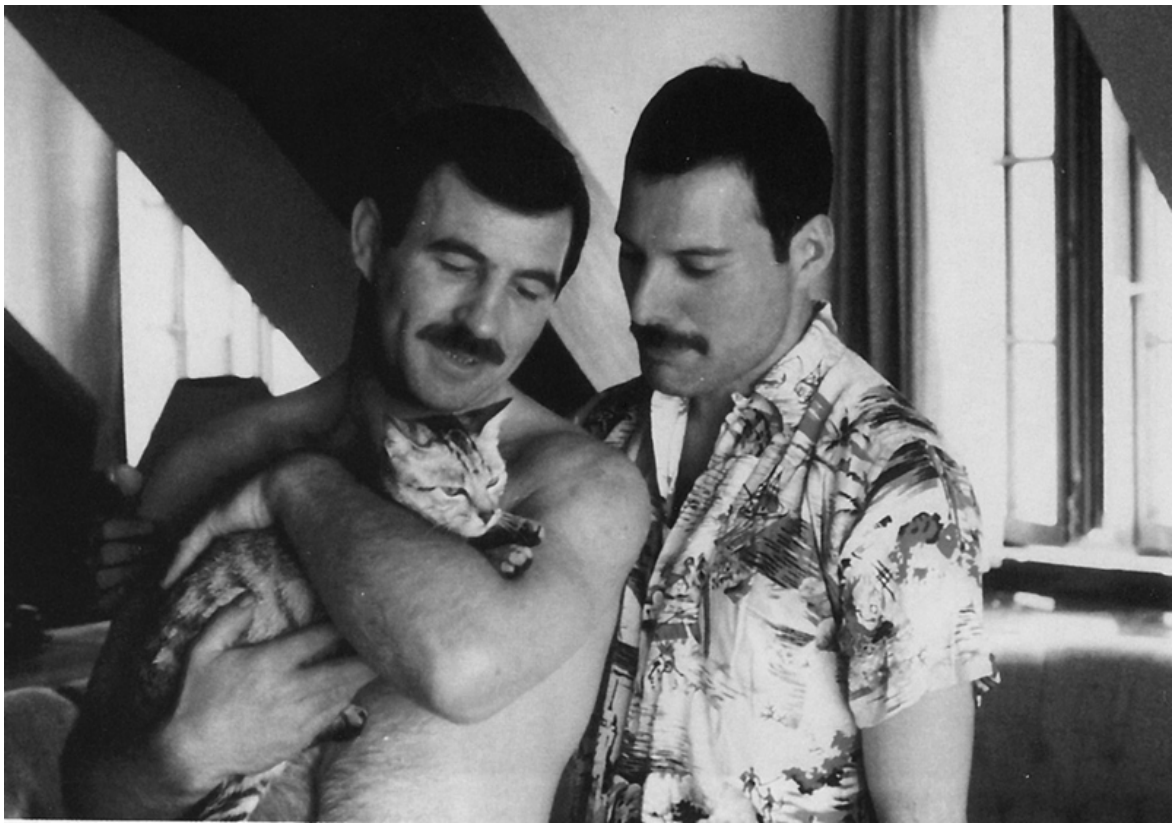

Z Freddiem i kocim gościem, Dorothy, w Monachium, 1985 rok

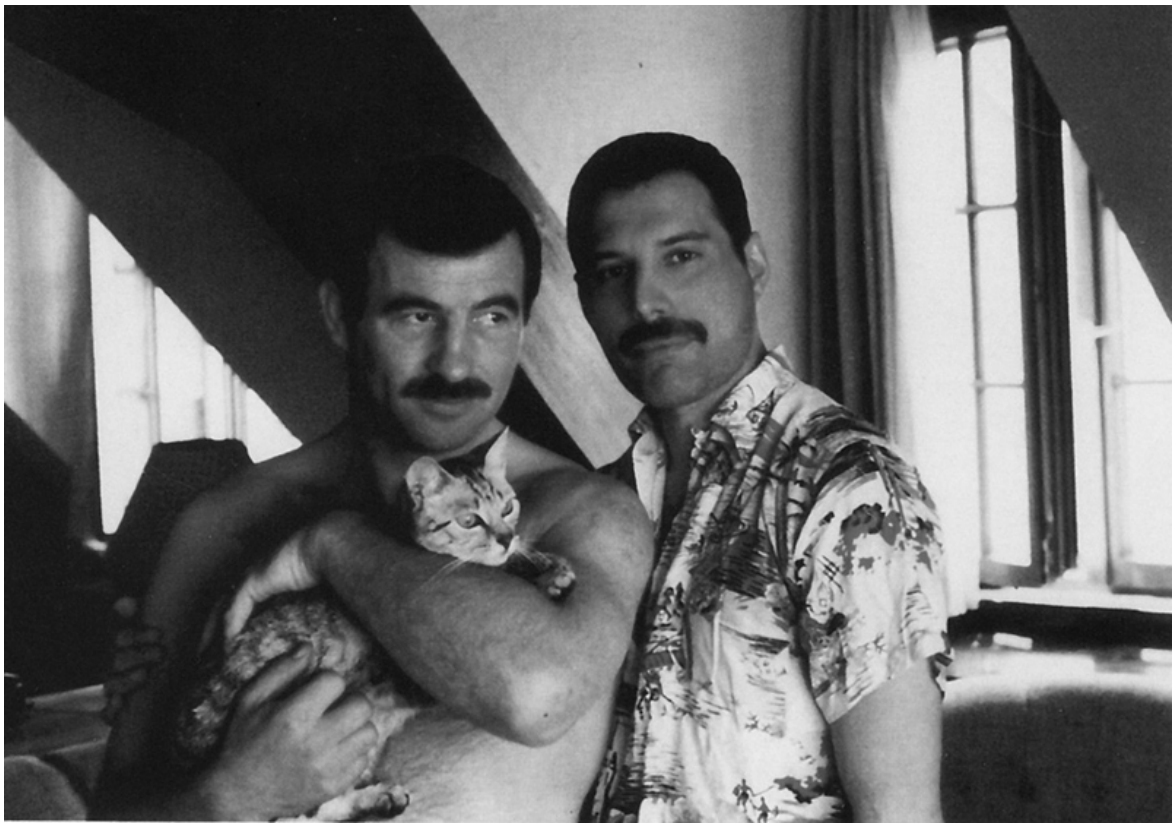

Z Freddiem i Dorothy

Od lewej: asystent Rogera Taylora, Chris „Crystal" Taylor, z Johnem Deaconem i Freddiem grającym w scrabble w autobusie na trasie koncertowej, 1986 rok

Wynajął Henderson's, jeden z najlepszych nocnych klubów w Monachium. Potem kazał go przerobić i przedekorować całkowicie na czarno-biało, przybierając go między innymi setkami czarnych i białych róż. Nawet tapicerka foteli została zmieniona na czarno-białą. Cały bal miał być nagrywany jako podkład do wideoklipu jego solowego singla *Living On My Own,* którego wydanie planowano na ten właśnie miesiąc.

W dniu przyjęcia przylecieliśmy z Londynu niezłą watahą. Byli Phoebe, Mary, kilku pracowników biura Queen i David Wigg, redaktor zajmujący się w „Daily Express" show-biznesem. David i Queen znali się od przeszło dziesięciu lat; był jednym z nielicznych dziennikarzy, którym Freddie wierzył.

Kiedy przechodziliśmy przez brytyjską odprawę celną, zatrzymano nas. Wieźliśmy ze sobą kostium Freddiego na bal, w tym dwa pasy amunicyjne przystrojone sztucznymi nabojami. Pracownicy lotniska zdecydowali, że pasy z nabojami nie mogą być wniesione do kabiny, i trzeba było oddać je na bagaż.

Lecieliśmy samolotem British Airways. Jako jedyny podróżujący w biznes class miałem darmowe drinki i lepsze jedzenie niż inni. Mary powiedziała, że powinienem ukraść w swojej klasie butelkę wina i przemycić ją do nich. Ale nie zrobiłem tego. Byłoby to nie fair.

Większość zaproszonych na bal gości zakwaterowano w monachijskim Hiltonie na koszt Freddiego, lecz Mary zamieszkała z Freddiem i ze mną; miała spać na tapczanie w jego mieszkaniu. Kiedy dotarłem tam z nią, dom był już pełen gości.

Zrobiło mi się ciężko na sercu, kiedy wszedłem do mieszkania i zobaczyłem te sterty drogich prezentów urodzinowych, które przynieśli przyjaciele Freddiego. Nie mogłem się zdecydować, co mu dać. Nie miałem pieniędzy, żeby mu coś kupić, więc postanowiłem mu dać zasuszoną czterolistną koniczynę. Nie była to oczywiście prawdziwa koniczyna, ale dał mi ją wiele lat temu ojciec mojego przyjaciela, który sam ją zrobił.

Za bardzo się wstydziłem, żeby dawać Freddiemu jego szczęśliwą koniczynkę przy wszystkich, wywołałem go więc do sypialni.

– Przykro mi, ale nie stać mnie na żaden droższy prezent dla ciebie – powiedziałem, wręczając mu małe cienkie zawiniątko. Kiedy je otworzył, był zachwycony. Pocałował mnie i pobiegł z koniczyną w dłoni do salonu.

– Zobaczcie, jaki fantastyczny prezent dostałem od Jima! – krzyczał do wszystkich, a ja się rumieniłem. Wyglądało na to, że Freddie jest tak zadowolony, bo wie, że to prezent naprawdę z serca.

Około dziesiątej wyjechałem z Freddiem na przyjęcie limuzyną. Freddie miał na sobie czarno-biały kostium arlekina i przepiękną kurtkę w wojskowym stylu, zaprojektowaną przez „Emanuels", projektantów, którzy stworzyli sławną ślubną kreację Lady Di. Oczywiście miał też na sobie te pasy amunicyjne, które narobiły nam kłopotów na lotnisku. Tego wieczoru wszyscy byli ubrani – bądź przebrani – na czarno-biało. Wszyscy poza mną. Ja miałem na sobie wielokolorowe, obszywane cekinami wdzianko z frakowym ogonem, pożyczone od tancerza, który był kiedyś moim chłopakiem. Ale ponieważ włożyłem czarne spodnie, upierałem się, że ujdę w tym przebraniu – i tak też się stało.

Większość ludzi na imprezie stanowili Niemcy, znajome twarze z monachijskiego świata gejów; wszyscy daliby się pokroić za udział w dobrej zabawie. Niektóre kostiumy były wręcz genialne. Brian May pojawił się jako czarownica; David Wigg miał na sobie seksowny habit, nawet Richard Young, fotoreporter, był przebrany nie do poznania. Byli tam Reinhold Mack z żoną Ingrid, przyszedł też Steve Strange i wielu innych szefów firm nagraniowych.

Między nami przemykały ciągle kamery, chwytając czarodziejską atmosferę. Większość czasu spędzałem w pobliżu Freddiego, chciałem jednak zachować anonimowość, więc kiedy tylko w polu widzenia pojawiała się kamera, znikałem. Szybko nabrałem wprawy w chowaniu się w cień na pierwszy błysk soczewki.

Tego wieczoru Freddie dostał w prezencie gigantyczny tort urodzinowy w kształcie wielkiego fortepianu. Był on tak duży, że każdy z trzystu gości dostał swoją porcję.

Po paru godzinach przyjęcia odnalazł mnie Joe. Był zdenerwowany.

– Freddie cię potrzebuje – szepnął, po czym trochę nieskładnie zaczął wyjaśniać, że Freddie ma jakiś atak lękowy.

Znalazłem go w samym środku sali. Wyglądał na zupełnie wykończonego. Miał za sobą kłótnię z kimś – ale z kim i o co, nie mam pojęcia. Zanim się do niego dopchałem, było już po wszystkim, lecz Freddie chciał, żebym mu pomógł przyjść do siebie. Objąłem go więc i mocno przytuliłem. Szybko się zorientowałem, że do takiego stanu doprowadziło go coś więcej niż sama kłótnia.

Tej nocy do picia podawano tylko szampana, szampana i jeszcze raz szampana. Wszyscy go piliśmy, jednak Freddie zdecydowanie przeholował. Poza tym wokół krążyły prochy i ktoś mu zaserwował jakiś narkotykowy koktajl. Mimo iż Freddie lubił kokainę, nie cierpiał eksperymentowania z różnorakimi prochami. I chyba właśnie to go najbardziej rozdygotało.

Po jakimś czasie się uspokoił. Bawiliśmy się dalej, a nawet wyszliśmy na parkiet. Taka noc była warta zapamiętania. W końcu o szóstej rano padliśmy do łóżka. Następnego dnia niemal wszyscy wylegiwali się w pościeli, ale Freddie wczesnym rankiem wrócił do klubu z ekipą wideo i kilkoma niemieckimi przebierańcami, żeby dokręcić jeszcze trochę ujęć do swojego prowokacyjnego wideoklipu.

Kiedy dostał rachunek za tę imprezę, nie było mu do śmiechu. Koszt był ogromny, około pięćdziesięciu tysięcy funtów. Wiele osób pozwoliło sobie na ekstrawagancję na jego rachunek. Czuł się potem po prostu naciągnięty.

Obejrzawszy wreszcie ukończony wideoklip, z zaskoczeniem znalazłem w nim siebie – przez moment tańczyłem samotnie bez koszuli. Biorąc pod uwagę skrupulatność, z jaką Freddie traktował kręcenie tego klipu, musiał sam nastawać na moją tam obecność.

Ten film nigdy nie został pokazany w Ameryce, bo CBS, mająca prawa do solowych nagrań Freddiego, uważała go za zbyt ryzykowny; dla nich było w nim za wiele transwestytyzmu.

W owych szczęśliwych dniach mój związek z Freddiem wyraźnie się pogłębił. Zacząłem za nim bardzo tęsknić. Kiedy nie byliśmy razem, popadałem w chandrę. Freddie miał te same odczucia w stosunku do mnie. I tak, któregoś kolejnego weekendu w Londynie, zaczął nagle mówić o wspólnym życiu.

– Gdybym cię poprosił, żebyś przyjechał do Monachium i zamieszkał ze mną, poszedłbyś na to? – spytał.

Do tej pory nigdy nie brałem pod uwagę wprowadzenia się do Freddiego.

– Owszem – odparłem. – Ale pod jednym warunkiem. Jeśli miałbym się przenieść do Monachium, musiałbym mieć jakąś pracę. – Miałem w Wielkiej Brytanii zobowiązania finansowe i nie zdobyłbym się na porzucenie pracy w Savoyu, mając w perspektywie bieganie po Monachium jak kot z pęcherzem w poszukiwaniu posady dla fryzjera, który nie zna nawet niemieckiego. Niezależność miała dla mnie zawsze wielką wagę, więc nawet nie przeszło mi przez myśl życie na koszt Freddiego.

Chwilowo porzucił ten temat, ale po piętnastu minutach znowu zagadnął:

– A gdybym się zdecydował za jakiś czas opuścić Monachium i wrócić do Londynu?

– Wtedy bym dokładnie przemyślał, co chcę zrobić – odrzekłem.

Właśnie skłonność do zachowania niezależności była przyczyną większości niesnasek między nami, co zawsze kończyło się krzykiem Freddiego: „Ty i ta twoja pieprzona niezależność!". Tak naprawdę Freddie darzył uwielbieniem ludzi o niezależnych umysłach, ale

bardziej mu odpowiadała sytuacja, w której mógł manipulacją skłaniać innych do wypełniania swojej woli.

Nigdy nie miałem wątpliwości, że to on jest aktywniejszy w naszym związku – w końcu to on zaaranżował cały nasz romans. A bywało to na przykład tak:

Pewnej nocy w Londynie poszliśmy na Earl's Court, do gejowskiego klubu Copacabana, między innymi z Joem, Peterem Strakerem i Garym, kierowcą. Poszliśmy do baru, a potem ruszyliśmy do stołu bilardowego. Nagle Freddie odwrócił się do mnie i wbił we mnie spojrzenie.

– Spier...! – wysyczał jadowicie.

Byłem bardzo zaskoczony, ale zrobiłem, jak chciał. Zniknąłem. Odwróciłem się na pięcie i poszedłem do wyjścia. Po drodze minąłem Gary'ego, który wyczuł, że nie wszystko jest w porządku.

– Co się stało? – spytał.

– Nie wiem – odparłem. – Jest w tym swoim humorku i kazał mi spier... Więc idę. – Wróciłem do Garden Lodge, spakowałem swój weekendowy zestaw bagażowy i pojechałem taksówką na Trafalgar Square, żeby złapać nocny autobus do Sutton. Wszedłem do domu, wskoczyłem do łóżka i zasnąłem. O czwartej rano wściekła pani Taverner obudziła mnie waleniem do drzwi. Nie mogąc mnie złapać w inny sposób, Freddie zatelefonował do pani Ivy, a ona trzasnęła słuchawką o widełki. Przeprosiłem ją za wszystko, ale niewiele to pomogło.

Byłem co najmniej równie uparty jak Freddie i nie miałem najmniejszego zamiaru dzwonić do niego rano. Kiedy więc zatelefonował do mnie kilka dni później, spławiłem go.

– Nie zawracaj mi dupy! – warknąłem na niego.

– Nikt nie będzie mi mówił takich rzeczy!

Dobrze wiedział, że między nami jeszcze się nie skończyło. Wręcz przeciwnie; nieszczęsne nocne telefony dopiero się miały zacząć.

Przez następne kilka tygodni dzwonił do mnie prawie każdej nocy o trzeciej lub czwartej nad ranem. W końcu Ivy Taverner miała tego po dziurki w nosie i kazała mi się wynieść w ciągu dwóch tygodni. I w ten sposób przez natręctwo Freddiego zostałem bezdomny.

Kiedy wrócił do Londynu, powiedziałem mu, że dostałem wymówienie.

– Wykopała mnie przez te twoje nocne telefony! – powiedziałem.

– Nie przejmuj się tym – odrzekł spokojnie.

– Wprowadź się do Garden Lodge. Tam nikogo nie ma, stoi pusty.

Więc się wprowadziłem.

Po dwóch latach mieszkania w Niemczech Freddie doszedł do wniosku, że ma dosyć bycia uchodźcą podatkowym, któremu wolno przebywać co roku tylko ograniczoną liczbę dni w Wielkiej Brytanii. Chciał wrócić do Londynu i zamieszkać w rezydencji Garden Lodge. Na razie jeszcze postanowił zatrzymać mieszkanie na Stafford Terrace i spokojnie, w ciągu paru miesięcy, przenieść stamtąd rzeczy.

Kiedy dotarłem do Garden Lodge, okazało się, że nie jestem tak zupełnie sam. Mieszkał tam już Phoebe z kotami Tiffanym i Oscarem. Za to plany Freddiego, żeby przyjechać z Monachium do Londynu i spędzić ze mną ten pierwszy weekend, spaliły na panewce.

Właśnie się zabierałem do rozpakowywania tych kilku toreb podróżnych, które zabrałem z Sutton, kiedy zadzwoniła Mary i poprosiła, żebym do niej zajrzał. Powiedziała mi, że Freddie utknął z jakichś powodów na dobre w Monachium i nieprędko do mnie

dołączy. Wręczyła mi też karteczkę, którą Freddie napisał do mnie tydzień czy dwa wcześniej.

Ciągle jeszcze mam tę małą japońską karteczkę.

„Uważaj na siebie. Wkrótce się zobaczymy. Kocham F."

Tak więc spędziłem tę pierwszą noc sam w ogromnej, głównej sypialni, za towarzystwo mając tylko Oscara skulonego na poduszce masywnego łóżka. Powiesiłem w szafie kilka koszul i garnitur do pracy, ale poza tym nie rozpakowywałem się, nie wiedząc, gdzie powinienem włożyć swoje rzeczy. Freddie przyjechał w następny weekend i od razu zaciągnął mnie do łóżka. Powiedział, że tęsknił za mną okropnie, i wiem, że mówił to na serio. A potem, kiedy już wybrał dla mnie szafy w garderobie, opróżnił jedną z szuflad ze swoich rzeczy.

– To na twoje drobiazgi i skarby – powiedział.

W ten sposób doszło do tego, że się do niego przeprowadziłem. Mieszkaliśmy i żyliśmy razem przez następne sześć lat jak mąż i żona.

Freddie zagrał pana młodego, kiedy brał udział w „Fashion Aid", pokazie mody zorganizowanym w ramach „Live Aid" w Royal Albert Hall w listopadzie. Podobnie jak sam koncert, było to prześwietne wydarzenie, obłożone wszelakimi uroczystościami i zbiórkami na ten sam cel. Freddie miał na sobie tę samą kurtkę, którą nosił w czasie przyjęcia urodzinowego w Monachium, ale tym razem do czarnych spodni. Jego partnerką była aktorka Jane Seymour, ubrana w sensacyjną suknię ślubną, również zaprojektowaną przez „Emanuels". Wśród innych, którzy paradowali przed nim na pomoście, byli Boy George i Julie Goodyear, gwiazdeczka serialu *Coronation Street,* para z serialu *Dempsey and Makepeace,* Michael Brandon i Glynis Barber, Alison Moyet, Shirley Bassey, Lenny Henry, George Michael ze swym partnerem

z zespołu Wham!, Andrew Ridgeleyem, świeżo nazwany „Świętym” Bob Geldof i Paula Yates.

Przyjęcie, które się odbyło po pokazie, miało miejsce w hotelu Hyde Park. Na widok Freddiego i Jane, którzy zajechali w swych strojach z pokazu, całe foyer hotelu stanęło jak zamurowane. Hotel był pełen amerykańskich turystów, którzy uwierzyli, że ta wspaniała para jest rzeczywiście małżeństwem. Jane była sławną hollywoodzką aktorką i natychmiast ją rozpoznali. Kiedy zaś w jej „mężu” rozpoznali Freddiego, wydało im się to tak nierealne, że doszli do wniosku, iż są świadkami naprawdę niesamowitej historii. Zaczęli wiwatować i robić zdjęcia.

Jak każda mieszkająca razem para Freddie i ja zmierzyliśmy się również z kwestią pieniędzy na dom. Biorąc pod uwagę zdolności Freddiego do przepuszczania pieniędzy, szczęśliwie to nie ja byłem głównym żywicielem rodziny. Niemniej zgodziliśmy się, że uczciwie będzie, jeśli podzielimy się bieżącymi wydatkami. Stanęło na tym, że będę mu co tydzień oddawał pięćdziesiąt funtów ze swych zarobków. Było to dużo ponad połowę moich przychodów, ale Freddie nigdy się o tym nie dowiedział. Mimo wszystko płaciłem bardzo chętnie, bo w pewnym sensie utrzymywało to nasz związek na jakiejś uczciwej płaszczyźnie. Później jednak Freddie odstąpił od tego zwyczaju.

W tym samym miesiącu przeżyłem miłą niespodziankę, kiedy Queen wydał swojego singla *One Vision.* Ostatni wers został zmieniony na „Fried Chicken”, dokładnie tak, jak zasugerowałem.

Wideoklip do *One Vision* został nakręcony w Musicland przez dwóch dżentelmenów, o których mówiono zawsze „Torpedo Twins” – reżyser i producent, Rudi Dolezal i Hans Rossacher. Obaj byli potężnymi, wysokimi Austriakami. Rudi nosił bardziej kolorowe

ubrania niż jego partner, ale obaj byli równie jowialni i przyjacielscy.

W miarę zbliżania się świąt Bożego Narodzenia *One Vision* szybko wspinał się na szczyt list przebojów, który to sukces dodał sprężystości krokom Freddiego. Fani Queen nie dostali w tym roku żadnego nowego albumu, więc zespół wydał *The Complete Works,* krótkoseryjny komplet jedenastu dotychczasowych albumów. Obawiam się, że pozostał on poza finansowym zasięgiem większości fanów.

Popularniejszym posunięciem okazała się ambitna decyzja grupy o zorganizowaniu następnego lata tournée po Europie. Człowiek, który zajmował się wszystkimi trasami koncertowymi Queen, trzymał już rękę na pulsie. Był to Gerry Stickells. Poznałem go kiedyś, gdy wpadł do Garden Lodge na spotkanie. Grubawy, wręcz pulchny Amerykanin po czterdziestce, ojcował im wszystkim. Niesamowicie go polubiłem. Był trochę komediantem i zawsze miał na podorędziu nieskończoną ilość śmiesznych dowcipów.

Bardzo dużo się zastanawiałem, jaki prezent dać Freddiemu pod choinkę. No bo co można podarować komuś, kto ma wszystko? W końcu podpowiedział mi coś mój przyjaciel, John Rowell. John był niezwykle przystojnym mężczyzną o identycznym wzroście i wieku co ja. Był jednak dużo szczuplejszy. Prowadził Key Largo, sklep z odzieżą w Covent Garden, gdzie kupiłem sobie skórzaną kurtkę, której wysoka cena stanowiła wówczas dla mnie niewielką fortunę – prawie dwieście funtów. Freddie zachwycał się nią niezmiennie, więc John umożliwił mi zakup bardzo podobnej kurtki dla Freddiego na Boże Narodzenie. Wziąłem ją na raty.

Potem, na dwa tygodnie przed świętami, między Freddiem a mną doszło do awantury z piorunami na temat pewnego krępego, niedużego faceta, przezywanego „Duńskim Bekonem". Pochodził

gdzieś z południowego Londynu. Freddie okropnie flirtował z innymi mężczyznami, kiedy tylko gdzieś razem wychodziliśmy, ale nie przejmowałem się tym; wiedziałem, że i tak to właśnie ze mną wyląduje w końcu w łóżku. Instynktownie wyczuwałem, że wiele razy zadawał się już przedtem z innymi, i byłem o to zazdrosny – nie popadając jednak w zaborczość. Ale tej nocy, kiedy zaczął flirtować z „Duńskim Bekonem", poczułem, że mam dosyć.

Wyciągnąłem Freddiego do sypialni Garden Lodge i poinformowałem go o tym. Powiedziałem mu, że musi się zdecydować, czego chce – mnie czy innego faceta. A potem wyszedłem.

Zadzwoniłem do Johna Rowella, który mieszkał w południowym Londynie pomiędzy Vauxhall i Clapham, wytłumaczyłem mu swoją sytuację, a on z miejsca zaproponował mi swój pokój gościnny. Spakowałem najpotrzebniejsze rzeczy – głównie ubranie do pracy – i opuściłem Garden Lodge. Skoro Freddie miał ochotę grać na kilka frontów, postanowiłem nie wchodzić mu w drogę.

Kilka dni później zadzwonił do mnie do pracy. Poprosił, żebym wpadł wieczorem do Garden Lodge. Zaproponował, żebyśmy omówili nasze sprawy.

– Przepraszam za to, co się wtedy stało – powiedział. – Wróć do domu.

Skończyło się na tym, że pocałowaliśmy się i pogodzili. Przeniosłem się z powrotem w tygodniu poprzedzającym święta i od razu wpadłem w szaleńczy wir kupowania prezentów dla najbliższego kręgu przyjaciół Freddiego. Nie bardzo mnie było na to stać, bo mnóstwo wydałem na kurtkę.

Tego pierwszego Bożego Narodzenia w Garden Lodge mieliśmy pięknie przystrojoną choinkę w salonie, ale jakoś nie zdołaliśmy się zabrać do udekorowania reszty domu. W Wigilię poszliśmy

do Heaven i wróciliśmy nad ranem, ledwie trzymając się na nogach. Kiedy Freddie i ja obudziliśmy się razem następnego ranka, pocałowaliśmy się i złożyliśmy sobie życzenia wesołych świąt. Potem wstaliśmy i zeszliśmy na dół, żeby przygotować wszystko na lunch z garstką najbliższych przyjaciół – z Joem i Phoebem, Trevorem Clarkiem, Mary i Peterem Strakerem.

Tego pierwszego roku do pieczonego indyka, wieprzowiny i szynki siadło nas dziesięcioro. Trzy godziny później rozłożyliśmy się półkolem przed choinką i zaczęliśmy otwierać prezenty. Ktoś wrył się w górę paczek pod drzewkiem i rozdzielał je na wszystkie strony. Freddie sam wstał, dokopał się do swojego prezentu dla mnie i podał mi go. Potem ja odnalazłem swój prezent dla niego.

Dostałem od Freddiego zapalniczkę Cartiera, a do świątecznej kartki od niego dołączony był czek. Oczy wyszły mi na wierzch. Opiewał na tysiąc funtów! Byłem zaszokowany.

Freddie dał w prezencie świątecznym wszystkim bliskim mu osobom czeki, żeby każdy mógł sobie kupić to, czego naprawdę chciał. Był to jego sposób na podziękowanie wszystkim za tę ciężką pracę, jaką wykonali w ciągu roku. Dał każdemu z nas tę samą kwotę, może poza Mary, która chyba dostała trochę więcej.

Kiedy wręczyłem Freddiemu swój prezent, natychmiast przymierzył kurtkę. Pasowała idealnie. Jednak, mimo że wówczas wydawał się zachwycony, chyba mu się nie podobała. Miał ją na sobie jeszcze tylko raz.

Tego dnia o wiele lepiej poznałem Petera Strakera. Był jednym z najbliższych przyjaciół Freddiego, póki wszystko razem nie skończyło się we łzach. W trakcie wcześniejszych z nim spotkań nie bardzo wiedziałem, jak do niego podejść, ale szybko się do niego przekonałem. Doszedłem do wniosku, że go lubię, a on chyba lubił mnie. Phoebe jednak go nie cierpiał.

Piosenkarz Peter Straker z Freddiem w kuchni – nieraz siedzieli tak przez całą noc, śmiejąc się histerycznie

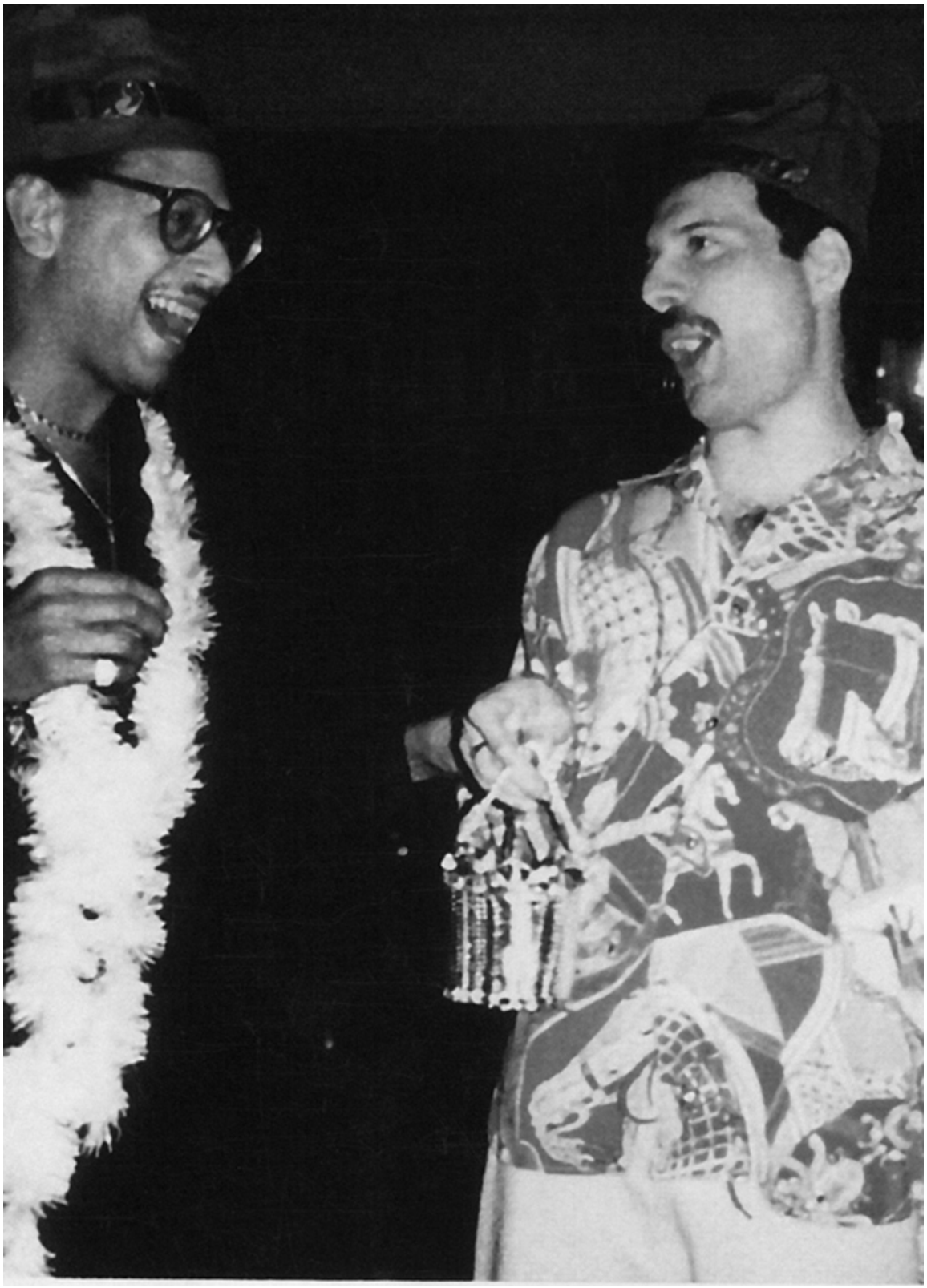

Freddie popisuje się przed Peterem Strakerem z małym śmiesznym koszyczkiem
w trakcie świąt Bożego Narodzenia

Peter Straker był jednym z tych bardzo niewielu ludzi, którzy zawsze potrafili rozbawić Freddiego. Był piosenkarzem, co oznaczało, że – podobnie jak Freddie – rzadko kiedy musiał wcześnie wstawać. A to z kolei dawało im wymówkę, żeby nie kłaść się całą noc spać, tylko oglądać wideo i słuchać muzyki. Obu ich łączyła miłość do muzyki gospel, jednakże nigdy nie potrafili słuchać jej po cichu, kiedy reszta domu spała.

W drugi dzień świąt w Garden Lodge bawiło trzydzieścioro przyjaciół. Gościnność Freddiego była równie nieokiełznana, jak jego skory do zabawy duch. Potem, w sylwestrowy wieczór, odbyło się kolejne przyjęcie, na które zaprosiłem mojego ekschłopaka, Johna Alexandra. Nie znał nikogo, więc spędziłem dużo czasu, dotrzymując mu towarzystwa. Z wybiciem północy wszyscy życzyli sobie wszystkiego najlepszego, śmiejąc się i całując. Ze smutkiem zauważyłem, że jedyną osobą, której Freddie nie złożył życzeń, był John. Ale nic nie powiedziałem.

Większość z nas przeniosła się potem do Heaven. John też z nami poszedł, lecz kiedy już weszliśmy do klubu, oddzielił się od naszej grupy. Nieco później zorientowałem się, że już od jakiegoś czasu nie widzę Freddiego. Rozejrzałem się, jednak nie było po nim śladu. Zapytałem więc Joego, czy go nie widział.

– Na parkiecie – odparł.

Wtedy dopiero dostrzegłem tam Freddiego. Tańczył z jakimś nieznanym mi facetem. Przez chwilę go obserwowałem i zauważyłem, że bardzo śmiało sobie poczyna ze swym partnerem. Jeszcze przez moment patrzyłem, aż w końcu nie mogłem tego znieść i chwiejnie wkroczyłem do akcji. Przepchnąłem się przez tłum na parkiecie i chwyciłem Freddiego za ramię.

– Mam do ciebie słówko! – krzyknąłem i powlokłem go pod ścianę. Jego świeżo upieczony nowy przyjaciel, który – jak się

później dowiedziałem – miał na imię George, ruszył za nami, ale odwróciłem się do niego i powiedziałem groźnie: – Trzymaj swój pieprzony nos z daleka!

Przycisnąłem Freddiego do ściany, obejmując ramieniem jego szyję.

– Nie rób tego, nie w noc sylwestrową, nie rób ze mnie wała! – warknąłem.

– Dobra, puść – odpowiedział spokojnie. – Osiągnąłem, co chciałem. Chciałem, żebyś pokazał, że jesteś zazdrosny.

Kiedy go puściłem, odszedł. Wróciłem do baru i dopiłem drinka.

Gdy w końcu chciałem dołączyć do naszej grupy, nie mogłem ich nigdzie znaleźć. Opuścili klub, zostawiając mnie w naprawdę fatalnej sytuacji. Na dworze było straszliwie zimno, a ja miałem na sobie tylko dżinsy i podkoszulek. Co gorsza, moja marynarka i klucze do domu zostały w samochodzie, którym odjechali. Byłem wściekły. Był przecież Nowy Rok, więc znalezienie taksówki było niemożliwe.

Musiało być już po piątej rano, kiedy wreszcie dotarłem do Garden Lodge. Nacisnąłem guzik domofonu i usłyszałem w interkomie głos Petera Strakera.

– To ja, Jim.

Peter zwolnił zamek furtki, a kiedy szedłem już ścieżką do domu, przed drzwiami pojawił się Freddie. Zacząłem wrzeszczeć i wyć. Poszedłem wprost do sypialni. Freddie pobiegł za mną.

– Słuchaj! – powiedziałem wreszcie normalnym głosem. – Zdecyduj się w końcu! Chcesz mnie czy kogoś innego? Po prostu się zdecyduj! – Nie poprzestałem na tym. Zacząłem robić Freddiemu wyrzuty za potraktowanie Johna: – Jak śmiesz tak obrażać moich przyjaciół?!

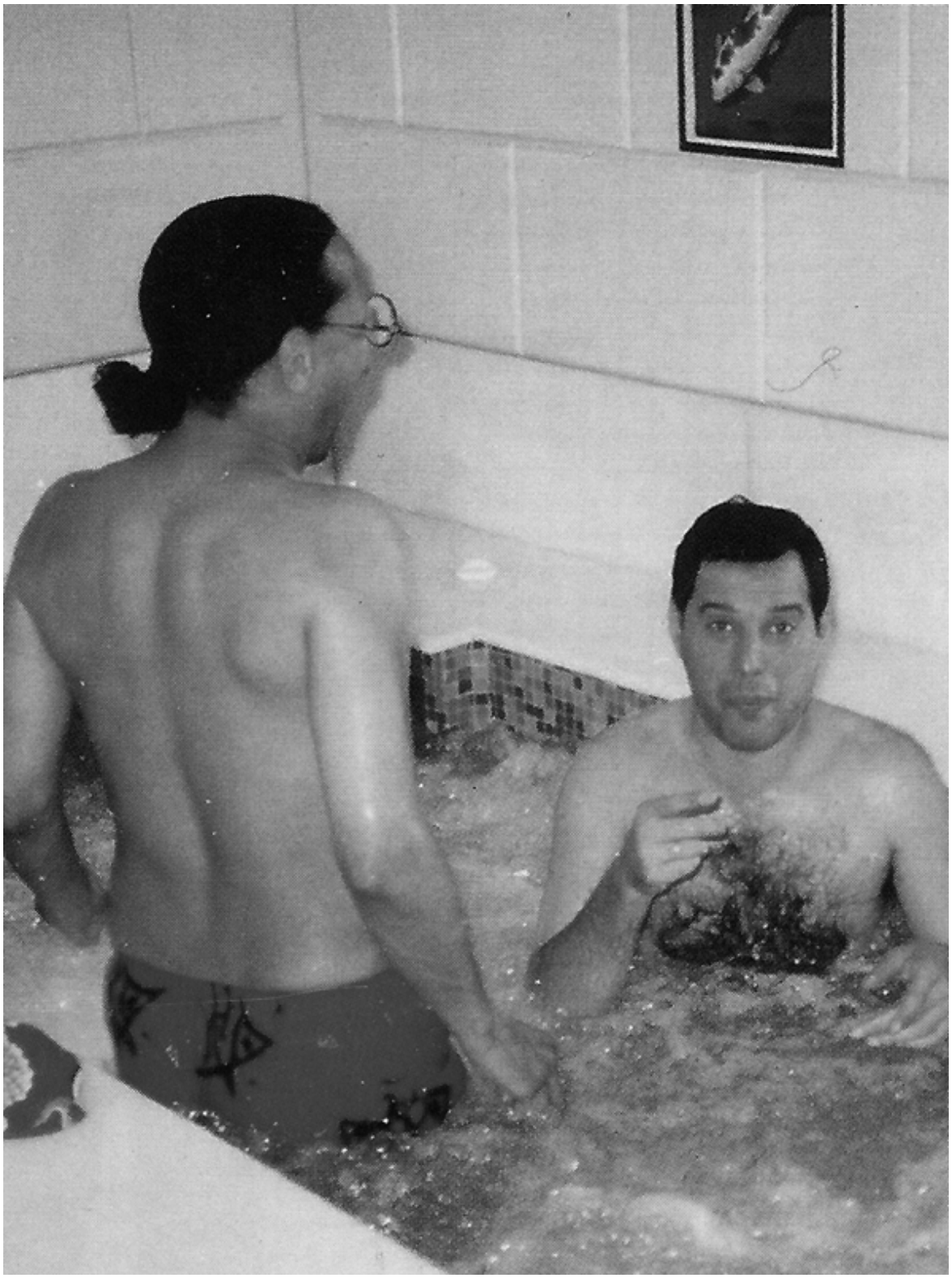

Peter Straker i Freddie wypróbowują nowe jacuzzi w Mews

Co dać w prezencie komuś, kto ma wszystko? Nigdy nie zapominaj o Quality Street – te czekoladki mogą nawet odegrać rolę w dekoracjach świątecznych

Freddie popchnął mnie na łóżko i przytrzymał, póki się nie uspokoiłem. Niewiele czasu potrzebował, żebym się rozchmurzył. Posłał mi triumfalne spojrzenie, z którego odczytałem, że mu przykro, choć właściwie nigdy nie słyszałem, aby wymówił te słowa do kogokolwiek.

– Udało mi się dzisiaj zmusić cię do takiej reakcji, jakiej mi u ciebie zawsze brakowało – powiedział i otoczył mnie ramionami. Objąłem go w pasie i przytuliłem. Ale tak naprawdę pogodziliśmy się dopiero w łóżku, kiedy już pozbyliśmy się z domu ostatnich noworocznych hulaków.

Następnego dnia wstałem i przyniosłem Freddiemu poranną herbatę. Jak zwykle.

Trzy dni później były moje trzydzieste siódme urodziny. Freddie postanowił dać mi w prezencie dwa nowe garnitury i poprosił Joego, żeby mnie zabrał na zakupy na Savile Row. Pierwszy garnitur kupiłem u Tommy'ego Nuttera. Kontrast pomiędzy tym garniturem a gotowymi, wielkoseryjnymi, do jakich byłem przyzwyczajony, przypominał przepaść.

Jednakże plany Freddiego, żeby wyprawić dla mnie przyjęcie urodzinowe w Garden Lodge, szybko doprowadziły do wybuchu kłótni. Była to naprawdę potężna impreza, na której zgromadzili się po raz pierwszy razem przyjaciele moi i Freddiego. Tort urodzinowy był rewelacją. Jeszcze przez dwa lata trzymałem w lodówce figurki kotów, które go zdobiły.

Ale kilka dni później Freddie wyskoczył z oskarżeniem, że któryś z moich przyjaciół ukradł mały, dość cenny wazonik z parapetu okiennego w salonie. Twardo się upierałem, że znam dobrze swoich przyjaciół i że żaden z nich nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Całymi tygodniami kłótnia powracała. Jak tylko zostawaliśmy sami w sypialni, Freddie zaczynał swoje narzekania.

– Ktoś ukradł ten wazonik. Ty i ci twoi przyjaciele. Już nigdy ich tu nie wpuszczę.

W końcu miałem tego dość i uciąłem sprawę:

– Dobra, Freddie – powiedziałem. – Przejdę się po domach wszystkich moich przyjaciół. I jeśli znajdę ten wazonik, odejdę od ciebie. Już nigdy o mnie nie usłyszysz.

Po dłuższej chwili jego twarz się rozchmurzyła.

– Kurczę, przecież to tylko wazonik – rzekł.

Dopiero po śmierci Freddiego dowiedziałem się prawdy o zaginionym wazoniku. Joe powiedział mi, że stłukł się w dniu przyjęcia, zanim jeszcze zdążył przyjść pierwszy gość. Żeby Freddie nie dowiedział się o wypadku, Joe zakopał szczątki wazonika głęboko w śmietniku.

– Ale dlaczego nie powiedziałeś Freddiemu później? Nie byłoby tej całej awantury.

– Uznaliśmy, że lepiej, żeby Freddie raczej myślał, że ktoś go ukradł, niż że się stłukł – odparł Joe.

To wiele mówi o Freddiem. On naprawdę kochał piękne przedmioty.

W drodze wyjątku

14 lutego 1986 roku był naszym pierwszym wspólnym Dniem Świętego Walentego. Zamówiłem dwa tuziny czerwonych róż z karteczką „Dla F.M.", które miały być dostarczone do Garden Lodge rano, kiedy byłem w pracy. Ale Freddie zachował się równie romantycznie. Około południa do mojego zakładu fryzjerskiego wszedł hotelowy kwiaciarz z pięknym bukietem z dwóch tuzinów czerwonych róż.

Maria, moja pomocnica, aż zapiszczała z zachwytu.

– Och, to dla mnie?!

Nie tylko jej ze zdziwienia opadła szczęka, kiedy kwiaciarz wyjaśnił:

– Nie, dla Jima!

Siedzący na moim fotelu klient popatrzył na mnie ze zdziwieniem, a ja poczułem, że robię się szkarłatny z zawstydzenia. Otworzyłem bilecik – była na nim tylko litera F.

Przyjaciel Freddiego, Dave Clark, mistrz perkusji w zespole z lat sześćdziesiątych, Dave Clark Five, wystawiał musical rockowy *Time* (*Czas*) w Dominion Theatre. Gwiazdami byli Cliff Richard na żywo i hologram Laurence'a Oliviera. Dave poprosił Freddiego o napisanie dwóch utworów do tego przedstawienia, w tym tytułowego, *Time.*

Musical miał wejść na scenę dziewiątego kwietnia, a Freddie został zaproszony na uroczystości premierowe. Chciał, żebym z nim poszedł. Całe tygodnie wcześniej Joe otrzymał zadanie zakupienia czarnych fraków i lakierków dla siebie, Phoebego i dla mnie.

Jak na ironię, pierwszy wers głównego utworu Freddiego, *Time,* brzmiał: „Time waits for nobody" (Czas nie czeka na nikogo). A czas Freddiego i mój omal nie dobiegł kresu, zanim dotarliśmy na premierę. Odkryłem, że Freddie znów nie jest mi wierny. Podczas gdy ja spędzałem większość nocy w domu, zadowalając się oglądaniem telewizji i wcześnie idąc spać, Freddie nadal do późna przesiadywał poza domem, beze mnie. Bywały noce, kiedy w ogóle nie wracał. Wyjaśniał wówczas, że został na Stafford Terrace. Jednak do mnie dochodziły różne słuchy. Znajomi poszeptywali, że widują Freddiego, jak nie kryjąc się z tym, rwie facetów na prawo i lewo.

Zdawałem sobie sprawę, że Joe zawsze wiedział, gdzie jest Freddie. Pewnej niedzieli obudziłem się około dziewiątej. Freddie, jak zwykle w owym czasie, nie wrócił na noc. Zszedłszy na dół, Joe skierował się wprost do drzwi, a ja poszedłem za nim w bezpiecznej odległości. Zaprowadził mnie do Freddiego, który – dokładnie tak jak mówił – był w mieszkaniu na Stafford Terrace.

Joe wszedł przez frontowe drzwi i po jakichś dwudziestu minutach wychynął z Freddiem. Dostrzegłem wtedy również trzecią osobę, młodego chłopaka, jak wymyka się za nimi na ulicę i podąża w drugą stronę. Pojąłem, że plotki o Freddiem są prawdziwe.

Powróciłem do Garden Lodge przed Joem i Freddiem. Kiedy weszli, nic nie powiedziałem. Tu potrzebny był plan. Postanowiłem nie próbować śledzenia poczynań Freddiego, ale zabawić się samemu. Spytałem więc Freddiego, czy miałby coś przeciwko temu, żebym wyszedł na drinka do mojego dawnego stałego klubu, Market Tavern. Powiedział, że nie, i polecił Terry'emu Giddingsowi, swojemu nowemu kierowcy, żeby mnie tam zawiózł.

W klubie wypiłem kilka piw i pogadałem z paroma starymi przyjaciółmi. Wszyscy stwierdzili to samo – że wyglądam

nieszczególnie.

– Masz, połknij to – powiedział jeden z nich, podając mi coś.

– Co to jest? – dopytywałem się.

– Nieważne co – brzmiała odpowiedź. – Po prostu połknij. Podniesie cię to na duchu. – Nie miałem nic przeciwko poprawieniu sobie nastroju, więc połknąłem małą tabletkę. Był to kwas. W bardzo krótkim czasie zacząłem mieć kłopoty z orientacją. Wiem tylko, że opuściłem klub wraz z przyjaciółmi i nagle znalazłem się w Heaven.

Nigdy dotąd nie straciłem kontroli nad sobą, niezależnie od ilości wypitego alkoholu. Ale po kwasie moja odporność błyskawicznie zniknęła i wkrótce zacząłem zmieniać się w zombie. Spotkałem starego kumpla, Jaya, którego nie widziałem od wieków.

– Co jest z tobą, Jim? – spytał. – Wyglądasz dziwacznie.

Opowiedziałem mu wszystko, co udało mi się zapamiętać: jak zacząłem w Tavern, połknąłem coś i wylądowałem na innej planecie, z której nie mogę wrócić. Na szczęście Jay wziął mnie natychmiast pod opiekę i nie dopuścił, żeby przez resztę nocy coś mi się stało.

– Nie wrócisz dzisiaj do siebie do domu – powiedział stanowczo. – Pójdziesz do mnie, ja się tobą zajmę.

Następnego ranka obudziłem się w mieszkaniu Jaya z głową pękającą z bólu. Domyśliłem się, że w Garden Lodge czeka na mnie zapewne wściekły Freddie, poczłapałem więc do Mary, gdzie – jak sądziłem – mogłem spokojnie opowiedzieć, co mi się przytrafiło i dlaczego nie wróciłem na noc do domu. Mary oświeciła mnie, że przez cały poprzedni wieczór Freddie był w morderczym nastroju i że czekając na mnie, nie położył się spać, tylko przegadał całą noc z Peterem Strakerem.

Zadzwonił telefon. To był Freddie.

– Jim tu jest – powiedziała mu Mary.

– Fajnie – odparł. – Powiedz mu, żeby się tu pofatygował, spakował swoje ciuchy i wyniósł. Jak wrócę ze studia, ma go już nie być. – I odłożył słuchawkę.

Więc znów byłem bezdomny. Wyszedłem od Mary i z automatu zadzwoniłem do Johna Rowella. Spytałem, czy mogę jeszcze raz skorzystać z jego pokoju gościnnego. Powiedział, że mogę, i to na jak długo zechcę.

Wróciłem do Garden Lodge, poszedłem do sypialni i spakowałem się. Potem pojechałem do mieszkania Johna. Doszedłem do wniosku, że między mną a Freddiem skończone na dobre. Kilka dni później, w dniu premiery Queen, gdy wróciłem z pracy, zadzwonił telefon. Freddie.

– Wracasz do domu? – spytał od razu.

– Nie – odrzekłem.

– Ale ja chcę, żebyś poszedł ze mną na premierę *Time* – powiedział miękkim głosem.

– No cóż, możesz wziąć ze sobą swojego przyjaciela. Frak będzie na niego w sam raz – odparłem.

– Przyjedź – nie ustępował. – Możemy przecież pogadać jak ludzie.

Złapałem więc taksówkę i pojechałem. Przywitał mnie Joe.

– Jest na górze, czeka na ciebie – powiedział.

Kiedy wszedłem do sypialni, Freddie otoczył mnie ramionami. Bez słowa padliśmy na łóżko i kochaliśmy się. Kiedy skończyliśmy, poprosił:

– Wróć do domu.

Zgodziłem się. Potem zaczęliśmy się szykować do wyjścia na premierę. Freddie nie pozostawił mi cienia wątpliwości, że to właśnie mnie chce mieć u swego boku tego wieczoru w teatrze.

Po tym stwierdzeniu wszystko powróciło do szczęśliwej codzienności.

W czasie przerwy w przedstawieniu Freddiemu zachciało się sprzedawać lody, ale szybko się rozbuchał i zaczął je rozdawać za darmo. Po przedstawieniu, na przyjęciu popremierowym w Hippodrome na Leicester Square, był nadal w znakomitym nastroju i przedstawił mnie Cliffowi Richardowi mówiąc: „To mój mężczyzna, Jim". Powiedział mi, że długowieczność Cliffa w biznesie muzycznym wprawiała go zawsze w pełen uwielbienia podziw. Mimo że sam był już przecież siedemnaście lat w tym interesie, w porównaniu z Cliffem wciąż czuł się jak nowicjusz.

Kiedy Freddie poinformował Dave'a Clarka, że niemal ubóstwia Laurence'a Oliviera, Dave zorganizował mu prywatną kolację z Olivierem i jego żoną, Joan Plowright. Freddie opowiedział mi później, że w trakcie kolacji rozmowa zeszła na krytyków, a wówczas Freddie zaczął się uskarżać na wyjątkowo wredne ataki w prasie na swój temat. Komentarz Oliviera był niezbyt wyrafinowany:

– Pier... krytyków! – rzucił.

Jeszcze nigdy nie widziałem Freddiego tak bardzo pod wrażeniem, jak tego wieczoru po powrocie od Oliviera.

– Spotkałem jednego z najwybitniejszych! – powtarzał z promieniejącą twarzą.

Pewnego dnia wróciłem z pracy, a Freddie powiedział mi, że miał gościa – najbardziej niezwykłego ze wszystkich, jacy się pojawili w Garden Lodge – i to z najniezwyklejszego z możliwych powodów. Był to Dustin Hoffman, który rozglądał się za pomysłami na wystrój wnętrz do jednego ze swych własnych domów.

Ten amerykański aktor chciał przyjrzeć się efektom pracy dekoratora wnętrz, który urządzał Garden Lodge. Do Freddiego

zadzwonił sam dekorator i zapytał, czy Dustin Hoffman mógłby obejrzeć kilka pomieszczeń, nad którymi pracował u Freddiego. Freddie był zachwycony. Na co najmniej godzinę Garden Lodge zmienił się w wystawę, jakiej jeszcze nie było.

Freddie opowiadał mi, że Dustin Hoffman okazał się dużo niższy, niż myślał, niesamowicie uprzejmy i raczej nerwowy. Ale Freddie zdołał go szybko rozluźnić – obejrzeli prace dekoratora i rozmawiali o wystrojach wnętrz, teatrze i muzyce rockowej. Freddie był w siódmym niebie.

Przez pierwszą połowę tego roku Freddie, Brian, Roger i John znów przesiadywali w studiach w Londynie i Monachium, kończąc pracę przy swym albumie *A Kind of Magic.* Zaczynali około południa i harowali przez następne dwanaście godzin. Freddie wracał do domu najwcześniej o dziesiątej, nigdy jednak nie później niż o pierwszej w nocy. Wpadał do pokoju i puszczał roboczą taśmę ze swoją najnowszą piosenką, dodając na bieżąco komentarz na temat drobiazgów, jakie według niego należało jeszcze poprawić, czy też efektów dźwiękowych, które jeszcze zostaną dodane. Najprzyjemniej jednak było, kiedy wracał, włączał odtwarzanie i w ogóle się nie odzywał – nagranie było skończone, a on wiedział, że jest dobre.

Singiel *A Kind of Magic* wyszedł w marcu, a wideoklip zrobiono w zupełnie wówczas opustoszałym Playhouse Theatre przy Northumberland Avenue. Kiedyś po pracy zajrzałem tam, żeby popatrzeć na pracę Freddiego i zorientować się, jak idzie nagrywanie wideo. Prawie natychmiast doszło do ostrego spięcia, kiedy Freddie pokazał, jaki potrafi być zazdrosny.

Przyzwyczaiłem się już do tego, że w trakcie nagrań wideo wolno mi się pętać wokół. Tego wieczoru usiadłem sam gdzieś w ostatnim rzędzie i obserwowałem Freddiego. Przysiadł się do mnie jeden

z kierowców grupy i zaczęliśmy plotkować. Skończyło się na tym, że wyszliśmy na drinka. Kiedy wróciłem do teatru, Freddie był w swojej przyczepie, zaparkowanej na ulicy obok drzwi na scenę.

Wyglądał na wściekłego, więc doszedłem do wniosku, że najlepiej nie pokazywać mu się na oczy.

Trzymałem się z daleka aż do odjazdu do domu.

Już w samochodzie, kiedy jechaliśmy do Garden Lodge, Freddie odwrócił się do mnie i powiedział:

– Jesteś obrzydliwy. Kto ci pozwolił przyprowadzić na nagrania swojego chłopaka?

Spojrzałem na niego i wybuchnąłem śmiechem.

– To nie był mój chłopak! To jeden z pieprzonych kierowców waszej bandy!

Freddie także potrafił pokazać swoje poczucie humoru. W 1986 roku dostałem od niego kartkę z okazji Dnia Świętego Patryka. A wieczorem powiedziano mi, że nie wolno mi wchodzić do kuchni.

Joe i Phoebe co jakiś czas wynosili mi filiżankę kawy, żebym siedział cicho. Potem Joe poinformował mnie, że obiad już jest gotowy. Skierowałem się do kuchni, ale zagrodził mi drogę.

– Ty jesz w jadalni – powiedział. – Freddie dał mi jasne instrukcje, żeby ci zrobić specjalny obiad z okazji Dnia Świętego Patryka.

W jadalni zastałem stół kompletnie nakryty na jedną osobę, włącznie z zapalonymi świecami. Na półmisku czekał wielki soczysty stek, obstawiony wkoło małymi miseczkami – były na nich kartofle przyrządzone na wszelkie możliwe sposoby; pieczone, z wody, purée, gotowane, jako krokiety, frytki, czipsy, opiekane i tak dalej.

– Freddie kazał nam podać ziemniaki pod każdą postacią, jaką byliśmy w stanie wymyślić – wyjaśnił Joe.

Freddie zawsze był przeświadczony, że jako Irlandczyk muszę uwielbiać ziemniaki. I tak też było. Usiadłem i zjadłem najlepszy obiad, jaki pamiętam.

Kilka razy do roku Freddie zabierał mnie na romantyczne kolacyjki do restauracji. Któregoś dnia wróciłem do domu z pracy, a on objął mnie jak zwykle.

– Idź się przebrać – powiedział. – Wychodzimy.

Terry zawiózł nas do jednego z ulubionych miejsc Freddiego, indyjskiej restauracji o nazwie Shazan's. Weszliśmy jednak tylko my, a wewnątrz – niebywałe – nie czekał na nas tłum przyjaciół Freddiego. Freddie poprosił o znajdujący się w podziemiu najbardziej romantyczny stolik.

Przez całą kolację dotykał mnie, chyba po to, żeby sprawdzić, czy będę się wstydził w towarzystwie innych klientów restauracji. Sięgał przez stół i chwytał mnie za rękę, a kiedy przyniesiono lody, zaczął mnie karmić łyżeczką. Na oburzone spojrzenia innych burczał: „Pieprzę ich". Ale ja nie potrafiłem się tak zachowywać, i mimo że Freddie starał się być bardzo romantyczny, w obecności tych wszystkich obcych ludzi czułem się cholernie onieśmielony i ciągle się czerwieniłem.

Jednak kiedy byliśmy sami, potrafił być naprawdę niezwykle romantyczny. Nigdy nawet nie wspomnieliśmy w naszych rozmowach o tym, jak długo będziemy razem. Akceptowaliśmy po prostu, że jesteśmy i będziemy. Czasami pytał mnie, czego chcę od życia.

– Zadowolenia i bycia kochanym – odpowiadałem. I wyglądało na to, że znajdowałem te rzeczy przy Freddiem.

Aż do śmierci często powtarzał mi coś jeszcze: „Kocham cię". I nigdy nie było to takie „kocham cię", które ot, tak sobie mówi się w łóżku. On to mówił na serio.

Niełatwo mi było przełamać się i okazać swoje uczucia. Przez tak wiele lat żyłem w światku gejów w Londynie, że świetnie sobie zdawałem sprawę, iż koniec związku zawsze oznacza kolejne rany. I każdy zerwany związek tworzy następne psychiczne mury obronne, które niezwykle trudno pokonać. A Jednak z biegiem czasu Freddie zburzył wszystkie moje mury obronne.

Sądzę, że obaj obawialiśmy się tego samego – samotności. Można przecież mieć cały świat pełen przyjaciół, a jednak czuć się potwornie samotnym – jak ujął to kiedyś Freddie. Obaj boleśnie uświadamialiśmy sobie, że wielu spośród naszych przyjaciół gejów prześladuje wizja życia w samotności, bycia niechcianymi i niekochanymi.

Następnym solowym utworem Freddiego był *Time*, który ukazał się w maju. Tego samego miesiąca Queen miał być główną atrakcją dorocznego festiwalu rockowego Golden Rose w Montreux. Pojechałem z Freddiem. Po koncercie specjalnie dla zespołu odbyło się przyjęcie na łodzi.

Kiedy tylko Freddie pojawił się na przyjęciu, poproszono go o pozowanie fotografom. Szybko się zorientowałem, że jednak ma pewną władzę nad prasą. Sesja zdjęciowa poszła bardzo gładko, a po pięciu czy dziesięciu minutach, kiedy fotografowie mieli już mnóstwo zdjęć, Freddie podziękował im, powiedział, że już skończył i że czas już rozpocząć uroczystości.

Usiadł przy stole i pogrążył się w rozmowie z piosenkarzem Belouisem Some'em, który ciągle zmieniał imiona i nazwiska, za każdym razem domagając się opinii Freddiego w tej sprawie. Po kilku minutach podkradł się do nich jakiś przebiegły fotoreporter i próbował znienacka zrobić Freddiemu zdjęcia. Ale zdążył strzelić najwyżej trzy fotki, kiedy dopadło go pięciu innych fotografów.

Poszturchując, wywlekli go z łodzi, czemu towarzyszyła niewielka wrzawa.

– Założę się, że tych zdjęć nie będzie jutro w gazetach – zachichotał Freddie z satysfakcją. Miał rację. W trakcie przyjęcia na łodzi nie zostało zrobione ani jedno zdjęcie. A przyjęcie było fantastyczne.

Nieco później „The Sun" opublikował zdjęcie Freddiego zrobione w trakcie koncertu na festiwalu. Freddiemu bardzo się ono nie podobało. Było zatytułowane „Przewspaniały Freddie", a przedstawiało go z niewielkim brzuszkiem, złośliwie określonym jako „wzdęcie przepony". Gdy Freddie zobaczył zdjęcie, popatrzył na mnie i pokręcił głową z rozpaczą.

– To typowe – powiedział. – Jak jestem szczupły, gazety piszą, że wyglądam jak szkielet. A kiedy trochę przytyję, piszą, że jestem tłusty. Sytuacja bez wyjścia.

Freddie i reszta zespołu na okrągło odbywali próby przed nadchodzącym tournée po Europie mającym nazwę „Magic Tour". Mieli zacząć siódmego czerwca na stadionie piłkarskim Rasunda w Sztokholmie i ciągnąć tak aż do końca sierpnia, finiszując najfantastyczniejszym, niewyobrażalnym koncertem przed studwudziestotysięczną widownią brytyjską w Knebworth Park, Hertfordshire.

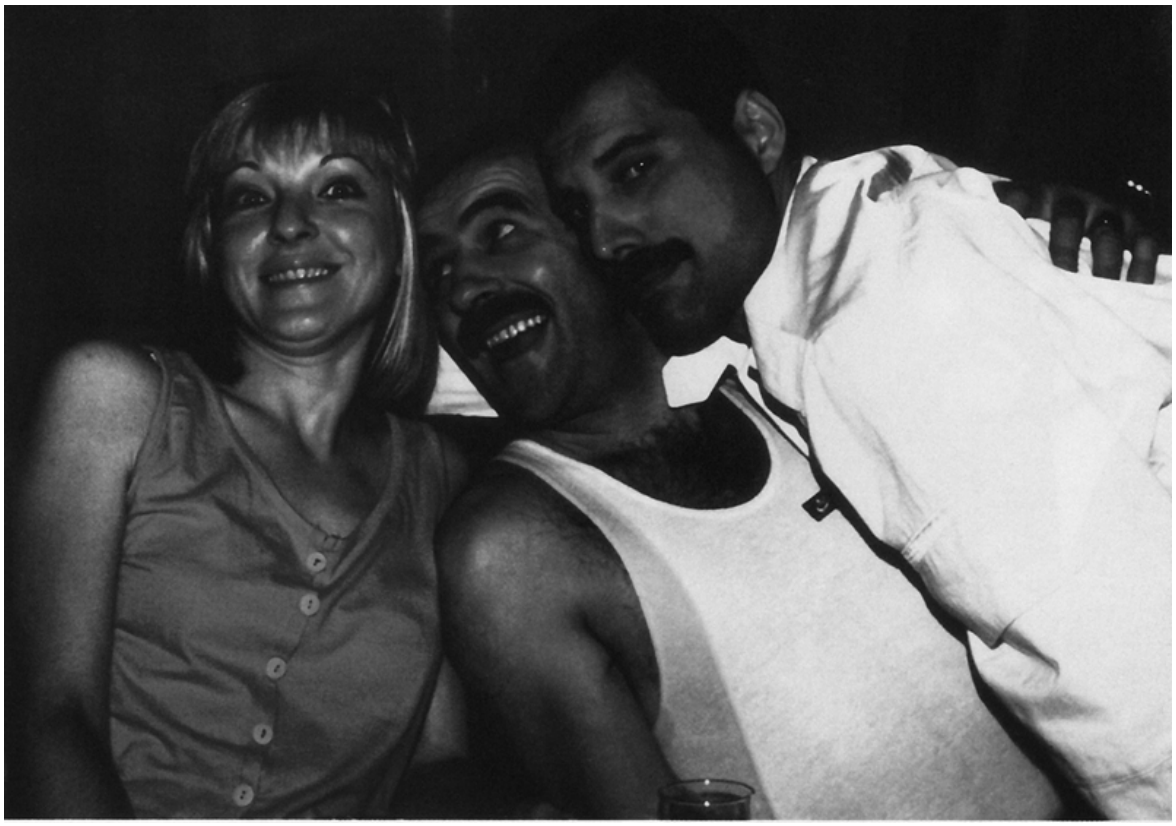

Mary Austin i ja właśnie pozowaliśmy do zdjęcia w trakcie „Magic Tour”, kiedy Freddie położył się na mnie

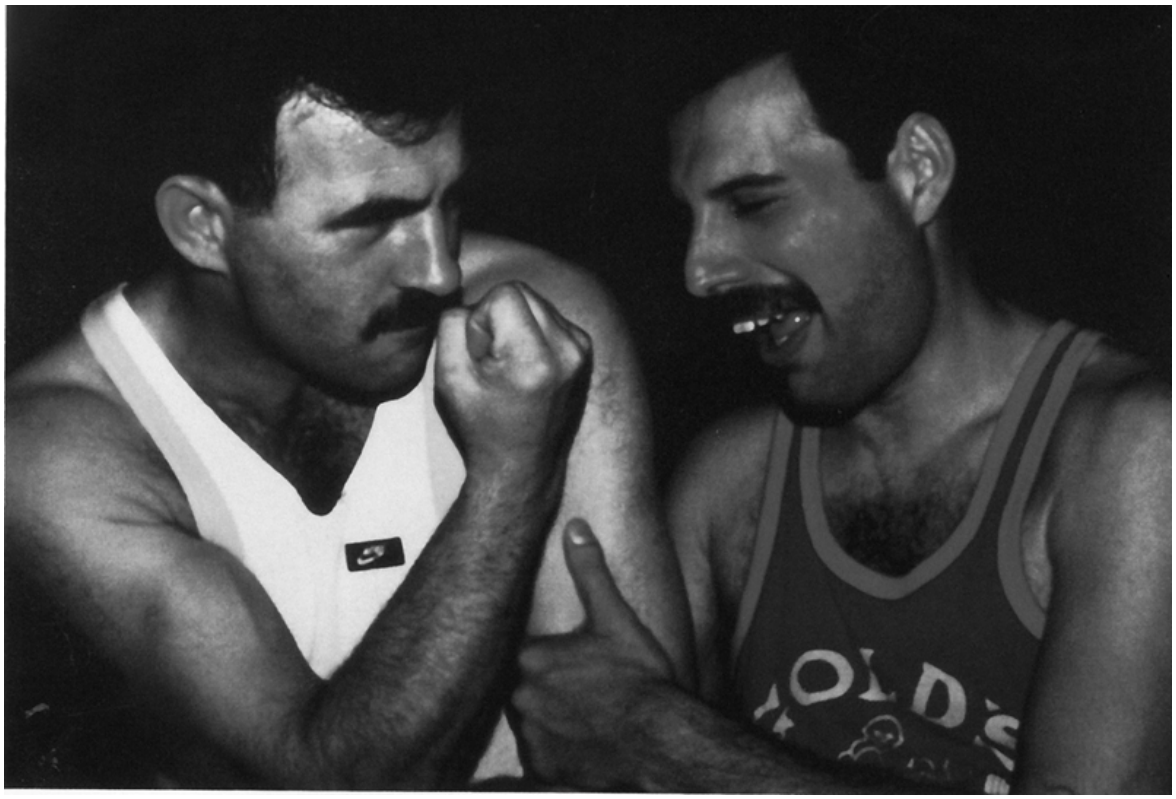

Sparingpartnerzy – Freddie i ja w trakcie „Magic Tour”

Kiedy w czerwcu wyjechali z Wielkiej Brytanii, wydano ich album *A Kind of Magic* wraz z singlem *Friends Will Be Friends.* Na jego drugiej stronie nagrano *Seven Seas of Rhye,* utwór z drugiego singla zespołu Queen z 1974 roku. Ten właśnie singiel po raz pierwszy pozwolił im doznać przyjemności bycia na szczytach list przebojów. *A Kind of Magic* natychmiast wspiął się na czołówki list w Wielkiej Brytanii i jeszcze trzydziestu innych krajach.

„Magic Tour” dotarło do Paryża, a ja wówczas postanowiłem niespodziewanie złożyć Freddiemu wizytę. Nie była to łatwa decyzja, gdyż jej skutki mogły być różne. Freddie bowiem uwielbiał robić niespodzianki innym, ale nienawidził być zaskakiwany.

Po pracy wróciłem do domu i przebrałem się, spakowałem podręczny bagaż i ruszyłem na Heathrow. Poleciałem do Paryża

i od razu zaatakowałem hotel Royal Monceau. Zapytałem w recepcji, czy mają wśród swych gości kogoś o nazwisku Freddie Mercury czy też Queen jako zespół, a konsjerż w odpowiedzi rzucił mi tylko zupełnie bezbarwne spojrzenie. W tym momencie wiedziałem już, że trafiłem do właściwego hotelu, domyśliłem się też, że cały zespół zameldował się pod fikcyjnymi nazwiskami – dla uniknięcia prasy i fanów. Później dowiedziałem się, że Freddie zawsze meldował się jako A. Mason.

Na szczęście natknąłem się w hallu hotelowym na jednego z członków ekipy, który potwierdził, że Freddie istotnie mieszka w tym hotelu. Usłyszałem też natychmiast, że wraz z resztą zespołu pojechał na hipodrom w Vincennes na próby nagłośnienia. Usiadłem więc sobie w fotelu i czekałem. Kiedy Freddie wrócił, zerknął na mnie i powiedział niedbale:

– Cześć!

Nie wyglądał na zaskoczonego moim widokiem, raczej na zagniewanego. Później napadł na Joego za niepoinformowanie go o moim przyjeździe. Zawsze musiał mieć wszystko pod kontrolą.

Następnego ranka w naszym apartamencie pojawiła się Diana Moseley. Była projektantką kostiumów na „Magic Tour" i przywiozła wspaniały kostium Freddiego: ciemnoczerwony płaszcz oblamowany sztucznymi gronostajami i bogato wysadzaną klejnotami królewską koronę. Freddie wyglądał niesamowicie, kiedy narzucił płaszcz na biały szlafrok kąpielowy, włożył na głowę koronę i zaczął się przechadzać po pokoju.

Pochodził tak przez chwilę z królewskim dostojeństwem, po czym stwierdził, że czegoś tu brakuje. Nagle złapał banana i potraktował go jak mikrofon. Znów zaczął się przechadzać, obserwując, jak przy różnych ruchach układa się na ziemi jego królewski płaszcz.

Wyraźnie był nim zachwycony, podobnie jak wszyscy fani tego wieczoru.

A kiedy tłumy szalały na jego punkcie, pomyślałem sobie: „To mój mężczyzna".

Następnej soboty, dwudziestego pierwszego czerwca, Queen grał na Maimarktgelände w Mannheim w Niemczech. W niedzielę rano, około czwartej, zbudził mnie w Garden Lodge telefon. Był to Freddie: wrzeszczał, że go zamknięto w jego pokoju i że nie może wyjść. Był wyraźnie w depresji i koniecznie chciał, żebym natychmiast do niego przyleciał. Gdy dotarłem do jego hotelu, Freddie wyglądał już dobrze, choć był nieco wykończony. Ale miło jest czuć się potrzebnym.

Po Berlinie pojechaliśmy do Monachium. W hotelu Freddie nabzdyczył się na swój apartament, który był zupełnie bezbarwny i nieprzytulny; wcale mu się nie podobał. Przenieśliśmy się do innych pokoi, a potem dołączyliśmy do reszty ekipy i poszliśmy na obiad do niewielkiego lokalu. Bez ładu i składu zamawialiśmy potrawy, pochłonęliśmy ich ogromne ilości i spiliśmy się potwornie. Pamiętam, że gadałem jak nakręcony z asystentem Rogera Taylora, Chrisem „Crystalem" Taylorem, i asystentem Briana, Jobbym. Impreza ciągnęła się przez większą część nocy po powrocie do hotelu.

Z Monachium zespół poleciał do Zurychu, lecz ja już wróciłem do Londynu. Piątego lipca grali w Dublinie, gdzie jedyny raz w całym tym tournée przyjęto ich zupełnie bez entuzjazmu. Kilku pijaków wdarło się na koncert i obrzuciło czymś Freddiego. Po tym wieczorze Freddie przysiągł, że nigdy już Queen nie przyjedzie do Irlandii. I nie przyjechał.

W końcu, przed samym powrotem do Londynu, zagrali w Newcastle.

Piątek, jedenastego lipca, i sobota, dwunastego, były kamieniami milowymi w karierze Queen. Dwa całkowicie wyprzedane koncerty na stadionie Wembley. Był to pierwszy występ grupy na tej olbrzymiej scenie od czasu, gdy na koncercie „Live Aid" rok wcześniej zdominowali całą imprezę. A teraz miało ich zobaczyć sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi!

Freddie miał nawracające problemy z jakimiś naroślami na strunach głosowych – cena bycia piosenkarzem. Nie ruszał się więc nigdzie bez niedużej maszyny, parowego inhalatora, w którego działanie niezmiennie wierzył. Ssał też ciągle pastylki na gardło Strepsils. Pierwszego wieczoru na Wembley miał kłopoty z gardłem, ale zlekceważył je jako nie aż tak drastyczne, żeby przerwać występ. Jak zawsze ja obserwowałem koncert podczas obu wieczorów z wszelkich możliwych miejsc na Wembley.

Pokoncertowe przyjęcie w sobotę odbyło się w Roof Gardens Club w Kensington. Z powodu obecności prasy Freddie chciał, żeby szła z nim pod rękę Mary. Zupełnie wyjątkowo udawał tym razem, że nie jest we mnie zakochany, i bardzo mnie za to przepraszał.

– Musi tak być ze względu na prasę – powtarzał.

Rozumiałem to w pełni i szedłem za nim w bezpiecznej odległości kilku kroków.

Banan w ręce w charakterze mikrofonu. Freddie przechadza się w podnieceniu, przymierzając swój nowy królewski kostium zaraz po jego dostarczeniu

na tournée w 1986 roku

Rozradowana projektantka kostiumów Freddiego, Diana Moseley

Przyjęcie było charakterystycznym, typowym dla Queen utracjuszowskim wydarzeniem. Opróżniono setkę butelek szampana, a końcowy rachunek wyniósł ponad osiemdziesiąt tysięcy funtów.

Na blisko pięciuset gości czekały w windach dziewczęta; nie miały na sobie nic poza malowidłami niemieckiego artysty Bernda Bauera. Pojawiło się mnóstwo sławnych nazwisk: Jeff Beck, Nick Rhodes z Duran Duran, Spandau Ballet, Paul King, Cliff Richard, Gary Glitter, Mel Smith, Griff Rhys Jones, Janet Street Porter i Fish z Marillion, ktoś, kogo naprawdę polubiłem.

W pewnej chwili zespół Queen opanował niewielką scenę i zaczął grać stare numery rockandrollowe. Freddie znów skupił

na sobie całą uwagę wraz z niezwykłą partnerką, modelką z trzecich stron gazet, Samanthą Fox. Wciągnął Sam siłą na scenę i razem odśpiewali szaleńczo *Tutti Frutti* i *Sweet Little Rock and Roller.* Kiedy kilkanaście minut później spotkałem Sam, dziewczyna wciąż jeszcze trzęsła się z podniecenia.

Następnym przystankiem „Magic Tour" był stadion piłkarski Main Road w Manchesterze. Koncert miał się odbyć w środę, szesnastego lipca. Poleciałem tam z Freddiem i całą ekipą. Mary, Phoebe i ja chcieliśmy oglądać występ z widowni, więc jeden z porządkowych poprowadził nas do trzech foteli. Jakieś dziesięć minut później pojawiło się troje ludzi i poinformowało nas, że to ich miejsca. Mary rozzłościła się i usiłowała ich wypłoszyć, twierdząc, że jest dziewczyną Freddiego. Nie było to najszczęśliwsze posunięcie, nie pomogło nam też w niczym. Wręcz przeciwnie; nagle Mary została adresatką nieprzyjemnej tyrady chamowatego faceta, o którym potem się dowiedziałem, że to Peter Moores, szef imperium Littlewood's Pools. Skończyło się na tym, że oddaliśmy miejsca i obejrzeliśmy koncert zza kulis.

Po występie pod eskortą wyprowadzono nas wszystkich przez falujące, szalejące tłumy fanów. W pewnej chwili pojawiło się poważne zagrożenie zmiażdżenia przez tłum, skryliśmy się więc do dwupoziomowego autokaru, który miał niestandardowe wyposażenie – specjalnie wbudowany tunel zamiast zwyczajnych drzwi. Żeby przyspieszyć odwrót Queen, Mary, ja i spora część ekipy już siedzieliśmy w autobusie. Kiedy zespół wbiegł do tunelu, wszyscy pognaliśmy na górną platformę autokaru i patrzyliśmy na morze twarzy wokół. Co za pożegnanie!

Odjechaliśmy pod eskortą policji. Syreny wyły, a nocne niebo rozjaśniały niebieskie światła. Dzięki temu mieliśmy swobodny przejazd przez miasto, a eskorta jechała z nami jeszcze daleko poza

przedmieścia. W czasie tej podróży z powrotem do Londynu dużo myślałem o scenach, jakie rozegrały się na moich oczach. Przypominały zdjęcia Beatlesów otoczonych rozszalałymi tłumami fanów w latach sześćdziesiątych. Po raz pierwszy w pełni zrozumiałem, jak bardzo przerażające mogą być takie sytuacje i dlaczego Queen przykłada taką wagę do zabezpieczenia drogi odwrotu z wielotysięcznych tłumów podnieconych i rozbuchanych fanów.

Po Manchesterze Freddie wyjechał z Joem na następny etap tournée – do Kolonii i Wiednia. A w niedzielę, dwudziestego siódmego lipca, Queen grał w Budapeszcie. Było to historyczne wydarzenie, pierwszy raz za żelazną kurtyną, na otwartym stadionie występował zachodni zespół rockowy z czołówki list przebojów. Grupa postanowiła na kilka dni przed występem wypuścić się na wyprawę Dunajem, by na koniec w wielkim stylu przybyć do Budapesztu wodolotem, którego przedtem używał prezydent Gorbaczow.

Mary bardzo rzadko towarzyszyła Freddiemu w jego turach koncertowych, ale przy okazji tej wycieczki postanowił dać jej krótki urlop, więc zaprosił ją do Wiednia, żeby przyłączyła się do ekipy na wycieczce. Mary bardzo się denerwowała na myśl o pozostawieniu bez opieki Jeny'ego, kota, którego odziedziczyła po Freddiem, więc zgłosiłem się na ochotnika, że pomieszkam w jej domu przez kilka dni i będę na niego uważał.

Nie miałem jednak najmniejszego zamiaru przepuścić „węgierskiego wydarzenia", jak określano koncert. Biuro Queen w Londynie załatwiło mi przelot do Budapesztu na dwa dni przed występem, na piątek. Na lotnisku czekali na mnie Terry i Joe w samochodzie z kierowcą. Pojechaliśmy wprost do hotelu, gdzie Freddie zajmował Apartament Prezydencki. Był to naprawdę

przewspaniały apartament z gigantycznym balkonem, teraz nabity tłumem ludzi – byli tam między innymi Mary, Freddie, menedżer Queen, Jim Beach, Brian May, John Deacon, Roger Taylor (któremu fizjoterapeuta ekipy właśnie rozluźniał mięśnie karku) i fotograf Richard Young.

Po wykonaniu prób nagłośnienia pojechaliśmy na ucztę w stylu węgierskim, gdzie wszystkie cholerne potrawy były przyprawione papryką. Kiedy wróciliśmy do hotelu, przed snem wypuściłem się samotnie na niedługi, samotny, spokojny spacer po ulicach tego cudownego miasta.

Kupienie na Węgrzech płyt i kaset było już bardzo trudną rzeczą. Sam Pan Bóg wie, ile wysiłku trzeba było włożyć w nabycie jednego z osiemdziesięciu tysięcy biletów na koncert. Chociaż – z drugiej strony – dla większości mieszkańców Budapesztu bilety musiały być zbyt drogie. Kosztowały przecież równowartość miesięcznej pensji!

Freddie chciał w bardzo wyjątkowy sposób potraktować swoich węgierskich fanów, którzy zdecydowali się na taki wydatek, żeby tylko posłuchać na żywo swojego idola. Postanowił zaśpiewać *Tavaszi Szel*, wzruszającą, starą węgierską piosenkę. Dopiero po obiedzie w dniu występu dostał tekst, spędził więc niezwykle pracowite popołudnie, przechadzając się po pokoju i balkonie i usilnie starając się opanować słowa. A nie było to łatwe.

Obecność Queen w Budapeszcie spowodowała mnóstwo zamieszania, a kiedy wreszcie wyjechaliśmy na koncert, policyjna eskorta całkowicie zablokowała miasto. Trwająca dwadzieścia minut podróż na stadion przypominała jazdę kolejką wysokogórską w lunaparku – na łeb na szyję. Jechałem z Freddiem w pierwszym z całej kawalkady samochodów, otoczonych ze wszystkich stron gęstym kordonem eskorty policyjnej. Z piskiem braliśmy zakręty,

przeskakiwaliśmy skrzyżowania, nie zważając na światła, niemal przefrunęliśmy przez miasto. Terry, Joe i ja byliśmy rozdygotani ze strachu, na Freddiem jednak ta karkołomna jazda zdawała się nie robić wrażenia. Cały czas uczył się słów węgierskiej pieśni i stale mruczał coś pod nosem.

Koncert tego wieczoru był czymś absolutnie niewiarygodnym. Na Népstadionie wszędzie była policja kontrolująca przeogromny tłum. Pierwszą część występu oglądałem zza kulis, ale potem poszedłem na widownię i resztę wieczoru spędziłem pośród ekstatycznego audytorium. Obserwowałem swojego mężczyznę czarodzieja ze wszystkich możliwych miejsc na stadionie. Scena była wielka, a Freddie wykorzystywał każdy jej kawałek, w pocie czoła doprowadzając tłum do amoku. Ponad estradą sterczały wysokie pochodnie, plując ogniem. Całość wyglądała niesamowicie.

Kiedy jednak Freddie zaczął śpiewać tę węgierską piosenkę ludową, atmosfera stała się wręcz naelektryzowana. Napisał sobie słowa na dłoni i otwarcie korzystał z tej ściągi, ale to się nie liczyło! Po pierwszych słowach Węgrzy na widowni oszaleli, porwani odwagą tego obcokrajowca, który śpiewał ich najsławniejszą, najtrudniejszą pieśń. Na koniec ryk tłumu przytłoczył sobą wszystko, co dotąd słyszałem. Mimo że ledwie widziałem Freddiego z tej odległości, dojrzałem, że wyraźnie mu ulżyło. Dokonał tego! Przedarł się przez tę pieśń. Pod koniec koncertu Freddie wmaszerował na scenę w swym królewskim płaszczu i w koronie, a stadion eksplodował w euforii. Jeszcze wiele godzin po występie Freddie zachowywał się tak, jakby był na haju.

Następnego ranka Joe przeżył niewielki dramat. Nosił szkła kontaktowe, ale zapomniał zabrać na tournée pojemniczki do ich przechowywania. Po zdjęciu szkieł włożył je więc na noc do wody w dwóch szklaneczkach. Nie było go w pokoju, kiedy przyszła

pokojówka i sprzątając, opróżniła szklaneczki, wraz z wodą wylewając szkła do umywalki.

– Beznadziejny debil! – skomentował to Freddie, ale ja nie byłem pewny, czy mówi o pokojowej czy o Joem.

Kiedy już wróciłem do Wielkiej Brytanii, przeczytałem w „Daily Express" artykuł Davida Wigga. Przytaczał w nim odpowiedź Freddiego na zakusy Mary, która chciała mieć z nim dziecko. Freddie odrzekł: „Raczej kupię sobie nowego kota". David donosił również, że Freddie nie jest z nikim związany. Freddie zawsze uważał, że trzymanie się tej linii ułatwia nam obu życie; chyba miał rację. Niemniej powiedział w tym artykule: „Po raz pierwszy w życiu odnalazłem w sobie spokój". Potem wyjaśnił mi, że odnosiło się to do naszego związku.

Freddie dobrze wiedział, że dla gazet Mary już dawno stała się powszechnie znaną częścią jego życia, sądził jednak, że ona sobie z tym świetnie radzi. Mnie natomiast zawsze starał się chronić przed prasą – uważał sławę za obosieczny miecz.

W piątek, pierwszego sierpnia, poleciałem do Barcelony do Freddiego. Opowiedział mi, że udzielił wywiadu hiszpańskiej telewizji i że prosto w oczy palnął im, jakoby głównym powodem jego przyjazdu do Hiszpanii była nadzieja spotkania z ich wielką diwą operową, Montserrat Caballé. Fakt, że Phoebe przekonał Freddiego do muzyki operowej, w wyniku czego Freddie miał ogromny zbiór płyt kompaktowych z muzyką operową – a w tym chyba wszystko, co Montserrat Caballé kiedykolwiek zaśpiewała. Spędzał całe godziny na słuchaniu tych płyt i zamęczał Phoebego pytaniami o to, kim są występujące osoby i o co chodzi.

Po koncercie w Barcelonie wszyscy poszliśmy do wspaniałej rybnej restauracji. W pewnej chwili spytałem Rogera, jak ocenia to tournée.

– No cóż – powiedział. – Freddie w tym roku to inny człowiek. Co ty z nim zrobiłeś?

Stwierdził, że Freddie zdecydowanie zmienił się na lepsze. Przestał się włóczyć po gejowskich knajpach i szlajać, kiedy inni wypoczywali w hotelach. Nie wyczerpywał już tak sił i nie narażał zdrowia.

Wypowiedź Rogera bardzo wiele dla mnie znaczyła. Przyjąłem ją jako aprobatę dla siebie. A ponieważ pochodziła od jednego z najbliższych przyjaciół Freddiego i członka grupy, zrozumiałem ją też jako wotum zaufania dla naszego związku. W przekładzie na mój język oznaczała: „Jim, to jest najwyraźniej coś poważnego."

Z restauracji przenieśliśmy się do stylowego klubu nocnego, którego współwłaścicielką była bardzo przystojna kobieta w sukni bardziej odsłaniającej niż zakrywającej jej ciało. Kobieta postanowiła się do nas przyłączyć, i – najwyraźniej polując na Freddiego – wcisnęła się pomiędzy niego i mnie. Jej prawy pośladek spoczął na krawędzi krzesła Freddiego, lewy zaś mojego. Potem założyła nogę na nogę i co jakiś czas dotykała dłonią swego boku. Rąbek sukni podjeżdżał coraz wyżej, ukazując opalone udo.

– Masz dziewczynę? – spytała Freddiego.

– Nie mam – odparł.

– A żonę? – nie ustępowała.

Freddie pochylił się, sięgnął ponad jej kolanami, położył dłoń na moim udzie i powiedział:

– Tak. To jest moja żona.

Usłyszawszy to, biedna kobiecina o mało nie umarła z wrażenia. Mamrocząc coś nieskładnie, szybko uciekła od stołu i skryła się w tłumie innych gości.

Następnym punktem tournée był niedzielny wieczór w Madrycie. Zanim opuściliśmy Barcelonę, zamówiłem dostawę

kwiatów do pokoju Freddiego w madryckim hotelu. Miały tam być przed naszym przyjazdem, z karteczką: „From the wife" (Od żony).

Dotarliśmy do Madrytu i do hotelu, a kwiatów ani śladu. Pojawiły się wiele godzin później i wyglądały nędznie – zgnieciony bukiet półzwiędłych róż. Co gorsza, na bileciku napisano coś jak „whiff". Freddie spędził większą część popołudnia, zachodząc w głowę, co może oznaczać „whiff". Wreszcie zlitowałem się nad nim i powiedziałem, jakie były moje intencje i że wszystko zostało schrzanione. Wybuchnął śmiechem i długo nie mógł się uspokoić.

Queen miał zagrać jeszcze jeden koncert po powrocie do Wielkiej Brytanii w Knebworth Park, Herfordshire, w sobotę dziewiątego sierpnia. Był to ostatni koncert tej grupy, a cała impreza stanowiła wspaniały sposób wycofania się rockowej legendy z występów na żywo. Wyleciałem z Freddiem, Brianem, Rogerem i Johnem śmigłowcem z lotniska helikopterowego Battersea. W Knebworth było tego dnia ponad sto dwadzieścia tysięcy ludzi, a niektóre źródła twierdzą, że może i ponad dwieście. Wszystkie drogi dojazdowe były tak zakorkowane niekończącymi się sznurami samochodów, że całe hrabstwo stanęło. Na wiele mil przed Knebworth z okien śmigłowca widzieliśmy na każdej możliwej dróżce samochody, samochody, i jeszcze raz samochody – zderzak w zderzak.

– Czy to wszystko przez nas? – spytał Freddie.

– Tak – odrzekłem.

– Oj! – pisnął z uśmiechem.

Po wylądowaniu czekały już samochody, żeby dostarczyć zespół wprost do garderoby. Rozdzielono nas i spotkałem Freddiego dopiero w jego przyczepie. Zawsze przed występem był bardzo zdenerwowany. Tuż przed momentem wyjścia na scenę zdawał się buzować od nadmiaru nerwowej energii i często był wręcz

niebezpiecznie rozdrażniony. Ale ten niepokój trwał tylko do chwili, kiedy wchodził na stopnie estrady. Gdy tylko widział twarze fanów, wpadał w świetny nastrój.

W trakcie innych koncertów często wchodziłem pomiędzy publiczność i przepychałem się w stronę wież nagłośnieniowych, z których miałem najlepszy widok. Ale w Knebworth nie zdołałem przedrzeć się przez zbity tłum nawet w pobliże wież i przez większą część wieczoru pętałem się, popychany i zgniatany. Pod koniec koncertu podpłynęła do mnie w tłumie jakaś znajoma twarz. Należała do człowieka, którego spotkałem w Budapeszcie i który powiedział mi, że dostał specjalne pozwolenie na wyjazd z Węgier na koncert Queen w Knebworth. Tak mnie to poruszyło, że zabrałem go ze sobą za kulisy, gdzie przedstawiłem go Freddiemu. Węgier był zachwycony i pękał z dumy.

Po koncercie, jak zwykle, odbyło się jedno z legendarnych przyjęć Queen, lecz Freddie i reszta grupy nic mogli zostać na noc – czekał na nas przecież helikopter, który miał nas zabrać z powrotem do Londynu. W trakcie lotu powrotnego usłyszeliśmy, że jeden z fanów zmarł, pchnięty nożem. Z powodu zbitego tłumu nie zdołano na czas dostarczyć go do karetki pogotowia i uratować mu życia. Po tej wiadomości Freddie zupełnie stracił humor.

Następnego ranka Joe potwierdził niestety te plotki – rzeczywiście jeden z fanów zmarł, nie doczekawszy pomocy po dźgnięciu nożem. Freddie okropnie się tym zmartwił, a przybycie przyjaciół na niedzielny lunch niewiele mu pomogło. Ja zaś, wychodząc po niedzielne gazety, pełen byłem najgorszych przeczuć, co takiego brukowce zrobią z pożegnalnego koncertu Queen. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu nie znalazłem ani jednego złego słowa na ten temat, może z wyjątkiem doniesienia o tragicznej śmierci fana. Te przychylne informacje w gazetach trochę pocieszyły

Freddiego, ale niepotrzebna śmierć na koncercie nie dawała mu spokoju. Chciał zawsze, żeby jego muzyka przynosiła tylko szczęście.

Podczas gdy reszta ekipy leniwie spędzała ten dzień, Freddiego roznosiło. Już myślał intensywnie o przyszłości. Mimo że miał za sobą dopiero co odniesiony największy triumf na ziemi brytyjskiej, obmyślał nowe plany. Chciał natychmiast wracać do studia.

Na razie jednak czekało go kilka tygodni odpoczynku i intensywnego życia towarzyskiego. Postanowił wydać przyjęcie z okazji swych czterdziestych urodzin w Garden Lodge, a potem ze mną i Joem wybrać się do Japonii. Obiecał mi, że to będą „wakacje życia".

Freddie strawił mnóstwo czasu na planowanie swych urodzin. W końcu zdecydował się na przyjęcie „Szalony Kapelusz" i rozesłał ponad dwieście zaproszeń na niedzielę, siódmego września. Niektórzy z zaproszonych tak się podniecili balem i wymogami, że w efekcie dwóch przyjaciół Freddiego z Royal Ballet nawiedziło nas na tydzień przed imprezą, w wymaganych strojach i do kompletu w szalonych konstrukcjach na głowach.

Chciałem dać Freddiemu coś wyjątkowego na te wyjątkowe urodziny: złotą obrączkę ślubną. Miał to być sekret, więc aby poznać jego rozmiar palca serdecznego, przymierzałem na wszystkie palce starą, spatynowaną obrączkę srebrną, którą dostał kiedyś od Winniego. Teraz obrączka ta poniewierała się na dnie szuflady w sypialni. Pasowała idealnie na mój mały palec, i na tej podstawie kupiłem Freddiemu prostą, gładką, płaską złotą obrączkę. Wspomniałem Mary o tym, że ją kupuję, a ona uznała to za cudowny pomysł.

W ciągu tygodnia poprzedzającego przyjęcie było cały czas pochmurnie. Freddie chciał, żeby jego goście mogli swobodnie

korzystać ze wszystkich przyjemności oferowanych przez dom i ogród, więc modliliśmy się o dobrą pogodę. A tymczasem dni upływały na przyjmowaniu dostaw na bal i przystrajaniu domu kwiatami. Freddie w swej skrupulatności doszedł do tego, że wszystkich spraw doglądał osobiście. Joe, Phoebe i ja po prostu wykonywaliśmy polecenia naszego pana i władcy.

Ogród był nieco zabałaganiony, bo Freddiemu właśnie budowano sporą sadzawkę, w której chciał hodować japońskie karpie *koi*. Pośrodku ogrodu ziała więc głęboka i szeroka dziura, a Freddie obawiał się, że któryś z gości może w nią wpaść i poważnie się poturbować.

W czwartek, w przeddzień jego urodzin, w domu było kilka osób, między innymi Peter Straker, co oznaczało, że Freddie nie położy się spać tej nocy. Już więc przed pójściem do łóżka wywołałem Freddiego do jadalni.

Chciałem, żebyś to dostał rano, zaraz po wstaniu z łóżka – powiedziałem i wręczyłem mu pudełko z obrączką.

Otworzył pudełko, wyjął obrączkę i natychmiast ją przymierzył. Pasowała jak ulał. Pocałował mnie, po czym przez chwilę się do siebie tuliliśmy.

Freddie nigdy nie był zwolennikiem obwieszania się biżuterią, nie nosił ani łańcuszków, ani bransoletek. Ale tę obrączkę zawsze miał na palcu, kiedy był w domu. Jednak wychodząc, zdejmował ją. Gej czy nie, nieważne – obrączka na serdecznym palcu jest jednoznaczna. A on nie miał ochoty niczym się zdradzać.

W sobotę poszedłem na zakupy i wróciłem z gotowym rozwiązaniem problemu dziury w ogrodzie. Przyniosłem kilkaset ogrodowych świeczek i lampek, którymi można było otoczyć niebezpieczny teren.

Kiedy się obudziliśmy w niedzielę, czysty błękit nieba zapowiadał słońce przez cały dzień. Zaraz rano zacząłem rozstawiać swoje świeczki wokół krawędzi dziury. Freddie wyjrzał przez okno i zaskoczył go mój widok na klęczkach koło niedokończonego stawu. Po moim powrocie spytał, co robiłem. Ponieważ chciałem, żeby świeczki były niespodzianką, powiedziałem tylko, że zobaczy sam, wieczorem.

Przyjęcie rozpoczęło się wczesnym popołudniem prezentacją kolorowych przebrań mogących przyćmić każdą wielkanocną paradę. Wszyscy goście przybyli w kapeluszach, ale rodzaj nakrycia głowy zależał od właściciela tej głowy. Trafiały się więc i tradycyjne kapelusze, i najbardziej wariackie kompozycje. Diana Moseley przygotowała dla Freddiego kilkanaście kapeluszy stworzonych przez różnych projektantów. Na koniec Freddie wybrał tylko jeden. „Bongo", z którego na dwóch drutach zwisały i kołysały się pęki jakichś wiotkich szmatek. Ja miałem na głowie duży oklapnięty kapelusz z pianki pokryty wianuszkami splecionymi z kwiatów, które przez cały tydzień zwożono na urodziny Freddiego.

Kapelusz Joego świetnie nadawał się do jedzenia – było to pudełko po czekoladkach z prawdziwymi czekoladkami na wierzchu. Phoebe szarpnął się na coś, co właściwie było ukłonem w stronę Miss Piggy. Mary miała na głowie kapelusz matadora przebity szpadą. Cały zespół przybył ze swymi partnerami. Pamiętam Jima Beacha, Petera Strakera, Trevora Clarke'a, Dave'a Clarka, Tima Rice'a, Elaine Page i Susannah York – i wszyscy się świetnie bawili. Był tam również Wayne Sleep, ale była to końcówka przyjaźni; Freddie narzekał, że kiedyś Wayne „wypił o jednego za dużo i zrobił się naprawdę nie do zniesienia", po czym skreślił go z listy gości na przyszłe przyjęcia.

Ja też miałem na tej imprezie kilku swoich przyjaciół, włączając w to Johna Rowella, który nadciągnął w kapeluszu przedstawiającym malutki stolik, kompletnie nakryty; z talerzykami, filiżankami, miseczkami i tak dalej.

Przyjęcie trwało do rana, ale ponieważ nazajutrz musiałem iść do pracy, wyślizgnąłem się do sypialni i poszedłem spać. Już zapadałem w sen, kiedy usłyszałem, że otwierają się drzwi. Był to Freddie, który pokazywał przyjaciołom dom.

– Szszszsz! – syknął. – Mój mąż śpi. Nie budźmy go!

Nieco później dotarły do mnie z dołu głośne krzyki i śmiechy. Domyśliłem się, że Freddie i Straker są w doskonałych humorach. Zasnąłem, choć nie wierzyłem, że to będzie możliwe w tym rozgardiaszu.

Rano obudziłem się w łóżku sam, i natychmiast znów usłyszałem głosy z dołu. Freddie i Straker kolejny raz przegadali noc i wciąż byli w nieco dziwnym nastroju. Wstałem i ubrałem się do pracy – biała koszula, krawat i garnitur. Zajrzałem do nich, powiedziałem im „cześć!" i poszedłem do hallu. Żeby włożyć płaszcz. Zamykając podwójne drzwi na półpiętro, dosłyszałem Freddiego pytającego Strakera:

– Kto to był?

– To twój mąż, kochanie.

Freddie zawył.

Nadal jestem przekonany, że wtedy po prostu nie poznał mnie w garniturze. Mimo że sam kupił mi dwa garnitury, nigdy nie zwracał specjalnej uwagi na mój ubiór.

I właśnie to mi powiedział, kiedy wróciłem z pracy wieczorem. Dodał, że dzisiaj po raz pierwszy zauważył na mnie garnitur. Przyjąłem to jako zawoalowany komplement.

Jeny i zakupy

Kilka dni po „Szalonym Kapeluszu" Queen znów zajął miejsce na czołówkach list przebojów utworem *Who Wants to Live Forever.* Dzięki temu Freddie był stale w euforii, kiedy pod koniec września 1986 roku wyjeżdżaliśmy na nasze japońskie wakacje. Była to rzeczywiście podróż życia, a kosztowała Freddiego dobrze ponad milion funtów. Joe zapakował walizki Freddiego – jedną z koszulami i skarpetkami, drugą z dżinsami i kurtkami.

Freddie był już przedtem w Japonii i uwielbiał mnie raczyć opowiadaniami o swych poprzednich wizytach.

– Mówię ci, najlepiej pojechać tam na wiosnę, kiedy rozkwitają azalie! – powtarzał.

Azalie były jego najulubieńszymi kwiatami. Powiedział mi też, że nie może się doczekać robienia zakupów w Japonii – zakupów do Garden Lodge. Bo wreszcie postanowił zakrzątnąć się wokół tego domu, który wciąż miał gołe ściany i puste pokoje. Chciał go zmienić w prawdziwy dom dla nas wszystkich.

Rolę gospodyni w naszej japońskiej podróży miała grać Misa Watanabe, zajmująca się wszystkim prawami Queen w Japonii. Freddie kupił dla niej w prezencie przepiękny kryształowy wazon. Pochodził z Francji, z firmy Lalique, ale prohibicyjne cła powodowały, że jego cena w Japonii była astronomiczna. Wazon był zbyt delikatny, żeby go oddać na bagaż, wzięliśmy go więc do samolotu w bagażu podręcznym. Ale kiedy przechodziliśmy przez bramkę kontrolną, wazonik nie pojawił się na ekranie i ochrona lotniska poleciła nam rozpakowanie go.

Lecieliśmy dwanaście godzin samolotem Japan Airlines bezpośrednio do Tokio. Kiedy wylądowaliśmy około czwartej po południu miejscowego czasu, Misa Watanabe, delikatna, stylowa kobieta po czterdziestce, czekała na nas na lotnisku. Postarała się nawet o niewielką ekipę rozhisteryzowanych fanów Freddiego.

Misie Watanabe Freddie przedstawił mnie po prostu jako „swojego nowego faceta", a potem przez jakąś minutę szeptał jej coś do ucha. Choć nie słyszałem, co mówił, byłem pewny, że opowiada o mnie. I nie potrzebowałem kończyć studiów, żeby się domyślić, że mówi miłe rzeczy.

Na lotnisku czekał na Freddiego jeszcze jeden jego zaufany przyjaciel – Itami, niegdysiejszy ochroniarz, teraz właściciel agencji ochrony, który zawsze opiekował się Freddiem w Japonii.

Dobrą godzinę trwało powolne przedzieranie się do Tokio w gigantycznym korku popołudniowego szczytu. A kiedy auto się już zatrzymało, nie był to hotel, lecz ogromny sklep wielobranżowy o nazwie Seibu. Był jeszcze otwarty specjalnie dla ostatniego klienta – Freddiego. A ten był w swoim żywiole, kiedy witały go niekończące się szeregi gotowych na każde skinienie sprzedawców.

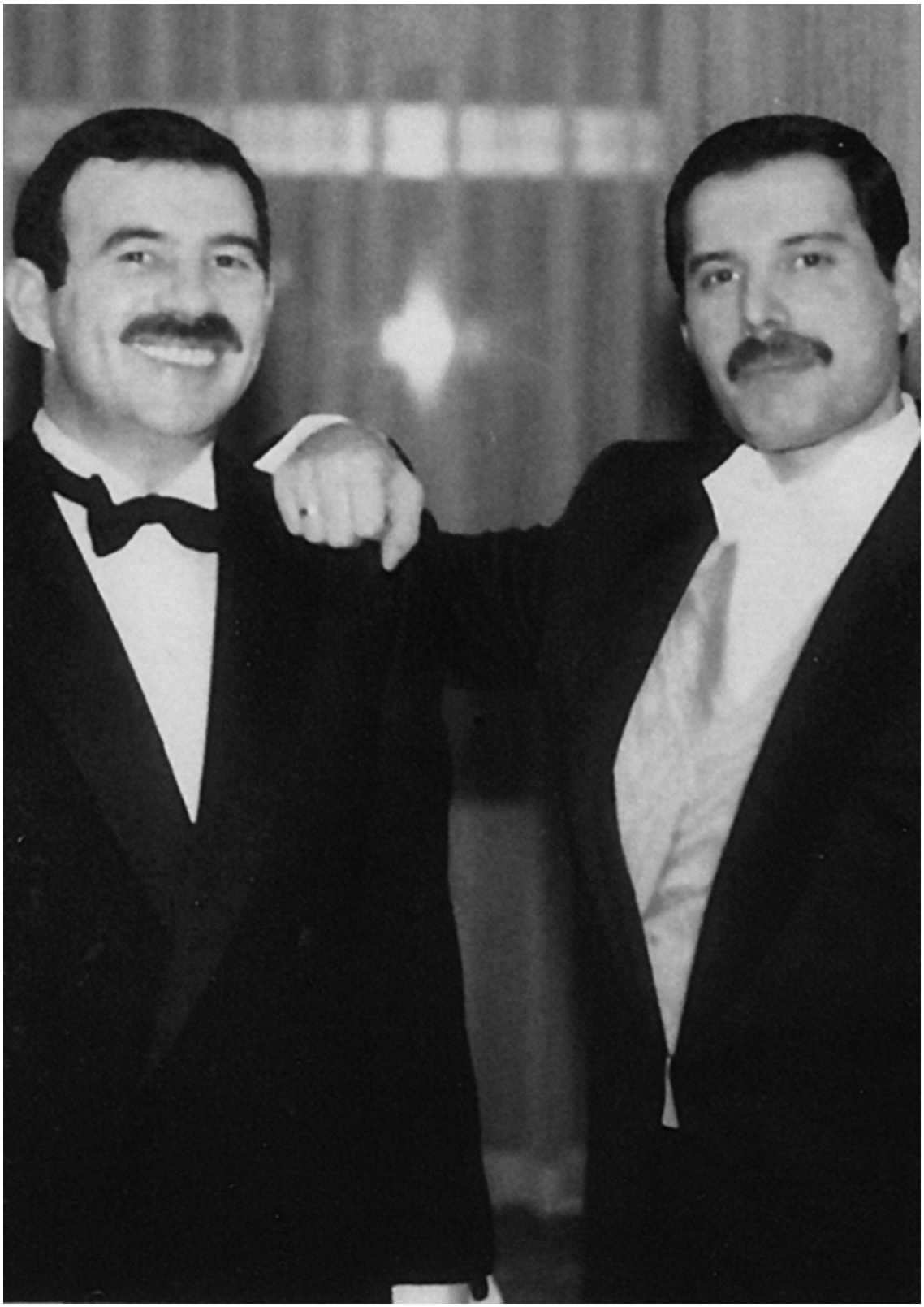

Z Freddiem w Japonii w trakcie milionfuntowych wakacji życia

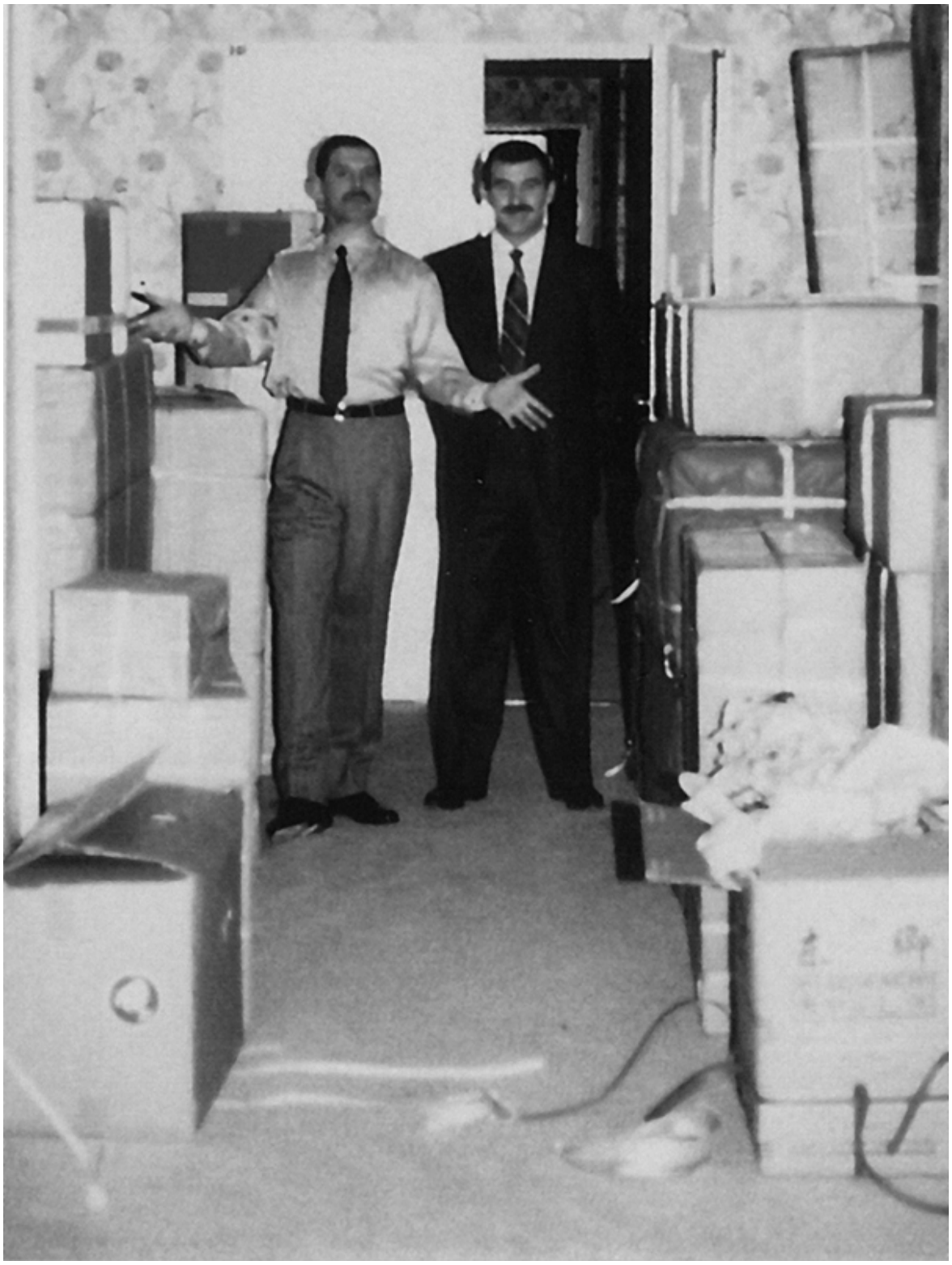

Freddie i ja z zakupami z jednego tylko dnia w Tokio – zapewne o wartości około dwustu pięćdziesięciu tysięcy funtów

Przez następne cztery godziny Freddie robił zakupy. Sklep miał co najmniej siedem pięter, a każde z nich przekopaliśmy w poszukiwaniu pięknych rzeczy. Okrzyk wojenny Freddiego brzmiał: „Kupuj do upadłego!". Kupił między innymi czerwony lakierowany kredens, filiżanki, miseczki, podpórki do pałeczek i kilka tuzinów pałeczek – niektóre kosztowały po siedemdziesiąt pięć funtów za parę, a były inkrustowane złotem lub srebrem. Wszystko w tym sklepie było niewiarygodnie drogie.

Dorobił się szybko dziesięcioprocentowego rabatu, ale Misa biegała za nim i żądała, żeby sprzedawcy zapisywali wszystko na jej rachunek.

– Jeśli to będzie na mnie, to dostanę jeszcze piętnaście procent rabatu! – pokrzykiwała.

Tak więc w efekcie Freddie dostał dwudziestopięcioprocentowy opust.

Freddie mógłby robić zakupy całą noc. Uwielbiał wszystko co japońskie do tego stopnia, że jeszcze chwila, a zachciałby posiąść wszystko, co w zasięgu wzroku. W końcu jednak udało się nam go wywlec ze sklepu. Już stojąc na chodniku na zewnątrz, z fascynacją wpatrywałem się w ulice pełne małych, szybko przemieszczających się czarnych głów. Jak strumień mrówek robotnic. Hałas i tempo poruszania się na chodnikach były niesamowite: wyglądało to wszystko jak żywa lawa.

Napawałem się tym, a Freddie przyglądał mi się z uśmiechem.

– Gdyby pojawiły się tu naturalne blond włosy, niezależnie od płci ich właściciela, wszyscy by się zatrzymywali i gapili – powiedział.

Wreszcie pojechaliśmy do hotelu.

Zatrzymaliśmy się w hotelu Ocura. Po przyjeździe okazało się, że Misa zarezerwowała Freddiemu najlepsze, co można było dostać

– Apartament Cesarski. Był to penthouse tak ogromny i luksusowy, że w jego skład wchodził osobny apartament dla prywatnej służby. Drzwi wejściowe prowadziły do długiego hallu, z którego w prawo wchodziło się do przewspaniałego salonu w kształcie litery L. Przez jego zupełnie przeszklone ściany widać było hipnotyzującą panoramę miasta. Główna sypialnia miała swoją łazienkę z wanną w podłodze, tak wielką, że mogłoby się w niej kąpać dziesięć osób. Pokoje Joego, również należące do apartamentu, miały własne kuchnię i salon.

Misa dopilnowała, żeby czekały na nas schłodzony szampan i kanapeczki. Freddie dał jej teraz tylko częściowo zapakowany wazonik, tłumacząc się z jego nieszczęsnego wyglądu. Ale stan opakowania nie miał dla Misy najmniejszego znaczenia; była zachwycona. Potem zaczęły nadciągać tace z japońskim jedzeniem i wszyscy zajęli się konsumpcją. Kiedy w końcu Misa i jej ludzie poszli, padliśmy z Freddiem do łóżka.

On wkrótce zasnął, ale ja nie mogłem. Pierwszy raz w życiu przeżywałem szok czasowy po podróży odrzutowcem i nie potrafiłem go pokonać. O czwartej nad ranem nie mogłem już dłużej wytrzymać bezsennego leżenia, więc dla rozrywki wstałem i zacząłem oglądać japońską telewizję. Oczywiście, żeby nie obudzić Freddiego, niemal zupełnie wyłączyłem dźwięk. Nie położyłem się już do łóżka; czekałem, aż Freddie sam się obudzi.

Misa Watanabe, nasza japońska gospodyni, z Freddiem

Gdzie moja kolacja? Głodny Freddie czeka na jedzenie

Około dziesiątej zjedliśmy śniadanie i już w południe byliśmy znów gotowi do akcji „Kupować! Kupować! Kupować!". Kiedy wyszliśmy z apartamentu, czekał na nas Itami, który towarzyszył nam do hallu hotelowego. Tam czterech czy pięciu fanów czekało cierpliwie na Freddiego, każdy z małym, ślicznie zapakowanym prezentem. Kiedy Freddie im dziękował, dawał autografy i pozował do zdjęć, poinformowano mnie, że są to fani tak oszalali na punkcie zespołu Queen, iż jeżdżą za grupą po całym świecie.

Jednymi z pierwszych miejsc, w których się zatrzymaliśmy w tej zakupowej podróży, był sklep bardzo modnego projektanta mody o nazwisku Jun, którego ubrania Freddie wręcz uwielbiał. Potem poszliśmy do sklepu o nazwie Beverly Hills, gdzie Freddie z miejsca zakochał się w garniturze. Był z błyszczącego materiału w kolorze

pomiędzy płowym a szarym. Cały problem polegał na tym, że garnitur był na niego za duży. Wówczas Freddie rozejrzał się po sklepie i znalazł inny garnitur, który pasował, po czym odwrócił się do mnie i powiedział:

– Może ty byś przymierzył tamten?

Przymierzyłem i okazało się, że leży idealnie. Ale powiedziałem, że go nie chcę, i oddałem go sprzedawcy.

Biegaliśmy po Beverly Hills i kupowaliśmy koszule, potem przenieśliśmy się do innych butików. W jednym z nich Freddie spędził ponad dwie godziny na kupowaniu jedwabnych krawatów – w tym sporej liczby białych – które w większości kosztowały po siedemdziesiąt pięć funtów i więcej. Wybrał też i kupił kilka krawatów dla mnie, mimo że ja już też sobie kupiłem.

Aż do tego dnia nie miałem pojęcia, czy Freddie posiadał choćby jeden krawat. Ale jeśli nie, to błyskawicznie nadrobił zaległości, bo kupił ich przeszło setkę. A już najgłupsze w tym wszystkim było to, że nie umiał wiązać węzła na krawacie. Był jak sroka, kupował na zapas, zdając sobie świetnie sprawę, że będzie miał szczęście, jeśli zdoła założyć któryś z nich na szyję choćby raz w życiu. I zawsze, kiedy miał ochotę nosić krawat, wołał mnie i prosił o pomoc w zawiązaniu. Gdy przyszło do płacenia, okazało się, że Freddiemu zabrakło gotówki, a zakupów były już całe sterty. Joe i ja opróżniliśmy portfele i jakoś zdołaliśmy wykupić go przy kasie. Myślę, że gdyby i nam nie starczyło pieniędzy, Freddie kazałby wszystko odłożyć i później przysłałby tu któregoś z nas.

Freddie uparł się, że kupi antyczny wieszak na kimono – i nie byłby sobą, gdyby go w końcu nie dostał

Freddie i ja pomiędzy dwoma nieprawdopodobnymi dziełami sztuki japońskiej. Nawet Freddie przyznał, że byłyby zbyt wielkie, żeby je przesłać do Wielkiej Brytanii

Pojechaliśmy do Ginzy, części Tokio podobnej do londyńskiego Soho, gdzie jest mnóstwo sklepów z nowinkami elektronicznymi. Freddie nie był specjalnie dobry w elektronice i jej gadżetach, ale cała ta technika niezwykle go fascynowała. Przepuścił tam znów mnóstwo pieniędzy na elektroniczne notesy, a kiedy już wreszcie wyszliśmy ze sklepu, dał mi jeden z nich.

Po powrocie do hotelu ledwie zdołaliśmy wejść do hallu. Wszystko, co Freddie kupił w Seibu, zostało sumiennie dostarczone i poustawiane w pudłach pod obiema ścianami. Zakupy Freddiego z jednego sklepu kosztowały dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów!

Jasne było, że niezależnie od ogromnych rozmiarów apartamentu niezbyt praktyczne jest zlecanie dostaw licznych zakupów Freddiego

do hotelu. Od tamtej pory wszystko było wysyłane bezpośrednio do magazynu portowego, gdzie czekało na wysyłkę do domu. A Joe otrzymał niewdzięczne zadanie spisywania nabytków Freddiego.

Tego wieczoru Freddie, Joe i ja wychodziliśmy z Misą i jej przyjacielem do eleganckiej restauracji na dachu. Freddie chciał włożyć nową koszulę, ale okazało się, że jest paskudnie pognieciona. Nie mam pojęcia, dlaczego nie odesłaliśmy jej do wyprasowania, w każdym razie Joe zaczął wymyślać alternatywne sposoby usunięcia zagnieceń.

Ale wyjście znalazłem ja: gorąca metalowa płyta, która utrzymywała w cieple przekąski w naszym pokoju. Odwróciłem ją do góry nogami i przy pomocy Joego po kilkuminutowej walce zdołałem uprasować koszulę.

– Cwana z ciebie bestia, co? – mruknął Freddie.

– No cóż, czasem się do czegoś przydaję – odparłem.

Z okazji tej kolacji wszyscy włożyliśmy garnitury. Freddie wbił się w ten, który kupił w „Beverly Hills". Wówczas pierwszy raz w życiu widziałem go w garniturze i krawacie i muszę przyznać, że wyglądał wspaniale.

Woląc trzymać się zachodniego jedzenia, Freddie, Joe i ja szarpnęliśmy się na soczyste steki, za które w Japonii zdzierają jak Cygan za matkę. Po kolacji wypuściliśmy się na obchód gejowskich klubów, włącznie z barem dla transwestytów. Kiedy tylko się tam pojawiliśmy, portier rozpoznał Misę i powitał ją z szacunkiem i radością, tytułując ją „Mamą Misą". Usiedliśmy i bawiliśmy się świetnie nieprzerwanym kabaretem przebierańców.

W pewnej chwili do Freddiego dosiadła się jakaś dziewczyna. Powiedział jej, żeby sobie poszła, przeniosła się więc do mnie i paplała coś w łamanym angielskim. Pojawiła się druga hostessa, zachęcając nas do zabawy i picia.

– Ostrożnie z drinkami – szepnął Freddie. – Będą próbowały was nakłonić do picia większych ilości.

Dużo później, kiedy zbieraliśmy się do wyjścia, Freddie pochylił się do mnie.

– Wiesz, że te dwie dziewczyny to faceci?

Zatkało mnie; nie miałem o tym pojęcia.

W pierwszym tygodniu naszej wizyty w Japonii Misa urządziła u siebie w domu przyjęcie z okazji swoich urodzin. Cała nasza trójka przybyła, tym razem w smokingach. I chociaż Freddie stanowczo odmówił założenia czarnej muszki, wyglądał wystrzałowo w jedwabnej błękitnej kamizelce. Jadąc na przyjęcie, zastanawialiśmy się, czy wchodząc do domu Misy, będziemy musieli zgodnie z japońskim zwyczajem zdjąć buty. Na szczęście mimo swej wręcz okropnej tradycyjnej japońskości Misa prowadziła dom o bardzo europejskim charakterze. Weszliśmy w butach.

A kiedy nadszedł czas na tort urodzinowy, wjechały na stół aż dwa – jeden, cały pokryty białym lukrem, dla Misy, a drugi – przybrany wizerunkiem flagi brytyjskiej – dla Freddiego.

– Skoro przeszło mi koło nosa twoje przyjęcie urodzinowe – powiedziała Misa – postanowiłam wyprawić ci urodziny tutaj.

Tego wieczoru Freddie całkowicie pogrążył się w rozmowie z japońskim artystą, postanawiając zamówić u niego obraz. Wyjaśniał mu długo, jak obraz ma wyglądać, ruchami dłoni pokazując nawet, jak sobie wyobraża ruchy pędzla przy jego malowaniu.

Innego wieczoru Misa zarządziła wyjście niespodziankę. Wiedzieliśmy tylko, że idziemy obejrzeć jakiś pokaz, ale nie było mowy o niczym szczególnym. Ubraliśmy się więc w zwykłe garnitury i wsiedliśmy do czekającego samochodu. Jazda była

szaleństwem. Posuwaliśmy się w tempie chorego ślimaka i to, co na piechotę zajęłoby nam maksimum dziesięć minut, autem trwało wieczność. Dotarliśmy na miejsce z półgodzinnym opóźnieniem, ale najgorsze dopiero miało nadejść. Kompletnym zaskoczeniem dla Freddiego – i to bardzo niemiłym – był fakt, że miał być gościem honorowym na premierze musicalu Andrew Lloyda Webbera *Cats.* Misa nie pisnęła na ten temat ani słowa, a całe przedstawienie opóźniono przez Freddiego.

Misa pospiesznie wepchnęła nas do saloniku, gdzie Freddiemu przedstawiono pozostałe VIP-y. Następnie jego przybycie obwieszczono ogromnej publiczności. I kiedy Freddie i Misa byli z honorami prowadzeni do przygotowanych specjalnie foteli w pierwszym rzędzie, wszyscy zerwali się z miejsc. Freddie dostał owację na stojąco. Tymczasem Joego i mnie po cichu doprowadzono do dwóch foteli przy końcu sali.

Musical wystawiany był w całości po japońsku po gruntownej adaptacji oryginalnej londyńskiej produkcji. Mimo że nie rozumiałem ani słowa, występ bardzo mnie wciągnął. Po przedstawieniu Misa poprosiła Freddiego, żeby w ramach szczególnego ukłonu w stronę gospodarzy spotkał się w garderobie z głównymi aktorami. Zgodził się, pod warunkiem jednak, że nie będzie musiał spotykać się z pozostałymi. Był na wakacjach, a to wszystko zbyt przypominało ciężką pracę.

Ale po spotkaniu z gwiazdą spektaklu Freddie ku swemu przerażeniu został zabrany na spotkanie z całym zespołem. Co gorsza, wszyscy ci aktorzy byli w bardzo towarzyskim nastroju i rozwinęła się z tego duża impreza. Nie było szans na ucieczkę bez zrobienia z siebie chama, więc zostaliśmy jeszcze kilka godzin. Dużo, dużo później, już w hotelu, Freddie rzucił się z wściekłością na Misę, wyrzucając jej, że nie uprzedziła go o tym wszystkim: że będzie

gościem honorowym, że powinien ubrać się w smoking i że będzie musiał spotkać się z aktorami.

Ale wkrótce Misa zorganizowała dla Freddiego wyprawę, która była tak wspaniała, że chaos związany z *Cats* poszedł w zapomnienie. Zabrano nas na zwiedzanie wspaniałych terenów i cudownych ogrodów Złotego Pałacu, wybudowanego przez jednego z pierwszych cesarzy w starym Kyoto. Mieliśmy tam pojechać przesławnym japońskim „pociągiem-pociskiem". Byliśmy umówieni z Misą na dworcu około dziesiątej rano. Czekało na nas kilka osób z jej otoczenia, ale samej Misy nie było.

Pociąg odjechał z peronu i szybko przyspieszał – w końcu jego nazwa wiąże się z jego szybkością maksymalną, przekraczającą sto pięćdziesiąt mil na godzinę. Freddie był pewien, że Misa po prostu się spóźniła.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby wynajęła helikopter – powiedział. – Pewnie już na nas czeka w Kyoto.

Kilka minut później Misa weszła do naszego przedziału.

Stare Kyoto okazało się niebywale pięknym miastem, pełnym sklepów z antykami, stanowiącymi wręcz raj dla Freddiego. Jeszcze zanim dotarliśmy do Złotego Pałacu. Freddie uparł się na krótkie zakupy. I kupił ozdobne *hibachi,* coś w rodzaju starodawnego przenośnego grilla z terakoty, mimo że nie było dokładnie w takim odcieniu błękitu, jakiego sobie życzył. Potem jeszcze nabył cztery bardzo wysokie stare świeczniki, lakierowane na czarno i złoto. Miały po cztery stopy wysokości i przypominały to, co ustawia się wokół trumny podczas ceremonii pogrzebowych. Nie podobały mi się.

Chociaż Złoty Pałac przechodził właśnie renowację i był zamknięty dla zwiedzających, Misa zdołała zorganizować Freddiemu pozwolenie na spacer po niezliczonych akrach idealnie

utrzymanych ogrodów. Chodziliśmy po terenach pałacowych przez kilka godzin, oglądając każdy kwiatek i krzew. Niestety, ukochane azalie Freddiego nie kwitły, ale nie narzekał, zafascynowany sztuką pielęgnacji roślin i kształtowania drzew. Potem trafił na inną swoją miłość, staw karpi *koi*, gdzie jak zahipnotyzowany wpatrywał się w złotego karpia królewskiego.

Freddie uwielbiał biegać wszędzie, jak przystało na turystę, i pstrykać zdjęcia wszystkiego, co mu wpadło w oko. Nie był jednak zbyt sprawnym fotografem. Właściwie nie bardzo wiedział, co się robi z aparatem fotograficznym, a pstrykał bez przygotowania. Kiedy wywołał już kilka swych pierwszych rolek filmu, okazało się, że wszystkie zdjęcia są nieostre. Niemniej stopniowo, ucząc się na własnych błędach, zaczynał chwytać metodę – szczególnie jeśli kilka razy mu się powtórzyło, co ma zrobić i kiedy. Od tej pory nic i nikt nie byłby już w stanie powstrzymać go przed robieniem zdjęć tuzinami.

Z ogrodów Złotego Pałacu pojechaliśmy do hotelu w Kyoto. Był to przygnębiający betonowy potwór na modłę zachodnią, wielki i bezosobowy. Freddie jednak zauważył, że leżący na tyłach hotelu pięknie ukształtowany ogród usiany jest chatynkami. Nie było w nich właściwie nic poza futonami i łazienkami. Były to tradycyjne japońskie pokoiki.

Jesteśmy w Japonii, więc musimy żyć po japońsku – zdecydował nagle Freddie.

Dostaliśmy więc taki pokój. Jednak najpierw Freddie postanowił wypić popołudniową herbatę. Ledwie znalazłem jakieś miejsce, gdzie można przysiąść z filiżanką, Freddie złapał mnie za ramię i powiedział:

– Nie, nie będziemy tu siedzieć. Idziemy za róg.

Wtedy dosłyszałem dobiegający zza rogu szmer i plusk bieżącej wody, a kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że przez środek hotelu przepływa strumień pełen karpi *koi*. Jeszcze bardziej zaskakujące było to, że za grubymi szybami okien były nawet niewielki wodospad i staw. Usiedliśmy więc obok tego wszystkiego i popijaliśmy herbatę, a Freddie tryskał radością i podziwem dla pomysłów twórców hotelu, znajdując szczególną przyjemność w pokazywaniu mi tego wszystkiego i zwracaniu uwagi na dziwaczne połączenia idei.

Po herbacie poprowadzono nas przez ogród do naszej tradycyjnej japońskiej chatki. Była w najdalszym kącie ogrodu. Wewnątrz był jeden pokój, futon na podłodze i niewielka łazienka. W niej zaś nic wymyślnego, tylko spora drewniana wanna, którą postanowiliśmy natychmiast wypróbować. Rozebraliśmy się, a ja napuściłem wody. Kiedy wanna była pełna i już miałem do niej wejść, Freddie mnie powstrzymał.

– Nie – powiedział. – Nie robi się tak. Przynajmniej w Japonii. Skoro tu jesteśmy, zróbmy sobie japońską kąpiel.

Postępując zgodnie z jego instrukcjami, umyłem się poza wanną, mydląc się i spłukując za pomocą małego drewnianego naczynia. Do wanny należało wejść dopiero po oczyszczeniu ciała – po prostu po to, żeby się wymoczyć. Freddie również się umył i wszedł do wanny, po czym moczyliśmy się razem. Freddie zawsze potrafił przesiadywać w wannie dużo dłużej ode mnie, był zdecydowanie dzieckiem wody.

Następną zaplanowaną dla nas przez Misę rzeczą była wizyta w szkole dla gejsz w Kyoto. Dowiedzieliśmy się tam, że są one częścią głęboko zakorzenionej w Japonii tradycji. Gejsza to poważny zawód, wymagający około siedmiu lat nauki. Freddie był w swoim żywiole i chciał wiedzieć wszystko. Fascynował go makijaż

dziewcząt. Dopytywał się, w jaki sposób uzyskuje się takie efekty i jak długo trwa nakładanie makijażu. Oszalał też na tle noszonych przez gejsze kolorowych kimon, wykonanych ze świetnych jedwabi i skrojonych z wielkimi kwadratowymi rękawami.

Zostaliśmy przedstawieni nauczycielce, starej małej damie; w jej zasuszonej twarzy tkwił tylko jeden ząb. Grała na jednostrunowym instrumencie podobnym do banjo i śpiewała, a dziewczęta tańczyły wokół, żeby nas zabawić i zadowolić. Siedzieliśmy u ich stóp ze skrzyżowanymi nogami i braliśmy udział w tradycyjnej ceremonii picia herbaty.

W szkole gejsz z Freddiem. Makijaż i kimona go fascynowały

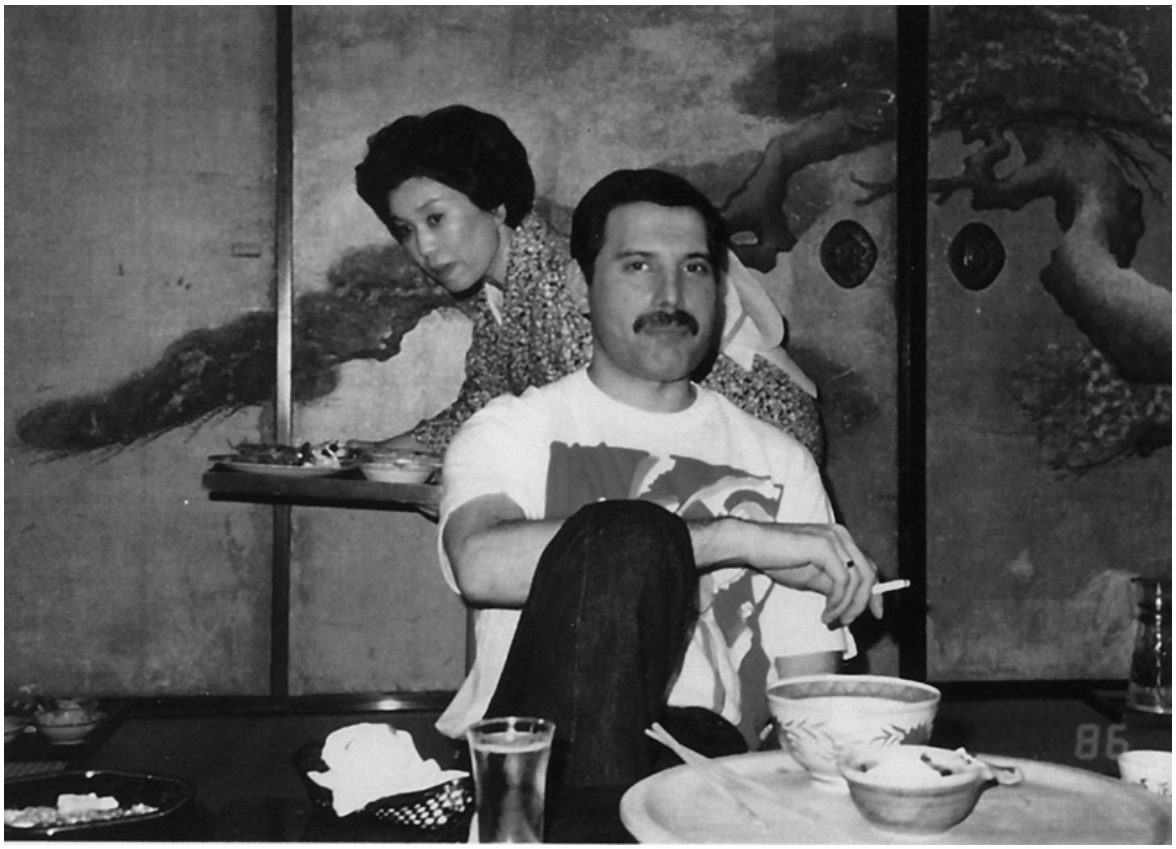

Freddie w szkole gejsz

Potem pojechaliśmy do modnego klubu nocnego, w którym oczywiście Freddie natychmiast znalazł się w centrum uwagi. Wyglądało na to, że każdy chce go poznać. Freddiemu bardzo się spodobał wesoły przebieraniec, przedstawiony nam przez Misę. Przezwał go natychmiast „HeShe" (OnOna). Do zamknięciu lokalu HeShe zaprosił nas do siebie na drinka. Tam wszyscy plotkowali i chichotali, świetnie się bawiąc, ale mnie tak bardzo rozłożył wreszcie szok czasowy, że wyciągnąłem się na podłodze i zasnąłem na sposób japoński, opierając głowę na zaskakująco wygodnym klocku.

Po kilku godzinach Freddie mnie obudził i pojechaliśmy z powrotem do hotelu i naszej spartańskiej chatki. Zaskoczyło mnie wówczas, że Freddie przy swoim stanie posiadania wciąż potrafił się

cieszyć na myśl o spaniu na podłodze po prostu po to, żeby spróbować japońskiego stylu życia. Rano, idąc do hotelu, zajrzeliśmy do Joego. Jego chatka była równie prosta jak nasza, ale trochę większa, co nie ucieszyło Freddiego.

Mimo swych skłonności do wypróbowywania japońskiego stylu życia entuzjastyczny stosunek Freddiego do tego kraju nie rozciągał się na chęć nauki języka. Nigdy nie pociągało go mówienie innymi językami. Uważał, że wystarcza mu angielski. Po dwóch latach mieszkania w Monachium poznał ledwie parę słów po niemiecku, a jedynym sygnałem, że przebywał poza Wielką Brytanią, było u niego czasami inaczej wymawiane „w". W czasie naszej podróży po Japonii Freddie używał tylko dwóch słów po japońsku – *domo* i *mushi mushi.* Powtarzał je za każdym razem, gdy coś go bardzo ucieszyło lub zafascynowało, choć nie miał pojęcia, co te słowa oznaczają. Podłapał je wyłącznie dlatego, że podobało mu się ich brzmienie.

Naszym następnym przystankiem w podróży była Osaka, gdzie skierowaliśmy się do domu towarowego, o którym Freddie nie przestawał opowiadać od chwili wyjazdu z Garden Lodge. Sklep ten jest niemal w całości pod ziemią i nawet metro przejeżdża przez jego wnętrze. Sprzedaje się tam absolutnie wszystko, a jednak – niebywałe – Freddie niczego w nim nie kupił, choć musieliśmy obejść wszystkie pomieszczenia. Była tylko jedna część tego sklepu, którą Freddie chciał mi pokazać i gdzie mnie w końcu zaprowadził: wielki staw z karpiami *koi.* Szalał na ich punkcie, a ja wreszcie zrozumiałem dlaczego. To były naprawdę wspaniałe ryby.

Wieczorem wróciliśmy do Tokio, znów pociągiem, i oglądaliśmy telewizję. Nagle Freddie zamilkł. Tego właśnie popołudnia odkryto, że tory, po których porusza się „pociąg-pocisk", są niebezpieczne. Freddie zawsze starał się unikać wszelkich niebezpieczeństw. Gdyby

wiedział o torach wcześniej, albo odwołałby wizytę, albo uparłby się przy innym środku transportu.

Jedną z pasji Freddiego była stara porcelana. Kiedy więc usłyszał o pewnym człowieku w Chiba, który miał muzeum z bezcennymi jej zbiorami, poprosił Misę o zorganizowanie prywatnej wizyty. Muzeum było o dobre dwie godziny jazdy od Tokio. Opuszczając hotel, jak zwykle natknęliśmy się na grupkę cierpliwych fanów czekających w hallu hotelowym. Wszyscy byli uzbrojeni w niewielkie prezenty dla Freddiego. Przed wyjazdem jeszcze moment z nimi pogadaliśmy.

Freddie nienawidził długich podróży samochodem i szybko się podczas nich nudził. Dojrzawszy więc znak McDonalda, wykrzyknął, że chce hamburgera. No i przeszliśmy całą operację „Big Mac z frytkami".

Kiedy dotarliśmy do muzeum, czekała już na nas grupka tych samych fanów, którzy żegnali Freddiego przed hotelem.

– Jak oni to zrobili, do cholery?! – wykrzyknął Freddie i poszedł znów z nimi pogadać.

Wizytę w muzeum rozpoczęliśmy od tradycyjnej ceremonii picia herbaty, potem właściciel oprowadził nas po swej kolekcji porcelany. Muzeum było pełne wyrobów we wszelkich kolorach i rozmiarach; od malutkich, delikatnych miseczek po gigantyczne wazony, dwukrotnie wyższe od człowieka. Nawet Freddie przyznał, że czegoś takiego nie dałoby się wysłać do domu. Poza porcelaną muzeum zawierało unikatowe dzieła sztuki japońskiej i druków. Były tam też wspaniałe, lakierowane antyczne meble, a wśród nich stary wieszak na kimona, wyglądający jak delikatna, postawiona na jednym końcu rama łóżka.

Zobaczywszy kilka przepięknych talerzy Imari, Freddie usiłował je natychmiast kupić, ale na jego wszelkie próby tego typu

natychmiast odpowiadano, że nic w tym muzeum nie jest na sprzedaż. A dosłownie wszystko, co tam zobaczył, natychmiast chciał mieć, ciągle więc prosił o sprzedanie tego czy tamtego, w nadziei że w końcu właściciel zmieni zdanie. Na koniec wizyty właściciel kolekcji wręczył Freddiemu katalog muzeum z dedykacją. Na szczęście katalog był po angielsku, więc Freddie pogrążył się w jego lekturze w czasie całej drogi powrotnej do Tokio.

Tego wieczoru wyszliśmy z Misą na kolację do restauracji podobnej do Tokyo Joe's w Londynie, gdzie wszystko jest przyrządzane przy stole. Po wejściu okazało się, że odbywa się tam japońskie przyjęcie weselne. Państwo młodzi właśnie pozowali do zdjęć. Freddie był oczarowany wspaniałym strojem dziewczyny. Miała na sobie fantastycznie kolorowe jedwabne kimono ozdobione wymyślnymi haftami.

Przy jakiejś okazji Misa wspomniała Freddiemu, że niektórzy Japończycy kąpią się w sake, mocnym winie ryżowym. Wypytał ją na ten temat dokładnie, po czym gdy tylko było to możliwe, wysłał Joego po dużą butlę taniej sake. Potem napełnił wodą wannę, wlał całą butlę sake i obaj weszliśmy do wanny. Być może alkohol zawarty w sake miał jakieś ściągające skórę działanie, które mogło być zdrowe, ale wspólnie doszliśmy do wniosku, że kąpiel w sake nie jest doświadczeniem, które chcielibyśmy powtarzać. Niemniej później Freddie lubił opowiadać przyjaciołom:

– Wchodzisz trzeźwy do kąpieli z sake, a wychodzisz pijany.

Freddie zawsze był amatorem przygód – chciał przynajmniej raz wszystkiego spróbować, pod warunkiem jednak, że nie było to niebezpieczne.

Teraz znów opętał go szał zakupów i zaczął kupować na kilogramy popielniczki. Czasami obserwowałem u niego coś, co dałoby się określić jako paniczne zakupy. Zupełnie jakby się bał,

że sklep się wyprzeda ze wszystkiego, nim on zdąży nakupić tyle rzeczy, żeby zaspokoić swoje żądze. Mógłby sam obkupić całą Anglię.

Następnie odkrył w Nagoi sklep z tysiącami terakotowych *hibachi,* we wszystkich kolorach, starych i nowych, składowanych stertami od podłogi po sufit. Wciąż poszukiwał *hibachi* ozdobionego w specyficzny sposób, konkretnym odcieniem japońskiego błękitu. Poszukiwania takiego *hibachi* stały się wręcz obsesyjne. Wszędzie metodycznie oglądaliśmy wszystkie *hibachi.* W tym więc sklepie, jak zwykle, systematycznie przeszukiwaliśmy półki, a Freddie półprzytomnym wzrokiem sprawdzał każde znalezione *hibachi.* W pewnej chwili na czworakach zaglądałem pod półki, sprawdzając, czy nie ma już nic więcej. Na ten widok Misa dostała ataku śmiechu – jeszcze nigdy w życiu nie widziała czegoś takiego. Jednak przyczyna jej śmiechu była prosta – nie rozumiała, że Freddie jest perfekcjonistą.

W końcu znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. Niemal czołgając się pod półkami, natknąłem się nagle na ten właśnie odpowiedni odcień błękitu, obwiedziony intensywną żółcią. Twarz Freddiego pojaśniała, gdy wręczyłem mu to *hibachi.*

– Znalazłeś tam tylko jedno? – spytał niemal natychmiast.

Westchnąłem i z powrotem opadłem na kolana. Okazało się na szczęście, że jest tylko jedno – i Freddie je kupił.

W następnym sklepie wykonywano na zamówienie piękne ceramiczne miski, zdobione głęboką czerwienią i złotem. Freddie zamówił dwie miski i polecił w ich wnętrzach wypisać po japońsku swoje imię.

Potem poszliśmy obejrzeć wystawę wyjątkowo pięknych wyrobów emaliowanych, stworzonych przez jeden z japońskich „Żywych Skarbów". Ten zaszczytny tytuł nadawany jest w Japonii

najwybitniejszym z żyjących artystów, których prace są tak cenne, że przed ich sprzedaniem należy je pokazać publicznie na wystawie. Freddie oszalał na punkcie wielu wystawionych tam prac i chciał je natychmiast kupić. Organizatorzy niemal dostali apopleksji z zatroskania, bo prace należało oficjalnie pokazać na wystawie, a to tutaj było zaledwie próbą ekspozycji. Z podnieceniem rozmawiali między sobą po japońsku, i nawet Misa wyglądała na podenerwowaną tym wszystkim. Gdyby Freddiemu udało się kupić te rzeczy, trudno byłoby wywieźć je z Japonii, bo prace „Żywych Skarbów" są niezwykle cenne dla kraju. W końcu Freddie zgodził się, że dostanie swoje nabytki dopiero po publicznej ekspozycji, ale wytargował, że zostaną wystawione z informacją: „Dzięki uprzejmości pana Freddiego Mercury'ego, z jego prywatnej kolekcji".

W ciągu godziny Freddie przepuścił na zakupy ponad pół miliona funtów. Kupił wielki czerwonobrązowy obraz przedstawiający opadające liście i sadzawkę *koi* oraz cztery inne dzieła sztuki, w tym trzycalowej wysokości kota, pięknie polakierowanego i wypolerowanego.

Następnego dnia poszliśmy na zakupy z Itamim i tłumaczką. Zajrzeliśmy do sklepu Cartiera, gdzie Freddie kupił zapalniczkę i dwa pióra wieczne. Gdy tylko wyszliśmy, wyciągnął jedno pióro.

– Proszę, to dla ciebie – powiedział, wręczając je tłumaczce. – To podziękowanie za opiekę nade mną.

Dziewczyna odpowiedziała mu szerokim uśmiechem radości. Po powrocie do hotelu, kiedy zostaliśmy sami, Freddie dał mi drugie pióro i zapalniczkę.

Innym pamiętnym wyjściem była wyprawa na spektakl Kabuki, tradycyjnego teatru mimiczno-tanecznego. Freddie uwielbiał tę

bardzo japońską formę teatru z jej wspaniałymi strojami, bardzo wystylizowanym stylem gry i efektów scenicznych.

– To jest prawdziwy teatr! – powiedział mi po powrocie do hotelu.

Pod koniec naszego pobytu w Japonii Misa zarządziła wyjście do restauracji wyspecjalizowanej w potrawach z kurczaków. Ja nie mogłem. Poprzedniego wieczoru jedliśmy kolację w niewielkiej knajpce, a kiedy wstałem rano, nie czułem się dobrze. Miałem lekkie zatrucie i uznałem, że najlepiej będzie pozostać w łóżku cały dzień – z Freddiem, który krążył wokół mnie jak żydowska mamełe. Do tej pory Freddie jeszcze nigdy nie widział mnie chorego, nie palił się więc specjalnie do wyjścia z Joem i Misą na kolację – nie chciał mnie zostawiać samego. Poszli w końcu wszyscy, ale przez cały wieczór Freddie rwał się do powrotu, żeby sprawdzić, co ze mną.

Następnego dnia wciąż nie czułem się dobrze. Freddie uparł się, że przeleżane w łóżku dni nie liczą się jako wakacje, zmienił plany pobytu i przebukował bilety na późniejszy powrót.

– Twoja choroba nie może ci popsuć wyprawy – powiedział. – Będziesz miał pełne wakacje.

Misa sprowadziła lekarza, który mnie zbadał i wystawił mi zwolnienie z pracy – po japońsku. Potem Joe zadzwonił do Savoyu w Londynie i wyjaśnił, że jestem chory i w związku z tym wrócę do pracy o tydzień później. Przez kilka dni Freddie nie ruszał się z naszego apartamentu, siedział przy łóżku jak kura na grzędzie i ciągle mnie tulił – a ja leżałem jak bezbronna ofiara.

Kiedy już doszedłem do siebie, większość czasu spędziliśmy na zakupach na ostatnią chwilę. Freddie zdążył już kupić fenomenalne czerwone kimono, rozpoczęliśmy więc łowy na naprawdę dużej klasy antyczny wieszak dla niego – taki jak ten,

który widzieliśmy w muzeum. W końcu dostaliśmy wiadomość, że ktoś ze znajomych znalazł stojak z laki. Pognaliśmy więc, żeby go obejrzeć.

– Biorę! – powiedział krótko Freddie, gdy tylko go zobaczył.

W podzięce za świetną opiekę Freddie postanowił dać Itamiemu miecz samurajski. Poprosił zatem Itamiego, żeby nas zabrał do sklepu z bronią i kupił tam dwa miecze. Po wyjściu ze sklepu Freddie zupełnie zaskoczył Itamiego, wręczając mu jeden z nich. Drugi był dla Teny'ego. Freddie kupił też dla Phoebego piękny sekretarzyk, a dla Mary uszyto na miarę niesamowicie drogą skórzaną sukienkę.

Była to bardzo romantyczna podróż. Freddie nie musiał mnie nawet pytać, czy mi się podobało, bo na twarzy ciągle miałem wyraz zachwytu.

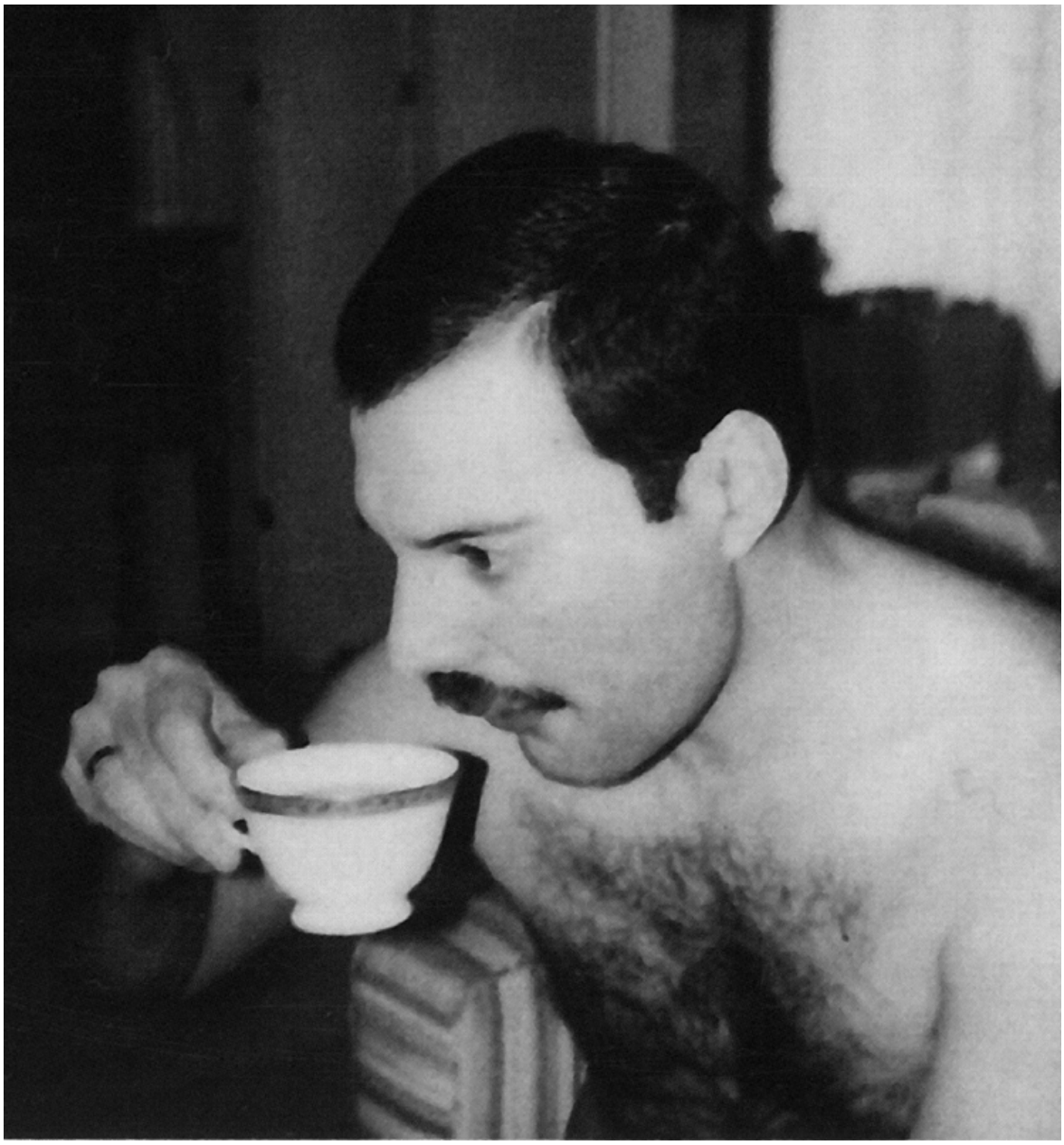

Zaspany Freddie ze ślubną obrączką ode mnie na palcu, popija pierwszą poranną herbatę

Miko

Mimo że nasze wakacje w Japonii dobiegły już kresu, najlepsze dopiero nadciągało: przez kilka miesięcy po powrocie nadchodziły do Garden Lodge wszystkie wspaniałe zakupy Freddiego. Jakimś cudem niczego nie brakowało; zaledwie kilka sztuk było uszkodzonych – w tym obie zamówione przez niego miseczki z jego imieniem.

Lecieliśmy do domu przez Alaskę, gdzie musieliśmy czekać sześć godzin. Freddie obawiał się tej przerwy. Zgadywał, że poczekalnia pierwszej klasy będzie nieczynna, natomiast publiczna poczekalnia okaże się pełna ludzi wymęczonych, zniecierpliwionych i pijanych. I niestety miał rację. Potem, na dokładkę do tych niemiłych wrażeń, nasz kolejny lot skończył się w Monachium, gdzie znów musieliśmy czekać na połączenie cztery godziny. Po dotarciu na Heathrow lecieliśmy z nóg ze zmęczenia i nie byliśmy przygotowani na stawianie czoła nieprzyjemnym niespodziankom. Kiedy przeszliśmy przez odprawę celną, zostaliśmy napadnięci przez reportera z Fleet Street z fotografem, którzy rzucili Freddiemu w twarz oskarżycielską historyjkę o lęku przed AIDS.

Pod wielkim, całostronicowym tytułem *Gwiazda Queen, Freddie Mercury, obawia się AIDS* gazeta „News of the World" donosiła, że Freddie w tajemnicy poddał się testom na AIDS w klinice Harley Street pod swym prawdziwym nazwiskiem, Freddie Bullsara. Rezultaty testu – według jakiegoś nieistniejącego rzecznika Freddiego – nie wykazały, żeby Freddie cierpiał na „śmiertelną zarazę". Ta pozbawiona smaku historyjka od początku do końca była zmyślona. Nawet jej zakończenie było kłamliwe – artykuł donosił, że Freddie i Mary mieszkają razem w Garden Lodge.

Freddie był podenerwowany. Nie rozumiał, dlaczego nikt z biura Queen w Londynie nie podniósł alarmu i nie ostrzegł go.

– Czy wyglądam, jakbym umierał na AIDS? – spytał reportera. Powiedział, że nie ma pojęcia, kto mógł naopowiadać tych głupot, i że brudne ploty tylko go denerwują. – Rzygać mi się od tego chce – zakończył. – A teraz odwalcie się ode mnie i dajcie mi święty spokój.

W drodze do Garden Lodge wciąż jeszcze był wściekły.

– Jak to miło wrócić do domu – powtarzał z sarkazmem.

Po pewnym czasie rozjaśniła mu się twarz. Były przecież ważniejsze sprawy – wracał po długiej rozłące do swych dwóch kotów – Oscara i Tiffany'ego.

Na pamiątkę czarodziejskich chwil Freddie dał mi zupełnie wyjątkowy prezent z Japonii – złotą płytę. Dostał ją za sprzedanie stu tysięcy egzemplarzy albumu *A Kind of Magic* w Japonii.

– Z pewnością nigdy nie spodziewałeś się, że będziesz miał złotą płytę – żartował, wręczając mi ją. I miał rację.

Jesteś zwolniony!

Czy wyglądam, jakbym umierał na AIDS? – wścieka się Freddie – krzyczał nagłówek poniedziałkowego „The Sun" czternastego października 1986 roku nad artykułem reklamowanym jako „ekskluzywny". Freddie naprawdę był wściekły.

Powtarzał, że nie robił testu, jak to sugerowały gazety, ale cała ta historia na kilka dni pogrążyła go w chandrze. Wyraźnie go męczyła, ciągle o niej myślał. Zwykle Freddie ignorował spekulacje prasy, ale tym razem reporterzy chyba trafili w czuły punkt. Myślę, że sam skrywał wątpliwości na temat swojego zdrowia, bo przecież, zanim się spotkaliśmy, prowadził więcej niż bujne życie gwiazdy rocka – „all sex, drugs and rock and roll" plus długa lista przypadkowych znajomości na jedną noc.

W dniu, w którym „The Sun" wydrukował tę sensacyjkę, powróciłem do swej szarej codzienności w Savoyu. Dzień nie przeszedł najlepiej. Z przerażeniem dowiedziałem się, że salon fryzjerski został sprzedany. Poznałem nowego właściciela i nie byłem nim zachwycony. Zupełnie przestało mi się podobać, kiedy przedstawił mi swojego młodszego brata, śliskiego małego człowieczka, jako nowego kierownika. Życie w Savoyu zaczynało się robić nieprzyjemne. Nowy właściciel postanowił zmienić salon ze staroświeckiego, szacownego punktu fryzjerskiego dla dżentelmenów w jedno z tych modnych miejsc typu „obetnij, wysusz, gotowe". Moja praca szybko stawała się nie do zniesienia, ale przynajmniej miałem Freddiego i Garden Lodge – miałem więc do kogo i dokąd wracać.

Na Boże Narodzenie tego roku Queen postanowił wydać album pod tytułem *Live Magic,* zawierający wersje na żywo jego przebojów. Poza tym chłopcy umówili się, że na mniej więcej rok wezmą sobie wolne od pracy zespołowej, żeby naładować baterie i mieć trochę czasu na indywidualne plany.

Ich decyzje wywołały w prasie artykuły donoszące, że Queen jest o krok od rozpadu. Takie historie ciągle krążyły, ale nigdy nawet nie ocierały się o prawdę. Owszem, czasami, gdy zespół pracował razem, po humorze Freddiego poznawałem, że wybuchła jakaś kłótnia, ale po pierwsze było to rzadkie, a po drugie naturalne. To byli czterej bardzo twórczy artyści, wybuchy temperamentu były więc najnormalniejsze w świecie. Każdy czasem coś chlapnie, choć naprawdę tak nie myśli. Zresztą kiedy dochodziło do jakiejś mocno nerwowej sytuacji, zawsze potrafili znaleźć szybki sposób na rozładowanie napięcia, a Freddie, gdy było trzeba, umiał się zmienić w największego dyplomatę pod słońcem.

Byłem przekonany, że mając tyle wolnego czasu, Freddie zacznie prowadzić bujne życie towarzyskie, wręcz nie będzie wychodził z klubów nocnych. A jednak stało się inaczej – zaczął prowadzić domatorski tryb życia, jak ja. Nasze życie biegło teraz cicho w Garden Lodge. Niemal w każdą sobotę wieczorem Joe i Phoebe wychodzili, zostawiając nas dwóch przytulonych na sofie i oglądających telewizję. Czasami kładliśmy się spać około dziesiątej, co nie oznaczało jednak, że Freddie wstawał choćby ociupinkę wcześniej. Lubił wypić w łóżku poranną filiżankę herbaty o ósmej, a potem podrzemać jeszcze godzinę lub dwie.

Freddie lubił, żeby w domu otaczały go zdjęcia wszystkich mu bliskich, większość w srebrnych ramkach. Wielki fortepian w salonie pokryty był czterdziestoma (czy coś koło tego) fotografiami –

moimi, Joego, Mary, Barbary, Petera Strakera i oczywiście kotów. I Freddie, i ja mieliśmy też zdjęcia po obu stronach łóżka.

Pewnego wieczoru przeglądałem w łóżku stary album ze zdjęciami mojej rodziny. Freddie usiadł koło mnie i uważnie oglądał wszystkie zdjęcia. Szczególnie podobało mu się zdjęcie, na którym jako chłopiec byłem z rodzicami.

Następnego wieczoru pokazał mi nową srebrną ramkę, którą właśnie kupił.

– To na twoje zdjęcie rodzinne – powiedział. – Nawet wiem już, gdzie będzie stało.

I postawił je na małym okrągłym stoliczku w sypialni. W ten sposób było pierwszą rzeczą, na którą patrzył po wstaniu z łóżka.

W pojęciu Freddiego Paul Prenter zawsze był członkiem Rodziny. Był wieloletnim przyjacielem, który kiedyś pracował jako menedżer Queen, ale został zwolniony. Żeby mu pomóc, Freddie zlecił mu pracę nad niektórymi swymi indywidualnymi nagraniami. Pod koniec 1986 roku Prenter miał bardzo pechowy okres życia, więc Freddie postanowił zorganizować mu wakacje. I tak Prenter przez całe ferie świąteczne i noworoczne miał mieszkać w domu przy Stafford Terrace. Ponieważ zaś Prenter był zupełnie spłukany, Freddie dał mu tyle pieniędzy, żeby mógł szaleć przez całe ferie.

W sobotę przed Bożym Narodzeniem było szaro i pochmurno, ale Freddie był w znakomitym humorze. Polecił Terry'emu przygotować samochód; mieliśmy pojechać na zakupy do Harrodsa. Freddie zadecydował, że będzie to wyprawa po drogie wody kolońskie i płyny po goleniu – nic więcej. I wkrótce obsługa działu perfumeryjnego u Harrodsa w konsternacji obserwowała, jak Freddie wciąż powiększa swe zamówienie o coraz to nowe butelki – w przeróżnych kształtach i rozmiarach. Uzbierał tego w końcu

wystarczająco dużo, żeby do połowy zatopić Knightsbridge. Wówczas nastąpił ambarasujący moment.

Freddie uprzejmym gestem wręczył uśmiechniętej sprzedawczyni swoją kartę American Express, a ta zniknęła za przepierzeniem, żeby zaksięgować ogromną sumę. Jednak niemal natychmiast pojawiła się z powrotem z niewyraźną miną.

– Przykro mi, proszę pana – powiedziała, oddając Freddiemu kartę. – Ma pan przekroczony limit. Czy ma pan jakąś inną kartę?

– Jestem Freddie Mercury – odparł Freddie.

– Tak, proszę pana – odrzekła dziewczyna. – Ja o tym wiem. Ale American Express nie wie.

I odmówiła transakcji, z czego Freddie był bardzo niezadowolony. On nigdy nie rozumiał słowa „nie". Był w tym wspaniały. Tymczasem Joe, Terry i ja wypróżniliśmy portfele i kieszenie, żeby zapłacić za to wszystko.

Pośród całego tego morza zapachów, które Freddie wówczas kupił, była wielka butla wody kolońskiej Lagerfelda, jedynego zapachu, jakiego używam. Obok tego kanistra buteleczka, którą do tej pory trzymałem na półce w łazience, wyglądała jak bezpłatna próbka. Freddie dał mi wtedy także kompletny zestaw upominkowy Lagerfelda, którego dotąd nie zdołałem jeszcze zużyć, mimo że korzystam zeń codziennie.

Święta Bożego Narodzenia 1986 roku były zdecydowanie weselsze niż te pierwsze w Garden Lodge. W pierwszy dzień świąt gościliśmy w naszym domu między innymi Mary, Paula Prentera, Trevora Clarke'a i Petera Strakera, który został już członkiem Rodziny. Razem ponad dwadzieścia osób zasiadło do obiadu. Jadalnia okazała się za mała, więc połączyliśmy dwa stoły i ustawiliśmy je w salonie. Po posiłku rzuciliśmy się do rozkopywania góry prezentów świątecznych leżących pod

choinką. Ja dałem Freddiemu srebrne pudełko na chusteczki, które kupiłem w antykwariacie niedaleko Savoyu.

W noworoczną noc odbyło się przyjęcie, którego nie zapomną ani goście, ani sąsiedzi. Na dzień Guya Fawkesa kupiłem sztuczne ognie, ale ich nie wykorzystałem, postanowiliśmy więc odpalić je na powitanie 1987 roku. Spędziłem z Phoebem pracowity dzień, ustawiając race w ogrodzie i układając setki zimnych ogni w kamiennych urnach na zwieńczeniach bramy. Kiedy nadeszła północ, Phoebe i ja ruszyliśmy do roboty. Do zapalenia zimnych ogni użyłem lampy lutowniczej. Nasze fajerwerki rozświetliły noc, a sąsiedzi wiwatowali i cieszyli się razem z nami po każdym kolejnym wybuchu kolorów na niebie.

Na przypadające kilka dni później moje urodziny Freddie chciał mi dać coś z biżuterii, na przykład cienką złotą bransoletkę. Powiedziałem, że to nie w moim guście, ale on się ze mną nie zgodził. Poszliśmy więc obejrzeć biżuterię u Cartiera na Bond Street. Na szczęście nie mieli nic odpowiedniego na składzie. Ale wówczas wpadły nam w oko dwie nieprawdopodobne obrączki, zamówione, lecz niewykupione. Mniejsza z nich była delikatnym sygnetem z osiemnastokaratowego złota z platynowym okiem. Przymierzyłem, ale sygnet był za duży. Daliśmy sobie spokój z planami hulaszczych zakupów.

– Nie przejmuj się – powiedział Freddie. – Znajdziemy coś na urodzinowy prezent dla ciebie, tyle że nie dostaniesz go w dzień urodzin.

Freddie dopytywał się, czy chcę przyjęcie w Garden Lodge, ale mając w pamięci hecę z zaginionym wazonikiem rok wcześniej, stanowczo zaprzeczyłem.

– Nie – odparłem. – Zapraszam cię do restauracji.

Poszliśmy do Pontevecchio, restauracji położonej niedaleko domu, na Old Brompton Road w Earl's Court. Zaprosiłem też Joego, Phoebego, Mary i Petera Strakera. Impreza miała być na mój koszt. Ale chwilę potem, jak poprosiłem o rachunek, poczułem, że ktoś delikatnie stuka mnie pod stołem w kolano. Zerknąłem w dół; była to dłoń Freddiego pełna banknotów.

– Nie, ja płacę – szepnąłem.

Po powrocie do Garden Lodge przeżyłem niespodziankę. Kiedy Freddie otwierał szampana i po raz enty wznosił toast za moje zdrowie, Joe i Phoebe wyślizgnęli się z pokoju. Po chwili zgasły światła, a oni wkroczyli, niosąc nieprawdopodobny tort w kształcie karpia *koi* z pojedynczą świeczką na samej górze.

Parę dni później pracowałem w ogrodzie, kiedy podszedł do mnie Freddie.

– Masz, to jest czek podpisany in blanco – powiedział. – Idź i kup sobie jakieś świecidełko u Cartiera.

Wróciłem więc na Bond Street, ponownie poprosiłem o ten sygnet, który oglądałem z Freddiem, i kazałem go zmniejszyć.

Wróciłem do domu, a Freddie od razu spytał, co kupiłem.

– Ten sygnet, który razem oglądaliśmy – odparłem.

– Świetnie! – zawołał.

W walentynki wysłaliśmy sobie nawzajem czerwone róże, które dostarczono do Garden Lodge. Tego wieczoru Freddie był w łóżku w bardzo romantycznym nastroju; zawsze był zresztą bardziej romantyczny niż ja.

– Bardzo cię kocham – powiedział.

– Wiem – odparłem.

– A ty mnie kochasz? – spytał.

– Tak, kocham cię – rzekłem.

Pod koniec lutego Freddie miał wydać swój solowy singiel *The Great Pretender.* Nagrał go w Town House Studios w zachodnim Londynie, a opracował wraz z Mikiem Moranem, którego poznał na musicalu *Time* Dave'a Clarka.

W przeddzień nagrania wideoklipu Freddie poprosił mnie, żebym mu przyciął włosy. Potem już robiłem to co dwa miesiące aż do jego śmierci. Siadał na krześle na środku ubieralni i – mimo że wokół były lustra – nigdy nawet nie zerknął, żeby sprawdzić, jak mi idzie. Zostawiał to całkowicie w moich rękach. A ja strzygłem go nieco krócej, bardziej tradycyjnie niż dotąd, ale nigdy się nie skarżył.

– Będzie dobrze tak, jak zrobisz – mawiał.

Freddie nie farbował włosów na czarno; ten kolor był zupełnie naturalny. Miał małą łysinkę na czubku głowy, ale nigdy nie prosił mnie o jej zakrywanie – wiedział, że to nie ma sensu.

Zaproponował, żebym po skończeniu pracy w Savoyu wpadł do studia na kręcenie wideoklipu do *The Great Pretender,* twierdząc, że będzie kupa śmiechu. I miał rację. Kiedy wszedłem do studia, od progu poczułem się jak na wesołej imprezie, a najgłośniejsze ryki śmiechu dochodziły z garderoby. Kręcili zdjęcia przez cały dzień i teraz Freddie, Roger Taylor i Peter Straker przebierali się za kobiety. Freddie zgolił wąsy, Terry objechał elektryczną maszynką ręce i ramiona, a jeszcze ktoś inny ogolił sobie pierś. Kiedy wreszcie cała trójka wskoczyła w swoje kiecki i zaczęła pląsać, w studiu słychać już było tylko histeryczne rechoty i szlochy ze śmiechu. Popłakałem się. Jeszcze nigdy nie widziałem Freddiego w kobiecych ciuchach, a on szalał.

Równie śmiesznie było z Debbie Ash, która miała być filmowana na fotelu, a Freddie miał jej wskoczyć na kolana. Niestety podczas kręcenia zdjęć nie byli w stanie utrzymać poważnych min – ciągle

wybuchali śmiechem. Tak samo zresztą jak i wszyscy pozostali w studiu.

Kiedy pod koniec lutego wideoklip wreszcie się ukazał, *The Great Pretender* stał się największym solowym przebojem Freddiego. Sukces ten wprawił go w tak znakomity humor, że ni stąd, ni zowąd wręczył każdemu z naszej domowej trójki – a myślę, że Mary też – „małą premię": kolejny czek, żebyśmy kupili sobie coś specjalnego.

W tym samym miesiącu Freddie poleciał na pierwsze spotkanie ze śpiewaczką operową Montserrat Caballé. Podczas „Magic Tour" powiedział w hiszpańskiej telewizji, że przyjechał tylko w nadziei poznania Caballé. Ona oglądała ten program i zorganizowała spotkanie z nim w Barcelonie, więc poleciał z Phoebem, Mikiem Moranem i Jimem Beachem. Spotkali się w prywatnej jadalni hotelu Ritz.

Freddie nie miał pojęcia, czego się spodziewać – wiedział tylko, że Montserrat jest okropnie, wręcz histerycznie humorzasta. Przyszła ze sporym opóźnieniem, toteż Freddie, zamiast ją powitać, wręczył jej tylko kasetę magnetofonową i rzucił:

– Proszę, przywiozłem to, żeby pani sobie posłuchała.

Na taśmie była piosenka *Exercises in Free Love,* którą napisał z Mikiem Moranem. Montserrat przesłuchała kasetę, utwór jej się spodobał i powiedziała, że będzie szczęśliwa, mogąc pracować z Freddiem nad albumem. Wrócił do domu w siódmym niebie.

Mniej więcej po tygodniu Caballé przyjechała do Londynu, a Freddie zaprosił ją na roboczą kolację do Garden Lodge. Na kolacji mieli być tylko ona, Freddie, Mike Moran i Jim Beach. Dowiedziawszy się, co Montserrat lubi jeść – ryby i spaghetti – Freddie zarządził na kolację łososia. Przybyła w wieczorowej sukni,

a przechodząc przez podwójne drzwi hallu, potknęła się i omal nie upadła.

– Cholera jasna! – pisnęła i zachichotała.

Poszedłem wcześnie spać, ale przedtem zostałem jej przedstawiony. Na scenie Montserrat wygląda na olbrzymkę, jednak wrażenie to wywołują niemal wyłącznie powiewne, obszerne kreacje, które jej najbardziej odpowiadają. „Na żywo" nie była nawet w połowie tak potężna, jak to sobie wyobrażałem. Nie popadając w przesadę w żadną stronę, powiem, że była wspaniała: bardzo skromna, choć prowokująca i chichotliwa.

Montserrat planowała u nas tylko lekką krótką kolację, gdyż miała wcześnie rano samolot powrotny, ale w końcu została w Garden Lodge do białego rana. Po kolacji, kiedy podano kawę, Caballé, Freddie i Mike Moran zaczęli improwizowany koncert przy fortepianie. Zasnąłem, słuchając śpiewu jednej z największych diw operowych w duecie z jednym z najlepszych głosów rockowych.

Tydzień później pojechałem z Freddiem do Covent Garden na recital Montsy, jak nazywał ją Freddie. Gościem honorowym na występie była księżniczka Małgorzata, a Freddie i ja siedzieliśmy w loży. Na początku przerwy zerwałem się, żeby skoczyć do baru, lecz Freddie mnie powstrzymał.

– Jest tutaj księżniczka Małgorzata – szepnął.

– Musimy na nią zaczekać.

Nie znałem obowiązującego protokołu, ale Freddie tak. Jako przysięgły rojalista uwielbiał rodzinę królewską. Jedynym jednak członkiem rodziny, jakiego poznał osobiście, był książę Andrzej, którego natychmiast zaprosił do Heaven.

Podniosła się kurtyna, zaczął się drugi akt i Freddie znów znikł dla świata, oczarowany śpiewem Montserrat Caballé. Na koniec występu, kiedy publiczność domagała się bisu, Montsy wyszła

na scenę w towarzystwie Mike'a Morana. Podniosła rękę, a gdy sala ucichła, powiedziała:

Zaśpiewam teraz piosenkę napisaną przez moich dwóch nowych przyjaciół. Sądzę – dodała po krótkiej chwili – że drugi z nich jest w tej chwili na widowni.

Freddie był naprawdę zaskoczony. Gwałtownym ruchem podniósł ręce do twarzy i roześmiał się z kompletnie zbaraniałą miną. Odnalazły go w loży światła punktowe, a publiczność wstała i zaczęła szaleńczo bić brawo. Więc Freddie również wstał i gestami podziękował za oklaski, po czym opadł z powrotem na fotel. Jak zahipnotyzowany wysłuchał *Exercises in Free Love* w wykonaniu Montsy. Po zakończeniu recitalu poszliśmy do garderoby spotkać się z wielką śpiewaczką, a potem zabraliśmy ją na kolację do Garden Lodge.

W tym samym tygodniu Montserrat przyjechała do studia, żeby zacząć pracę z Freddiem, ale okazało się, że nic nie poszło tak, jak się spodziewała. Myślała, że aby nagrać płytę z Freddiem, wystarczy, żeby wpadła, zaśpiewała kilka piosenek z partytury i wyjechała. Nie miała pojęcia o sposobie pracy Freddiego. Nie przygotował dla niej na zapas żadnych nut, za to ciągle ją prosił o spróbowanie czegoś, po czym przeprawiał swoje notatki i znowu o coś prosił. Trwało to tak długo, aż razem znaleźli dokładnie taki efekt, o jaki mu chodziło.

– Kochana moja – powiedział jej wówczas. – Puccini i cała reszta kompozytorów są martwi. Ja żyję.

Usłyszawszy to, Caballé zaakceptowała jego dziwaczny sposób pracy nad nagraniem. A Freddie okazał się bardzo trudnym partnerem, stawiającym duże wymagania. Dużo później Montserrat wyznała, że w trakcie tych sesji nagraniowych Freddie wydobył z jej głosu więcej, niż wydawało się jej możliwe.

W dniu, kiedy Queen miał odebrać nagrody Ivora Novello za wielki wkład w brytyjską muzykę, strasznie się pokłóciłem z Freddiem. Wymiana zdań nie trwała długo, ale wystarczyła do wprowadzenia Freddiego w taki nastrój, że gdy wychodziliśmy już z Garden Lodge na ceremonię, nazwał mnie „cholerną irlandzką wiedźmą". Po powrocie do domu Freddie znów był bardzo czuły, złożyłem więc jego wybuch na karb zdenerwowania. Kiedy już poszliśmy do łóżka, przeprosił mnie za tę kłótnię. Pocałowaliśmy się i pogodziliśmy.

– Masz takie miękkie serce! – powiedział.

Fakt. Miałem, i to go chyba bardzo pociągało.

Mimo że sprawiałem zawsze wrażenie twardziela, wewnątrz byłem miękki jak wosk.

Przed Wielkanocą pojechałem do domu, do Irlandii, żeby odwiedzić rodzinę. Jestem pewny, iż podejrzewali, że jestem gejem, choć nigdy o tym nie mówiłem i nie wspomniałem im, iż jestem kochankiem Freddiego. Nocowałem u matki, która nie ma telefonu, co oznaczało, że gdy chciałem zadzwonić do Freddiego, musiałem przespacerować cztery mile do najbliższej budki telefonicznej. W przeddzień lotu powrotnego zadzwoniłem do Freddiego do domu. Spytał, kiedy wracam. W jego głosie wyczułem takie zdenerwowanie, że zacząłem podejrzewać jakieś kłopoty.

– Lekarze właśnie oblali mnie kubłem zimnej wody – powiedział, gdy spytałem go o przyczyny nerwowości. Poprosiłem go natychmiast o dalsze wyjaśnienia, ale powiedział tylko:

– Nie przez telefon, wyjaśnię ci, jak wrócisz.

– Głowa do góry – odrzekłem. – Jutro będę w domu.

Byłem przekonany, że mocno przesadza. Kiedy Freddie był w dołku, miał zwyczaj dramatyzować, szczególnie przez telefon, żeby pobudzić moje zainteresowanie.

Nazajutrz, gdy wróciłem do Garden Lodge, Freddie był w sypialni. Położyłem się obok niego i objąłem go, a wówczas powiedział mi to, czego nie mógł powiedzieć poprzedniego dnia.

Pokazał mi na swym ramieniu niewielkie znamię mniejsze od paznokcia – z dwoma malutkimi szwami. Lekarze pobrali mu próbkę do testowania i właśnie dostał wyniki. Miał AIDS.

– Nie wygłupiaj się! – powiedziałem. Nie mogłem w to uwierzyć. Lekarze musieli się mylić! – Kto robił te testy? Daj spokój, pójdziemy do kogoś innego!

Uważałem, że powinniśmy mieć opinię z innego źródła.

– Nie – odparł Freddie. – Oni są najlepsi.

To była prawda. Freddie mógł sobie pozwolić na najlepszych lekarzy i ci tacy właśnie byli.

– Jeśli chcesz mnie opuścić, zrozumiem to – ciągnął.

– Co takiego? – nie zrozumiałem.

– Jeśli chcesz mnie opuścić i wyprowadzić się z Garden Lodge, nie będę cię zatrzymywał. Zrozumiem to – powtórzył.

– Ależ ja cię kocham! – powiedziałem. – Nie mam zamiaru cię porzucić, ani teraz, ani nigdy! Nie mówmy już o tym.

Freddie podniósł na mnie wzrok i mocno się przytulił. Konsekwencje tego, co mi powiedział, jeszcze do mnie nie dotarły. Było to coś, na co nie byłem przygotowany i nie miałem pojęcia, jak sobie z tym radzić. Usiłowałem to w ogóle wyrzucić z myśli.

Pod wieloma względami wierzyłem w jakiś cud – na przykład w błędną diagnozę. Nie bałem się o swoje zdrowie ani przez moment, tyle że od tej pory uprawialiśmy bezpieczny seks. Kilkakrotnie Freddie sugerował, żebym ja też zrobił test na AIDS, ale nie chciałem. Nie miałem też ochoty tłumaczyć mu powodów tej niechęci.

A prawda wyglądała tak, że nie widziałem żadnego pożytku ze zrobienia sobie testu. Gdyby się okazało, że jestem nosicielem albo że już mam AIDS, z pewnością Freddie czułby się winny jako najbardziej prawdopodobny tego winowajca. A gdyby test wykazał, że jestem zdrowy, byłoby to równie nie fair wobec Freddiego; zupełnie jakbym mu powiedział: „Widzisz, frajerze? Ja jestem w porządku". Liczyła się więc tylko opieka nad Freddiem i czuwanie nad jego zdrowiem.

Wtedy ostatni raz rozmawialiśmy bezpośrednio o AIDS w kontekście zdrowia Freddiego. Nie lubił rozmawiać o swojej chorobie i od tej pory, ilekroć w telewizji pojawiła się jakakolwiek wypowiedź o AIDS, przełączaliśmy kanał lub wyłączaliśmy odbiornik. Nie oznacza to, że nie obchodzili go inni chorzy; po prostu nie chciał, żeby mu przypominano o jego przeznaczeniu.

Poza Jimem Beachem jedyną osobą, której zwierzył się ze swego kłopotu, była Mary. Później jeszcze opowiedział o chorobie partnerce Rogera Taylora, Dominique, kiedy go poinformowała o swoim raku piersi – chciał, by wiedziała, że zawsze się może oprzeć na jego ramieniu. A Joe był akurat na wakacjach w Ameryce, kiedy Freddie powiedział mnie.

– Czy powinienem powiedzieć Joemu? – spytał.

– Oczywiście, że powinieneś – odparłem.

Aż do czasu odkrycia, że Freddie ma AIDS, mieliśmy w nosie wszelkie zabezpieczenia. Ani on, ani ja nigdy nie uprawialiśmy bezpiecznego seksu. Ale wszystko się zmieniło, kiedy dowiedziałem się o stanie jego zdrowia, i odtąd przy stosunku zawsze używaliśmy prezerwatyw. Kondomy były wpisywane na listę zakupów dla Joego. Freddie w ciągu nadchodzących tygodni miał jeszcze przejść wiele innych testów, ale zawsze wykonywane były po cichu i nigdy o nich nie rozmawialiśmy.

Przygnębiony tak okropnymi wieściami Freddie z niezwykłym zapałem poświęcił się dziełu wykończenia urządzania Garden Lodge ściśle według swych wymagań. Pomieszczenia, które były wciąż puste, i ściany, które jeszcze były gołe, wkrótce zaczęły się zmieniać.

Staw *koi* był już ukończony i gotowy do przyjęcia karpi. Żeby go wypróbować, kupiłem około tuzina złotych rybek, ale były tak małe, że ledwie je dostrzegaliśmy. Terry dowiedział się, że w Enfield, Middlesex, jest hurtownik ryb, u którego można dostać *koi*. Pewnego wieczoru więc Freddie i ja wypuściliśmy się, żeby na nie zerknąć. Hurtownik powiedział, że w ciągu kilku dni spodziewa się transportu *koi* z Japonii, i zgodził się nas powiadomić, kiedy tylko dotrą, żeby Freddie miał pierwszeństwo. Po paru dniach zadzwonił. Pojechaliśmy do niego natychmiast. Z powodu wydłużającej się odprawy celnej dotarliśmy na miejsce, zanim dostał ryby. A kiedy drogocenne *koi* dostarczono, wszystkie – około pięćdziesięciu sztuk – ostrożnie przeniesiono z pojemników do akwariów. Większość miała jakieś osiemnaście cali długości, a powinny urosnąć jeszcze drugie tyle.

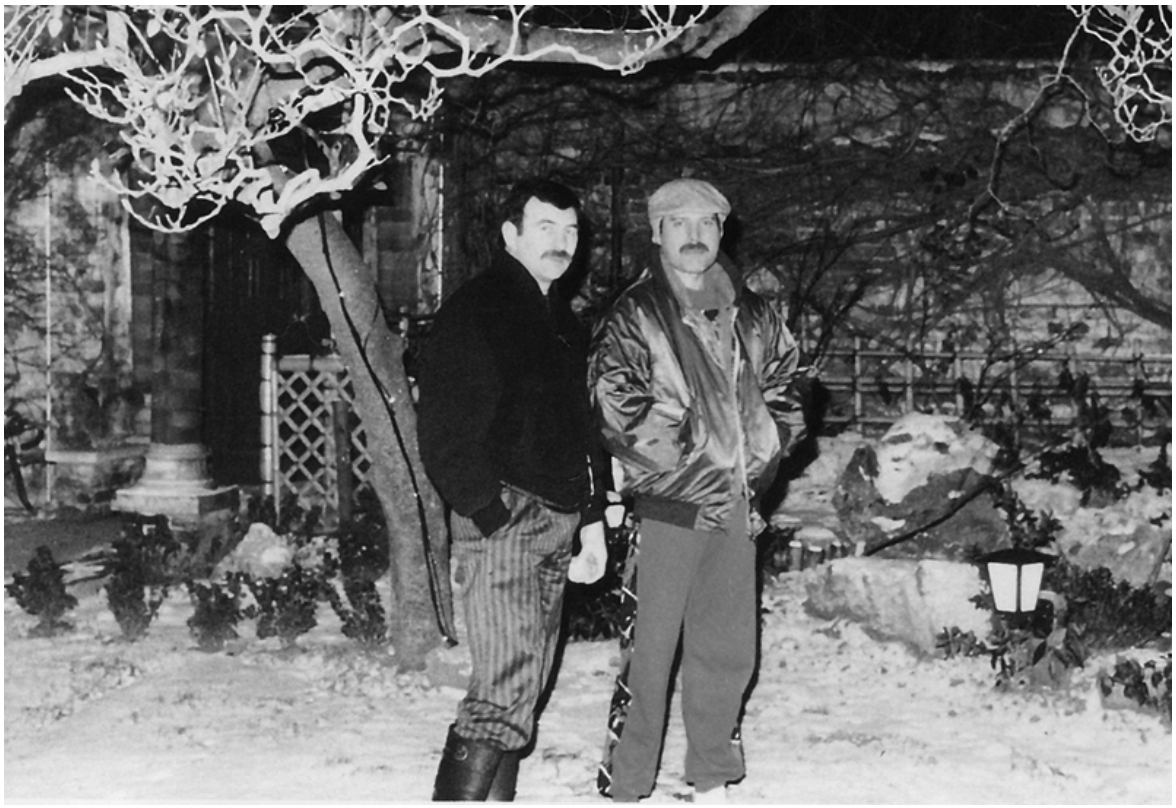

Zimowa Kraina Czarów w Garden Lodge – śnieg na ziemi i lampki mrugające na drzewie

Ukochane koi Freddiego – plus kaczki na gościnnych występach

Wyglądały tak wspaniale, że Freddie był urzeczony. Spytał o cenę i usłyszał, że między siedemdziesiąt pięć a dwa tysiące funtów za sztukę.

– Dobra – rzucił Freddie. – Niech mi pan da dobrą cenę za wszystkie.

Bez mrugnięcia okiem hurtownik podliczył i Freddie zgodził się zapłacić dwanaście i pół tysiąca funtów za wszystkie ryby. Sprzedawca chciał nas odwiedzić, żeby sprawdzić, czy staw jest odpowiedni. Przyjechawszy, polecił zainstalować mechaniczny filtr, poza tym uznał staw za idealny.

Ryby powinny spędzić minimum dwa tygodnie na kwarantannie u hurtownika, ale zaraz po zainstalowaniu filtra dostarczono je do Garden Lodge, gdzie natychmiast stały się centrum zainteresowania odwiedzających nas przyjaciół. Niedzielny lunch był już tradycyjnie inny niż w tygodniu. Zwykle co najmniej sześć osób wpadało do nas tuż przed południem na drinka. Siedzieliśmy aż do drugiej, potem jedliśmy – do czwartej lub piątej, a potem przez resztę dnia leniwie włóczyliśmy się po domu i ogrodzie. Zawsze było dużo śmiechu.

Czwartego maja Freddiego powaliła następna historia o nim w „The Sun". Mnie zresztą też. Po wszystkim, co Freddie dla niego zrobił, Paul Prenter wbił mu nóż w plecy.

AIDS zabija dwóch kochanków Freddiego krzyczał nagłówek trzystronicowego artykułu. W roku 1986 zmarli na AIDS Tony Bastin z Brighton i John Murphy, steward z amerykańskich linii lotniczych. A Prenter twierdził, że Freddie zadzwonił do niego kiedyś w nocy i zwierzył mu się ze swych lęków w związku z AIDS.

W artykule napisano również o mnie jako kochanku Freddiego. Natychmiast pomyślałem o mojej rodzinie w Irlandii. Co oni powiedzą? Jeśli rozejdzie się wieść o tym, że jestem kochankiem

kogoś tak sławnego, będą z pewnością niezadowoleni, że dowiadują się tego z prasy. Było to coś, o czym wolałem im powiedzieć sam, i w wybranym przez siebie momencie.

Wróciwszy z pracy tego dnia, długo rozmawiałem z Freddiem o niewyparzonym języku Paula Prentera. Freddie nie mógł znieść takiej zdrady. Nie potrafił uwierzyć, że ktoś tak mu bliski zdobył się na coś równie paskudnego.

Dowiedzieliśmy się później, że za tę historię Prenter dostał od gazety trzydzieści dwa tysiące funtów. Freddie nigdy się już do niego nie odezwał. Elton John, John Reid i inni również zaczęli traktować Paula jak zadżumionego.

Przez kolejne dni „The Sun" drukował codziennie dalsze rewelacje, a po każdym odcinku historii opowiedzianej przez Prentera Freddie był bardziej zdenerwowany. Prenter sprzedał gazecie kilka zdjęć Freddiego pozującego prywatnie z różnymi kochankami, na przykład z moim poprzednikiem. Winniem Kirchbergerem, a wszystkie te fotografie wydrukowano na dwóch sąsiadujących ze sobą stronach pod wspólnym tytułem *All The Queen's Men* (*Wszyscy mężczyźni królowej).*

Prenter długo i ze szczegółami opowiadał reporterowi o „dzikich" czasach Freddiego, kiedy regularnie brał kokainę, dzieląc się jej „linijkami" z Rodem Stewartem i Davidem Bowiem – czasami wchłaniali ją wprost z powierzchni świeżo otrzymanej złotej płyty. Powiedział też, że przyjaźń Freddiego i znanego disc jockeya Kenny'ego Everetta skończyła się w wyniku kłótni o kokainę. Everett miał rzekomo stwierdzić, że Freddie na zbyt dużo sobie pozwalał i wykorzystywał gościnność Everetta.

Faktycznie, Freddie zerwał wszystkie kontakty z Everettem, ale – jak mi powiedział – było dokładnie na odwrót: to Everett wykorzystał hojność Freddiego. Nigdy się nie pogodzili i Everett

nie pojawił się w Garden Lodge, kiedy tam mieszkałem. Nawet w czasie naszych wypraw do klubów gejowskich nie odzywali się do siebie, jeśli się gdzieś spotkali. (Kiedy Freddie umarł, gazety zapełniły się wymyślonymi historyjkami o Everetcie bywającym co dzień do samego końca u łoża Freddiego).

Rozmawiając z moim poprzednim chłopakiem Johnem Alexandrem, o spowodowanych przez Prentera kłopotach, dowiedziałem się, że w czasie świąt Bożego Narodzenia Prenter obrabiał mi tyłek. John natknął się na niego na przyjęciu u Kenny'ego Everetta, gdzie Prenter na cały głos wykrzykiwał rewelacje na mój temat, bez żenady sypiąc jakimiś pikantnymi szczegółami. W końcu Johna zmęczyły tyrady Prentera, podszedł do niego i spytał wprost, skąd mnie tak dobrze zna. Kiedy zaś Prenter wymamrotał coś niewyraźnie pod nosem, John powiedział mu spokojnie, że jest moim ekskochankiem. Prenter zamknął się i unikał Johna przez resztę imprezy.

Po opublikowaniu wszystkich rewelacji przez „The Sun" Prenter kilkakrotnie telefonował do Garden Lodge, ale Freddie nie chciał z nim rozmawiać. Prenter usiłował wytłumaczyć swoje skandaliczne zauchowanie, opowiadając, że reporterzy ścigali go przez wiele tygodni i że w końcu pękł pod presją i przez pomyłkę wszystko im opowiedział. Freddiego nie obchodziły wymówki Prentera. Czuł się w niewybaczalny sposób zawiedziony. Najsmutniejszym następstwem wybryków Prentera było to, że Freddie stracił zupełnie zaufanie do ludzi – poza kilkoma wybranymi osobami. Po tej aferze już nie zawarł żadnej nowej przyjaźni.

Często było mi szkoda Freddiego. Przy wszystkim, co miał – pieniądzach, sławie i sukcesach – nie mógł nigdy zaznać

normalnego życia. Nie mógł iść na spacer czy na zakupy, żeby go nie ścigały ciekawskie spojrzenia.

Zraniony przez Prentera i „The Sun" Freddie doszedł do wniosku, że potrzebuje od nich ucieczki, polecieliśmy więc na tygodniowe wakacje na Ibizę. Joe, Phoebe i Terry pojechali z nami.

Na lotniskach zawsze stosowaliśmy specjalną procedurę dla osłonięcia Freddiego. Wystarczyło bowiem, że spostrzegł go jeden fan, a po chwili już ginęliśmy w tłumie jego wielbicieli, co w najlepszym wypadku stanowiło niepotrzebną stratę czasu. Tak więc ja szedłem z przodu, a Joe i Terry lub Phoebe u jego boków. Freddie zaś maszerował z oczami wbitymi w podłogę dla uniknięcia kontaktu wzrokowego.

Może się to wydać niewiarygodne, ale przy całej swej sławie najbardziej hulaszczego piosenkarza rockowego Freddie był w rzeczywistości bardzo nieśmiałą osobą. Kiedy znienacka dopadali go fani, był natychmiast strasznie zakłopotany i szeptał do nas pod nosem: „Zabierzcie mnie stąd!".

Inny jego szept, który kierował do nas, zawsze mnie rozśmieszał. Gdy byliśmy w jakimś publicznym miejscu, a Freddie musiał iść do toalety, popiskiwał kącikiem ust „siusiu". Jeden z nas eskortował go wówczas do najbliższej ubikacji i nie ruszał się z miejsca, żeby Freddie mógł się wysiusiać w spokoju.

W drodze na Ibizę towarzyszyło nam coś, co odtąd było z nami zawsze, gdy opuszczaliśmy Wielką Brytanię – mały kuferek z lekarstwami. Było w nim wszystko – od paracetamolu i plastrów po lekarstwa przeciw AIDS. W kuferku nie było tylko strzykawek, bo te zwykle nabywaliśmy na miejscu.

W trakcie tego pobytu na Ibizie mieszkaliśmy w położonym z dala od tłoku, luksusowym hotelu Pike's, pięćsetletnim budynku, niegdyś dworze ziemianina. Po kilku zaledwie godzinach pobytu

Freddie przezwał mnie „Świętym Franciszkiem z Asyżu", a to dlatego, że koty i psy szwendające się po okolicznych terenach przybiegały do mnie i się łasiły.

W ciągu dnia siedzieliśmy nad basenem i opalaliśmy się, a wieczorami wypuszczaliśmy się do ibizańskich klubów gejowskich. Jednak nawet na tej wyspie Freddiemu deptał po nogach „The Sun". Ich fotograf zrobił mu zdjęcie w czasie gry w tenisa. Freddie wyglądał tam, jakby miał sporą nadwagę.

Na podeszwie prawej stopy zrobiła się Freddiemu paskudna rana, która go męczyła do końca życia, coraz bardziej utrudniając chodzenie.

Na koniec naszego pobytu Freddie i Montserrat Caballé wystąpili razem jako niespodziewana atrakcja na festiwalu Ibiza-92, urządzonym z okazji przyznania Hiszpanii organizacji kolejnych igrzysk olimpijskich. Wieczór był cudownie dekadencki, cały festiwal odbywał się w luksusowym klubie Ku Club w San Antonio przed elitarną publicznością liczącą około pięciuset osób – „Pięknymi Ludźmi Ibizy", jak ich nazywaliśmy. Tej nocy występowało kilka grup – Spandau Ballet, Duran Duran, Marillion i Chris Rea. Freddie i Montsy zostali zachowani jako niespodzianka na sam koniec.

Jak zwykle poszedłem sam na widownię. Kiedy z estrady zszedł ostatni zespół, publiczność szybko ochłonęła i zapanowała atmosfera „antyekstazy". I wtedy, nagle, na scenę wyszli razem Freddie i Montserrat Caballé. Tłum oszalał. Kiedy zabrzmiały pierwsze dźwięki *Barcelony,* wszyscy zamilkli. Cisza na widowni była tak dojmująca, że zjeżyły mi się wszystkie włosy. A publiczność jeszcze nie miała pojęcia, co się szykuje. Było to pierwsze publiczne wykonanie *Barcelony.* Widownia pozostała cicha przez cały utwór, lecz coraz bardziej wyczuwalna była duma,

jaką słowa piosenki budziły w tych ludziach. W oczach kilku osób dojrzałem łzy.

Podróż z klasą – na wyprawy na Ibizę i do Szwajcarii Freddie często wynajmował prywatny odrzutowiec. Od lewej: Graham Hamilton, Freddie, Terry, Phoebe i ja

Moje róże Blue Moon dla Freddiego na walentynki 1988 roku. Freddie opowiadał wszystkim: „Dał mi je mój mąż!”

Po zakończeniu piosenki publiczność dosłownie eksplodowała. Ludzie podskakiwali, machali rękami i marynarkami, rzucali części garderoby na scenę. Podsłuchałem grupę młodych Hiszpanów powtarzających z podnieceniem, że to nowy hymn narodowy

Hiszpanii. A potem niebo zapłonęło w najdłuższym pokazie sztucznych ogni, jaki widziałem w życiu.

Po występie Freddie naprawdę popłynął – najpierw zaczęła się hulanka w Ku Club, a potem odbyła się gigantyczna impreza w hotelu. *Barcelona* okazała się takim sukcesem, napotkała tak entuzjastyczne reakcje u publiczności, że Freddie poczuł się, jakby wygrał wszystkie możliwe nagrody i konkursy. Kilka osób z Hiszpańskiego Komitetu Olimpijskiego zakochało się w piosence; przysięgały, że będzie ona hymnem igrzysk w Barcelonie.

Po powrocie do Londynu Freddie i reszta zespołu podjęli renegocjacje ich kontraktu z wytwórnią EMI w związku z nowym albumem. Atmosfera była gorąca, napięcie sięgało zenitu. Pewnego dnia wróciłem z pracy i od razu wyczułem, że coś jest nie tak. Joe stał w kuchni przy zlewie, a Freddie siedział na stole z ponurą miną.

– Ciebie też zwalniam! – warknął do mnie.

– Słucham? – spytałem.

– Nie możesz wywalić Jima – odezwał się Joe ze wspaniale filisterskim wyrazem twarzy.

– Dlaczego niby nie? – zasyczał Freddie.

– Bo on dla ciebie nie pracuje – odrzekł spokojnie Joe.

– No tak, on dla mnie nie pracuje, prawda – powiedział powoli Freddie wściekłym głosem. Kilka sekund siedział w milczeniu, po czym ryknął śmiechem. Najwyraźniej wróciwszy z rozmów w okropnym nastroju, Freddie wywalił wszystkich z pracy. Potem oczywiście powtórnie zatrudnił.

Mimo że Freddie faktycznie nie mógł mnie wywalić, pojąłem nagle, że w Savoyu też nie mam zabezpieczonego miejsca pracy. W zakładzie fryzjerskim zaczynało być nieprzyjemnie. Zacząłem informować swoich stałych klientów, że istnieje możliwość, iż odejdę – choć wciąż nie miałem żadnego pomysłu

na alternatywne rozwiązanie. Ale w połowie lipca miałem dosyć. Zakończywszy ostatnie strzyżenie tego dnia, zadzwoniłem do właściciela zakładu i poprosiłem o spotkanie. Był jednak zbyt zajęty.

– Świetnie – powiedziałem. – A więc z dniem dzisiejszym o szesnastej trzydzieści kończę pracę u pana.

Nie pytał dlaczego, tylko czy mógłbym odejść z miesięcznym okresem wymówienia. Odparłem, że nie mógłbym.

Zadzwoniłem do Freddiego do Garden Lodge, żeby mu powiedzieć, co się stało. Telefon odebrał Joe i powiedział mi, że Freddie siedzi w jadalni, gdzie odbywa się bardzo gorące służbowe spotkanie zespołu Queen z Jimem Beachem. Freddie wydał sztywne instrukcje, żeby mu nie przeszkadzać. Nalegałem, żeby jednak Joe poprosił Freddiego do telefonu, i opowiedziałem, co zrobiłem.

– W porządku, kochany – powiedział spokojnie Freddie. – Od jutra zaczynasz pracę u mnie w ogrodzie. Twoje zarobki omówimy, jak wrócisz do domu.

Kiedy wróciłem, czekał na mnie.

– Dobra robota! – powiedział, obejmując mnie.

– Cieszę się, że już tam nie pracujesz.

Potem zaczęliśmy omawiać przejęcie przeze mnie obowiązków od ogrodników zatrudnianych na ćwierć etatu. Powiedziałem Freddiemu, że zostanę jego ogrodnikiem pod jednym warunkiem – że nikt, nawet on, nie będzie się wtrącał w moje metody pracy. Zgodził się. Mało tego, dostałem nawet podwyżkę; dał mi sześćset funtów miesięcznie po opodatkowaniu.

Ogrodnik przy pracy w Garden Lodge

Typowa, hulaszcza kompozycja kwiatowa w sypialni Freddiego. To z tego okna wołał do mnie co rano „Cooee!”

Nazajutrz, nim ktokolwiek w domu otworzył oczy, zacząłem w ogrodzie swoje nowe, codzienne obowiązki. Od tego dnia zapanował pewien nowy zwyczaj: każdego ranka po wstaniu z łóżka Freddie najpierw wyglądał z sypialni do ogrodu. Odnajdywał mnie, machał ręką, wołał „Cooee!”, i dopiero potem schodził na dół na poranną herbatę.

Wkrótce zorientowałem się, że przyjąłem etat o ośmiodniowym tygodniu pracy. Mimo że ogród był ładnie zaprojektowany, brakowało w nim jeszcze wielu roślin i plam kolorystycznych.

Chociaż miałem pracować tylko w Garden Lodge, czasami szedłem do domu Mary, żeby rozejrzeć się również po jej ogrodzie i trochę go uporządkować. W czasie jednej z takich wypraw po raz pierwszy pogadałem sobie z Mary o chorobie Freddiego. Nigdy nie byłem w stanie rozpoznać prawdziwych myśli i odczuć Mary, nie

wiem więc, czy ona również była tak wstrząśnięta wiadomością o jego zdrowiu jak ja. Kiedy jednak poruszyliśmy ten temat, obojgu nam drżały głosy. Nigdy nie wspomniałem o tym Freddiemu, ale postanowiliśmy wtedy, że zrobimy wszystko, by Freddie miał stałą opiekę i że za wszelką cenę będziemy trzymać jego stan zdrowia w tajemnicy przed prasą.

A jego stan powoli zaczynał się ujawniać na zewnątrz. Na grzbietach dłoni i lewym policzku pojawiło mu się kilka sporych czerwonych znamion. Były to tak zwane mięsaki Kaposiego, czyli KS. Te pierwsze znamiona zneutralizowano promieniami lasera i powoli się zagoiły, ale kuracja pozostawiła blizny, więc kiedy tylko Freddie miał się pojawić publicznie, pokrywał ślady na twarzy makijażem. Zrobiła mu się także bolesna, otwarta rana z boku prawej łydki. Leczyliśmy ją specjalnymi preparatami, żeby spowodować jej zaschnięcie, ale nigdy nie zagoiła się do końca.

Freddie chyba zawsze bardziej interesował się stanem zdrowia karpi *koi* niż własnym. W sierpniu zauważyliśmy, że rybki stały się ospałe. Potem, pewnego ranka, dwie nieduże zasnęły i pływały brzuchami do góry po powierzchni stawu. Zadzwoniliśmy do hurtownika, który je nam sprzedał, a on przyjechał, żeby się im przyjrzeć. Powiedział nam o kilku chorobach, jakie mogły złapać, ale odjechał, nie znalazłszy rozwiązania naszych problemów.

Byliśmy bardzo przybici.

Uwertury i wstępy

W lecie 1987 roku przemieszkiwała nieco w Garden Lodge Barbara Valentin. Rozmawiała z Freddiem o różnych marzeniach i nagle wspólnie postanowili wyjechać na pięć dni do Austrii. Nic nie wiedziałem o tej wycieczce, a kiedy oboje wyjeżdżali na lotnisko, siedziałem właśnie na drabinie i przycinałem gałęzie wierzby rosnącej obok domu.

Spostrzegłem pod drabiną Freddiego – patrzył w górę i coś do mnie wołał, ale nie dosłyszałem słów. Sądziłem, że wychodzą na zakupy, i dopiero kiedy zszedłem z drabiny i wszedłem do domu, Joe poinformował mnie, że wyjechali na kilka dni na wakacje.

Freddie i Barbara mieli wrócić w niedzielę, lecz przyjechali o dzień wcześniej. Freddie natychmiast mnie odnalazł, uścisnął i pocałował. Spytałem go o przyczynę wcześniejszego powrotu.

– Chciałem być z tobą – odrzekł.

Barbara potwierdziła, że ciągle marudził i mówił o mnie.

– On naprawdę za tobą tęsknił – powiedziała.

Nigdy przedtem nie spotkałem nikogo, kto tak lubiłby się kąpać jak Freddie. Brał kąpiel codziennie, albo zaraz po wstaniu z łóżka, albo w ciągu dnia, i lubił wodę tak gorącą, jak tylko mógł wytrzymać. Potrafił swobodnie moczyć się w wannie przez godzinę, a czasami te kąpiele urastały do rangi przedstawień; Joe i Phoebe przychodzili się przyglądać.

Pewnej niedzieli, po skoszeniu trawy, poszedłem się przebrać i już na schodach usłyszałem dochodzący z łazienki dźwięk, którego nie

dało się z niczym pomylić; Freddie śpiewał w wannie. Wszedłem do łazienki i zobaczyłem Freddiego, jakiego nigdy nie zapomnę. Siedział w jacuzzi zupełnie zakryty pianą. Wtedy pierwszy raz wlał do jacuzzi płyn do kąpieli i – oczywiście – grubo przesadził z jego ilością. Kiedy otworzył wszystkie dysze wodne, cała łazienka momentalnie utonęła w pianie. Wśród szaleństwa bąbelków widziałem tylko parę oczu i szeroko otwarte usta – Freddie na cały głos parodiował piosenki Marilyn Monroe i Judy Garland, od czasu do czasu fikając w powietrzu nogą dla podkreślenia efektu.

Chociaż lubił się kąpać, nie był z tych, co spędzają godziny przed lustrem. Mył zęby i golił się na mokro – i to by było na tyle. Nie kombinował też z doborem specjalnych szamponów czy mydeł – używał wyłącznie kosmetyków Lancastera, oczywiście drogich jak nieszczęście.

Bardzo często, poszedłszy do łazienki umyć zęby przed snem, wyskakiwał biegiem i piszczał:

– Pająk! Musisz go wyrzucić! Ja nie mogę!

Cierpiał na dość łagodną arachnofobię; nie cierpiał pająków, ale nie chciał, by im się działa jakaś krzywda. Musiałem wstawać, łapać pająka i wyrzucać go przez okno. Freddie nigdy nie poprosił mnie, żebym któregoś zabił. Lubił jednak, kiedy łapałem pająka do szklanki albo pudełka i wynosiłem na dwór.

Pod koniec lata karpie *koi* stały się poważnym problemem. Ulubiona ryba Freddiego, długa na dwie stopy, złotożółta, zdechła. Zadzwoniłem do sprzedawcy, a ten przyjechał ze specjalistą od ryb. Wszyscy poszliśmy za nimi, ciekawi, na czym polega problem.

Bez żadnego ostrzeżenia, pod samym nosem Freddiego, przywieziony przez hurtownika specjalista wbił nóż w brzuch martwej ryby, wypatroszył ją i powiedział, że nie widzi nic nienormalnego. Potem odrzucił ją na bok. Freddie na ten widok

dostał furii. Obaj panowie odjechali, nie potrafiąc wymyślić lekarstwa na stan ryb. Gdy tylko zamknęła się za nimi brama, Freddie rzucił się na mnie i zażądał, żebym szybko znalazł jakiegoś specjalistę od ryb, który wie, co robić.

Zacząłem wydzwaniać do wszystkich weterynarzy w Londynie, aż wreszcie znalazłem człowieka, który pracował w zespole weterynaryjnym Arka. Przyjechał do nas, pobrał próbki łusek kilku ryb, zbadał je i dał lekarstwa. Powiedział nam też, co powinniśmy zrobić, żeby poprawić jakość wody.

Ale następnej niedzieli znów zdechło kilka ryb, więc w desperacji zadzwoniłem do londyńskiego zoo. Nawet jednak oni nie potrafili pomóc. Ratunek przyniósł nam dopiero Mike Moran. Miał przyjaciela, który hodował *koi* i znał w Londynie renomowanego specjalistę od tych stworzeń, Neila Portera. Był on takim fanatykiem tych ryb, że zwinął nawet swą prywatną praktykę lekarską, żeby się całkowicie poświęcić karpiom *koi*.

Zadzwoniłem do Neila do domu i przedstawiłem mu całą smutną historię. Potem wspomniałem, że ryby należą do Freddiego Mercury'ego.

– Tego z Queen?

– Tak – odparłem.

– No cóż, biorę sześćdziesiąt funtów za wizytę domową – powiedział Neil.

– W porządku – odrzekłem. – Kiedy może pan przyjechać?

Odpowiedział, że postara się przyjechać tego popołudnia – i tak się stało. Przybył ze sprzętem, sieciami, wysokimi butami i dwoma synami, wyraźnie fanami Freddiego. Wybierając ryby na chybił trafił, badał je i pobierał próbki, które potem oglądał pod mikroskopem. Niektóre, jak odkrył, miały pasożyty. Spytałem więc, co powinniśmy zrobić, żeby woda była zdrowsza.

– Na początek wywalcie ten filtr – odparł. – Jest bezużyteczny, w ogóle nie oczyszcza wody z bakterii.

Spytał mnie potem, skąd wzięliśmy ryby.

– Rozumiem – odrzekł, kiwając głową, kiedy mu powiedziałem. – No cóż, mogę tylko zaproponować, że wrócę jutro i zabiorę ryby ze sobą, żeby je izolować i leczyć.

Freddie się zgodził i w ten sposób na całe miesiące straciliśmy nasze *koi.* Podczas ich nieobecności ja dostałem zadanie zorganizowania nowego filtru i zmodyfikowania stawu.

W każdej fazie przebudowy konsultowałem się z Freddiem, tłumacząc, dlaczego to czy tamto powinno być wbudowane czy zainstalowane, ale on zawsze reagował jednakowo.

– Jeśli jesteś przekonany, że coś musi być zrobione, to nie musisz mnie o to pytać – mawiał. Albo: – Dobra, zrób to. Nie zawracaj mi tym głowy. Skoro uważasz, że tak trzeba, to po prostu to zrób!

Obok Garden Lodge była mała uliczka, Logan Mews, a przy niej, zaraz za murem po prawej stronie Garden Lodge, stały dwa małe domy połączone w jedną całość garażem. Oba domki należały niegdyś do Garden Lodge i dlatego Freddie miał prawo pierwokupu, gdyby ich właściciel zdecydował się kiedyś je sprzedać. Tego roku wystawiono je na sprzedaż za trzysta tysięcy funtów. Freddie złożył właścicielowi propozycję nie do odrzucenia: zapłaci czekiem od razu całą sumę pod warunkiem jednak, że w momencie realizacji czeku posesja zostanie natychmiast opuszczona.

Wręczył więc sprzedającemu czek z pamiętnymi słowami:

– Dobra, masz. A teraz wypier...!

I tak jeszcze niezupełnie doprowadzono do finału wszystkie prace wykończeniowe w Garden Lodge, a już Freddie rozpoczął realizację zupełnie nowego projektu przebudowy w Logan Mews. Nagle staw

koi i świeżo zakupiona posiadłość przy Logan Mews zrównały się w ważności i były przebudowywane jednocześnie. Pojawiły się tłumy architektów i dekoratorów wnętrz planujących roboty. Nowa posesja, która była już określana jako „Mews", miała być przekształcona z początkowego stanu zupełnego zapuszczenia w śliczny trzysypialniowy dom gościnny. Jasne się dla nas stało, że Freddie chce zrobić jak najwięcej, zanim dopadnie go choroba. Chciał pozostawić po sobie kawałek raju na ziemi.

Postanowił też wybudować cieplarnię obok Mews.

Naszkicował, jak ją sobie wyobraża – nietypowy, dwukopułowy budynek – i wynajął firmę do jej wybudowania. W firmie tej jeszcze nigdy nie widziano czegoś takiego, ale zgodzono się zrobić cieplarnię ściśle według wymogów Freddiego. Przywieźli ją w gotowych elementach, a kiedy została złożona, wyglądała cudownie.

We wrześniu pojechaliśmy do Pike's, tego zacisznego hotelu na Ibizie, na kolejne wakacje. Podróżowaliśmy z klasą, prywatnym dziesięciomiejscowym odrzutowcem. Byli z nami Joe, Phoebe, Terry, Peter Straker i reporter z „Daily Express", David Wigg. W tym samym czasie na wyspie byli na wakacjach Brian, Roger i John z rodzinami.

Freddie zaplanował urządzenie na Ibizie przyjęcia z okazji swoich czterdziestych pierwszych urodzin. Miała to być utracjuszowska hulanka w hotelu Pike's, organizowana do spółki z Johnem Reidem, którego urodziny wypadały dzień czy dwa później. Hiszpański rząd i Komitet Olimpijski, wdzięczne Freddiemu za *Barcelonę,* miały pokryć część – jeśli nie całość – wydatków.

Nie wiem, czy Freddie umiał pływać. Ja z pewnością nigdy nie widziałem go pływającego. Wydaje mi się, że bał się wody. Pewnego popołudnia popłynęliśmy łodzią na wycieczkę

z właścicielem hotelu, Tonym Pike'em, i nagle zauważyłem, że Freddie jest bardzo zdenerwowany. Jednak kiedy już wypłynęliśmy, zapomniał o lękach przed utonięciem i cieszył się wycieczką. Po to, żeby go jeszcze bardziej rozluźnić, otwarliśmy ogromną butlę szampana.

Po powrocie na brzeg zaczął się dramat; okazało się, że John Reid wycofuje się z przyjęcia. Freddie był wściekły. Zamówił już na ten wieczór specjalne fajerwerki – clou wieczoru miał być pokaz sztucznych ogni, które wybuchając, miały ułożyć się w świetlisty napis: „Wszystkiego najlepszego, Freddie i John". Freddie zarządził jednak, że przygotowania do przyjęcia mają przebiegać zgodnie z planem – włącznie z przelotem osiemdziesięciu gości z Londynu specjalnie wyczarterowanym samolotem DC 9 i rozlokowaniem ich w hotelach na koszt Freddiego. Nawiasem mówiąc, wszyscy tak świetnie się bawili w czasie tej podróży, że opowiadano, iż przelot był równie pamiętny jak przyjęcie.

W dniu przyjęcia, kiedy leżeliśmy wokół basenu w hotelu, podszedł do mnie John Deacon. Jasne było, że Freddie nie jest w stanie dłużej ukrywać faktu, iż zaczyna być poważnie chory. John zauważył na nogach Freddiego kilka śladów – jedynych wskazówek zdradzających jego stan. Dyskretnie, choć bez owijania w bawełnę, John spytał mnie, co to za plamy. Zlekceważyłem je jako nic poważnego.

– Freddie jest uczulony na słońce – powiedziałem. – To plamy od opalania.

Nie dodałem nic więcej, robiąc do tego swobodną minę i ukrywając przed Johnem prawdziwe uczucia. John przyjął wyjaśnienie i chyba nie podejrzewał nic złego. Jednak począwszy od tych urodzin, wiedziałem już, że zaczynam kilka swoich ostatnich lat z Freddiem.

Oprócz specjalnie importowanych gości z Wielkiej Brytanii na przyjęciu pojawiła się „cała Ibiza". Teren hotelowy był udekorowany przezroczystym kolorowym papierem, ciągnącym się od dziedzińca hotelowego przez bufet do basenu. Tej balsamicznej nocy chyba z tysiąc ludzi nawiedziło Pike's, korzystając z niepohamowanej gościnności Freddiego. Upał rozpuścił zupełnie wymyślny czekoladowy tort, zrobiono więc w zastępstwie gigantyczne płaskie ciasto tak wielkie, że niosło je sześć osób. W poprzek ciasta biegły wielkie litery „Barcelona".

Kiedy wreszcie zaczęto odpalać fajerwerki, każdy ich wybuch był kwitowany głośnymi okrzykami aprobaty zebranych. Ale przy finałowym, nieco skróconym fajerwerku: „Wszystkiego najlepszego, Freddie" zachwycony wrzask gości był wręcz ogłuszający.

Do połowy przyjęcia Freddie kręcił się pomiędzy gośćmi na zewnątrz, a potem przeniósł się do jednego z pokoi recepcyjnych, gdzie zabawiał wchodzących i wychodzących przyjaciół.

Impreza była jeszcze w pełni, kiedy jakaś iskierka omal nie spowodowała katastrofy, podpalając kolorowy papier. Ponieważ był on bardzo łatwopalny, w ciągu sekundy obok mnie stanęła ściana ognia, którego język przeleciał mi po twarzy. Pożar ugaszono, nim komukolwiek stała się krzywda, a poza lekkim osmaleniem ściany hotelu nie było też większych szkód. Później odkryłem, że przyczyną pożaru była nieostrożność jednego z brytyjskich gości. Freddie bardzo się o to rozzłościł i uznał takie zachowanie za osobisty afront.

Będąc na Ibizie, Freddie udzielił jednego ze swych bardzo rzadkich wywiadów Davidowi Wiggowi z „Daily Express". A po powrocie do domu wziął do ręki gazetę z artykułem Wigga i westchnął:

– Popatrz tylko! Daję im, co najlepsze, a oni drukują jakieś śmiecie.

Wigg później przepraszał i usprawiedliwiał się, że od momentu napisania artykułu nie miał już więcej na nic wpływu. To wydawca pociął artykuł i zmienił go nie do poznania.

Freddie także ciął i zmieniał bez końca. Mews kompletnie przebudowywano. Myślał teraz całymi dniami nad wystrojem wnętrz. Zdecydował się wyłożyć jedną z łazienek antycznymi kafelkami, polecieliśmy więc do Madrytu na szybkie zakupy. Znaleźliśmy antykwariat z kafelkami na wystawie, ale Freddie nie znalazł wśród nich tego, czego szukał.

– Macie inne kafelki? – spytał właścicielkę.

– Całe stosy, proszę pana – odrzekła i poprowadziła nas do magazynu, gdzie kilka pięter było zawalonych po sufit kafelkami.

Na najwyższym piętrze weszliśmy do zupełnie pustego pomieszczenia wyłożonego boazerią. Freddie był zaskoczony.

W boazerii było kilkanaście drzwiczek, za którymi kryły się obrazy starych mistrzów. Kiedy kobieta otworzyła drzwiczki zasłaniające obraz El Greca, Freddie oszalał; natychmiast zakochał się w malowidle. Był to portret mężczyzny, możliwe, że autoportret. Wydawało się, że człowiek ten zaraz wyjdzie z ram.

– Czy to jest na sprzedaż? – spytał Freddie.

W tym miejscu wszystko było na sprzedaż, nawet boazeria. A El Greco kosztował około siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy funtów i Freddie chciał go mieć. Ale nagle natrafił na mur nie do przebicia.

– Obraz jest skatalogowany przez rząd hiszpański i zaliczony do skarbów narodowych, a jako taki nie może opuścić kraju – powiedziała antykwariuszka.

Freddie odszedł bardzo niezadowolony. Całymi dniami nie mówił o niczym innym, aż w końcu zadzwonił z Garden Lodge do jednego z organizatorów hiszpańskich igrzysk olimpijskich i spytał, czy nie można by czegoś zrobić, aby umożliwić mu wywiezienie obrazu z Hiszpanii. Powiedziano mu, że prawa nie wolno łamać – nawet dla niego.

Ale ten cudowny El Greco nie dawał mu spokoju. Freddie specjalnie poleciał znów do Madrytu, żeby go jeszcze raz obejrzeć, i zakochał się jeszcze bardziej. W milczeniu przyglądał mu się przez dobre dziesięć minut, a potem popatrzył na mnie.

– Może po prostu będę musiał kupić dom w Hiszpanii, żebym mógł go oglądać, kiedy zechcę – powiedział.

W samolocie poważnie rozważał ze mną tę kwestię, ale parę dni później zarzucił ten pomysł i skoncentrował się na rzeczach, które chciał kupić bliżej domu.

W październiku Freddie i Montserrat Caballé wydali singla *Barcelona*. W celu promocji płyty wytwórnia chciała zrobić wideoklip, więc Montsy przyleciała do Londynu na sesję zdjęciową. W dniu kręcenia wideo Freddiemu gwałtownie spadła liczba białych ciałek we krwi i lekarze odradzali mu pracę, ale on zdawał już sobie sprawę z wagi czasu i był zdecydowany zrobić tyle, ile zdoła, póki nie zostanie zmuszony do poddania się. W tej sytuacji uznał, że absolutnie nic nie powstrzyma go przed zrobieniem tego wideoklipu. Uparł się, że prace przy filmowaniu pójdą zgodnie z planem.

Nowych sił dodał mu kolejny projekt, nagranie całego albumu z Montserrat Caballé. Kiedy tylko jej przeładowany harmonogram koncertów na to pozwalał, przylatywała do Londynu na popołudniowe lub wieczorne, wciąż dla niej dziwaczne sesje nagraniowe z nim.

Pod koniec października przyleciała na króciutką wizytę ze swą asystentką, kuzynką, również przezwaną Montsy. Freddie zabrał obie panie Montserrat, mnie, Phoebego i Mike'a Morana na kolację do ekskluzywnej i ultradrogiej restauracji Maxim's. Jednak restauracja nie dorastała do takiego spotkania. Była tak zatłoczona, jakby zaczęli w niej organizować obiady dla wycieczek. Muzyka była okropna i strasznie głośna, a kiedy Freddie zamówił jedynego szampana, jaki lubił – Vintage Crystal – nie mieli go.

W trakcie tego wieczoru Montsy starsza dyskutowała z Freddiem na temat formatu ich albumu. Potem zaczęli razem planować daty następnych wspólnych sesji. Freddie rzucił jakąś datę, a ona zwróciła się do Montsy młodszej:

– Gdzie wtedy będę? – spytała.

Montsy młodsza wyciągnęła kalendarz, odszukała datę i orzekła:

– Dajesz wtedy recital w Rosji.

– Aha – mruknęła Montsy starsza. Popatrzyła na Freddiego, machnęła niecierpliwie dłonią i rzuciła: – Odwołaj to.

Freddie otworzył usta ze zdziwienia.

– Nie możesz tego odwołać! – wyjąkał wreszcie.

– Mogę – powiedziała.

I odwołała. Freddie był wstrząśnięty jej postępowaniem i przez całe miesiące przypominał sobie tę historię.

Trochę później, kiedy skończyliśmy jeść, zapaliłem papierosa. Montsy starsza pochyliła się do mnie. – Jim, możesz mnie poczęstować papierosem? – spytała.

Freddie, chociaż wciąż jeszcze sam był palaczem, nie aprobował tego i próbował się wtrącić.

– Nie wolno ci palić – zawołał. – Zrujnujesz sobie głos!

– Nie, nie, nie! – odparła zapalczywie, zaciągając się papierosem. – Palę tylko czasami.

Freddie nie potrafił się pogodzić z myślą, że śpiewaczka operowa może narażać swój głos, paląc papierosy.

Współpraca Freddiego z Montserrat Caballé zaowocowała tak ogromnym sukcesem na listach przebojów na całym świecie, że Montsy zaczęła być oblegana przez fanów Freddiego. Opowiadała Freddiemu, że powodzenie płyty całkowicie ją zaskoczyło i że pierwszy raz w swej karierze w trakcie przechodzenia przez lotnisko została otoczona przez piszczących nastolatków.

Wielokrotnie chodziłem do Town House Studios, żeby być z Freddiem i Montsy w trakcie nagrywania przez nich albumu. Wszyscy oglądali ich w zachwycie, tylko ja – jak zawsze filistyński – nieco się znudziłem i wymknąłem do kuchni na drinka. Tam przedstawiono mnie jako „ogrodnika Freddiego" Marcie Brett, pracownicy studia. Była pulchną kobietą, którą spotkałem kilka razy przedtem.

– Jim, chcesz drinka? – spytała.

– Tak, proszę – odparłem. – Napijmy się po lampce wina.

Jedna lampka zmieniła się w dwie, potem w trzy, a potem otworzyliśmy drugą butelkę. W pewnej chwili do kuchni wpadł Terry i zawołał:

– Aaaa! Tu jesteś, Jim! Freddie cię szuka.

– Przekaż mu, że jestem tu z Martą – powiedziałem.

– Ale on chce jechać do domu! – wyjaśnił Terry.

– No cóż, jak tylko będę gotowy – rzuciłem.

Zwykle to ja pętałem się po studiu, czekając na Freddiego; tym razem role się odwróciły. Popijałem dalej z Martą. Pół godziny później Terry ponownie zajrzał do kuchni. Freddie wciąż czekał.

– Tym razem już pójdę, Marto – powiedziałem.

Freddie nie był przyzwyczajony do czekania na kogokolwiek i zdziwiło mnie, jak bardzo nauczył się cierpliwości. Choroba

wysysała z niego popędliwość, pozbawiała go możliwości kontrolowania wszystkich i wszystkiego wokół. Teraz, gdy nas naprawdę potrzebował, nie był już tak wymagający.

Pewnej nocy w sypialni – jakiś tydzień później – pokłóciliśmy się o obrączkę ślubną, którą mu kupiłem. Właśnie wróciliśmy z jakiegoś klubu i nagle zaczął mnie denerwować jego zwyczaj zdejmowania obrączki przy ludziach. Wyglądało to tak, jakby się wstydził ją nosić, a ja zaczynałem się czuć jak partner na pół etatu.

– Za każdym razem kiedy wychodzimy, zdejmujesz to cholerstwo. Dlaczego? – zaatakowałem go.

Freddie nic nie odpowiedział, tylko założył obrączkę na palec, pocałował mnie i poszliśmy spać. Po tej nocy Freddie zawsze nosił tę obrączkę i nie zdejmował jej nigdy, nawet w trakcie mycia.

Od tej pory nasz związek stał na bardzo solidnych podstawach, mimo że wciąż jeszcze trafiały się nam niewielkie kłótnie.

Mówiąc o Garden Lodge, Freddie zawsze określał go jako „nasz dom", powtarzając, że chce, żebym się czuł właścicielem domu na równi z nim.

To także twój dom – powtarzał.

Dla świętego spokoju zgadzałem się z nim, ale chyba nigdy w to nie uwierzyłem. Z pewnością był to „nasz dom", póki żył Freddie, lecz starałem się nie myśleć, gdzie będę mieszkał, kiedy bez Freddiego znów stanę się samotny.

Z nadejściem zimy w 1987 roku miałem coraz mniej pracy w ogrodzie. Z nudów pewnego dnia postanowiłem pójść na naukę jazdy. Żaden z nas w Garden Lodge nie umiał prowadzić, bo mając Terry'ego, nie musieliśmy. Pomysł ten przemówił do mnie – jako wyzwanie i odmiana.

Wykupiłem na próbę dwie godziny w British School of Motoring na Kensington High Street i pewnego poranka wymknąłem się

z domu, zanim inni wstali.

Obudziwszy się, Freddie jak zwykle wyjrzał przez okno, ale mnie nie znalazł. Spytał więc jedną ze sprzątaczek, gdzie jestem: nie miała pojęcia. Freddie nie cierpiał nie wiedzieć, gdzie kto jest.

Kiedy wreszcie wszedłem do domu, czekał na mnie.

– Gdzie byłeś, do cholery?! – wrzasnął.

– Na lekcji nauki jazdy – wyjaśniłem.

– A po co ci nauka jazdy?

– Właściwie po nic – odrzekłem. – Ale to jakieś wyzwanie, które mnie wyrwie z rutyny ogrodu, kiedy nie ma co robić. Poza tym miło sobie pomyśleć, że jak raz zdam egzamin, to będę miał prawo jazdy na zawsze.

Freddie przemyślał to i dał mi swoje błogosławieństwo na siedem tygodni nauki.

Nie wiem, co opętało Joego, ale na Gwiazdkę 1987 roku postanowił dać Freddiemu dwa koty.

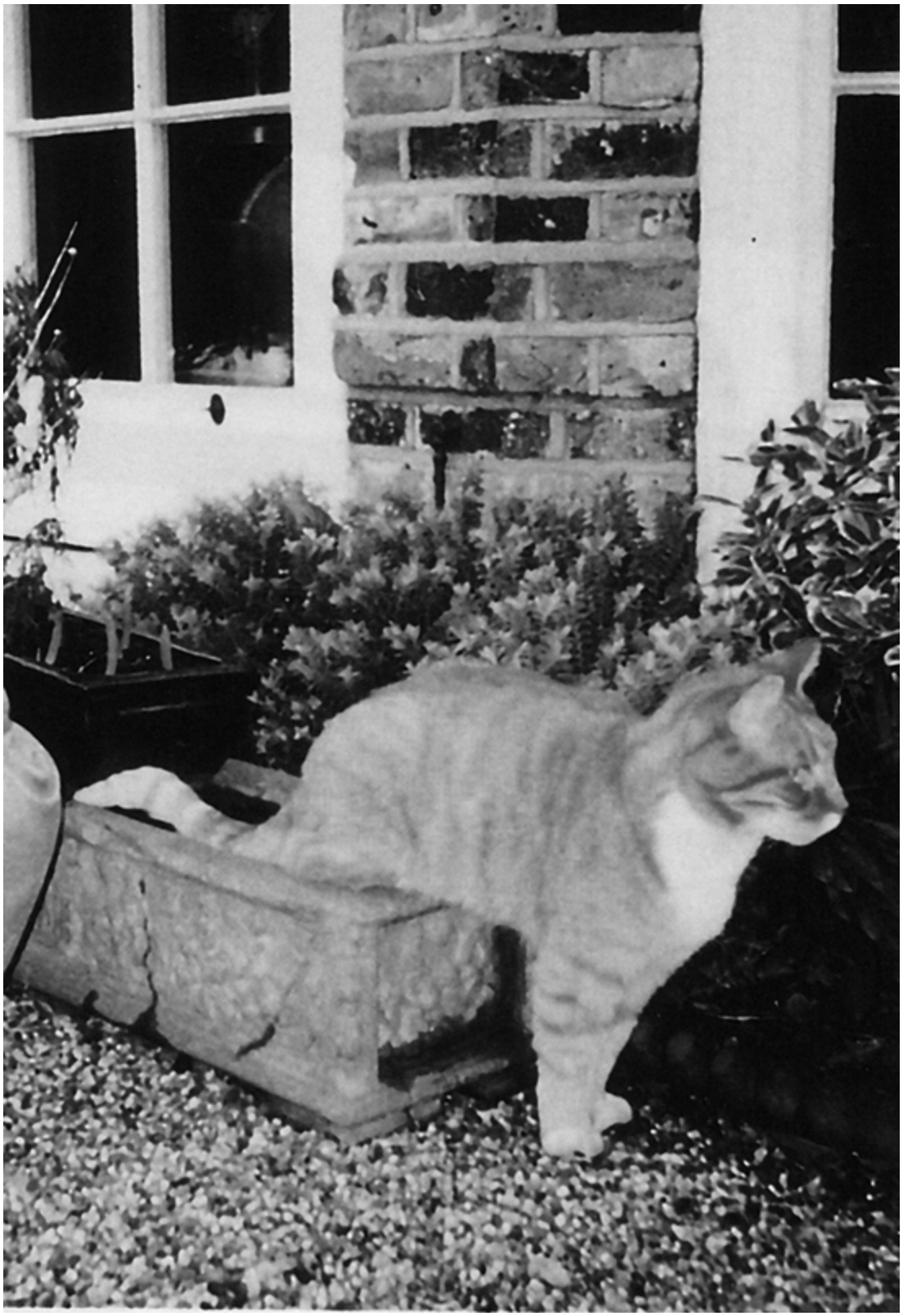

Oscar

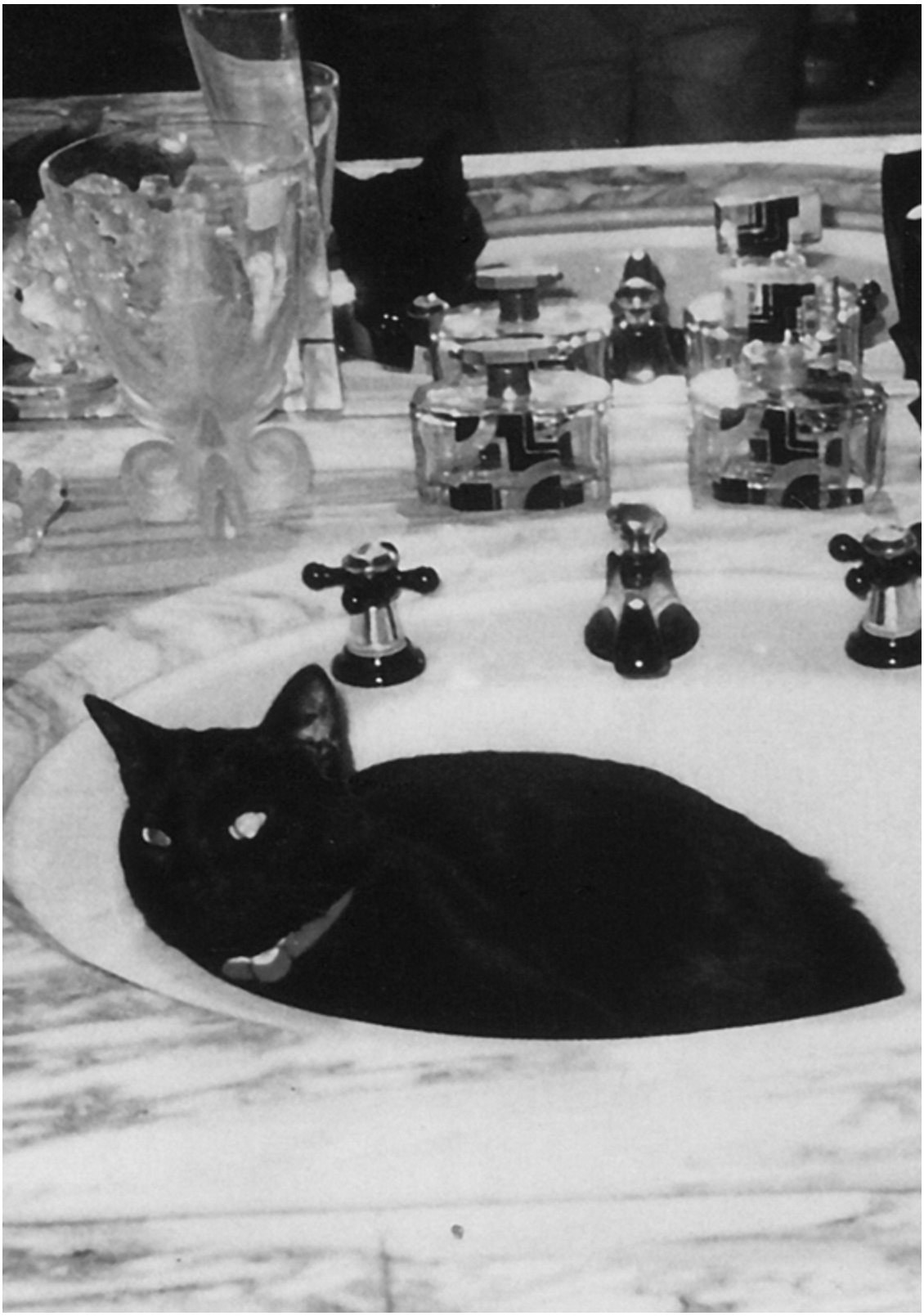

Goliat w jednym ze swych miejsc do spania

Sądzę jednak, że musiało to wyglądać tak: Freddie powiedział Joemu, że Garden Lodge jest tak duże, że nie miałby nic przeciw kilku nowym kocim pyszczkom w pobliżu jako dodatek do Oscara i Tiffany'ego. A gdyby jeden z tych nowych pyszczków okazał się mieć szylkretowe futerko, to tym lepiej. Joe zaczął poszukiwania szylkretowego kotka pod koniec października, po czym okazało się, że ostatnią nadzieją jest Szpital dla Zwierząt Błękitnego Krzyża w Victorii. Znalazł tam dwa idealne kociaki – jednego ze wspaniałymi łatami, a drugiego z cudownym ciemnobrązowym futrem.

Joe zadzwonił, że jedzie do domu taksówką z dwoma kotkami, a Freddie zaczął niecierpliwie chodzić w kółko po domu. Gdy Freddie zobaczył koty, natychmiast się w nich zakochał. Szylkretowa kotka była tłusta, puszysta i prześliczna, a brązowy kot wyglądał jak siedem nieszczęść. Jego pisk był ledwie słyszalny.

Już po chwili Freddie nie widział poza nimi świata. Kilka dni później nazwał łaciatą Delilah, a brązowego kota – omijając narzucającego się Samsona – Goliatem.

– Goliat! – wołał. – Wszyscy się dadzą oszukać! Będą automatycznie myśleć, że jeśli Delilah, to i Samson.

Freddie traktował koty jak swoje własne dzieci; ciągle je rozpieszczał i cackał się z nimi. Gdyby któremuś z kotów coś się stało pod nieobecność Freddiego, tylko niebiosa mogłyby nam pomóc. W ciągu dnia koty miały pełną swobodę ruchu po domu i w ogrodzie, a wieczorem jeden z nas spędzał je wszystkie do kupy i zabierał do domu. Pewnego dnia, gdy Freddie pracował w Town House Studios, nagrywając muzykę do albumu *Barcelona,* w Garden Lodge wybuchło pandemonium. Wieczorem okazało się, że nie ma Goliata. Poszukując go, Phoebe, Joe i ja obiegliśmy cały dom, zaglądając do wszystkich szaf, kredensów i szuflad. Potem

przeczesaliśmy ogród, ale tam również go nie znaleźliśmy. Rozszerzyliśmy więc poszukiwania na okoliczne ulice, ale po Goliacie wciąż nie było śladu.

Wiedzieliśmy, że jeśli Goliat nie będzie czekał w domu razem z innymi kotami, Freddie po powrocie dostanie białej gorączki. Szukaliśmy więc na okrągło, lecz aż do pojawienia się Freddiego tuż przed północą nadal go nie odnaleźliśmy.

Od razu się przyznaliśmy:

– Nie mamy pojęcia, gdzie jest Goliat. Nigdzie go nie możemy znaleźć – powiedział Joe.

Z wyglądu Freddiego można było poznać, że tego dnia w studiu wszystko szło pechowo. Tylko tego mu więc było trzeba. Tak bardzo zdenerwował się tym, co mogło się przydarzyć kotu, że był bliski łez. Kilka razy obiegł dom dookoła, wołając głośno Goliata. Wypytał nas, gdzie szukaliśmy, i podpowiadał inne miejsca. Ale my byliśmy pewni, że szukaliśmy wszędzie.

Freddie zaczął szaleć i w desperacji wyrzucił przez okno gościnnego pokoju piękne japońskie *hibachi,* to samo, którego tak długo szukaliśmy w Japonii.

Kiedy trochę ochłonął, zaczęliśmy omawiać inne możliwości działań. Joe zasugerował rozlepienie w okolicy ogłoszeń o zaginionym kocie, a Freddie powiedział, że dałby tysiąc funtów nagrody.

Wyszedłem do ogrodu, po raz ostatni wołając Goliata. Usłyszałem, że na Logan Mews zatrzymuje się samochód, a potem otwierają się i zamykają drzwi wejściowe. I wtedy dotarł do moich uszu cichuteńki pisk. Wybiegłem z domu i ruszyłem w tamtym kierunku. Goliat, drżąc z zimna, kulił się pod samochodem.

Podniosłem go i zabrałem do domu. Freddie wpadł w ekstazę. Przez dobre pięć minut tulił do siebie kociaka i głaskał go

pieszczotliwie. A potem, jak matka, skarcił kota za opuszczenie Garden Lodge. Kiedy Freddie na niego krzyczał, Goliat siedział grzecznie, spokojnie wysłuchując reprymendy. Cały czas głośno mruczał.

Zawsze gdy grzebałem w ogrodzie, Goliat wskakiwał mi na ramię i mrucząc mi w ucho, przyglądał się pracy.

Delilah była zupełnie inna. Ona była księżniczką w domu. Spośród wszystkich kotów w Garden Lodge Delilah była najulubieńszą pieszczoszką Freddiego; ją najczęściej brał na ręce i głaskał. Idąc spać, przynosił ją ze sobą, a ona zasypiała w nogach łóżka; dopiero potem wstawała na nocny obchód domu.

Delilah była bardzo rozpuszczonym kotem, uzależnionym od Freddiego we wszystkim, nawet jeśli chodzi o obronę przed resztą stada. Kiedy tylko się na nią rzucały, uciekała do naszej sypialni, która w ten sposób urosła do rangi kociego sanktuarium. Pod wieloma względami koty były dziećmi Freddiego – i tak też je wszyscy traktowaliśmy. Najmniejsze kocie kichnięcie czy kaszel, a już Freddie wysyłał nas z kotami do weterynarza na badania. A ponieważ obaj byliśmy staroświeccy i uprawialiśmy seks w intymnych warunkach, za każdym razem gdy się do siebie dobieraliśmy, Freddie rozglądał się, czy nie podglądają nas koty.

Tego roku gwiazdkowy posiłek zjedliśmy wraz z Joem i Phoebem w domu Mary, która przygotowała wspaniałe jedzenie ze wszystkimi szykanami. Potem odpoczywaliśmy, oglądając telewizję, i wymieniliśmy niewielkie upominki, które przynieśliśmy ze sobą z Garden Lodge. Główne prezenty miały być otwarte dopiero po powrocie do domu.

Ulubiona kotka Freddiego, Delilah, w swym miękkim gniazdku

Freddie zawsze uwielbiał torty urodzinowe: ten, o orientalnym posmaczku, był zdecydowanie szałowy

Podobnie jak wszystkim innym mnie także Freddie wraz z prezentem dał czek. Dołączył go do karteczki świątecznej, na której dziękował mi za opiekę, jaką go otaczałem przez cały ten

rok, i podpisał się: z wyrazami miłości. Ja podarowałem mu piękny zestaw do przypraw, wykonany z kryształu z Waterford. Wieczór sylwestrowy był znacznie mniej huczny niż zazwyczaj, a do Garden Lodge zaproszono ledwie garstkę najbliższych przyjaciół. Freddie wyraźnie zwalniał tempo życia, w miarę jak choroba niepowstrzymanie wysysała zeń soki, ale my wszyscy żyliśmy jak zawsze, dla dobra Freddiego udając, że nic się nie zmieniło.

Drugiego stycznia dostałem list informujący mnie o terminie egzaminu na prawo jazdy, którego się tak bardzo obawiałem. W dniu, kiedy miał się odbyć test, siedziałem rano z Freddiem i Mary.

– No cóż – powiedział nagle Freddie. – Miałem zamiar kupić ci na urodziny skórzaną kurtkę, ale jeśli zdasz egzamin, pomogę ci kupić samochód.

– Nie wygłupiaj się! – odparłem. – Bałbym się jeździć, nawet gdybym miał ostatnią ruinę.

Poszedłem na egzamin i zdałem, co mnie bardzo zaskoczyło. Chciałem się jak najszybciej podzielić tą miłą nowiną z wszystkimi w Garden Lodge, lecz podróż powrotna trwała ponad godzinę. Kiedy wreszcie dotarłem, Freddie siedział w hallu i czekał na mnie niecierpliwie.

– No i? – rzucił na mój widok.

– Zdałem – odparłem, sam nadal nie bardzo mogąc w to uwierzyć.

– Świetnie! – wykrzyknął, skoczył i uściskał mnie czule.

Tego wieczoru Freddie wydał niezaplanowane przyjęcie, którego przyczynę zaproszeni poznali właściwie dopiero tuż przed przyjściem. Posypały się drobne śmieszne prezenciki. Między innymi dostałem mały rysunek, na którym widać było parę na przednim siedzeniu samochodu, z podpisem „Melina i Jim". Jednak imiona te napisano w takiej kolejności, że wychodziło na to,

iż kierowcą jest Freddie. Niewielkie widziałem szanse na coś takiego. Freddie opowiedział mi, że poszedł kiedyś na lekcję nauki jazdy, ale trwała ona najwyżej dziesięć minut: przywitał się z instruktorem, wsiadł do auta, uruchomił silnik, zgasił i wysiadł. Zdumionemu instruktorowi oświadczył, że nie ma zamiaru zawracać sobie głowy.

W kilka dni potem siedziałem z Freddiem, Joem i resztą w kuchni. Wszedł Terry z dziwnym błyskiem w oku. Okazało się, że Freddie w tajemnicy kazał mu rozejrzeć się i znaleźć dla mnie odpowiednie auto. Freddie wywołał mnie z towarzystwa. Na stole były rozłożone lśniące prospekty volva 740 GLE kombi.

– Masz, wybierz sobie kolor – zwrócił się do mnie. Mówił poważnie.

Mary sądziła, że Freddie nie powinien mi kupować akurat tego samochodu. Uważała za niemądre, żeby mój pierwszy samochód był zupełnie nowy. Ja twierdziłem, że ma dużo racji, ale Freddie nie przyjmował tego do wiadomości.

– Na miłość boską! – powiedział do niej. – Przecież to jego prezent urodzinowy! Dostanie nowe auto i koniec!

Nazajutrz dał mi czek na pokrycie zaliczki na zamówienie volva, a Terry zawiózł mnie do salonu. Byłem tak podekscytowany! Ale kto by nie był? Przejrzeliśmy wszystkie kolory i modele, aż zdecydowałem się na antracytowy metalic z otwieranym dachem i czarną skórzaną tapicerką.

Pod koniec stycznia Freddie ponownie zaczął się spotykać z Brianem, Rogerem i Johnem w Town House Studios, gdzie pracowali nad nowym albumem, *The Miracle.* Freddie był szczęśliwy, mogąc znów nagrywać z resztą zespołu. W jego głowie powstało kilka nowych pomysłów, które nie dawały mu spokoju. Chciał je koniecznie wcielić w życie.

Freddie i Mike Moran pracowali też z chłopakiem Elaine Paige, tekściarzem Timem Rice'em, nad piosenką *The Golden Boy* do albumu *Barcelona.* Elaine powiedziała, że chciałaby nagrać album z piosenkami Queen, a Freddiemu bardzo się podobał ten pomysł. Niezwykle go ciekawiła jej interpretacja tych utworów.

Freddie i ja kilka razy spotkaliśmy się z Elaine i Timem. Kiedyś Tim zabrał nas do polskiej restauracji Wódka w Kensington, gdzie mają wszystkie najlepsze wódki na świecie. Freddie był w swoim żywiole. Wypróbował kilka różnych gatunków, a kiedy wychodziliśmy, ledwie niosły nas nogi. Do Garden Lodge dotarliśmy niemal na czworakach.

Ślub Rogera i Dominique Taylor odbył się dwudziestego piątego stycznia w Urzędzie Stanu Cywilnego dla Chelsea i Kensington. Freddie i Mary poszli na ślub jako świadkowie, podczas gdy w Garden Lodge Phoebe i ja pomagaliśmy Joemu w przygotowaniu niedużego przyjęcia po ceremonii. Była to bardzo radosna impreza, a kiedy goście już wychodzili, Freddie przytulił mnie i pocałował.

– Kochasz mnie? – spytał.

– Tak, kocham cię – odparłem. Objąłem go mocno i pocałowaliśmy się.

Potrzebował ciągłego zapewniania o mojej miłości i do samego końca co jakiś czas się o to dopytywał. Wiedział, że go kocham, ale koniecznie chciał to słyszeć. Mimo że świat był pełen tysięcy fanów, którzy go uwielbiali – chociaż nigdy w życiu nawet go nie spotkali – byłem jedyną osobą, o której miłości chciał wiedzieć. Sprawiało to, że czułem się kimś bardzo wyjątkowym. Jeszcze nigdy nikomu tak bardzo nie zależało na moich uczuciach. I naprawdę go kochałem.

W przeddzień walentynek w 1988 roku okropnie się pokłóciliśmy. Nie pamiętam, o co poszło, ale skończyło się na tym, iż położyliśmy

się spać, nie mówiąc do siebie ani słowa.

Następnego ranka wstałem bardzo wcześnie, zostawiając śpiącego Freddiego w łóżku. Pojechałem do New Covent Garden w południowym Londynie i kupiłem sześćdziesiąt róż Blue Moon. Były bladoniebieskie, dużo większe od zwyczajnych róż, i miały przewspaniały zapach. Gatunek Blue Moon był absolutnym ideałem i Freddie go uwielbiał.

Pojechałem do domu i ułożyłem róże w wiklinowym koszyku, po czym zaniosłem kosz wraz z filiżanką herbaty Freddiemu do łóżka.

– Dużo szczęścia z okazji walentynek! – powiedziałem.

Freddie wciąż był w złym humorze, odburknął więc coś tylko. Obudził się chyba w tym samym fatalnym nastroju, w jakim się położył. Zostawiłem więc róże, herbatę i Freddiego razem z tym jego humorkiem i poszedłem do pracy w ogrodzie.

Gdy Freddie wstał z łóżka około dziesiątej, przeniósł kompozycję z Blue Moon do hallu. Potem zaczęli się schodzić goście i wszyscy rzucali jakieś uwagi na temat ciekawej kompozycji w koszyku.

– A tak – odpowiadał Freddie. – Dał mi je mój mąż.

Więc jednak mimo wszystko był z kwiatów zadowolony. Powiedział mi to zresztą tego wieczoru w łóżku. Pocałowaliśmy się i pogodzili, a Freddie dał mi kartkę walentynkową.

Następne moje spotkanie z Montserrat Caballé połączone było z kolacją w Pontevecchio, gdzie w piętnaście osób zajęliśmy całą część restauracji, zestawiając stoliki. Włoscy kelnerzy nie wierzyli własnym oczom, kiedy się zorientowali, kto jest naszym honorowym gościem. Było tak miło, że po kolacji Freddie i Montsy zaśpiewali *Excercises in Free Love* i kilka innych kawałków.

Freddie i jego ludzie. Od lewej: Mary, ja, Mary Pike (jedna z pokojówek), Phoebe, Freddie i Joe

Pewnego ranka, kiedy wszedłem do kuchni po pracy przy stawie *koi,* popijający właśnie kawę Freddie przyjrzał mi się uważnie i spytał:

– Co się stało z twoim sygnetem?

Zerknąłem na rękę. Piękna obrączka Cartiera, którą Freddie kupił mi na urodziny, była mocno zgnieciona i porysowana. Musiałem ją zniszczyć w trakcie przesuwania głazów nad stawem.

– Widzisz, dlatego właśnie nie lubię nosić biżuterii – powiedziałem.

Praca w ogrodzie szkodziła obrączkom. Oddałem sygnet do naprawy, a potem nosiłem go tylko na specjalne okazje. Po pracy w ogrodzie zwykle zapominałem o jego włożeniu.

W kwietniu Freddie wystąpił pierwszy i ostatni raz w życiu w musicalu na West Endzie. Wziął udział w specjalnym, charytatywnym przedstawieniu *Time* Dave'a Clarka w Dominion Theatre. Wszystkie dochody z tego musicalu przekazano do Terrence Higgins Trust na badania nad AIDS.

Freddie wciąż bardzo niechętnie rozmawiał ze mną o swoim stanie zdrowia. Wiedziałem, że regularnie chodził na testy do swojego lekarza, doktora Gordona Atkinsona, i że spotykał się z wieloma specjalistami od AIDS. Ale wiedziałem też, że żaden z tych lekarzy nie potrafił dać dobrych wieści. Śmierć Freddiego była nieunikniona. Kwestią było tylko, jak długo zdoła utrzymać się przy życiu.

Pałac Duckingham

Wczesnym latem 1988 roku poleciałem z Freddiem na Ibizę na ciche dziesięciodniowe wakacje. Pojechali z nami Phoebe, Peter Straker i Graham Hamilton w charakterze zastępczego kierowcy, bo Terry był na urlopie. Zanim opuściliśmy Wielką Brytanię, Freddie zrobił piekło dealerowi Volvo w związku z terminem dostawy mojego samochodu. Zażądał, żeby auto było na miejscu, kiedy wrócimy.

W przeciwieństwie do naszych poprzednich wizyt te wakacje były kojąco ciche i spokojne – po raz pierwszy też nie zatrzymaliśmy się w hotelu Pike's. Freddie był już wyraźnie dużo słabszy i chciał uniknąć wszelkich intensywniejszych form życia towarzyskiego. Poza tym uważał, że hotel nie daje tej prywatności i intymności, jakiej teraz potrzebował. Żeby zniknąć z oczu prasie, pożyczyliśmy od Rogera Taylora jego willę i większość czasu spędzaliśmy, opalając się leniwie nad basenem, ukryci przed wścibskimi oczami.

Oczywiście wychodziliśmy z domu. Kilka razy wypuściliśmy się na zakupy do Ibizy, po ubrania i ceramikę do Logan Mews. Poza tym codziennie jadaliśmy w dobrych restauracjach. Brakowało nam tylko komfortu, jaki dałoby przywiezienie ze sobą kotów. Kiedy wróciliśmy do Garden Lodge, pierwszą rzeczą, jaką zrobił Freddie, było przytulenie wszystkich kotów, które czekały na nas w hallu.

Oczekiwała nas również wiadomość, że moje volvo jest gotowe do odebrania. Terry pojechał ze mną po samochód. Dostał przedtem od Freddiego dokładne instrukcje, żeby natychmiast zabrał mnie na autostradę. Po powrocie byłem nerwowym wrakiem.

Freddie pierwszy raz przejechał się volvem, kiedy pojechałem po niego do studia. Był bardzo nerwowym pasażerem, wciąż niezadowolonym z powodu mojego okropnego zwyczaju jechania „na ogonie" poprzednika i zatrzymywania się tuż za kimś. Za każdym razem gdy to robiłem, Freddie odruchowo wpierał się obiema rękami w deskę rozdzielczą. Nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo, ale i tak zawsze pilnowałem, żeby miał zapięte pasy. Nalegałem też, żeby w czasie jazdy nie zachodził między nami żaden kontakt fizyczny, bo obawiałem się, że to rozproszy moją uwagę.

W trakcie tej pierwszej, niezwykle ostrożnej przejażdżki z Freddiem wlokłem się do Garden Lodge, nie przekraczając szybkości dwudziestu pięciu mil na godzinę, bo ciągle mi się przypominał obrazek „Melina i Jim". Ale pojechałem do domu inną trasą niż ta, którą Terry zwykle odwoził Freddiego. Głównie dzięki pustym uliczkom okazała się szybsza.

– Dlaczego Terry nigdy mnie tędy nie wozi? – spytał Freddie. – Ta droga jest szybsza.

– Bo Terry jest przyzwyczajony do swojej drogi, a ja do swojej – wyjaśniłem, znów ujrzawszy oczami wyobraźni obrazek „Melina i Jim".

Tego roku znowu spróbowałem szczęścia w hodowli narybku *koi.* Rok wcześniej cały narybek wyzdychał, ale w tym sezonie przetrwało około dwudziestu rybek. Freddie bardzo interesował się ich losami, szczególnie upodobawszy sobie jedną z młodziutkich *koi,* która wyglądała wyjątkowo kiepsko; miała okropnie zdeformowany pyszczek. Freddie godzinami przesiadywał nad stawem. Uwielbiał karmić rybki, najbardziej ciesząc się, kiedy brały pokarm wprost z jego rąk.

Jeden z wolnych pokoi na piętrze był wykorzystywany przez Joego jako gabinet i w związku z tym wypełniony stertami książek. Pewnego ranka Freddie mnie zaczepił:

– Chcę, żebyś dla mnie coś zrobił, chociaż to może być dość trudne.

– Strzelaj – odrzekłem.

– Tak sobie myślałem o tym pokoju, którego Joe używa jako gabinetu – powiedział. – Byłbyś w stanie zrobić tam jakieś półki?

– Będę musiał o tym pomyśleć – odparłem. – A gdzie konkretnie chciałbyś je widzieć?

– Na ścianach dookoła – wyjaśnił. – Od podłogi do sufitu.

Wymierzyłem pokój i poszedłem do sklepu z drewnem, żeby zamówić materiał. Przyniosłem drewno do domu i porozkładałem w ogrodzie. Zaprojektowałem półki zachodzące na siebie w czterech zestawach, po dwa na dwie ściany pokoju Joego.

Po południu Freddie spytał mnie, co robię.

– Buduję te twoje regały.

– Nie musiałeś tak od razu – stropił się nieco.

– Nie przeszkadza mi to, i tak mam niewiele pracy – odparłem, wzruszając ramionami. W ten sposób przez kolejne trzy tygodnie miałem pełne ręce roboty. Co jakiś czas Freddie zaglądał do mnie i zadawał pytania, a ja go zbywałem.

Terry pomógł mi je zainstalować. Nawet w trakcie montażu Freddie nie dawał mi spokoju.

– Jesteś pewien, że będą pasować?

Pasowały idealnie. Były to pierwsze meble, jakie zrobiłem dla Freddiego, ale nie ostatnie.

Tydzień później Freddie odszukał mnie w ogrodzie.

– Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę – zaczął.

– Co to takiego?

– Zamówiłem farbę w tym samym kolorze co tapety w pokoju Joego. Mógłbyś pomalować te regały?

Oczywiście, że je pomalowałem. Kiedy już skończyłem, Freddie przyszedł obejrzeć dzieło i był wniebowzięty. Jednak – jak zwykle u niego – zachwyt ten trwał jeden dzień. Już wkrótce Freddie miał głowę pełną pomysłów na kolejne rzeczy potrzebne w domu.

Niedługo po zrobieniu regałów zraniłem sobie grzbiet w sadzawce. Nie byłem zadowolony z ustawienia kamiennej misy, do której ściekała woda przez ułożony na kamieniach bambus.

Wlazłem do stawu w butach rybackich i zaparłem się przy misie. Przesunąłem ją, ale przy okazji tak nadwerężyłem kręgosłup, że wyskoczył mi dysk i naruszył nerwy w lędźwiach.

Nie zgodziłem się na środki przeciwbólowe, bo obawiałem się, że bezwiednie podniosę coś zbyt ciężkiego, więc przez kilka tygodni chodziłem co dzień co fizjoterapeuty. Po serii wizyt dostałem od niego zestaw ćwiczeń. Wykonywałem je właśnie, leżąc na podłodze w Pokoju Japońskim, kiedy wszedł Freddie, uśmiechnięty jak kot Cheshire. Położył się obok mnie, spytał, jak się czuję i co robię. Wyjaśniłem mu.

Po kolejnym ćwiczeniu przewróciłem się na bok i znalazłem się twarzą w twarz z Freddiem, który szeroko się uśmiechnął i powiedział:

– Mam dla ciebie mały prezent!

Powoli otworzyłem małe pudełko Cartiera. Leżały w nim złote spinki do mankietów.

– Po co to? – spytałem.

– Och, chciałem po prostu coś ci kupić – odparł.

– Nie powinieneś marnować w ten sposób pieniędzy – powiedziałem.

Nie chciałem, żeby to zabrzmiało niewdzięcznie, ale tak właśnie często odbierałem przejawy jego niepowstrzymanej hojności.

Kupował różne rzeczy pod wpływem chwili, tym razem być może po prostu przeglądał katalog i nagle zobaczył coś, co mu się spodobało. Polecił więc Joemu iść do Cartiera i kupić spinki do mankietów dla swojego męża.

Innym razem miałem mnóstwo kłopotów z pasożytami, które niszczyły rośliny w cieplarni. Odwiedzający mnie przy pracy Freddie kilka razy pod rząd zastał mnie pogrążonego w lekturze poradników ogrodniczych i poszukującego przyczyny obumierania roślin. W końcu znalazłem odpowiedź – były to czerwone roztocza, zbyt małe, by je dojrzeć gołym okiem. Kupiłem więc lupę i za jej pomocą dostrzegłem wreszcie pasożyty – rośliny były nimi pokryte niemal w całości.

Dwa dni później, kiedy się kładłem do łóżka, Freddie dał mi jakieś pudełko. Otworzyłem je i znalazłem przepiękną, oprawioną w srebro lupę i srebrny nóż do papieru.

– No cóż, chciałem tylko, żebyś widział te robalce – wyjaśnił.

Tej jesieni w wyjątkowo parszywy, mokry dzień spotkałem po raz pierwszy rodziców Freddiego, Bomi i Jera Bulsarów. Przyjechali do Garden Lodge na obiad. Freddie był ogromnie podobny do matki, drobnej damy o czarnych, siwiejących włosach i ślicznym uśmiechu.

W tym czasie Logan Mews i ogród były w okropnym stanie, pełne dziur wykopanych pod fundamenty i stert ziemi. Byłem w ogrodzie, gdy Freddie przyniósł mi filiżankę kawy, prowadząc za sobą mamę i tatę. Nie powiedział im o naszym związku.

– Gdyby cię zapytali, gdzie śpisz, powiedz, że w Różowym Pokoju – poinstruował mnie.

Parę minut później, kiedy ich już oprowadził po Mews, dosłyszałem, że pytają o mnie.

– Kim jest ten człowiek?

– To mój ogrodnik – odrzekł Freddie.

– A gdzie on mieszka?

– Tutaj, oczywiście.

Tego dnia nie rozmawiałem z rodzicami Freddiego, ale później spotykałem ich wiele razy i świetnie się rozumieliśmy. Woziłem Freddiego w odwiedziny do ich małego domku z tarasem w Feltham, Middlesex. Siedzieliśmy razem z nimi w kuchni i popijaliśmy herbatę.

Pani Bulsara zawsze przygotowywała herbatę w swoim własnym tempie, na zasadzie – co nagle, to po diable. Była bardzo niezależna i nadal wszędzie jeździła swym małym samochodzikiem.

Dom Bulsarów był bardzo przytulny. Freddie mieszkał w nim od czasu, kiedy cała jego rodzina przeniosła się do Wielkiej Brytanii – pochodzili z Zanzibaru i przed osiedleniem się w Anglii w 1964 roku najpierw przenieśli się do Indii. Nie sądzę, żeby w tym domku nadal trzymano pokój sypialny dla Freddiego, nie było też widać żadnych jego zdjęć. Freddie kiedyś zaproponował rodzicom, że kupi im większy dom, ale odmówili. Widać było, że są zadowoleni z tego co mają.

Ojciec Freddiego był bardzo dumny ze swego ogrodu. Kiedyś oprowadził mnie po nim. Miał niebywale ukształtowane drzewko eukaliptusowe i wiele cudownych starych róż. Stojąc obok takiego krzewu, powiedział z cieniem żalu w głosie:

– Szkoda, że ich życie dobiega już kresu...

Dotąd się zastanawiam, czy chciał mi w ten sposób powiedzieć, że wie o bliskim końcu Freddiego.

Nie przypominam sobie, żeby Freddie powiedział swym rodzicom, że jest chory, ale z biegiem czasu coraz trudniejsze by było ukrycie tego faktu. Z każdym dniem był coraz chudszy. Jego matka z pewnością wiedziała, że jest bardzo chory. Myślę, że Freddie powiedział im w końcu prawdę, ale nie zrobił tego w obecności nikogo z nas.

Freddie jeździł na herbatę do swej matki co czwartek po południu i rzadko kiedy wracał z pustymi rękami. Jego mama robiła cudowne herbatniki serowe i pakowała je dla niego do małego pudełka na drugie śniadanie. Na jednej z ostatnich fotografii jakie opublikowała prasa, Freddie został uchwycony przed Garden Lodge z pudełkiem maminych herbatników pod pachą.

Tego samego roku poznałem siostrę Freddiego, Kashmirę, kiedy wpadła z rodziną na parę dni i zamieszkała w Mews. Od razu było widać, że jest jego siostrą – mieli takie same wielkie piwne oczy. Jej córka, Natalie, była słodkim stworzeniem z wielkim temperamentem, a przyjechała z niemowlęciem, synkiem.

Rodzina była bardzo ważna dla Freddiego – będąc gdzieś na wyjazdach, zawsze pamiętał o wysłaniu kartek do rodziców i siostry.

Uwielbiał też piękne meble. Pewnego dnia zakochał się w cudownym stoliku do kawy z drewna i szkła, wykonanym przez mistrza stolarskiego w japońskim stylu, za którym oczywiście Freddie szalał. Jedynym problemem była cena – około dwóch tysięcy funtów. W końcu Freddie uznał, że to za dużo, i zrezygnował z kupna.

Niewiele później powiedział do mnie:

– Chybabyś potrafił zrobić taki stolik, co? Zapłaciłbym ci.

Moja rodzina w Irlandii to budowniczowie i stolarze, pomyślałem więc, że gdybym im wysłał zdjęcie oryginału,

zrobiliby stolik w formie elementów do składania, a ja musiałbym tylko to wszystko poskładać, zamówić szybę i ją wkleić. Ale potem postanowiłem, że zrobię to wszystko sam, zacząłem więc poszukiwać książek o robieniu mebli.

Kupiłem kilka narzędzi i ruszyłem do pracy w warsztacie. Pierwszy stolik zrobiłem z sosny, a miał powierzchnię jakichś trzech stóp kwadratowych. Jak na pierwszą próbę wyglądał całkiem nieźle. Kiedy już skończyłem stelaż, poszedłem do szklarza i zamówiłem szklaną płytę. Nadeszła w grubym opakowaniu. Freddie, który czekał na nią niecierpliwie, pierwszy się zorientował w moim błędzie. Wszystkie moje wyliczenia opierały się jeszcze na miarach imperialnych, a całkowicie nowoczesny szklarz operował już skalą metryczną. W ten sposób nic do siebie nie mogło pasować. Zamówiłem niechcący kawałek szkła o powierzchni dziewięciu cali kwadratowych.

– Co za głuptas! – naśmiewał się ze mnie Freddie.

Poszedłem z powrotem do szklarza, a ten wykonał zlecenie w terminie ekspresowym. Dostarczona tym razem tafla pasowała idealnie i Freddie był zachwycony rezultatem. Jednak nie podobała mu się goła sosna, poprosił mnie więc o pomalowanie stolika na czerwonobrązowy kolor. Sam wymieszałem farby i w końcu dłużej malowałem stolik, niż go robiłem. Freddie czerpał ogromną przyjemność z faktu, że zrobiłem stolik specjalnie dla niego.

Znów pojechaliśmy na Ibizę na wakacje, ale tym razem Freddie był hiperaktywny – po prostu nie można go było powstrzymać. Znowu obowiązywało hasło: „Kupuj do upadłego!". Szczególnie poszukiwał wyrobów ceramicznych do Logan Mews, które – jak postanowił – miały mieć charakter hiszpański.

Wiele mil w głąb Ibizy znaleźliśmy ogromny magazyn zapełniony po sufit półkami z wyrobami ceramicznymi. Kiedy

weszliśmy, Freddie spytał mnie, co sądzę o wyłożonym towarze.

– Śmiecie dla turystów – odparłem bez namysłu, nieświadom, że brytyjski właściciel stoi za moimi plecami. Freddie znalazł tam kilka ślicznych rzeczy, więc poczułem się jak idiota. Były to między innymi emaliowane lampy z żółtej terakoty, jednej z najulubieńszych barw Freddiego. Już w domu Freddie zabrał lampy do Mews, ale nie mógł znaleźć dla nich miejsca.

– Umiałbyś zrobić dla nich stoliczki? Takie podstawki, potrafisz? – spytał.

Wkrótce znów więc miałem pracę stolarską. Zrobiłem je z sosny i sklejki, pomalowałem i wykończyłem szklanymi blatami. Zabrałem je do Mews i właśnie je ustawiałem, gdy wszedł Freddie.

– Co ty ciągle robisz? – spytał. – Od kilku dni właściwie cię nie widuję.

Wskazałem stoliczki i powiedziałem:

– To robiłem.

– Niemożliwe! Ty je zrobiłeś? – zapytał z niedowierzaniem i podszedł je obejrzeć.

– A tak – odrzekłem. – Ja je zrobiłem.

Obejrzał je dokładnie i pocałował mnie.

Wkrótce powrócił do mnie z prośbą o wykonanie stolika do naszej sypialni. Potrzebna mi była w warsztacie obrabiarka do wytoczenia nóg, więc Freddie mi ją kupił. Nogi stołowe były koszmarem. Kilka razy próbowałem je wytoczyć i za każdym razem wychodziły źle. Na koniec oszukałem i kupiłem cztery kołki balustradowe. A potem przez niemal miesiąc polerowałem i politurowałem stolik.

Kiedy go dałem Freddiemu, był zachwycony. Powiedział, że wie dokładnie, gdzie należy postawić coś tak pięknego – zaraz za drzwiami sypialni, żeby można było wystawić na nim zdjęcia

i bibeloty. Robienie dla Freddiego takich rzeczy przyniosło mi odpowiedź na dręczące mnie od zawsze pytanie, co dać komuś, kto ma wszystko. Wykonane przeze mnie ręcznie przedmioty sprawiały Freddiemu największą przyjemność.

Niemniej moją największą miłością pozostał ogród. Robiłem co można, żeby był dla Freddiego jak najwspanialszy. Pewnej niedzieli przed lunchem pieliłem trawę, a Freddie, który czekał na nadejście gości, przyszedł zobaczyć, co robię. Zapragnął też wykopać osobiście kilka chwastów spomiędzy zdziebeł trawy, więc po chwili obaj klęczeliśmy na trawniku, poszukując intruzów. Zaczęli nadciągać goście i wszyscy po kolei przyłączali się do nas na rozkaz Freddiego. Zanim lunch był gotowy, na trawniku na czworakach pełzało kilkanaście osób.

Dotrzymując słowa, Freddie zostawiał w moich rękach wszystko, co się wiązało z ogrodem. Od czasu do czasu rzucał jakieś dziwaczne sugestie, ale ja zachowałem na zawsze prawo weta. Moim zadaniem było upiększanie ogrodu, co roku więc eksperymentowałem z nowymi roślinami i kolorami. Freddie zawsze wpadał w zachwyt, widząc rezultaty, ale jako najbardziej niecierpliwy człowiek na świecie, spodziewał się, że wszystko rozkwitnie po jednym słonecznym dniu.

Tylko jeden raz postawił w ogrodzie na swoim wbrew mojej opinii. Przyszedł kiedyś do mnie i poprosił, żebym posadził szklarniową azalię na rabatce składającej się z ogrodowych azalii w tym samym kolorze. Ponieważ taka azalia nie pasowałaby do otoczenia, odmówiłem. Nieco później, kiedy piłem kawę w kuchni, Freddie wszedł rozchichotany. Wiedziałem, że coś kombinuje, ale nie chciał mi powiedzieć co. Dopiero po kilku dniach znalazłem wśród azalii przybysza. Posadził tę szklarniową azalię za moimi plecami.

Tego lata pojechaliśmy na urlop do Montreux w Szwajcarii. Freddie czuł się tam jak u siebie, bo często pracował w tamtejszym studiu przez trzy lata przed naszym poznaniem. Zawsze wynajmował dom nad jeziorem, który nosił nazwę The Cygnets z powodu dużej liczby łabędzi na jeziorze widocznym z okien. Freddie nazywał tę posiadłość Duck House (Kaczy Dom), a Roger Taylor posunął się jeszcze dalej, wymyślając przezwisko Duckingham Palace (Pałac Duckingham). Dom wyglądał jak bardzo elegancki bunkier, do połowy schowany pod ziemią, ze świetlikami na jednej ścianie i fenomenalnym widokiem wody.

Freddie był bardzo zrelaksowany. Myślę, że czyste górskie powietrze dobrze mu robiło. Montreux było jednak chyba zdrowszym miejscem do życia niż Londyn. Tak jak w Londynie, spędzaliśmy większość czasu przytuleni na sofie i oglądaliśmy telewizję. Codziennie wychodziliśmy na spacery wokół jeziora, przyglądając się łabędziom.

Po powrocie do Londynu wpadliśmy w środek niezdrowej aktywności w Garden Lodge w związku z nadciągającym powiększeniem Rodziny. Mary znalazła prześliczną szylkretową kotkę. Freddie miał już szylkretową kotkę, Delilah, ale futerko tej nowej było zupełnie inne. Wszyscy natychmiast zaczęliśmy ją rozpieszczać, lecz od pozostałych kotów nie dostała tak gorącego powitania. Goliat tak się jej bał, że uciekał na jej widok, a Delilah prychała. Oscar i Tiffany po prostu ją ignorowali.

Kotka została nazwana Miko. Po pewnym czasie przekonała do siebie Goliata, a nawet Delilah. Często schodząc rano na dół, znajdowałem całą trójkę śpiącą razem w jednym koszyku. Wkrótce tak się zaprzyjaźniły, że Delilah myła Miko, wylizując jej futerko.

Podobnie jak bal noworoczny, przyjęcie urodzinowe Freddiego we wrześniu było o wiele spokojniejsze niż we wcześniejszych

latach. Ot, po prostu przyjęcie w ogrodzie koło domu. Zanim się zaczęło, dałem Freddiemu prezent – antyczną srebrną szkatułkę na biżuterię.

Wśród gości byli Roger Taylor i członkowie jego zespołu The Cross, czyli wstępu do jego kariery solowej. Chłopcy z The Cross byli okropnie hałaśliwi i ich rubaszne zachowanie bardzo drażniło Freddiego. Kiedy wreszcie wyszli, był wyraźnie zadowolony.

– O rany, co za typy – powiedział. – Już tu nigdy nie przyjdą.

Jakiś czas później poszliśmy na kolację do Pontevecchio z Mary i Dominique Taylor. Tuż przed końcem kolacji podeszła do nas kobieta sprzedająca pojedyncze róże. Kupiłem trzy; jedną dałem Dominique, drugą Mary, a trzecią Freddiemu. Był strasznie zaambarasowany tym moim publicznym okazaniem uczuć, ale później, w sypialni, podziękował mi za różę i namiętnie pocałował.

Ósmego października 1988 roku Freddie i Montserrat Caballé wystąpili w Barcelonie w La Nit Festival na cześć przyjęcia przez Barcelonę flagi olimpijskiej. Stanowili ukoronowanie nabitego gwiazdami galowego przedstawienia. Występowali tam: Spandau Ballet, Suzanne Vega, José Carreras, Jerry Lee Lewis, Dionne Warwick i Rudolf Nurejew, który również umierał na AIDS. Gala odbywała się na placu Zamkowym przed Fontanną Światła i Dźwięku w obecności króla i królowej Hiszpanii, Juana Carlosa i Sofii oraz ich córki, księżniczki Christiny. Freddie i Montsy zaśpiewali *How Can I Go On, The Golden Boy* i *Barcelonę* z towarzyszeniem orkiestry i chóru Opery Barcelońskiej. Jednak mimo szaleńczego aplauzu publiczności Freddie nie uważał tego wieczoru za sukces, ponieważ nagle zaczął przeżywać koszmar, jakiego obawiają się wszyscy śpiewacy – stracił głos.

Na miejsce przywieziono specjalnym samolotem przedstawicieli brytyjskiej prasy, którym Freddie obiecał duży wywiad, ale w dniu

przedstawienia zresztą nie po raz pierwszy, Freddie miał poważne problemy ze strunami głosowymi. Był w okropnym stanie i wyraźnie nie miał nastroju do udzielaniu błyskotliwego obszernego wywiadu prasowego. Choć niechętnie, jednak odwołał spotkanie z dziennikarzami. Oczywiście w nieunikniony sposób spowodowało to kolejne prasowe spekulacje na temat jego zdrowia.

Przez cały dzień Freddie nie mógł sobie znaleźć miejsca, tak bardzo się denerwował, czy jego głos wytrzyma koncert. W końcu, niemal z rozpaczą, podjął decyzję, że wraz z Montsy będą śpiewać z playbacku. Poza zupełnym odwołaniem występu nie było już żadnej alternatywy. Ubierając się we frak w pełniącym funkcję garderoby namiocie za sceną, był już kłębkiem nerwów.

Do jego występu pozostało jeszcze trochę czasu. W trakcie jednej z przerw Freddiego zabrano na spotkanie z hiszpańską parą królewską, z którego powrócił w nieco lepszym nastroju. Jeszcze bardziej poprawił mu się humor, gdy natknął się za sceną na Dionne Warwick. Opowiadał mi, że była jednym z idoli jego dzieciństwa i że uważał ją zawsze za jeden z największych kobiecych głosów.

Kiedy wreszcie Freddie i Montsy wyszli na scenę, wszystko zaczęło iść źle. Taśmę z ich playbackiem zaczęto odtwarzać za wolno i trzeba było ją zatrzymać, po czym nastąpiła cisza, potrzebna na przewinięcie nagrania do początku. W ten sposób wszystko od razu się wydało.

Po tym potknięciu Freddie dostał szału. Jakoś się przedarł przez pierwszy utwór, po czym skoczył za kulisy, żeby skopać pierwszą napotkaną osobę. Już po występie, w garderobie, wciąż jeszcze był tak wściekły, że wlał w siebie jednym haustem ogromną porcję

wódki. Miał ochotę pomordować dźwiękowców, którzy przezornie trzymali się od niego z daleka.

Freddie wychynął ze swego namiotu ubrany w sportowy dres i mimo katastrofalnego wieczoru przywołał na twarz uśmiech. Miał przecież jeszcze spotkać się z notablami z Hiszpańskiego Komitetu Olimpijskiego. Cały wieczór oczywiście zakończył się sztucznymi ogniami, które – jak twierdził Freddie – Hiszpanie uwielbiają. Potem, w hotelu, mieliśmy jeszcze małe prywatne przyjęcie. Dużo później, już w łóżku, Freddie nadal nie przestawał opowiadać o swym spotkaniu z królem Juanem Carlosem.

Dwa dni po występie w Barcelonie Freddie musiał już być w Londynie na uroczystości z okazji wydania albumu *Barcelona* i singla *The Golden Boy.* Na odbywające się w Covent Garden przyjęcie miała na krótko wpaść Montsy. Opowiadano, jakoby na powitanie Montsy Freddie zorganizował reklamę albumu przy autostradzie M4, ale to nie była prawda. Powiedział mi później, że żałuje, iż o tym nie pomyślał.

Freddie czekał na Montsy w hallu Covent Garden. Joe, Phoebe i ja wyślizgnęliśmy się na zewnątrz, żeby wybadać atmosferę. Wszędzie byli fotoreporterzy. Po przyjeździe Montsy przedarła się jak pług przez tłum, roztrącając ludzi na wszystkie strony.

Pojechałem do Irlandii na dwa tygodnie w odwiedziny do rodziców. Kiedy mnie nie było, Freddie tak się nudził, że poleciał na parę dni do Monachium w towarzystwie Phoebego i Petera Strakera.

Wróciłem do Garden Lodge w niedzielę i dowiedziałem się od Joego, że Freddie jest oburzony stanem ogrodu. Podczas mojej nieobecności cały ogród pokrył gruby dywan liści, co bardzo mu się nie spodobało.

Następnego dnia od razu się do tego zabrałem. Potem usłyszałem, że Freddie chce, żebym do niego dojechał. Poleciałem. Freddiego brało przeziębienie i był w złym humorze. Rozdarł się na mnie od progu.

– Co to ma znaczyć? Podobno nie porządkujesz ogrodu! Jest w okropnym stanie, wszędzie są liście!

– Wiesz, że byłem w Irlandii przez dwa tygodnie – odparłem spokojnie. – Przecież nie potrafię grabić liści w Garden Lodge z Irlandii.

– No, słyszałem po prostu, że nie wykonujesz swojej pracy – dopowiedział już bez przekonania.

Ktoś w Garden Lodge wyraźnie próbował namieszać.

Gdy Freddie już ochłonął, poszliśmy wszyscy na kolację w hotelowej restauracji. W planach było jeszcze spotkanie z Barbarą Valentin i pijaństwo w barach „Trójkąta Bermudzkiego", dawnym rewirze Freddiego. Ale nie chciał iść, bo zaczynał być ospały od przeziębienia i postanowił wcześnie się położyć. Phoebe i ja nie chcieliśmy go zostawiać samego, jednak nalegał, żebyśmy poszli na spotkanie z Barbarą.

Tego wieczoru świetnie się bawiliśmy. Nie wróciliśmy specjalnie późno, ale za to bardzo pijani. Pod drzwiami pokoju hotelowego zmitrężyłem mnóstwo czasu, poszukując karty kodowej, a i tak w końcu usiłowałem otworzyć drzwi kartą kredytową.

Freddiego obudziły wszystkie te hałasy. Był rozdrażniony i oskarżycielskim głosem zaczął tyradę. Przepraszaliśmy go, lecz nie chciał słuchać. Kiedy wreszcie wylądowałem w sypialni, rzucił:

– Źle się czuję. Wy sobie idziecie i świetnie się bawicie, a ja jestem chory. Przynajmniej ty mogłeś się wykazać delikatnością i zostać.

– Przecież to proponowałem – odrzekłem, ale nie udało mi się go przekonać.

Był w fatalnym nastroju. Patrząc wstecz, myślę, że przyczyną tego było coraz większe uleganie chorobie. Popadał we frustrację i wyładowywał się na mnie. Wtedy jednak nie rozumiałem tego i brałem wszystko do siebie. W efekcie wybuchła między nami straszna kłótnia.

Powiedzieliśmy sobie okropne rzeczy, jak to w kłótni – rzeczy, których naprawdę nie myśleliśmy. Zaczęła się walka o to, kto kogo bardziej zrani. I tym razem Freddie wygrał.

Potem się pogodziliśmy i leżeliśmy obok siebie na łóżku. Płakałem. Pierwszy raz, od kiedy opowiedział mi o swej chorobie, Freddie wspomniał o swej śmierci. Zadał mi jakieś dziwaczne pytanie, którego sens brzmiał:

– Co będziesz robił, kiedy umrę?

– Nie wiem – odrzekłem, wciąż płacząc. – Nie potrafię sobie z tym poradzić.

– A jak myślisz, co ja czuję? – spytał.

Zerknąłem na niego. On również płakał.

Przytulił się do mnie i razem cicho płakaliśmy, obejmując się mocno, szukając w sobie oparcia. Po kilku minutach wstałem i poszedłem do łazienki, gdzie zrobiłem coś bardzo dziwnego: zgoliłem wąsy.

Kiedy wróciłem do łóżka, Freddie był zaszokowany. Nigdy nie widział mnie bez wąsów i wiedział, że je uwielbiam. Obaj zawsze byliśmy pewni, że ich nigdy nie zgolę. Był to rodzaj poświęcenia na znak, jak bardzo mu współczuję.

Znowu się przytuliliśmy i Freddie wkrótce zasnął. Ja nie mogłem. Prawie całą noc leżałem i płakałem, nie mogąc przestać myśleć

o chorobie Freddiego i jego nieuniknionej śmierci. Co zrobię, kiedy on umrze? Nie miałem pojęcia.

W Garden Lodge wiele razy płakałem w samotności, myśląc o Freddiem i jego chorobie, ale zabezpieczałem się zawsze, żeby Freddie tego nie zauważył. Szedłem do łóżka i płakałem, póki nie zmorzył mnie sen. W ciągu dnia udawało mi się spychać złe myśli gdzieś w tył głowy, ale w ciszy nocy powracały i nie dawały mi spokoju.

Wróciliśmy do Londynu, lecz Freddie nie potrafił usiedzieć dłużej w jednym miejscu, więc znów pojechaliśmy na krótko do Montreux. W czasie tej wizyty Freddie ponownie szalał z zakupami. Bardzo się zainteresował prostą białą porcelaną w witrynie mijanego właśnie sklepu. Zapytał mnie, dlaczego ta porcelana jest niepomalowana. Nie miałem pojęcia, więc nazajutrz wybrałem się do tego sklepu i spytałem. Sprzedawca wyjaśnił mi, że te naczynia są po prostu niewykończone. Wzory nakłada się delikatnie dopiero wtedy, gdy klient złoży zamówienie. Opowiedziałem Freddiemu o wynikach mojego dochodzenia.

Okazało się, że właścicielem sklepu jest sławny artysta ceramik, specjalizujący się w porcelanie. Nazywał się George Misere Shrira. Oczywiście wróciliśmy do jego sklepu. W trakcie wizyty w sklepie znaleźliśmy kilka niewiarygodnie pięknych wyrobów, między innymi porcelanę z Limoges, produkowaną we Francji. Kupiliśmy kilka tac i jeszcze parę drobiazgów, a Freddie spytał, czy mistrz zgodzi się na każdy wzór zamówiony przez klienta. Właściciel przytaknął. Wtedy Freddie zamówił dwie wielkie lampy stojące z królewskimi herbami. Kiedy dotarły do Garden Lodge, Freddie był nimi zachwycony. Całą naszą porcelanową eskapadę opisał „The Sun", ale ze swą zwykłą dokładnością doniósł, iż Freddie zakupił obiadowy serwis porcelanowy na trzydzieści sześć osób.

Po przyjeździe do Londynu poszliśmy na przyjęcie urodzinowe Petera Strakera, odbywające się w nocnym klubie Xenon na Piccadilly. Byli tam Tim Rice i Elaine Paige, a Freddie spotkał jeszcze Fay Treadwell z zespołu Drifters.

Zaczęliśmy się przygotowywać do Bożego Narodzenia. Wszyscy dekorowali dom, a ja upiększałem ogród, postanowiwszy zrobić z niego coś w rodzaju Zimowej Krainy Czarów. Wśród gałęzi magnolii rosnącej przy bramie zawiesiłem maleńkie lampki. Freddiemu tak bardzo się podobały, że już nigdy ich nie zdjąłem. A on nalegał, żebym takie same lampki zawiesił na drugiej magnolii, którą widać było z okien sypialni. Ja jednak stale odmawiałem, twierdząc, że to już by było za wiele i że ogród zacząłby wyglądać jarmarcznie. Uważałem, że nie należy przesadzać.

W domu mieliśmy mnóstwo kłopotu z choinką. Została specjalnie zamówiona, a kiedy ją wreszcie ustawiliśmy na miejscu i przybraliśmy, zaczęła gubić igły. Po dwóch dniach mieliśmy kompletnie łyse drzewko.

Freddie uważał to za znakomity dowcip, ale mnie nie było tak do śmiechu. Przecież święta dopiero nadchodziły, a choinka wyglądała żałośnie. Dopadłem dostawcę i poleciłem mu przywieźć inne drzewko, a wtedy Freddie zaczął się ze mną drażnić, twierdząc, że wolał ten ogryzek.

W dniach bezpośrednio poprzedzających święta Goliat zaczął sobie wynajdywać naprawdę dziwaczne miejsca do spania. Zawsze znikał z widoku, kiedy odwiedzali nas goście, ale pewnego wieczoru zniknął na dobre. Gdy po wielu godzinach wciąż go nie było, Freddie zaczął się denerwować. Czyżby Goliat znów gdzieś wywędrował, jak wtedy gdy Freddie chciał dawać tysiącfuntową nagrodę za jego odnalezienie? Zaczęliśmy go szukać. Poszedłem na górę i przeszukałem obie sypialnie. Nie było go tam. I nagle

zauważyłem go śpiącego w jacuzzi. Wyglądał tak niewinnie i spokojnie, że zostawiłem go i pobiegłem na dół do Freddiego.

– Chodź! – powiedziałem. – Musisz to zobaczyć.

Freddie poszedł ze mną, zerknął na Goliata na marmurowym dnie wanny i wybuchnął histerycznym śmiechem. Jacuzzi na zawsze już pozostało ulubionym miejscem drzemki Goliata – do kompletu z koszem na brudną bieliznę.

Kiedy Mary przyszła do Garden Lodge w Boże Narodzenie 1988 roku, spojrzała lekko spłoszona na gigantyczną górę prezentów pod choinką i żartem wskazała na największy prezent.

– To pewnie dla mnie – powiedziała.

– Masz rację, moja droga – zaskoczyła ją odpowiedź Freddiego.

Mary rozdarła papier i zamarła z zaskoczenia. Freddie kupił jej bajecznej urody torebkę Cartiera.

Freddie zawsze się starał, żeby prezenty dla mnie były niespodziankami, a już tego roku przeszedł sam siebie. Zrobił, co było możliwe, żeby mnie zwalić z nóg. Terry został wysłany po starannie wybrane pomoce ogrodowe – czy też raczej ich parodie. Dostałem więc wtedy: biały (biały!!) kombinezon do prac ziemnych, parę kaloszy za dużych na słonia i łopatę z polerowanej nierdzewnej stali. Wszystkie podarki były starannie opakowane w taki sposób, że nawet łopata nie wyglądała na łopatę. Freddie uważnie przyglądał się, jak rozpakowuję prezenty. Każdy mój chichot wprawiał go w zachwyt, po czym sam wybuchał głośnym rechotem.

Ale po rozpakowaniu ostatniego z tych „ogrodowych" prezentów powiedział mi:

– To nie były twoje prawdziwe prezenty. Poszukaj jeszcze pod choinką.

Zanurkowałem pod drzewko i znalazłem cudownego kryształowego kota.

Wówczas dałem Freddiemu prezent. Był to również kryształ, tyle że oprawny w srebro, ogromny puchar na kawior. Freddie zawsze bardzo lubił kawior i bez ograniczeń podawał go gościom.

Drzwi Garden Lodge zawsze były szeroko otwarte dla gości w Boże Narodzenie. Tego roku dom pękał w szwach, bo Peter Straker występował w musicalu *Blues in the Night* w Piccadilly Theatre, a kiedy stamtąd wychodził, pół teatralnego świata postanowiło pójść z nim. I tak na przyjęciu pojawili się: Carol Woods, Debbie Bishop i jej chłopak, aktor, Nick „Hazell" Bali, Stephanie Beacham i jej dwie córki. Jedna z tych córek miała na imię Phoebe – jak Peter. Nick dał mi w prezencie radio w kształcie piłki i zabawkę dziecięcą na baterie – małe pingwiny wspinające się na ośnieżone zbocze. Ta zabawka dostarczyła mnie i kotom zajęcia na całe godziny – zwierzaki czekały, aż pingwiny wlezą na szczyt, po czym strącały je na dół.

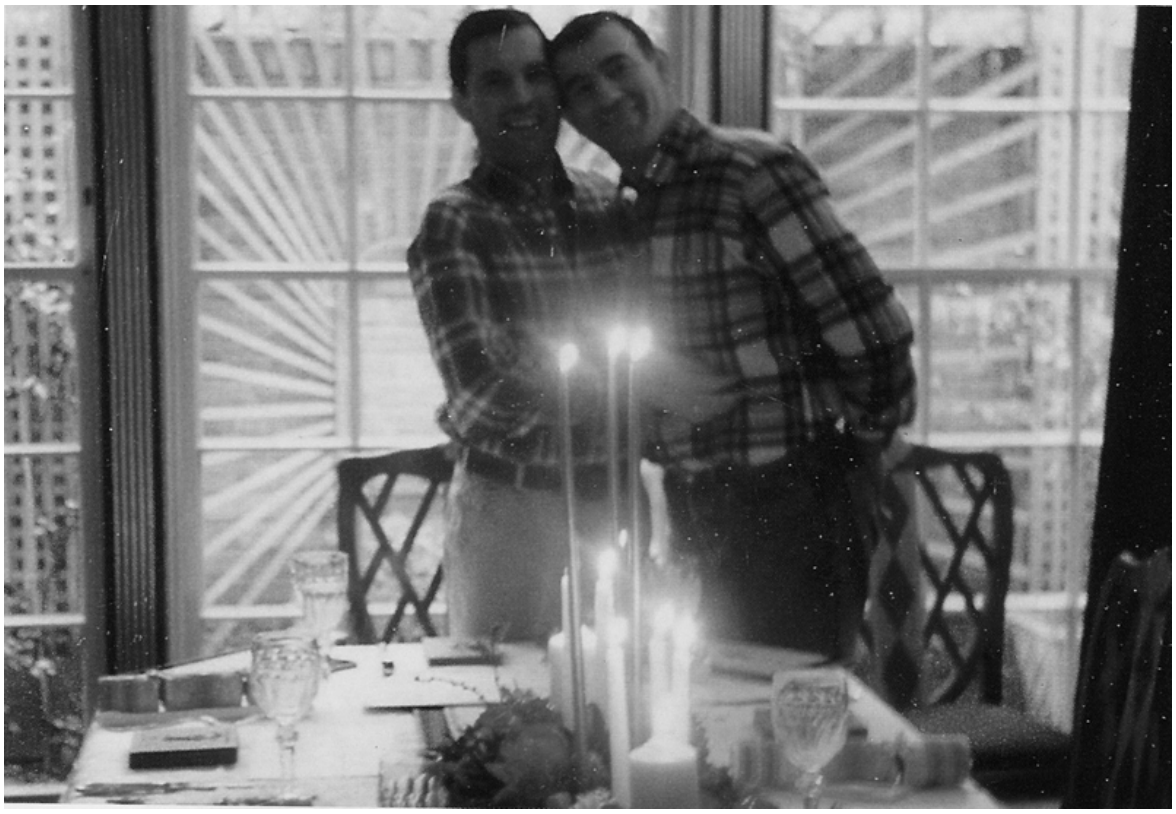

Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 1989 roku w jadalni Garden Lodge.
W identycznych koszulach

Nowy Rok w domu Grahama Hamiltona. Od lewej: Freddie walczący z korkiem od szampana, Mary i nasz gospodarz

Z okazji moich czterdziestych urodzin Freddie urządził przyjęcie niespodziankę. Dostałem wtedy to zdumiewające dzieło z lukru – cieplarnia w Garden Lodge

Freddie dał mi tort, a ja dałem mu dużego całusa

Odwrót

O swoich urodzinach w styczniu 1989 roku nie chciałem pamiętać – miały to być czterdzieste urodziny, czułem się więc, jakbym wkraczał w wiek starczy. Ale Freddie zabrał mnie do restauracji Meridian w Chelsea, twierdząc, że tak ważne urodziny trzeba uczcić w specjalny sposób.

Do samochodu razem z nami wsiadła Mary, a kiedy dojechaliśmy na miejsce, wszyscy już czekali: Joe, Phoebe, Peter Straker, Dave Clark, Graham Hamilton i jego partner Gordon, jeszcze jeden kierowca oraz John Christie, piosenkarz. Nasz stół ciągnął się przez całą szerokość okna restauracji. A przy sąsiednim stole siedziała Eartha Kitt z kilkoma niebywale przystojnymi chłopakami.

– Czego chciałbyś się napić? – spytał mnie Freddie. – No, dalej, dziś możesz wszystko!

Podpowiadał mi szampana, ale ja uparłem się przy winie aż do końca kolacji, kiedy oparłem się wygodnie i popiłem trochę brandy. Wtedy nagle Freddie wbił we mnie wzrok, a w całej sali przygasły światła. Kelnerzy wtoczyli na stoliku na kółkach tort, który był typowym wytworem dzikiej wyobraźni Freddiego: wykonany z lukru trójwymiarowy model cieplarni w Garden Lodge. Rozejrzałem się po obecnych i syknąłem:

– Bydlaki!

Potem popatrzyłem na zachwyconą twarz Freddiego, zachichotałem i pocałowałem go.

Urodziny Phoebego, które były cztery dni po moich, świętowaliśmy w Bombay Brasserie, bardzo przytulnej indyjskiej

restauracji w zachodnim Londynie. Tort, jaki przygotowano dla Phoebego, naprawdę rzucił go na kolana: była to scena ze sztuki *Otello.*

Tego samego miesiąca Freddie wydał swoje nagranie *How Can I Go On?* z albumu *Barcelona,* wykonywane w duecie z Montserrat Caballé.

W walentynki tego roku kupiłem Freddiemu dwa tuziny róż w niezwykłym, czarnym kolorze. Ułożyłem je w wazonie i ustawiłem w hallu, żeby przywitały Freddiego, gdy będzie schodził z sypialni. Wyszedł do mnie do ogrodu i podziękował za kwiaty. Wkrótce przybyły róże dla mnie.

Następnej niedzieli pracowałem w ogrodzie, kiedy nagle z domu wychynął Freddie, wyglądając co najmniej dziwacznie. Miał na sobie ten biały kombinezon i olbrzymie gumiaki, które kupił mi żartem pod choinkę.

– No dobra – powiedział. – Co mam robić?

Zwinąłem się ze śmiechu. Freddie bardzo mi chciał pomóc i starał się jak mógł pielić rabatki, ale nie miał pojęcia, czego właściwie ma szukać. W końcu tylko mi się pętał pod nogami, poszedłem więc do domu, żeby mu zasugerować pomaganie Phoebemu albo Joemu.

Niewiele później pojechałem do Irlandii odwiedzić rodzinę. Sąsiadka mojej matki, mieszkająca w bungalowie po drugiej stronie ulicy, wystawiła na sprzedaż swój dom za trzydzieści dwa i pół tysiąca funtów irlandzkich, czyli jakieś dwadzieścia pięć tysięcy funtów szterlingów. Spytała mnie, czy nie zabrałbym ze sobą do Londynu jej prospektu ofertowego i nie porozlepiał go w irlandzkich barach i pubach.

Gdy wróciłem do Garden Lodge, Freddie akurat studiował list, jaki dostał od kobiety prowadzącej schronisko dla kotów. Po kilku hojnych datkach od Freddiego przeniosła się do innego budynku,

również bungalowu. Freddie przyglądał się uważnie i z aprobatą zdjęciu posesji, którą kupiła. Pobiegłem po fotografię bungalowu w Irlandii należącego do sąsiadki mojej mamy.

– Uważasz to za ładny bungalow – powiedziałem do Freddiego i wręczyłem mu zdjęcie. – A co sądzisz o tym?

– Uuuuu! – sapnął, wczytując się w prospekt.

– Czy to jest na sprzedaż? – spytał po chwili.

Powiedziałem, że tak.

– A więc kupuj! – rzucił, zapominając, że przy mojej sześciusetfuntowej pensji nie bardzo mogę sięgać tak wysoko. Zaproponował mi pożyczkę. Myślałem nad tym przez chwilę, po czym powiedziałem, że wolałbym jednak pozostać przy swojej niezależności i wziąć kredyt z banku. Niemniej jeśli go nie dostanę, możemy jeszcze wrócić do rozmowy o pożyczce. Zastrzegłem jednak od razu, że jeśli już będę musiał pożyczyć pieniądze od niego, to wszystko musi się odbyć zgodnie z zasadami – comiesięczne spłaty z zarobków i tak dalej.

Zatelefonowałem do sąsiadki mamy i złożyłem jej ofertę. Przyjęła ją, ale wtedy dodałem, że jeśli pojawi się ktoś oferujący więcej, powinna natychmiast sprzedawać dom.

Złożyłem prośbę o kredyt w Bank of Ireland w Dublinie. W podaniu napisałem po prostu, że jestem ogrodnikiem zatrudnionym przez Goose Productions Ltd. Ani słowa o Freddiem.

Większość 1989 roku spędziliśmy na przelotach z Londynu do Montreux i z powrotem. Freddie i reszta Queen pracowali przez kilka miesięcy, dopieszczając swój nowy album *The Miracle.*

Freddie zawsze bardzo się interesował sukcesami zespołu w Wielkiej Brytanii i pozostałych krajach świata, ale przez cały czas, gdy byłem z nim, nie ciekawiło go, jak Queen jest odbierany w USA. Oczywiście grupa była tam popularna i nagrania

sprzedawały się bardzo dobrze, lecz Amerykanie nie bardzo wiedzieli, jak się ustosunkować do tak niepowstrzymanie rozwiązłego gejowskiego gwiazdora rocka. Dał więc sobie spokój ze Stanami i zapowiedział, że nie ma w planach walki o ten rynek. Zespół był tak powszechnie popularny, że USA nie miały aż takiego wielkiego znaczenia.

Nie znaczy to, że Freddie nie lubił Stanów Zjednoczonych. W luksusowym wieżowcu w Nowym Jorku miał fenomenalny penthouse w stylu art déco. Cały budynek był tak ekskluzywny, że jego niebywale bogaci mieszkańcy z reguły krzywo patrzyli na gwiazdy rocka, niezależnie od ich sławy. Dla Freddiego zrobili wyjątek, bo okazał się wzorowym sąsiadem.

Z apartamentu był niewiarygodny widok na Chrysler Building i okolice. Wystrój wnętrza tego domu był całkowicie oryginalny – wszystkie elementy art déco, włącznie z lustrzanymi panelami.

Przez cały czas kiedy byłem z Freddiem, to mieszkanie stało puste. Geny Stickles, menedżer tras koncertowych zespołu, mieszkał w Stanach i pilnował własności Freddiego. Od czasu do czasu Phoebe bywał wysyłany do Nowego Jorku, żeby zerknąć na mieszkanie i pobyć w nim kilka dni. Dwa razy Freddie poprosił go, żeby przywiózł z powrotem ze Stanów jakieś małe skarby, które chciał pooglądać – piękny kryształowy wazonik czy delikatną porcelanową miseczkę.

W Stanach Zjednoczonych Freddie pracował kiedyś z ekscentrycznym piosenkarzem, Michaelem Jacksonem. Pracowali ze sobą krótko nad czymś, co nigdy nie ujrzało światła dziennego, bo nie zostało ukończone.

Freddie opowiadał mi o tym; pracowali nad jakimś nagraniem rapowym, ale dużo bardziej pamiętne od samego nagrania było dla Freddiego dziwaczne zaproszenie, jakie otrzymał od Jacksona.

Freddie lubił Michaela na tyle, na ile pozwalała ich króciutka przyjaźń, ale czuł, że Jackson nie rozumie jego poczucia humoru, a skłonności do zażywania kokainy wręcz potępia. Całość zakończyła się szaleńczo. Jackson zaprosił Freddiego do odwiedzenia jego lam. Freddie, mimo że był ubrany w białe spodnie, przyjął zaproszenie.

– I to był błąd – mówił mi potem. – Zanim jeszcze zobaczyłem jakąś lamę, byłem już po kolana w lamim gównie.

W oszołomienie wprawiła mnie rozmowa telefoniczna z dublińskim przedstawicielstwem mojego banku. Mieliśmy mówić o moim kredycie, a człowiek po drugiej stronie linii nagle stwierdził:

– Słyszałem, że pracuje pan dla Freddiego Mercury'ego.

Nie wiem, skąd się o tym dowiedział. Nie odpowiedziałem. Zrobiłem wszystko, żeby utrzymać ten fakt w tajemnicy.

Jednakże i tak oznaczało to koniec moich planów kupna bungalowu. Tuż przed Wielkanocą pojechałem do Irlandii, a tam sąsiadka mamy zaczęła na mnie wrzeszczeć. Krzyczała, że miała inne oferty: wówczas spytałem, dlaczego – zgodnie z moją sugestią – ich nie przyjęła. Wszystko razem się pokręciło i marzenie o zakupie bungalowu diabli wzięli.

Mama wiedziała, że jestem rozczarowany, podpowiedziała mi więc coś innego.

– A może byś sobie wziął pół mojego ogrodu i zbudował swój własny dom? Miałbyś wtedy przynajmniej dokładnie to, czego chcesz.

Ten pomysł miał dobre strony i był wykonalny, przecież pochodziłem z rodziny budowniczych. Po południu tego dnia przywiozłem mamie nową maszynę do zmywania, bo jej stara się rozleciała.

– Świetnie – powiedziała, kiedy ją wnosiłem. – Za teren więc już zapłaciłeś.

Po powrocie do Garden Lodge opowiedziałem Freddiemu o ofercie mamy, a jemu bardzo się spodobał pomysł budowania przeze mnie własnego domu. Powiedział, że mi w tym pomoże. Skontaktowałem się więc z Jimem Sheehanem, moim kuzynem, który był inżynierem architektem, i umówiłem się z nim na przeniesienie pomysłu na deskę kreślarską.

Tego samego roku Freddie postanowił do spółki z Barbarą Valentin kupić mieszkanie w Monachium. Chcieli podzielić się po połowie kosztami zakupu i dekoracji wnętrza – mieli równie drogie upodobania. Poza tym umówili się, że w wypadku śmierci któregoś z nich cała własność przejdzie na drugie.

Freddiemu chyba podobał się pomysł dzielenia z Barbarą czegoś wyjątkowego. Ona znalazła mieszkanie, a Freddie całymi miesiącami entuzjazmował się jego urządzaniem. Potem jego zainteresowanie wygasło. Wiedział, że nie ma szans na wykorzystanie tego mieszkania choćby raz – niemal na pewno umrze przed jego ukończeniem. Nie było ucieczki przed faktem, że sromotnie przegrywał walkę z chorobą.

Żeby ukryć pojawiające się na twarzy mięsaki Kaposiego i ślady po ich wypalaniu, Freddie przed każdym publicznym wyjściem nakładał na policzki makijaż, czego nie uważałem za praktyczne. Zasugerowałem mu, żeby zapuścił krótką brodę, tylko taką, żeby zakryła wykwity. Freddie przestał się więc golić, a już wkrótce krzyczały o tym nagłówki gazet.

Pewnego dnia, po skończeniu pracy nad planami domu, wyszedłem z Jimem Sheehanem na drinka. Był to pierwszy dzień, kiedy puby w Anglii pracowały bez ograniczeń czasowych, co celebrowaliśmy mnóstwem alkoholu. Wróciłem do Garden

Lodge po dziesięciu godzinach tak pijany, że nawet pociłem się alkoholem. Od tego czasu byłem wręcz zachęcany przez Freddiego do wychodzenia na miasto bez niego. Freddie po prostu uprzedził mnie, że z powodu naszego związku mogę zupełnie stracić kontakt ze swymi przyjaciółmi, i namawiał mnie do spotkań z nimi. Było to z jego strony niezwykle wielkoduszne. Wiele myślał o tym, co zrobię, będąc sam. Chyba wiedział, że kiedy umrze, będę musiał powrócić do starych przyjaciół. Myślę też, że zdawał sobie sprawę z faktu, iż moje samotne wyjścia na drinka pomagały mi zapomnieć.

Po kilku spotkaniach Jim Sheehan i ja skończyliśmy robienie planów domu w Irlandii. Miał to być nieregularny budynek o trzech sypialniach. Freddie długo przeglądał plany, zastanawiając się, jak się przechodzi skąd i dokąd, aż wreszcie wyraził aprobatę.

Potem zaczęliśmy rozmawiać o pieniądzach. Ponieważ kwestia kredytu z Bank of Ireland upadła, byłem zmuszony przyjąć ofertę pożyczki od Freddiego. Moja rodzina wstępnie wyceniła koszt budowy domu na trzydzieści dwa tysiące funtów szterlingów, i na tę kwotę Freddie wyraził zgodę. Pieniądze miały być normalną pożyczką, a zadaniem Mary było dopilnowanie, aby z moich zarobków regularnie potrącano spłaty rat.

W maju Queen wdarł się na szczyty list albumem *The Miracle* i singlem *I Want It All.* Były to pierwsze nowe nagrania od trzech lat i wszyscy fani ich wyczekiwali. Niemniej zanim znalazły się w sklepach, Freddie już chciał wracać do studia i nagrywać nowy materiał.

Chłopcy z zespołu byli zaskoczeni, że Freddie chce powrócić do stresów studia. Chyba żadnemu z nich nie przyszło do głowy zabierać się do nagrywania tak szybko po wydaniu *The Miracle.*

Ale jednogłośnie wyrazili zgodę.

Tego samego miesiąca Freddie zorganizował wspólne wyjście na kolację dla nas i członków grupy z ich partnerami do chyba najwspanialszej restauracji na świecie, Freddie Girardefs w Crissier pod Lozanną w Szwajcarii. Podano nam czternaście przewspaniałych dań *nouvelle cuisine* w towarzystwie równie pysznych win. Dziewczyna Briana, aktorka Anita Dobson, rozśmieszyła mnie do łez stwierdzeniem:

– Wolałabym parówki z ziemniakami.

Rachunek liczony był w tysiącach. Freddie Girardet dał nam menu z dedykacją: „Dla Freddiego i Jima".

Nieco później w tym samym składzie wybraliśmy się na cichą kolację w restauracji Bavaria niedaleko studia. Właśnie tego wieczoru Freddie oświadczył, że nie czuje się najlepiej.

Ktoś przy stole był przeziębiony, rozmowa więc szybko zeszła na choroby. Freddie wciąż jeszcze nieźle wyglądał, ale podwinął prawą nogawkę spodni i podniósł nogę nad stół, żeby wszyscy mogli zobaczyć bolesną, otwartą ranę na łydce.

– Uważacie, że macie problemy – powiedział. – No cóż, spójrzcie na to. Patrzcie, z czym ja muszę żyć.

Wszyscy byli wstrząśnięci, pełni współczucia. A Freddie równie nagle, jak wywołał temat, zmienił go. Zapewne chłopcy z zespołu uświadamiali sobie, że Freddie jest poważnie chory, a widok jego nogi był tylko potwierdzeniem podejrzeń.

W Wielkiej Brytanii gazety napisały, że Freddie uległ straszliwemu wypadkowi drogowemu, kiedy jego samochód wpadł w poślizg w Alpach Szwajcarskich. Wieści te były wyssane z palca. Niemniej plotki na temat jego zdrowia pojawiły się znowu, gdy udzielił wywiadu Mike'owi Readowi z Radio One. Freddie powiedział wtedy, że nie ma już ochoty na żadne trasy koncertowe. Uważa, że już się dość najeździł i że robi się za stary na wycieranie

scen i estrad po świecie. A prawda była taka, że brakowało mu sił na tak napięte terminarze podróży. Jednak prasa zinterpretowała jego wypowiedź zupełnie inaczej. Twierdzono, że nie zgadzając się na koncerty, spowodował znów niesnaski w zespole i że Queen po raz kolejny grozi rozpad – tym razem na dobre.

– Widać z tego, ile wiedzą – skomentował Freddie, gdy pokazałem mu artykuł.

Zespół był oczywiście jak najdalszy od rozpadania się; muzycy pracowali już nad albumem, który miał zostać uznany za ich największe osiągnięcie, *Innuendo.* Była to ich ostatnia płyta.

Będąc przez tydzień w Montreux z Freddiem, znalazłem kilka katalogów pięknie wykonanych, precyzyjnych modeli pociągów. Szczytowym modelem był pokryty złotem, piękny „Rhinegold". Już w Garden Lodge wraz z Freddiem przeglądałem te katalogi, podziwiając wykonanie modeli. Nagle Freddie powiedział, że chciałby mi kupić taki pociąg i że powinien to być „Rhinegold". Wiedziałem, że sklep niedaleko Oxford Street ma jeden egzemplarz, pognałem więc tam natychmiast. Wróciwszy do domu, od razu zacząłem przygotowywać planszę pod model, budując miniaturowe góry, mosty i tak dalej. Nie mogąc opierać planszy na boku – była za delikatna – trzymałem ją z reguły na dachu rolls-royce'a, który stał w garażu obok mojego warsztatu.

Rolls Freddiego miał długą historię. Kupił go w latach siedemdziesiątych, na grubo przedtem, zanim się spotkaliśmy. Powiadano, że Freddie podpisał swój pierwszy kontrakt na tylnym siedzeniu rolls-royce'a, a to było coś, czego na pewno zawsze chciał – natychmiast, kiedy tylko mógł sobie na to pozwolić. Ale rzadko używał tego auta. Ja nigdy nim nie jechałem, choć wyprowadzałem je z garażu i wstawiałem z powrotem za każdym razem, kiedy

chciałem się pobawić pociągiem. Freddie wolał być wożony mercedesem.

W lecie poleciałem do Irlandii, żeby złożyć podanie o pozwolenie na budowę domu. Plany zostały zaakceptowane, pozwolenie wydano, a ja natychmiast wróciłem do domu, żeby powiedzieć o tym Freddiemu.

– Mam zgodę na budowę mojego domu! – zawołałem.

– Naszego domu – poprawił mnie z naciskiem i od tej chwili nasze entuzjastyczne rozmowy dotyczyły „naszego domu". Nigdy „mojego" czy „twojego", zawsze „naszego". Mówiąc o Garden Lodge, także nigdy nie zapominał podkreślić, że to „nasz" dom.

Teledysk do singla *Breakthru,* wydany w czerwcu, był w historii Queen nowością; pierwszy raz nagrano wideo poza studiem. Sceną dla szalejących członków zespołu stał się pociąg parowy, noszący w klipie nazwę „The Miracle Express". Do dwudniowych zdjęć użyto prywatnej kolei żelaznej w Nene Valley, Cambridgeshire. Ujęcia plenerowe uzależnione są od dobrej pogody, modliliśmy się więc o słońce na te dwa dni – i słońce było. Mało tego, był niewobrażalny skwar.

Wiadomość o zdjęciach plenerowych Queen była utrzymywana w ścisłej tajemnicy, żeby nie trzeba było się oganiać od fanów, a jednak i tak przybyli tłumnie. Lokalna rozgłośnia radiowa ogłosiła w całym hrabstwie wieści o przybyciu zespołu. Kiedy przyjechaliśmy na stację w Nene Valley, fani Queen kłębili się wszędzie w polu widzenia. Ale ich obecność tylko podkreślała i tak wspaniałą atmosferę.

Freddie brał udział w zdjęciach, a ja wziąłem sobie jego zastępczego kierowcę, Grahama Hamiltona, i kazałem się zawieźć do Cambridge. Postanowiłem po prostu kupić Freddiemu i sobie szorty. Odjeżdżając, spytaliśmy jednego z obstawiających stację

policjantów, jak daleko jest do Cambridge, a on pospieszył z wszelką pomocą.

– Poprowadzę was – powiedział. – I tak mam już wracać.

Tak więc pojechałem na zakupy w eskorcie policyjnej.

Mimo że tego roku Freddie pracował non stop, nadal nie tracił kontroli nad życiem codziennym Garden Lodge. Bez względu na to, jak był zajęty, nic nie uchodziło jego uwagi.

Kiedy *koi* zaczęły tarło, ikra zaległa staw w takich ilościach, że musiałem ją wybierać wiadrami, żeby dorosłe ryby nie zaczęły jej pożerać. Tym razem bardzo wiele młodych rybek przetrwało. Zbiornik na narybek okazał się zbyt mały i trzeba było znów przenosić młode do innego. Zabrawszy się do tych porządków, postanowiłem przy okazji przerwać wreszcie męczarnie ryby, którą wyhodowałem rok wcześniej. Była zdeformowana, kiepsko pływała i miała kłopoty z jedzeniem. Była najmniejsza z zeszłorocznego tarła. Zabiłem ją szybkim uderzeniem w głowę.

Niewiele później Freddie przyszedł do ogrodu i mimo że mu nic nie powiedziałem, od razu się domyślił, co zrobiłem.

– Gdzie ona jest? – spytał.

– Zabiłem ją.

– Jak?

Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, a on dostał cholery. Wrzeszczał, że jeśli jeszcze kiedykolwiek będę musiał zabić jakąś rybę, muszę znaleźć bardziej humanitarny sposób. Zadzwoniłem więc do specjalisty od ryb Neila Portera, który przysłał mi specjalny proszek. Za pomocą tego proszku można było w humanitarny sposób pozbawić rybę życia.

Pewnego poranka, zaraz po wstaniu z łóżka, Freddie spytał mnie, czy nie mógłbym zrobić dla niego jeszcze jednego stoliczka do sypialni, identycznego z tym pierwszym. Zatroskałem się.

– Co się stało? – zapytał.

– Dlaczego nie poprosiłeś mnie o to, kiedy robiłem pierwszy? – odrzekłem. – Teraz będziesz miał dwa różne odcienie, a mogły być zrobione z tego samego kawałka drewna.

Miałem jednak nadzieję, że za pomocą bejcy zdołam jakoś podrobić podobny kolor drzewa. Parę godzin później Freddie natknął się na mnie, gdy wymierzałem pierwszy stolik.

– Nie masz planów tego stolika? – zapytał.

– Nie, nie zrobiłem ich – odparłem.

– Gdybyś je zrobił, nie miałbyś teraz żadnych problemów – powiedział. – Wtedy musiałbyś tylko je wyjąć i odrysować.

– Ale ja nigdy nie robię planów mebli – skomentowałem.

Freddie był zaskoczony. On miał zdecydowanie bardziej zorganizowane podejście do swych działań.

Niemniej kiedy pokazałem Freddiemu ukończony drugi stolik, był zachwycony. Od tej pory oba stoliki stały po bokach drzwi do sypialni, pokryte zdjęciami w ramkach i bibelotami.

Kilka dni potem Freddie kupił cały worek mosiężnych okuć meblowych.

– Mam świetny pomysł – powiedział entuzjastycznie, kiedy przywlókł do domu te okucia. – Skoro już mamy takie piękne mosiężne okucia, dopasujmy kilka do tych stolików, które zrobiłeś.

– To je tylko zniszczy – zaoponowałem. – Przecież to tylko proste, zwyczajne stoliczki.

– Nie, nie zniszczy – upierał się. – Zobaczysz, że świetnie będą pasowały. Znam się na tym.

Wybiegł z pokoju i przytargał worek z mosiądzem, po czym wysypał to wszystko i zaczął wybierać poszczególne kawałki, tłumacząc mi, gdzie który dopasować. I rzeczywiście, kiedy je zamocowałem, wyglądały naprawdę dobrze.

Freddie był bardzo dumny z tych stolików i zawsze pokazywał je swym gościom, mówiąc:

– Mój mąż zrobił je dla mnie.

Zrobiłem kiedyś drewnianą skrzynkę z wieczkiem na zawiasach – ot, tak, żeby coś zrobić. Freddie zażądał jej dla siebie, gdy tylko ją zobaczył. Wszedł do warsztatu, kiedy ją właśnie polerowałem.

– Co robisz? – zapytał.

– Nic konkretnego – odrzekłem. – Tak sobie dłubię.

– Mógłbym ją dostać na moje prywatne papiery?

– Jasne, ale może najpierw założę jakiś zamek – powiedziałem.

Przez kilka dni szukałem wszędzie odpowiednio małego zameczka, aż w końcu wziąłem zamek ze starej maszyny do szycia, która kiedyś była własnością mojej babki.

Wręczyłem skrzynkę Freddiemu, a on ustawił ją na widoku w naszej sypialni, ale nigdy w niej niczego nie trzymał. W końcu nie był jej potrzebny zameczek.

W Garden Lodge gruchnęła wspaniała wieść. Mary spodziewała się dziecka Piersa Camerona. Tak więc teraz w trakcie naszych regularnych podróży do Montreux lista zakupów była wzbogacana o śpioszki i zabawki.

W czasie ciąży Mary w gazetach ukazała się okrutna historyjka, jakoby Freddie zawarł umowę z Mary o „ojcowaniu" jej dziecku z Piersem. Było to niesprawiedliwe i kłamliwe, tak jak sugestia, że Freddie będzie ojcem chrzestnym dziecka. Kiedy te historyjki pojawiły się w gazetach, Freddie podpowiedział Mary rozsądną radę.

– Kochanie – powiedział – powinnaś zrobić sobie śliczne zdjęcie z Piersem i przesłać je prasie.

Mary jednak wolała załatwić tę sprawę po swojemu – i nie zrobiła nic.

W sierpniu, kiedy singiel *The Invisible Man* wszedł na listy przebojów, Garden Lodge przybył nowy domownik. Jeszcze jeden kot. Zobaczyłem go w sklepie zoologicznym na Kensington High Street, gdzie siedział ze zwieszonym łebkiem w oknie wystawowym. Było to grubokościste kocię w szare, białe i czarne pasy. Wszedłem i spytałem Colina – właściciela sklepu – o cenę. Powiedział, że dwadzieścia pięć funtów, a ja uznałem, że to za dużo, i wyszedłem. Po powrocie do Garden Lodge opowiedziałem o tym Phoebemu i Joemu.

– Skoro ci się tak bardzo podobał, to dlaczego go nie kupiłeś? – spytali niemal jednocześnie.

Odparłem, że przecież Freddie dostałby szału, gdyby w domu pojawił się jeszcze jeden kot. Ale potem nie wytrzymałem, usłuchałem głosu serca i poszedłem z powrotem do sklepu. Kiedy dotarłem na miejsce, trzy kobiety rozmawiały z Colinem na temat kota. Wszystkie chciały go kupić, nie odpowiadała im tylko perspektywa dokupienia za pięć funtów kartonowego pojemnika do transportu. Colin pozostawił kobiety same sobie i – pozwalając im na kłótnie we własnym gronie – spytał mnie ponad ich głowami:

– O co chodzi, Jim?

– Ile za tego kota? – zapytałem, choć przecież znałem odpowiedź.

– Dwadzieścia pięć funtów – odparł.

Wyjąłem z portfela pieniądze i wręczyłem mu.

– Proszę – powiedziałem do niego, a potem do kobiet: – Kot jest już sprzedany. Mam nadzieję, że paniom to nie przeszkadza. – I wyszedłem ze sklepu z kotem w kartonowym pojemniku.

Od strony Mews mieliśmy teraz drugie wejście do Garden Lodge, więc dla ominięcia Freddiego wślizgnąłem się tamtędy z pojemnikiem pod pachą. Nie chciałem się przyznawać od razu,

że kupiłem kota, ale oczywiście natychmiast nadziałem się na Freddiego.

– Mam tu coś – powiedziałem szybko, żeby ukryć zaskoczenie. – Jak ci się nie spodoba, dam Annie Nicholas.

Anna była aktorką, przyjaciółką Freddiego, i parę dni wcześniej pytała go, gdzie może kupić kota. Wiedziałem, że byłaby szczęśliwa, mogąc dać kotu dach nad głową, gdyby Freddie go nie zechciał.

– Co to jest? – spytał Freddie z niepokojem.

– Mówię poważnie – ciągnąłem. – Jak nie chcesz... – Otworzyłem pudełko, a Freddie niecierpliwie zajrzał do środka.

– Ty bydlaku! – jęknął, ale z wyrazu jego twarzy widać było od razu, że kot może zostać. Wkrótce ogłosił, że kot będzie się nazywać Romeo.

– To będzie bardzo duży kot – mówiłem dalej szybko, nie dając mu dojść do słowa. – Może nawet większy niż Oscar. – I rzeczywiście, Romeo wyrósł na prawdziwego tygrysa.

Wkrótce potem, jak Romeo znalazł u nas dom, dostałem ważne wiadomości z Irlandii. Rodzina była gotowa do rozpoczęcia budowy domu, poszedłem więc do Freddiego po pieniądze. Wypisał czek i podał mi go. Zerknąwszy nań, chciałem go oddać, bo był wystawiony na sumę o kilka tysięcy funtów wyższą, niż potrzebowałem.

– Nie – powiedziałem Freddiemu. – Dom ma kosztować najwyżej trzydzieści dwa tysiące funtów.

– Przecież to tylko szacunkowa wycena – odparł. – Dlatego czek jest wyższy. – Zawiesił głos na moment i dodał: – To prezent.

Protestowałem oczywiście, ale chyba nie tak mocno, jak powinienem. Zresztą dom okazał się tak duży, że nawet tych pieniędzy było mało i musiałem jeszcze wziąć kredyt w wysokości piętnastu tysięcy funtów. Ale nie powiedziałem o tym Freddiemu.

W każdym razie, zachęcony w ten sposób przez Freddiego, przez następne dziewięć miesięcy jeździłem często do Irlandii, żeby obejrzeć postępy robót.

Za każdym razem przed wyjazdem Freddie instruował mnie:

– Zrób tyle zdjęć naszego domu, ile zdołasz.

Jeździłem więc do Irlandii z aparatem fotograficznym albo kamerą wideo i po powrocie pokazywałem Freddiemu wszystkie nowości. A on chciał wiedzieć o wszystkim.

Od czasu do czasu zamiast kolacji przyrządzanej przez Joego jedliśmy jakieś danie na wynos, po które Freddie wysyłał jednego z nas. On sam lubił hamburgery, ale tylko hamburgery Wendy, a jeszcze bardziej ryby w cieście z frytkami, które jedliśmy wprost z papieru. Zawsze przed wyjściem po takie danie Freddie przypominał o kupnie dodatkowych sześciu ryb – po jednej dla każdego z kotów. Przygotowanie ryb dla nich było już później moim zajęciem. Freddie nie zaczynał jeść sam, póki się nie upewnił, że obrałem ryby z ciasta i wszystkich ości i że żaden kot się nie zadławi.

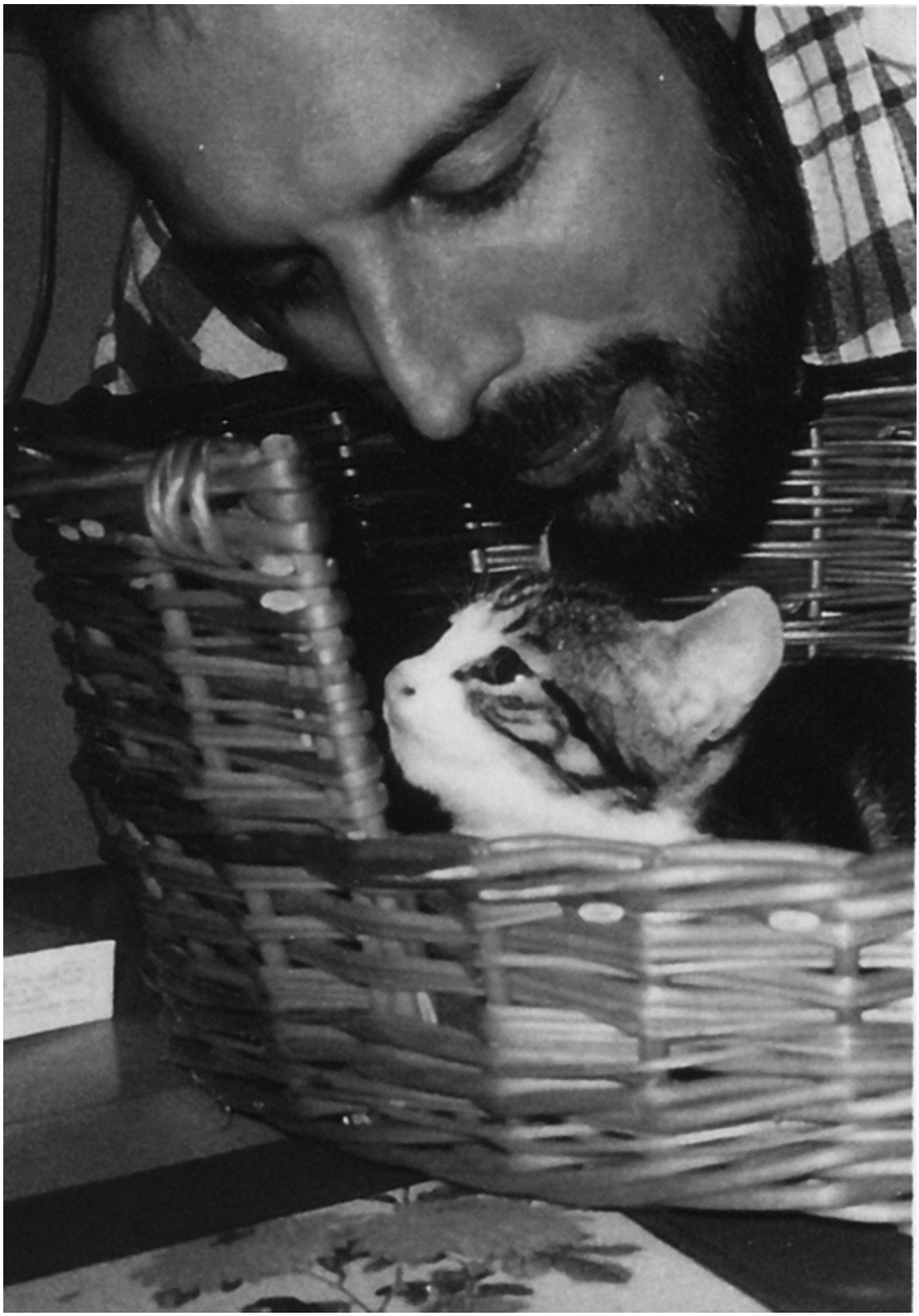

Romeo i Freddie

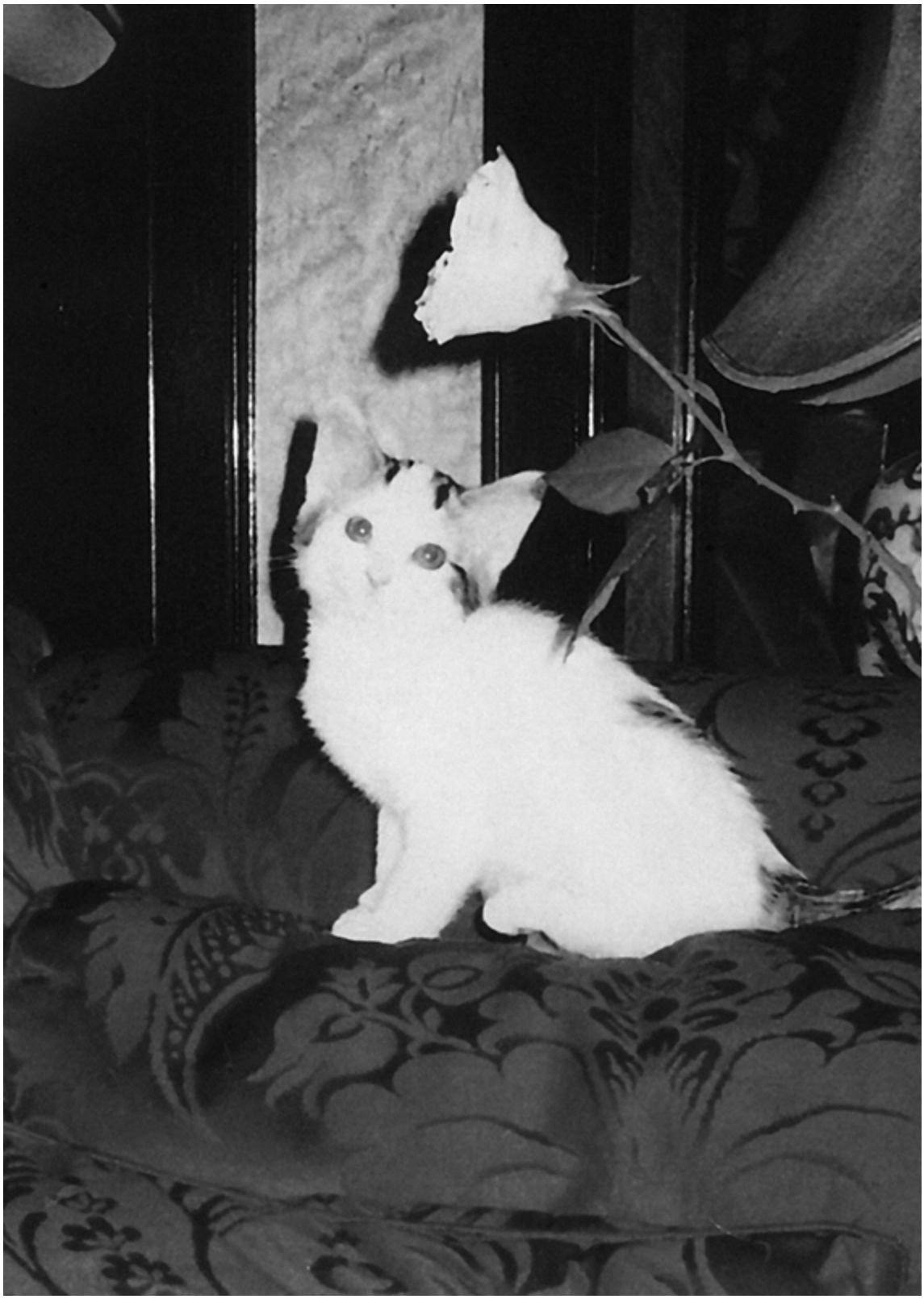

Lily

Od 1989 roku moje niepowstrzymane, okropne chrapanie zaczęło wywierać wpływ na moje życie z Freddiem. Kiedyś go nie zauważał, ale teraz nie mógł przy nim spać. A kiedy byłem po kilku drinkach, chrapałem jeszcze głośniej.

Pewnej nocy chrapałem wniebogłosy, a leżący obok mnie Freddie usiłował w jakiś sposób mnie uciszyć, przekręcając mnie z boku na bok. Jednak nic nie skutkowało. Wreszcie, zrozpaczony, obudził mnie.

– Co robisz? – spytałem oszołomiony.

– Chrapiesz! – rzucił ze złością.

– Okay – powiedziałem, rozbudziwszy się szybko. – Skoro jest aż tak źle, to przeniosę się do pokoju gościnnego. – Wstałem i pozwoliłem mu spać w spokoju.

Różowy Pokój, nasza ogromna, niemal nieumeblowana gościnna sypialnia, był o parę kroków od sypialni głównej. Stały w nim ogromne łóżko, duża trzylustrowa toaletka i kanapa – tak wielka, że trzeba było ją wnosić przez okno. Freddie postanowił, że ta kanapa będzie do naszego domu w Irlandii, kiedy jego budowa już się skończy. Do pokoju przylegały łazienka i ubieralnia.

Moja przeprowadzka do Różowego Pokoju z początku była tylko „na pół etatu" – większość nocy przesypiałem z Freddiem, ale kiedy tylko zaczynałem chrapać, przenosiłem się do gościnnej sypialni.

Tego października Freddie pracował z zespołem w Szwajcarii i nagle na dobre rzucił palenie. A było to tak: przez większą część roku Queen pracował w Mountain Studios w Montreux, gdzie pokój reżyserski był bardzo maleńki. Wszedłszy doń pewnego ranka, Brian zatrzymał się gwałtownie i wycofał się, mówiąc, że jak na niego jest tu zbyt nadymione.

– Racja! – rzucił Freddie. – Koniec palenia w reżyserce!

Wobec reżysera Dave'a Richardsa nie było to do końca fair, bo on nie mógł sobie wychodzić na papierosa, kiedy chciał. Ale to właśnie wtedy Freddie rzucił palenie.

Przedtem – mimo używania bardzo łagodnych papierosów – Freddie często z powodu palenia miał ataki kaszlu po przebudzeniu. Wstawał i zaczynał odkaszliwać i plić. Pewnego ranka w Szwajcarii tak rzęził, że powiedziałem mu, że powinien to rzucić. A potem sam zapaliłem papierosa.

Od tego dnia w studiu Freddie nigdy nie zatęsknił za papierosem. Palił przez całe życie, a nigdy się nie uzależnił. A ja tak, byłem i wciąż jestem nałogowcem.

Pod koniec 1989 roku nasz kot, Tiffany, zdychał powoli na raka. Pewnego październikowego ranka, jeszcze zanim Freddie wstał, widząc, jak zwija się i jęczy z bólu, zabrałem go do naszego weterynarza, Keitha Butta. Keith bez ogródek przeszedł do rzeczy:

– Jim, naprawdę powinniśmy go uśpić. Ale pozostawiam decyzję tobie.

Zostawiłem Tiffany'ego u niego i pojechałem z powrotem do domu skonsultować się z Freddiem. Powtórzyłem mu opinię Keitha, a Freddie był zdruzgotany. Przyjechała Mary. Freddie opowiedział jej o sytuacji. Wszyscy wiedzieliśmy, jaką musimy podjąć decyzję, i po paru chwilach Freddie się zgodził. Mary pojechała ze mną do weterynarza, gdzie Tiffany dostał zastrzyk i natychmiast zasnął.

– Po wszystkim – powiedziała cicho Mary.

Zwłoki Tiffany'ego zostały spalone w krematorium, a prochy zakopane w małym pojemniku, dokładnie tak, jak tego chciał Freddie – w ogrodzie, naprzeciwko wielkiego okna jadalni. Było to bardzo poruszające.

W tym samym miesiącu Queen wydał swój najnowszy singiel, *Scandal.* Na stronie B nagrano utwór *My Life Has Been Saved.* Następnym przebojem zespołu był wydany pod koniec listopada album *The Miracle.*

W nadchodzące święta Bożego Narodzenia postanowiłem z pociągu Rhinegold uczynić główny element dekoracji Garden Lodge. Najpierw planszę pociągu zmieniłem w zimowy, ośnieżony krajobraz, a na dwanaście dni przed świętami wziąłem się na poważnie do dekorowania. Doszedłem do wniosku, że jedynym miejscem, gdzie można ulokować moją śnieżno-kolejową scenkę, jest koncertowy fortepian Freddiego w salonie. Zdjąłem więc z niego wszystkie zdjęcia, dla zabezpieczenia zaś lakieru ułożyłem na pokrywie płyty styropianu i dopiero wtedy przykryłem to wszystko moją planszą.

Kiedy Freddie wszedł do salonu, doszły mnie jego wściekłe wrzaski, więc pognałem tam. Zdołał wypowiedzieć w miarę spokojnym głosem, że pomysł wystawienia planszy kolejowej mu się podoba, ale że złości go niszczenie instrumentu. Wtedy pokazałem mu styropianowe płyty, a on natychmiast się uspokoił.

Po południu pomógł mi udekorować oba skrzydła wielkich drzwi hallu pomalowanymi na biało i czerwono gałązkami, z których zwisały czerwone i srebrne bombki.

– Coś tu jeszcze jest nie tak – powiedział po chwili, przyglądając się dekoracji. – Trzeba to trochę...

– Nic nie trzeba, jest okay – zaoponowałem.

– Nie – upierał się. – Brakuje mi tu czegoś. – Przyniósł wielki pojemnik czekoladek Quality Street. – Masz – powiedział. – Powieś kilka z nich na tych gałązkach.

Zgodziłem się z nim, że po tym zabiegu gałązki wyglądają o wiele lepiej.

Rano w pierwszy dzień świąt Freddie poprosił mnie, żebym położył bukiecik kwiatów w miejscu, gdzie pochowaliśmy Tiffany'ego.

Ten dzień zapadł wszystkim w Garden Lodge głęboko w pamięć z powodu niespodzianki, jaką zrobił nam Freddie. Kiedy siadaliśmy do stołu, zauważyliśmy przy każdym nakryciu prezencik – niezwykłą biżuterię. Były to różności z firmy Butler and Wilson, broszki, wisiorki i inne rzeczy. Dla wszystkich – Phoebego, Joego, Mary, Petera Strakera, Dave'a Clarka, Grahama Hamiltona i jego chłopaka, Gordona. Były tam srebrne pudelki na łańcuszkach, minikije golfowe, klucze wiolinowe... Ale najwspanialszy prezent dostałem ja: przedziwną spinkę do krawata z przezroczystym, szlifowanym, wielkim kamieniem.

Ze świąteczną wizytą wpadł do Freddiego Jim Beach i zakochał się w moim kolejowym modelu. Postanowił kupić taki dla swojego syna i poprosił mnie, żebym go zmontował równie pięknie, jak to zrobiłem ze swoją kolejką. Zgodziłem się z przyjemnością. Jim był zatrudniony przez zespół, ale właściwie to on nim zarządzał. Świetnie z nim żyłem, choć nie sądzę, żeby rozumiał związek Freddiego ze mną. Ale to było nieistotne; jak długo Freddie był szczęśliwy ze mną, Jim również był zadowolony.

Jim rozpoczął nowy rok od prób podpisania nowej umowy nagraniowej dla Queen w Stanach Zjednoczonych. Zespół przez wiele lat miał kontrakt z firmą Capitol, ale nie byli zadowoleni z tej reprezentacji, więc odkupili swoje prawa, co dało im silną pozycję przetargową.

Na początku 1990 roku, kiedy Romeo był już u nas od kilku miesięcy, szedłem przez ogród z Freddiem, a za nami dreptały cztery koty. Nagle Romeo odwrócił się do pozostałych kotów i rzucił się

na nie – na Goliata, Miko i Delilah. Popatrzyłem na Freddiego i zawołałem:

– Rambo!

– Co masz na myśli? – nie zrozumiał Freddie.

– Och, popatrz na niego – odparłem. – Atakuje inne koty. To Rambo!

To przezwisko przylgnęło do Romea.

Nie wiedziałem, co robić z podłogą w naszym domu w Irlandii i w końcu poprosiłem Freddiego o radę. Spytał mnie, co mam do wyboru, a ja między innymi powiedziałem mu o białym klonie kanadyjskim, który mogłem dostać tanio przez rodzinne powiązania.

– Dowiedz się, ile to by kosztowało – polecił.

Dwa tygodnie później przypomniał sobie o naszej rozmowie.

– Wiesz już, ile ten klon ma kosztować?

Podałem cenę, jaką mi zaproponowano, a on na to:

– Okay, zapłacę za to. To będzie prezent dla ciebie.

Po przerwie powróciliśmy do wahadłowych podróży pomiędzy Mountain Studios w Montreux i Metropolis Studios w zachodnim Londynie, gdzie Freddie i reszta zespołu nagrywali swój ostatni album, *Innuendo*. Całymi miesiącami żyliśmy tylko tym.

W lutym Queen został uhonorowany nagrodą za wyjątkowy wkład w muzykę brytyjską przez brytyjski przemysł fonograficzny. Ceremonia odbyła się w Dominion Theatre. Mimo grubego makijażu Freddie nie wyglądał najlepiej.

Po uroczystości dla uczczenia dwudziestu jeden lat Queen odbyło się przyjęcie w Groucho Club. Było to prawdziwe wydarzenie: wśród gości byli George Michael, Liza Minnelli, Barry Humphries, Michael Winner i Patsy Kensit. Kiedy pojawił się Rod Stewart, Freddie przedstawił mu mnie, mówiąc: „mój mężczyzna, Jim", a ja

przypomniałem sobie, że Freddie wymyślił kiedyś dowcip: założy z Rodem Stewartem i Eltonem Johnem zespół o nazwie Zęby, Nos i Włosy.

Moją towarzyszką na tym przyjęciu była Martha Brett, która naprawdę wystrzałowo się ubrała. Jako maniakalna miłośniczka Roda Stewarta wpatrywała się w swego idola przez cały czas, kiedy Freddie z nim rozmawiał. Potem nagle Freddie wbił oczy we mnie.

– Kto to? Z kim przyszedłeś? – spytał. – Nie znam jej.

– To jest Martha – wyjaśniłem. – Martha Brett z Town House Studios.

– Naprawdę? – powiedział niedowierzająco. Przyjrzał się jej uważnie i nagle wybuchnął śmiechem.

Późnym wieczorem wtoczono wyjątkowo wymyślny tort. Była to ogromna plansza do monopolu, ale wszystkie pola nosiły nazwy przebojów Queen.

Zanim Freddie stał się liderem tego zespołu, studiował w Szkole Sztuk Pięknych Ealing w zachodnim Londynie. Dawno już zarzucił malowanie, ale pewnego dnia poczuł nagłą potrzebę ponowienia próby. Wysłał jednego z nas do sklepu po pędzle i inne materiały.

Przez kilka tygodni zatapiał się na całe godziny w szkicach i malowaniu. Usiłował sportretować Delilah, ale – podobnie jak inne jego obrazy – ten portret nie został ukończony.

Tylko dwa z jego obrazków zostały dokończone – dla Joego i Phoebego, a i te powstały przypadkowo. Kiedyś Freddie kartkował katalog Sotheby's i natknął się na wystawiony na sprzedaż nowoczesny portret narysowany prostymi kreskami.

– Tak to i ja umiem! – zawołał.

Złapał szkicownik i po kilku minutach skończył pracę. Podniósł swe dzieło. Była to idealna kopia obrazu w katalogu.

– Mógłbym to dostać? – spytał Joe.

Freddie podpisał się i dał mu rysunek. Phoebe poprosił o taki sam, a Freddie znów chwycił za ołówek i po paru chwilach wręczył mu gotowy szkic.

Freddie uwielbiał sztukę. Preferował dzieła japońskie i impresjonistyczne, do nowoczesnej sztuki zaś miał jakby awersję. Napotykając w katalogach nowoczesne obrazy, krzywił się strasznie, a najbardziej się złościł na widok wielkich płócien, zamalowanych jednym kolorem lub przedstawiających dwie linie.

– Co to ma za sens? – prychał. – To nie jest sztuka!

Parę dni później pojechaliśmy do Montreux. Dotarliśmy na miejsce wczesnym wieczorem i natrafiliśmy akurat na oszałamiający zachód słońca nad jeziorem. Freddie koniecznie chciał zrobić zdjęcie nas obu na tym romantycznym tle, ale nie mieliśmy aparatu. Bardzo się rozzłościł; zależało mu na tym romantycznym obrazku.

– Nie martw się – powiedziałem – jeszcze zrobimy takie zdjęcie.

Bardzo żałuję, że nigdy do tego nie doszło.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie pragnął zrobić zaraz po przyjeździe do Montreux, było przespacerowanie się nad jezioro, żeby popatrzeć na łabędzie. Mówił o nich „moje łabędzie", a kiedy je wreszcie zobaczył, był gotów szybko przestawić się z powrotem na szwajcarski tryb życia.

Tego dnia, po spacerze nad jeziorem i obejrzeniu łabędzi, Freddie usiadł na brzegu, nad wodą, i zaczął nucić. Napisał potem piosenkę *A Winter's Tale,* bożonarodzeniową piosenkę o Szwajcarii i życiu w górach. Nikt jej nie słyszał, choć jestem pewny, że Freddie ją nagrał. Niestety, taśma musiała przepaść, bo utwór nigdy nie ujrzał światła dziennego[4].

Dzień pracy Freddiego z reguły zaczynał się około południa. Mimo że w strasznym tempie tracił wagę, upierał się przy

samodzielności – wstawanie, ubieranie, herbata przed wyjazdem do studia i tak dalej – i nie trwało to ani chwili dłużej niż zwykle.

Coraz częściej zdarzało mu się prosić Terry'ego o zatrzymanie samochodu w drodze do studia.

– Chcę wysiąść. Pójdę stąd pieszo – mawiał.

Kiedy zdarzyło się to pierwszy raz, Freddie był bardzo zamyślony. Poprosił Terry'ego, żeby zatrzymał się koło jeziora. Chciał przez kilka minut być sam. Bardzo powolnym krokiem poszedł na drugą stronę jeziora, do łabędzi. Postał obok nich przez chwilę i równie powoli wrócił.

– Dobrze – powiedział po powrocie. – Wystarczy. Czas do pracy.

Już wkrótce chodzenie zaczęło mu sprawiać trudności. Podarowałem mu laskę, ale z niej nie korzystał. Zgodził się spróbować raz, tylko raz. Nie było również mowy o kulach. Dawanie sobie rady bez pomocy stanowiło część jego siły. I robił to tak długo, jak mógł.

– Mam zamiar być na chodzie tak długo, póki Matka Natura nie powie: „dalej już nie pójdziesz" – mawiał.

Pewnego dnia w Londynie Freddie i ja wypuściliśmy się z Grahamem Hamiltonem i jego chłopakiem, Gordonem, na zakupy. Freddie kupił trochę szkła i ceramiki u Thomasa Goode'a na Bond Street, a także piękny komplet sztućców do naszego domu w Irlandii. Powiedziałem mu, że wychodzę na papierosa, ale poszedłem wprost do sklepu z artystycznymi wyrobami szklanymi Lalique na Mount Street, zaraz za rogiem. Ekspedientkę znałem, bo Freddie był tam stałym bywalcem.

– Chciałbym kupić mały prezent niespodziankę – powiedziałem jej, a ona od razu wiedziała dla kogo.

– Może kota – zasugerowała i pokazała, o jakiego kota jej chodzi. Był ze szkła i siedział na cokole. Był idealny. Zapłaciłem

i poprosiłem o zapakowanie.

Kiedy weszliśmy z Freddiem na herbatę do Rioli loux, dałem mu upominek.

– Po co to kupiłeś? – spytał.

– To tylko mały prezent dla ciebie – odparłem.

Do sklepu Lalique na Mount Street Freddie poszedł kiedyś na specjalne zaproszenie z okazji jednej z niezwykle rzadkich wizyt samej *madame* Lalique. Była dyrektorem naczelnym firmy i przyleciała do Londynu, żeby wygrawerować swój podpis na kilku niezwykłych wyrobach kryształowych dla najlepszych klientów.

Na to spotkanie Freddie wziął ze sobą Mary. Wrócili z trzema cudownymi zegarami. Jeden miał podpis „Dla Freddiego", drugi, również podpisany, dostała Mary. Mój nie miał podpisu, ale był grawerowany w delikatne irysy po obu stronach cyferblatu. Oba zegary, Freddiego i mój, stały na honorowych miejscach po obu stronach łóżka.

Kiedy Mary urodziła syna, Richarda, Freddie był w siódmym niebie. Odwiedził kilka razy matkę i syna w Queen Charlotte's Hospital, a kiedy powrócili do domu, wpadał do nich – bywało – kilka razy dziennie, żeby zobaczyć, co u nich słychać. Wszyscy daliśmy Richardowi jakieś specjalne prezenty. Freddie przybył z naręczami dziecięcych ciuszków od najlepszych projektantów – trofea z naszych wypraw szwajcarskich – i niewielką górą miękkich zabawek. Ja zrobiłem tradycyjną drewnianą kołyskę i namalowałem na jej bokach karuzelę z konikami i uśmiechniętych clownów. Phoebe kupił dla ukoronowania kołyski cudowną lnianą pościel. Niestety, kołyska nigdy nie została wykorzystana do usypiania Richarda, ale i tak zrobiono z niej dobry użytek – służyła jako skład zabawek przytulanek.

Freddie naprawdę był zachwycony przyjściem na świat Richarda. Raz na jakiś czas bardzo lubił przez parę minut trzymać go na rękach, lecz widać było, że nie jest jednym z tak zwanych urodzonych ojców. Lubił dzieci, ale wolał się trzymać na bezpieczną odległość.

Barbara Valentin i Freddie tej nocy, gdy napisał piosenkę Delilah, którą zadedykował swojej ulubionej kotce

My dwaj i Barbara Valentin w Szwajcarii w 1990 roku

Współtowarzysze niedoli

W czasie krótkiej wizyty w Montreux w 1990 roku Freddie i ja zatrzymaliśmy się wraz z Joem i Barbarą Valentin w Montreux Palace Hotel. Właśnie w trakcie tej podróży Freddie napisał swoją piosenkę *Delilah,* zadedykowaną ulubionej kotce.

Kiedy we czwórkę wracaliśmy ze studia, sklepy jeszcze były otwarte. Freddie poszukiwał teraz ładnych płóciennych obrusów. Nagle dostrzegliśmy w witrynie jednego ze sklepów coś tak śmiesznego, że wszyscy zaczęliśmy rechotać. Była to piżama składająca się z szortów i koszulki z wizerunkami Myszki Miki i Minnie oraz szlafmycy. Barbara natychmiast wskoczyła do sklepu i kupiła ten komplet w prezencie dla Freddiego. Wręczyła mu to w hotelu.

Wkrótce po powrocie Joe i ja poszliśmy spać, ale Freddie i Barbara byli w nastroju na całonocne pogaduchy.

Wstałem o siódmej rano i wszedłem do salonu, gdzie Freddie i Barbara wciąż gadali jak nakręceni. Freddie wyglądał wystrzałowo. Miał na sobie kompletne nocne wdzianko z Miki i Minnie i szlafmycę.

– Och, już tak późno! – zawołał na mój widok. – Jim, napisałem nową piosenkę. To o mojej Delilah.

W końcu przespał się tego ranka kilka godzin, ale po przebudzeniu kręcił się po apartamencie i przerabiał słowa do nowej piosenki, recytując mi co chwila nowe wersje. Moim ulubionym wersem był ten zawarty w ostatniej powstałej tego dnia wersji: „You make me slightly mad when you piss all over my

Chippendale suite" (Dostaję lekkiego szału, kiedy sikasz na mój chippendale'owski kredens).

Na urodziny Joego w 1990 roku Freddie wysłał mnie na rynek w New Covent Garden w południowym Londynie, żebym za pięćset funtów nakupił tyle różnych kwiatów w różnych kolorach i wielkościach, ile zdołam. Kupiłem tyle, że ledwie sam wsiadłem do volva. W domu czekał na mnie Freddie. Joego nie było, a my spędziliśmy kilka godzin na układaniu kwiatów. Napełniliśmy wszystkie wazony i dzbanki w domu. Garden Lodge jeszcze nigdy nie widział takiej ilości kompozycji kwiatowych. Kiedy Joe wrócił, omal nie zemdlał.

– Niespodzianka! – zawołał do niego Freddie.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Wieczorem poszliśmy do restauracji na przyjęcie urodzinowe z solenizantem. Nie zostaliśmy jednak długo, bo Freddie był zmęczony.

W tym samym miesiącu Joe poinformował wszystkich w Garden Lodge, że ma niedobre wieści. On także był chory.

– To znaczy, że masz HIV? – zapytałem.

– Nie, mam w pełni rozwinięty AIDS – odparł.

Co można powiedzieć? Przykro mi? Nie przyszło mi nic sensownego do głowy. Był to kolejny problem, któremu należało stawić czoło w Garden Lodge. Wszyscy martwiliśmy się, co będzie, jeśli prasa się dowie, że Joe także jest chory. Już widzieliśmy te ohydne nagłówki; odgadliśmy nawet, jak by został przezwany nasz dom: AIDS Lodge. Ale wszystko to jeszcze bardziej nas zdeterminowało. Postanowiliśmy wziąć się w garść i pozostać optymistami.

Mimo że robiłem dobrą minę do złej gry, zaczynałem się poważnie obawiać o swój stan zdrowia. Doszedłem do wniosku,

że również mogę być nosicielem. I im bardziej odsuwałem od siebie tę myśl, tym bardziej mi się to wydawało prawdopodobne. Postanowiłem zrobić sobie test na AIDS, nikogo o tym nie informując. Zrobiłem to w zupełnej tajemnicy i pod pseudonimem. Powiedziałem, że jadę na spotkanie z przyjacielem, i pojechałem do szpitala w Brighton.

Na miejscu lekarz nie zgodził się rozpocząć badań, póki nie przeszedłem specjalnego instruktażu. Przedstawiono mi szczerze, choć delikatnie, wszystkie implikacje bycia nosicielem. Powiedziałem, że zdaję sobie z tego sprawę, i poprosiłem o test.

Wieczorem, po powrocie do Garden Lodge, nie mogłem zasnąć. W szpitalu powiedziałem, że jestem nastawiony na wszystkie możliwości i zniosę również złe nowiny. Ale wewnętrznie wcale nie byłem o tym przekonany. Co ja zrobię?

Po kilku dniach zadzwoniłem po wyniki.

– Bardzo mi przykro, ale ma pan wynik pozytywny – powiedział lekarz. Na razie nie miałem AIDS. Byłem oszołomiony. Nie powiedziałem Freddiemu. Miał i tak dosyć na głowie, moje nowiny mogłyby go tylko niepotrzebnie przybić. Rzuciłem się więc w wir pracy w ogrodzie i warsztacie, wyrzucając z głowy myśli o przyszłości. Ale co noc, gdy usiłowałem zasnąć, wracały, a ich gonitwa była niepowstrzymana.

Pewnego dnia wybrałem się z Freddiem do Syon Park na zakupy. Chcieliśmy kupić kilka nowych roślin do ogrodu. Kiedy Terry ładował rośliny do bagażnika, fotograf „The Sun", który nas śledził, zrobił nam zdjęcie. Ukazało się nazajutrz z nieprawdziwym komentarzem, że Freddie opuścił Garden Lodge pierwszy raz od dwóch miesięcy.

Za każdym razem kiedy w telewizji pojawiała się reklama kociego pożywienia ze śnieżnobiałym kotem Arthurem, Freddie powtarzał,

że chciałby mieć białego kota, ale zawsze się mitygował, twierdząc, że utrzymanie takiego zwierzaka w czystości byłoby niemożliwe.

Kiedyś przechodziłem obok sklepu zoologicznego na Kensington High Street i zobaczyłem na wystawie pięcioro kociąt z tego samego miotu. Wszystkie były śnieżnobiałe, poza niewielkimi, ledwie widocznymi plamkami.

Udało mi się zwalczyć pokusę i nie kupiłem wtedy żadnego z nich dla Freddiego.

Wróciłem do Garden Lodge, włożyłem gumiaki i zabrałem się do czyszczenia zbiornika *koi.* Wtedy przez tylne drzwi wyszli do mnie Joe i Phoebe.

– Mamy do ciebie prośbę – powiedział Joe.

– Tak?

– Właśnie wracam z Kensington High Street i... – zaczął.

– I przechodziłeś obok zoologu i widziałeś kocięta? – dokończyłem za niego.

– Tak – odparł. – Są po dwadzieścia pięć funtów. Phoebe i ja damy ci pieniądze. Kupisz najbielsze dla Freddiego?

– A dlaczego sami nie kupicie?

– Postanowiliśmy poprosić ciebie – odrzekł Joe – bo jeśli ty go kupisz, Freddie nie wścieknie się i nie będzie wrzeszczał.

– Pojadę – zdecydowałem. – Ale pod jednym warunkiem: jeśli Freddie jednak się wścieknie i zacznie wrzeszczeć, weźmiecie na siebie część winy.

No i pojechałem, mając nadzieję wrócić, nim Freddie wstanie.

Pojechałem volvem. Zostało już tylko troje kociąt. Wybrałem jedno z nich, kotkę, i wróciłem do Garden Lodge. Wchodząc, wsadziłem kotkę pod kurtkę. Freddie był w ogrodzie, więc powoli podszedłem do niego z szerokim uśmiechem. Spojrzał na mnie wilkiem.

– Ty bydlaku! – powiedział. – Znowu kupiłeś kota, tak?!

– Skąd wiesz? – spytałem zaskoczony.

– Bo jego ogon wystaje ci spod kurtki! – zasyczał.

Wyjąłem kotkę i postawiłem na ziemi. Freddie pochylił się i pogłaskał ją, a potem nie potrafił się powstrzymać i wziął ją na ręce. Szybko ochrzcił naszego szóstego kota.

– Będziemy ją nazywać Lily! – powiedział.

Została więc Lily.

Mimo że uwielbiał nową kotkę, zastanawiał się, czy jej przybycie nie zepsuje humorów pozostałym pięciu. Oscar był kotem chodzącym własnymi drogami i wolał swoje własne towarzystwo. Przybycie nowej kotki chyba stanowiło gwóźdź do trumny; Oscar coraz częściej wymykał się w odwiedziny do innych domów, a jednego z sąsiadów właściwie zaadoptował. Zaczął nawet spędzać noce poza domem, ale Freddie się nie gniewał.

– Jeśli Oscar jest szczęśliwy, to wszystko w porządku – mawiał.

Stan zdrowia Freddiego ulegał ciągłemu pogorszeniu. Był już bardzo chudy i zaczął mieć trudności ze spaniem. Postanowiłem więc przenieść się na stałe do swojej sypialni. Bywały jeszcze noce, kiedy spałem z nim, ale zwykle tylko kładłem się obok niego na pościeli, a on układał się koło mnie do snu. Freddie przezwał moją sypialnię „lodówką", bo nawet w środku zimy spałem przy szeroko otwartym oknie.

Kiedyś w niedzielę Freddie wstał i zszedł na dół, po czym zorientował się, że ja jeszcze jestem w łóżku. Miałem grypę. Przyszedł do mnie, wszedł do mojego łóżka i przytulił się. Pocałował mnie.

– Moje biedactwo! – powiedział.

Wyraźnie nie obawiał się złapania ode mnie grypy. Wszyscy byliśmy świadomi konieczności unikania przez niego kontaktu

z wszelkimi infekcjami, a szczególnie grypami i przeziębieniami, które mogły się okazać śmiertelne, ale tego dnia w ogóle nie martwił się o siebie. Nie złapał ode mnie grypy i pozostał odporny.

Właśnie wtedy, pielęgnując mnie w czasie grypy, Freddie doszedł do wniosku, że musi coś zrobić z moim pokojem. Przeanalizowawszy różne pomysły, zdecydował się na zamówienie w firmie w Chelsea mebli w stylu biedermeier według jego własnego projektu. Zaprojektował stolik do kawy i wezgłowie łóżka. Kartkował albumy o meblach biedermeierowskich w poszukiwaniu pomysłów, po czym zaczął szkicować stolik, który miał być okrągły i dwupoziomowy, z toczonymi drewnianymi nogami, zdobionymi złotymi gwiazdkami. Wezgłowie łóżka wyglądało świetnie, ale Freddie uznał, że brak mu jego osobistego, końcowego muśnięcia. Wyszedł i wrócił ze swym workiem okuć mosiężnych, po czym wybrał kilka dużych kawałków i dopasował je. Kupił mi również etażerkę i trzy biedermeierowskie komody. Kilka tygodni później zamówił jeszcze parę mebli u dostawcy.

Wysyłając Terry'ego, żeby zapłacił i odebrał zamówienia, udowodnił, że nauczył się też czegoś ode mnie:

– Nie zapomnij upomnieć się o rabat! – powiedział Terry'emu na drogę.

Wyprowadzając się do swojego pokoju, pozostawiłem na stoliku po mojej stronie łóżka wszystkie zdjęcia, bo nie chciałem, żeby Freddie odnosił wrażenie, że wynoszę się na dobre. Zabrałem tylko mały budzik Cartiera. Z biegiem czasu Freddie powoli, sztuka po sztuce, przenosił te fotografie do mojej sypialni.

Przeprowadzka do Różowego Pokoju zbiegła się z momentem, kiedy skończyły się między nami praktycznie wszystkie normalne stosunki seksualne. Dla Freddiego seks nie był już przyjemnością, a stał się niezwykle wyczerpującym wysiłkiem. Przeszliśmy więc

na inny rodzaj przyjemności – delikatne pocałunki i pełne ciepła uściski. Te pieszczoty w swoim rodzaju były równie zaspokajające jak przedtem uprawiany przez nas seks.

Kiedy Freddiemu założono mały cewnik na piersi poniżej lewego ramienia, jego terapia przeciw AIDS nabrała zupełnie innego charakteru. Cały cewnik, łącznie z gumowym koreczkiem, był tak mały, że ledwie się go zauważało, a zdecydowanie ułatwiał dożylne stosowanie lekarstw. Z pewnością w niczym nam nie przeszkadzał, kiedy tuliliśmy się do siebie, najważniejsze jednak, że to urządzenie umożliwiało Freddiemu normalne funkcjonowanie, bo mógł wrzucić lekarstwo do kieszeni i schować prowadzącą do cewnika rurkę, i chodzić, a nawet opuszczać dom.

Przedtem pomagałem Joemu i Phoebemu w podawaniu Freddiemu lekarstw. Musiał brać jakiś biały proszek zmieszany z wodą, więc przygotowywałem tę mieszankę lub odnajdowałem tabletki. Od kiedy jednak Freddiego przestawiono na dożylne podawanie leków i założono cewnik, wszystko się bardzo skomplikowało.

Gdy usłyszałem, że mógłbym czasami sam podawać Freddiemu leki dożylnie, poprosiłem o wyłączenie mnie z tego. Uważałem to za niepotrzebne ryzyko i branie na siebie zbyt dużej odpowiedzialności. Istniało przecież ryzyko infekcji, a ja całymi dniami pracowałem w ogrodzie, uwalany błotem po łokcie, i w brudnej sadzawce. Ogród stanowił przecież siedlisko wszelkich możliwych bakterii i drobnoustrojów. Gdybym miał co kilka godzin podawać Freddiemu lekarstwa, spędzałbym cały dzień na szorowaniu się. Przecież nawet Joe, który pracując w kuchni, był naprawdę czysty, przez pół godziny mył i dezynfekował ręce przed podaniem leku. Obawiałem się po prostu, że nie doszoruję się kiedyś wystarczająco dokładnie.

Freddie doskonale to rozumiał i nie miał mi za złe tej decyzji.

W miarę jak jego zdrowie stopniowo się pogarszało, coraz częściej miewałem ciche rozmowy z Mary. Ciągle jej powtarzałem, że zawsze jej chętnie we wszystkim pomogę. Gdyby czegoś potrzebowała, wystarczy, że poprosi.

W lecie ni stąd, ni zowąd Freddie podniósł moją pensję z sześciuset do tysiąca funtów. Smutne, ale moja podwyżka stała się przyczyną kłótni Freddiego z Mary.

Księgowi byli na wakacjach, więc Freddie musiał sam podpisać czeki wypłat. Nigdy nie kwestionowałem swoich zarobków. Wiedziałem, że Joe i Phoebe dostają dużo więcej, ale oni byli na służbie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nigdy nic interesowałem się, ile zarabiają, to nie był mój interes. Ja byłem tylko chłopakiem Freddiego. I byłem zadowolony z tego, co mam. Opiekowałbym się tym ogrodem nawet wtedy, gdybym nie dostawał za to pieniędzy. Sprawiało mi przyjemność patrzenie, że Freddiego to cieszy.

W dniu kiedy on podpisywał czeki, pracowałem w gumiakach w sadzawce. Zawołał mnie z okna. Wszedłem do domu i w drzwiach próbowałem skopać z nóg gumiaki.

– Nie ściągaj tego cholerstwa! – powiedział.

– Chodź tu do mnie. Jesteś mi winien całusa. Mam dla ciebie dobre wieści.

Nie zdejmując więc gumiaków, podszedłem do niego i uścisnąłem go.

– Nie w tym miesiącu – powiedział – ale w przyszłym dostaniesz podwyżkę.

Potem powiedział coś, co miało być dla mnie bardzo ważne w nadchodzących miesiącach. Zawsze było wiadomo, że prawa własności do Garden Lodge po śmierci Freddiego przejdą na Mary.

Niemniej powiedział mi, że pozostanę w domu tak długo, jak zechcę. Tyle razy przecież powtarzał, że to tak samo mój dom. Dodał jeszcze, że skłonił Mary do obietnicy, bym w razie przeprowadzki mógł stąd zabrać wszystko, co zechcę.

Ta wypowiedź przyniosła mi pewną ulgę, aczkolwiek nie podobało mi się tak chłodne omawianie takich spraw.

– Nie chcę słyszeć o twojej śmierci – powiedziałem mu. – A jeśli ci zależy na tym, żeby twoje życzenia się spełniły, spisz je.

W ciągu ostatniego roku Freddie dał mi kilka rzeczy do naszego domku w Irlandii – był już ukończony i gotowy do urządzania. Meble, które nie były potrzebne w Garden Lodge, składowano w komórce.

– Jeśli chcesz coś z tego do domu w Irlandii, to zabieraj – powiedział, rozglądając się po składzie. Między innymi wysłaliśmy do Irlandii jego stare podwójne łóżko ze Stafford Terrace i dwa wiktoriańskie stoliki nocne.

Freddie miał mnóstwo rzeczy, których nie było gdzie trzymać. Składowano je w skrzyniach w magazynie. Tego lata postanowił, że czas to wszystko przywieźć do Garden Lodge i rozdzielić pomiędzy Rodzinę.

Kiedy dostarczono skrzynie, byłem w Irlandii. Paki rozłożono w ogrodzie na trawniku, a Freddie grzebał w nich, decydując, co dla kogo. Joe, Phoebe, Mary i dwie pokojówki dostali większość rzeczy, przeważnie bibeloty i stare ubrania od projektantów.

Gdy wróciłem, Freddie opowiedział mi o tym wszystkim.

– Ale nie zapomniałem o tobie – powiedział. – Jest jeszcze kufer, którego nikt nie tknął. Jest twój.

Otwarłszy później kufer, znalazłem w nim kapelusze i ozdoby. Potem trafiłem jeszcze na oryginalny tekst najsłynniejszego utworu Freddiego, *Bohemian Rhapsody.* Freddie napisał go na kartce A4

w linie. Zostawiłem wszystko w kufrze i postawiłem go w warsztacie.

Pewnego popołudnia byłem w warsztacie i naprawiałem pękniętą srebrną ramkę zdjęciową, bardzo dla Freddiego cenną, kiedy przytrafił mi się wypadek z elektryczną szlifierką. Zerwała mi kawałek palca. Wszędzie było pełno krwi. Poszedłem do kuchni, gdzie znalazłem Joego i Phoebego. Joe był zawsze bardzo wrażliwy na krew.

– Masz duże plastry, Joe? – spytałem.

– A coś sobie zrobił? – odpowiedział pytaniem.

Gdy pokazałem mu palec, mało nie zemdlał.

– Tu nie wystarczy plaster – wyjąkał. – Jedź do szpitala, niech ci to zszyją.

Odparłem, że to tylko skaleczenie. Wtedy wszedł Freddie.

– O co ten hałas? – spytał.

– Jim się poharatał – odpowiedział Joe – ale nie chce jechać do szpitala.

Freddie obejrzał mój palec i zgodził się z Joem, że tu potrzebna jest interwencja lekarza. Kiedy upierałem się, że to wiele hałasu o nic, rozzłościł się.

– Rób, jak uważasz! – syknął.

Dla świętego spokoju pojechałem do szpitala i wróciłem z dwoma szwami. Rana była poważniejsza, niż myślałem.

W końcu naprawiłem tę ramkę Freddiego. Ponieważ jednak mniej więcej w tym samym czasie robiłem kolejny stolik, który miał być prezentem od Freddiego dla Grahama Hamiltona i Gordona, więc Freddie na nich zwalił winę za mój wypadek.

Tego lata omal nie rozstaliśmy się z Freddiem po okropnej aferze o nic. Nie wiem już, o co obraził się na mnie i o co się pokłóciliśmy.

Takie rzeczy zwykle kończyły się nazajutrz, ale tym razem ciągnęło się to całymi dniami.

Rano jak zwykle wyszedłem do pracy w ogrodzie, a koło dziesiątej Freddie i Mary przyszli do ogrodu. Usiedli obok sadzawki i rozmawiali. Potem, kiedy wróciłem do domu, atmosfera była napięta. Freddie był chłodny i obcy.

Następnego dnia nic się nie poprawiło. Byłem w ogrodzie, kiedy wyszedł do mnie nieszczęśliwie wyglądający Joe i przekazał mi wiadomość.

– Freddie uważa, że powinieneś odejść – powiedział.

Byłem oszołomiony. Ciągle jeszcze nie wiedziałem, o co w tym wszystkim chodzi, lecz Freddie wciąż był niedostępny.

– Dobra – odrzekłem. Mówiłem spokojnie, choć w rzeczywistości byłem zdruzgotany. – Skoro takie jest jego życzenie, to okay. Ale potrzebuję czasu na znalezienie jakiegoś mieszkania.

Nazajutrz dostałem kolejne wieści, tym razem od Mary, że kiedy już sobie znajdę mieszkanie, nadal będę mile widziany w pracy przez sześć dni w tygodniu jako ogrodnik Garden Lodge. Powiedziała, że nie będę mógł używać volva, które dostałem od Freddiego na urodziny, i że będę miał w pracy tylko godzinę przerwy na lunch. Pracować miałem od dziewiątej do osiemnastej.

W tej sytuacji potrafiłem myśleć tylko o tym, czy będę w stanie płacić za mieszkanie i jeszcze coś jeść, więc odrzekłem:

– Dobrze, ale w takim razie moja pensja musi się zmienić. Ogrodnicy w centrum Londynu dostają przeciętnie dwanaście i pół funta za godzinę, a ja około trzech.

Znalazłem sobie mieszkanie, krótkoterminowy wynajem na sześć miesięcy, który był ogłaszany w „Loot" z typowym dopiskiem: „Wspólne mieszkanie z sir Charlesem – kotem". Właściciele żądali referencji, poprosiłem więc Mary, żeby mi to załatwiła.

Po południu, pracując w cieplarni, dostałem informację od właścicieli mieszkania, że mogę się natychmiast wprowadzić.

Przyszedł do mnie Freddie.

– Chyba nie chcesz się wynieść?! – spytał z lękiem. – Nie chcę, żebyś się wyprowadzał.

– Cały czas miałem wrażenie, że właśnie na tym ci zależy – odparłem. Byłem zaskoczony.

– Och, tylko byłem o coś zły – powiedział z zakłopotaniem. Zaczęliśmy rozmawiać i okazało się, że nawet nie pamięta, jak się to wszystko zaczęło. Nikt zresztą nie pamiętał. Najbardziej jednak zasmucił mnie fakt, że moi przyjaciele w Garden Lodge tak ochoczo się mnie pozbywali.

Tego wieczoru w sypialni, leżąc obok Freddiego, zapytałem go, do czyjej rady na mój temat się zastosował. Powiedziałem mu, że jasne jest przecież, iż słuchał czyichś rad. Czyich? Byłem zdecydowany dowiedzieć się, kto mi tak szyje buty w Garden Lodge.

– Usłuchałem własnych rad – odparł i zacisnął usta w taki sposób, że od razu wiedziałem: niczego się nie dowiem.

Spytałem go więc, dlaczego dopuścił, by to wszystko wymknęło mu się spod kontroli, ale też nie odpowiedział. Zamiast tego poprosił mnie, żebym o wszystkim zapomniał. Nie było to łatwe. Byłem bardzo zraniony i przybity. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, kto mógł tak nabuzować Freddiego bez powodu.

Na urodziny Mary w 1990 roku Freddie przygotował „kocią” niespodziankę

Typowy prezent urodzinowy dla śmiechu – fartuch ogrodniczy. Freddie omal nie zemdlał ze śmiechu

Od lewej: Mary, Freddie i Barbara podczas jego ostatnich hucznych urodzin. Ja siedziałem po przeciwnej stronie stołu

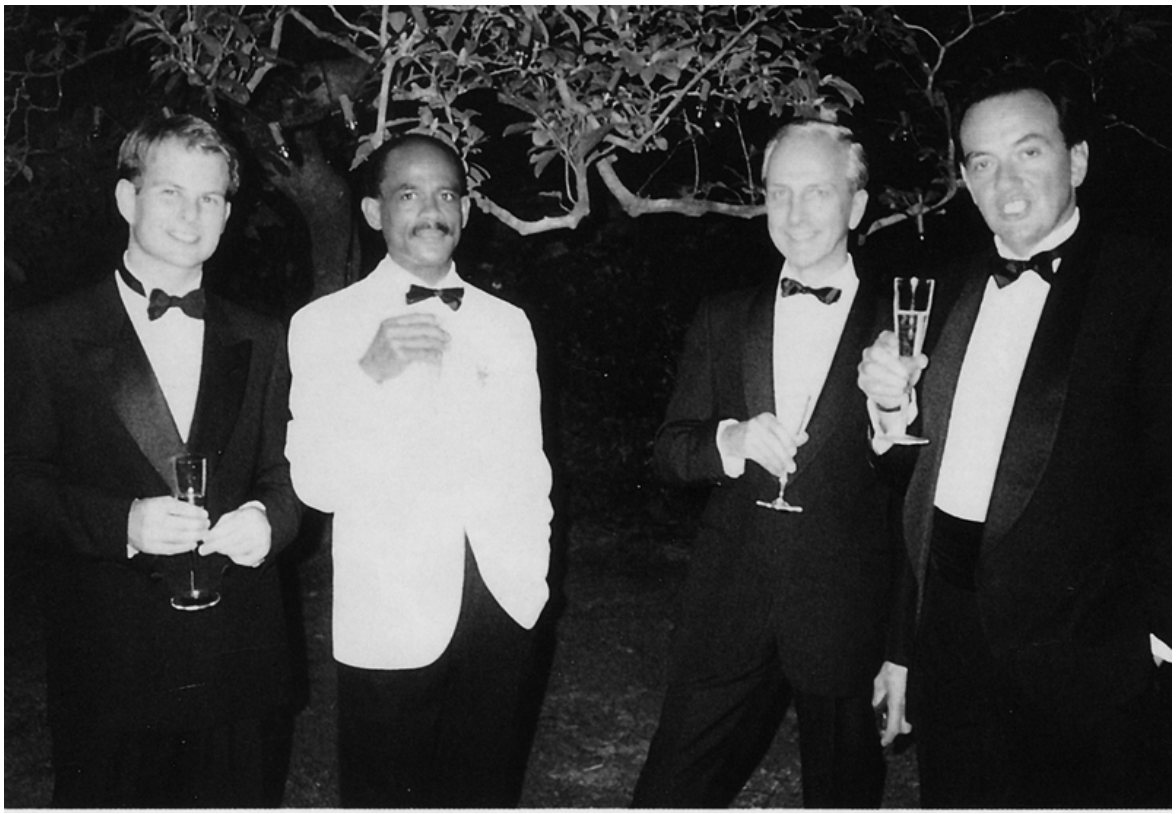

Urodziny Freddiego w 1990 roku. Od lewej: Tony Evans (przyjaciel Joego), Trevor „B.B." Clarke, lekarz Freddiego – doktor Atkinson i Graham Hamilton

Elton John i Freddie zerwali przyjaźń całe lata wcześniej, ale spotkawszy się na „Live Aid", rozmawiali już ze sobą jak normalni ludzie. Tego lata Elton zaczął przyjeżdżać do naszego domu i wkrótce stał się jednym z niewielu regularnych zaufanych gości Freddiego – aż do samego końca.

Pierwsza niedzielna wizyta Eltona na obiedzie była dla mnie bardzo pamiętna. Joe i ja nakrywaliśmy stół i wtedy Joe powiedział mi, że mam siedzieć na obiedzie, mając po lewej Freddiego, a po prawej Eltona.

– Tak więc nie sól swojego jedzenia – dodał.

– Niby dlaczego nie? – nie zrozumiałem.

– Zobaczysz, Elton zrobi to za ciebie.

Elton był w dresie i czapce baseballowej, której nie zdjął przez całą wizytę. Miał dość okrągłe kształty, ale zachowywał ścisłą dietę. Nie jadł więc mięsa, tylko warzywa, i pił wyłącznie wodę. Kiedy zaczęliśmy jeść, zrozumiałem, co Joe miał na myśli. Elton bardzo lubił doprawiać jedzenie, a potrząsał solniczką tak energicznie, że ja nie musiałem już solić swoich potraw.

Na jesieni Freddie powiedział Joemu, że prawa noga odmawia mu posłuszeństwa. Była to ta sama noga, na której miał paskudną, wiecznie otwartą ranę na łydce. Już wcześniej sprawiała mu kłopoty, bo kiedyś, w jakimś monachijskim klubie dla gejów, złamał ją, figlując na parkiecie. Joe, który regularnie trenował podnoszenie ciężarów, zasugerował jakieś ćwiczenia, poszedłem więc zamówić dla Freddiego najnowocześniejszy rower treningowy. Gdy dwa tygodnie później rower nadszedł, Freddie ciągle jeszcze miał problemy z nogą. Z początku Freddiemu rower bardzo się podobał, ale potem zapał okazał się słomiany. Joe i ja zataszczyliśmy rower na galerię minstreli, gdzie co jakiś czas Freddie popedałował na nim parę minut pod okiem Joego.

Urodziny Freddiego we wrześniu 1990 roku były barwną, huczną imprezą w Garden Lodge. Serwowano *haute cuisine,* a przybyło około dwudziestu gości, w większości par. Byli Mary z Piersem, doktor Atkinson ze swym przyjacielem, Rogerem, Graham Hamilton z Gordonem, Jim Beach ze swą żoną, Claudią, Terry i jego żona Sharon, Mike i Linda Moran, inżynier nagrań Dave Richards z żoną, Colette, Dave Clark, Trevor Clarke, Barbara Valentin, Peter Straker, Joe ze swym przyjacielem Tonym Evansem, Phoebe i ja.

To były ostatnie urodziny Freddiego, którym towarzyszyło jakieś huczniejsze przyjęcie. A dla pewności, że każdy z gości dobrze zapamięta tę imprezę, Freddie dał wszystkim pamiątkę – przy każdym nakryciu leżał prezent kupiony w Tiffany and Co.

Przerwa w zdjęciach do teledysku do Breakthru w Cambridgeshire, pierwszego w dziejach Queen filmu kręconego poza studiem

Ostatnie uroczyście obchodzone urodziny Freddiego – wrzesień 1990 roku – wielki bal urządzony w domu

Freddie napisał piosenkę *I'm Going Slightly Mad* po kolejnej, trwającej całą noc nasiadówce z Peterem Strakerem. Freddie powiedział mu, że chodzi mu po głowie taka fraza, i wyjaśnił, co chciałby zawrzeć w piosence. Dalej już poszli w ślady mistrza jednowersowych parodii, Noela Cowarda.

Peter i Freddie zaczęli rymować głupkowate teksty, jeden śmieszniejszy od drugiego. A kiedy już zaczęli, nic nie mogło ich powstrzymać. Obaj byli na najwyższych obrotach. Poszedłem spać, słuchając rechotów i wycia.

Byłem akurat w Irlandii, kiedy Freddie i Straker się rozstali. Powstała pustka, której już nikt nigdy nie zapełnił. Nieobecność Petera była zauważalna szczególnie w weekendy, kiedy zawsze wpadał na drinka i siedział całą noc. Spytałem Freddiego, dlaczego go ostatnio nie widujemy.

– Bo mnie wkurzył w Joe's Cafe – odrzekł i odmówił dalszej rozmowy na ten temat. Poszedłem więc do Joego i Phoebego.

Freddie umówił się ze Strakerem w Joe's Cafe w Knightsbridge. Peter przyszedł trochę spóźniony i podpity. Freddie poczuł się publicznie wystawiony do wiatru. Postanowił, że nie chce mieć ze Strakerem więcej do czynienia.

Patrząc na to z dystansu, myślę, że Peter Straker nie powinien mieć wyrzutów o to, co się stało. Wówczas zachowanie Freddiego było w dużej części – i coraz bardziej – skutkiem jego pogarszającego się zdrowia. Poza tym zapewne był zazdrosny o Petera, który ciągle jeszcze mógł sobie pozwolić na traktowanie życia jako nieprzerwanej balangi – jak Freddie kiedyś. I nie tylko Peter został wtedy spławiony. Z pola widzenia znikła Barbara Valentin, nie widywałem już Grahama Hamiltona i Gordona.

Stosunki Freddiego i Gordona Hamiltona ochłodziły się, bo Graham nie umiał trzymać języka za zębami. Freddie oczekiwał pełnej lojalności i dyskrecji od swego otoczenia. A Graham czy Gordon, wioząc Freddiego, opowiadali mu o innych VIP-ach, które zasiadały na tylnym siedzeniu ich auta.

Freddie doszedł więc do wniosku, że muszą też opowiadać innym o nim.

Czara goryczy się przelała, gdy poszedłem na drinka do Champions, pubu dla gejów w Notting Hill Gate. Był tam Gordon, który podszedł się przywitać i przedstawić mi swojego młodego przyjaciela – akurat z nim popijał. Nieco później wyszedłem i zajrzałem do niedalekiego gejowskiego klubu Gate Club.

Po jakiejś półgodzinie wszedł ten młody człowiek, którego przedstawił mi Gordon. Od razu przyłączył się do mnie.

– Wiem o tobie wszystko – pochwalił się. – Wiem, że jesteś chłopakiem Freddiego Mercury'ego.

I tak dalej... Opowiedział mi wszystkie ploty, jakie usłyszał na mój temat od Gordona.

Zaniemówiłem. Przecież to był zupełnie obcy facet! I znał szczegóły mojego prywatnego życia!

– Kto ci to wszystko powiedział? – spytałem, choć odpowiedź była oczywista. Wyszedłem z klubu i wróciłem do domu około północy. Freddie był w łóżku, lecz nie spał.

– Wyglądasz jak śmierć. Co się stało? – spytał.

Opowiedziałem, a on pokręcił głową.

– Dobra – powiedział.

I od tego dnia już nie widziałem Grahama ani Gordona.

W listopadzie Queen podpisał nowy wielomilionowy kontrakt nagraniowy, który Jim Beach wynegocjował w Stanach

Zjednoczonych z Hollywood Records, będącym własnością Walt Disney Corporation. W ten sposób zespół zyskał nieocenioną możliwość korzystania z najlepszych animatorów Disneya, używających do kręcenia wideoklipów najnowszych technologii.

W tym samym miesiącu Freddie chciał wygnać raz na zawsze „The Sun" z Garden Lodge. Stało się to potem, jak gazeta wydrukowała artykuł pod nagłówkiem: *Wiadomość oficjalna! Freddie jest poważnie chory!* Dziennik przytaczał wypowiedź Briana Maya, że Freddie jest chory, i na jej podstawie w ogromnym artykule donosił, że Freddie umiera. Wtedy powiedział, że nie chce już nigdy widzieć w domu „The Sun". A ponieważ to ja kupowałem gazety, nie było już więcej problemu, bo kartkowałem je przed oddaniem w domu i – jeśli znalazłem jakiś niemiły fragment – mówiłem, że w kiosku danej gazety już nie mieli.

Przyjęcie, które odbyło się w roku 1990 dla pracowników biura Queen, okazało się ostatnim. Zespół nigdy wcześniej nie pokazywał pracownikom przedpremierowo swoich wideoklipów, ale tym razem zrobiono wyjątek i wszyscy mieli okazję zobaczyć klip do *Innuendo,* zrobiony za pomocą najnowszych technik animacyjnych Disneya.

Sam klip stworzyli oczywiście „Torpedo Twins", Rudi i Hans, a animacja była niezwykle staranna i powolna. Rezultaty były zaskakujące. Okrzyknięto później w Ameryce, że to zbyt kontrowersyjne, bo trwała akurat wojna w Zatoce i wytwórnia bardzo nerwowo zareagowała na pacyfistyczny wydźwięk utworu. Co dzień więc nadchodziły do przeglądu nowe wersje nagrania. Wreszcie wydano je powtórnie, omijając pisane po arabsku wersety z Koranu, świętej księgi islamu.

Na Gwiazdkę kupiłem Freddiemu kolorowe antyczne kielichy i niemal zepsułem niespodziankę. W witrynie sklepu zobaczyłem

sześć pięknych szklanych kielichów na białych czystych nóżkach, które przy bliższym obejrzeniu okazały się ciemnoczerwone. Kupiłem je i uradowany wróciłem do domu, gdzie wpadłem na Freddiego. Spytał mnie, dlaczego wyglądam na takiego uszczęśliwionego, a ja jak głupi pokazałem kielichy.

– To twój prezent na Gwiazdkę. Popatrz – powiedziałem. A potem wstawiłem je do kredensu.

Około południa w Wigilię pojechałem na Earl's Court kupić sobie dżinsy. Byłem wściekły na siebie, że pokazałem Freddiemu jego prezent. Kiedy przechodziłem obok antykwariatu, właściciel go właśnie otwierał. Zauważył mnie i zatrzymał.

Ostatnie Boże Narodzenie Freddiego, 1990 rok, z Joem i jego „ptaszkiem”

Padamy na nos w noc sylwestrową – my dwaj z Grahamem Hamiltonem w 1989 roku

– Zapomniałem panu powiedzieć – zaczął – że na zapleczu mam jeszcze sześć takich samych kielichów. Stanowią dwunastosztukowy komplet.

Spytałem o cenę. Zaoferował mi nieduży rabat, więc je kupiłem. Pognałem z powrotem do Garden Lodge, ominąłem Freddiego, opakowałem je ładnie i wsadziłem pod choinkę.

W Boże Narodzenie obudziłem się z tak strasznym bólem zęba, że musiałem pojechać na ostry dyżur dentystyczny, gdzie mi go usunięto.

Podobnie jak ja Freddie nienawidził dentystów. Chodził tylko na przegląd raz na rok. Niemniej w trakcie badania przez dentystkę przeżywał zarówno strach, jak i ekstazę, tak bardzo podobała mu się agresywność tej kobiety przy pracy.

Przednie zęby Freddiego były wystające, bo dwójki wyrosły mu za jedynkami. Powinny były być usunięte w dzieciństwie, ale nie zrobiono tego. Osiągnąwszy sukces, Freddie obiecywał, że je sobie wyreperuje, ale tak naprawdę nie miał ochoty zawracać sobie tym głowy. Poza tym wiedział, że są jego znakiem firmowym – każda karykatura zawsze je uwypuklała.

Uważam, że mimo tych wystających zębów miał śliczny uśmiech. Przypominał sobie o nich i wstydził się właściwie tylko wtedy, kiedy śmiał się z całego serca, rechocząc w głos i ukazując wszystkie zęby. Wtedy jego dłoń natychmiast wędrowała w górę, zasłaniając dół twarzy.

Po świątecznym posiłku poszliśmy otwierać prezenty. Wyjąłem swój prezent dla Freddiego i wręczyłem mu go. Rozerwawszy papier, spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Przecież stoją w kredensie! – powiedział.

– A nie! – odparłem. – To druga szóstka.

Dostąpiły zaszczytu stania za szkłem w kredensie.

Freddie był już teraz naprawdę wątły. Ale za to 1991 rok zaczął się dla niego wspaniale pod względem muzycznym. Wydany w połowie stycznia singiel *Innuendo* wyniósł jego i Queen z powrotem na należne im miejsce – na szczyty list przebojów. Album wyszedł w lutym i natychmiast znalazł się na szczycie.

W walentynki Freddie był w studiu i nagrywał wideo do *I'm Going Slightly Mad,* która to piosenka miała być ich następnym singlem. Ale nieobecność nie powstrzymała go od zrobienia mi numeru. Koty i ja mieliśmy dla siebie cały dom, bo Phoebe wyszedł, a Joe i Terry byli z Freddiem na zdjęciach. Zadzwonił telefon. Był to Terry; pytał, czy Phoebe „dostał to, czego chciał Freddie". W tej samej chwili wszedł Phoebe, więc oddałem mu słuchawkę. Dosłyszałem jeszcze, jak mówi:

– Mam tylko jeden.

Siedziałem sam w salonie, kiedy – około ósmej wieczorem – wrócił Freddie. Zza zamkniętych drzwi do hallu słyszałem jakieś szepty, a potem szamotaninę. Otworzyły się drzwi. Wszedł Freddie, niosąc ogromny pakunek zawinięty w brązowy papier.

– Niespodzianka! – zawołał, wręczając mi jakiś ciężki przedmiot.

– Co to jest? – spytałem.

– Niespodzianka! – powtórzył Freddie z roziskrzonymi oczami. Rozpakowałem tę niespodziankę. Był to duży wiktoriański obraz olejny w przepięknych pozłacanych ramach, na który zwróciłem uwagę dzień czy dwa wcześniej w katalogu Sotheby's. Na obrazie dwa małe kotki bawiły się ślimakiem na ogrodowej ścieżce. Malowidło nosiło tytuł *Niespodzianka.*

– Nawet wiem, gdzie go powiesimy – ciągnął Freddie.

– Gdzie?

– Przesuń tamten obraz. – Wskazał część ściany, która była widoczna ze wszystkich stron.

Obraz wisiał tam jakiś czas, ale niedługo, bo Freddie kupił go z myślą o irlandzkim bungalowie.

Kupił wtedy jeszcze jeden obraz. Był wielki i masywny. Jedyny portret, jaki Freddie kiedykolwiek nabył. Przedstawiał młodego chłopca o silnym, promiennym wyglądzie stojącego na progu życia. Obraz natychmiast odesłano na poważne roboty restauratorskie i nie widzieliśmy go przez kilka miesięcy.

Freddie był już bardzo słaby i filmowanie klipu do *I'm Going Slightly Mad* wyczerpywało go. Poza tym trzeba go było dosłownie okładać makijażem. Nosił też grubą czarną perukę.

Ponieważ miał tak zmieniony wygląd, nie poznałem go, gdy pewnego razu wpadłem popatrzeć na nagranie. Było tam kilka pingwinów, które miały być filmowane. W chwilach przerw

Freddie podchodził do nich i poił je. W światłach studia było im strasznie gorąco, a Freddie – mimo własnych kłopotów zdrowotnych – cały czas się o nie troszczył.

– Dla nich jest zdecydowanie za gorąco! – narzekał.

W sumie był to niezły sposób na odwracanie uwagi od własnych kłopotów.

Freddie postanowił kupić dom w Montreux. Zabrał więc kilkoro z nas do Duck House na wakacje – w tym Mary z małym Richardem i Terry'ego z rodziną. Pewnego dnia wyszliśmy obejrzeć spokojny domek z lat pięćdziesiątych. Stał nad jeziorem i miał własną przystań, a także – co mi bardzo odpowiadało – ogród. Ale nie nadawał się. Tak naprawdę ze względów bezpieczeństwa potrzebowaliśmy mieszkania. Poza tym i tak spędzalibyśmy tam niewiele czasu.

Potem Jim Beach znalazł trzysypialniowy apartament na dachu wspaniałego budynku nazywanego „LaTourelle". Pognaliśmy obejrzeć to miejsce. Mieszkanie miało piękne parkiety, olbrzymi salon, wielkie okna i balkon wychodzący na jezioro i miasto. Był tam także mniejszy salonik, właściwie gabinet, a na tyłach kuchenka oraz trzy sypialnie – dla Joego, Freddiego i mnie.

Po powrocie do Londynu miałem pilny telefon od mojej siostry, Patricii. Powiedziała mi, że już od kilku miesięcy „Daily Mirror" usiłuje wytropić miejsce, gdzie stoi nasz irlandzki dom. Człowiekowi, który dla nas transportował kilka mebli, oferowali tysiąc funtów w zamian za adres. Redakcja najwyraźniej uważała, że trafili na gorący temat: Freddie Mercury w tajemnicy wyprowadza się do Irlandii, żeby uciec przed światem. Na razie zabrali się tylko za „ujawnianie" mojej rodzinie, że jestem gejem. Rodzina już dawno o tym wiedziała i zupełnie zlekceważyła prasę, toteż wkrótce pismaki zwinęły manatki.

Pewnego dnia po powrocie z Irlandii siedziałem z Freddiem w kuchni i pokazywałem mu najświeższe zdjęcia naszego bungalowu. Dom wypadł dziwacznie, wielki i pokraczny, coś, o czym książę Karol powiedziałby „pryszcz". Ale Freddiemu bardzo odpowiadał jego wygląd i powiedział, że bardzo by chciał obejrzeć go na własne oczy.

– A właściwie dlaczego nie? – spytałem. – Polecielibyśmy najwcześniejszym lotem z Heathrow i o dziesiątej bylibyśmy w Dublinie. A potem jeszcze tylko dwie godziny.

– Czy musiałbym spotykać się z twoją rodziną? – spytał.

Był właśnie taki nieśmiały.

– Nie, nie musisz się spotykać z moją rodziną – odrzekłem. – Najwyżej zobaczysz moją mamę.

Freddie wiedział, że to nie byłoby problemem.

Przemyślał wszystko i trochę się zapalił do pomysłu. Zasugerował nawet, że moglibyśmy wynająć helikopter, żeby dostać się na miejsce jeszcze szybciej, a ja zacząłem się rozpytywać o możliwości.

Ale po paru dniach jego entuzjazm przybladł. Irlandia stanowiła dla niego ziemię nieznaną, a to by było dodatkowym utrudnieniem. Poza tym choroba powodowała, że stawał się słabszy i dużo szybciej się męczył, niż chciał przyznać. Nie nadawał się do sześciogodzinnej podróży, nieważne dokąd. Wystarczająco wiele wysiłku kosztowało go znajdowanie w sobie sił na prowadzenie w miarę normalnego życia.

Nigdy nie postawił stopy w naszym bungalowie, ale jego osoba jest tam wyczuwalna. Tak ściśle śledził wszystkie stadia jego powstawania, że czuję go i widzę w każdym pomieszczeniu.

Mniej więcej w kwietniu Joe popadł w depresję w związku ze swym AIDS. Otworzywszy serce przed Freddiem, wyznał, że boi

się, iż nie będzie miał gdzie mieszkać, kiedy on umrze. Freddie natychmiast zaczął szukać wyjścia.

– Słuchaj – powiedział po chwili – znajdź sobie jakiś ładny dom, a ja ci go kupię.

Po kilku tygodniach Joe wynalazł sobie mały domek w Chiswick. Freddie natychmiast go kupił.

Rezygnacja

W maju 1991 roku Queen wydał singla *Headlong*. Słowa zdawały się podsumowywać nasze życie w Garden Lodge: „Pędzisz na łeb na szyję i uważasz, że jesteś taki mocny. Ale pewnych rzeczy nie pokonasz i nic na to nie poradzisz". Z pewnością nie było sposobu na powstrzymanie pogarszania się zdrowia Freddiego i wszyscy o tym wiedzieliśmy. Jego nastrój bardzo się poprawił po kupieniu mieszkania w Montreux. Kilka razy polecieliśmy tam, żeby je obejrzeć. Freddie miał dokładną wizję wystroju tego mieszkania i wybierał wszystko osobiście. Joemu i mnie pozwolił tylko na jedno: wybór koloru naszych sypialni. Wybraliśmy pastelowy zielony i pastelowy niebieski. Już przy pierwszej wizycie Freddie chciał mieć od razu ogród na balkonach, wybrałem się więc na miasto wydać niewielką fortunę na kwiaty.

– Chcę mieć mnóstwo wszystkiego i jeszcze więcej zieleni – zażyczył sobie Freddie.

Trzy godziny później balkony zostały zupełnie zmienione i obfitością roślin podkreślały widok na jezioro.

Wynajął najwybitniejszych dekoratorów wnętrz w Montreux i zdecydowanie zażądał, żeby wszystko było gotowe na Boże Narodzenie, które postanowił spędzić w ciszy w tym mieszkaniu.

Ostatnim kupionym przez Freddiego obrazem był wspaniały Tissot, wypatrzony w Christies. Był to portret kochanki artysty, Kathleen Newton, w czepcu, z delikatnie uniesioną do policzka dłonią. Freddie zapłacił za niego sto sześćdziesiąt tysięcy funtów. Obraz miał swoją smutną i zarazem ironiczną historię, kobieta

wyglądała bowiem na portrecie znakomicie, a w rzeczywistości cierpiała na nieuleczalną chorobę i zmarła wkrótce po powstaniu dzieła.

Tego lata Freddie ostatni raz w życiu pozował do zdjęcia – i to mnie. A było to tak: fotografowałem w ogrodzie kwiaty w pełni kwitnienia, kiedy podszedł do mnie Freddie. Skierowałem na niego obiektyw, a on poprosił, żebym się na chwilę wstrzymał. Chciał się trochę odsunąć, żeby uniknąć zbliżeń. Potem pozował mi do czterech zdjęć, a nawet zdobył się dla ich potrzeb na uśmiech. Był tak blady i wychudzony, że zdawał sobie sprawę, iż nie jest w najlepszej formie, ale to nie miało znaczenia: ze wszystkich zdjęć Freddiego, jakie mam, te najbardziej lubię.

W sierpniu dowiedzieliśmy się, że Paul Prenter zmarł na AIDS. Freddie wiedział, że Paul jest chory, ale nie miał pojęcia, że AIDS może zabić tak szybko. Śmierć Prentera wstrząsnęła nim na wiele tygodni i w nieunikniony sposób przypomniała mu o jego własnym przeznaczeniu.

W tym samym miesiącu spytałem go, co chciałby dostać na urodziny.

– Kilka pięknych kieliszków do szampana z irlandzkiego kryształu – odparł. – Do mieszkania w Szwajcarii.

Tak więc, wracając do domu z krótkiej wizyty w Irlandii, kupiłem takie kieliszki. Ale tym razem utrzymałem to w kompletnej tajemnicy. Przez większość czasu w następnych tygodniach siedziałem w warsztacie, wykonując z drewna pudełko do przechowywania kielichów. Wypolerowałem pudełko, pokryłem lakierem i obiłem niebieskim welurem.

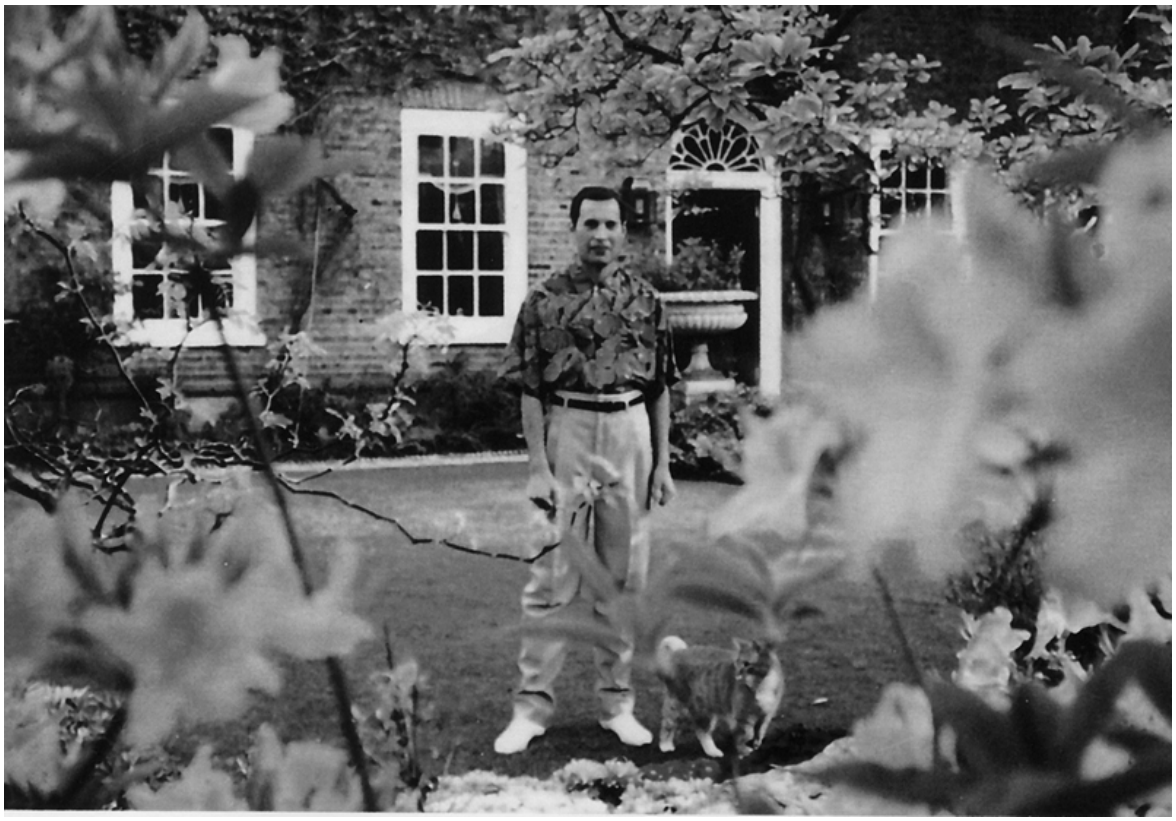

Freddie wiosną 1991 roku, wychudzony i wątły. Wtedy ostatni raz pozował do zdjęcia

Freddie Mercury – mój mężczyzna!

Urodziny Freddiego piątego września 1991 roku były bardzo ciche. Rano Freddie zszedł na dół w szlafroku na poranną herbatę. Mój Boże, pomyślałem, ależ wychudł! Wyglądał tego dnia tak krucho!

Razem z nami w kuchni byli Mary i Dave Clark, którzy przyszli mu złożyć życzenia. Pudełko, które chciałem dać Freddiemu, było przed nim schowane w jednym z kuchennych kredensów. Kiedy Dave i Mary wręczyli mu prezenty, pomyślałem, że na mnie też już chyba czas.

– No cóż – powiedziałem, wyjmując pudełko z kredensu. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Freddie.

Obejrzał pudełko i przejechał po nim dłonią, po czym powiedział, że jest śliczne i wspaniale zrobione. Dopiero po paru minutach

dotarło do mnie, że Freddie uznał za prezent samo pudełko, i jest nim wystarczająco zachwycony.

– Nie otworzysz? – spytał Dave, który wiedział, że wewnątrz są kieliszki. Freddie posłusznie otworzył pudełko i wyglądał na mocno zaskoczonego.

– Przecież powiedziałeś, że chcesz piękne kieliszki do szampana z irlandzkiego kryształu do mieszkania w Szwajcarii – wtrąciłem.

Niestety, te kieliszki nigdy do Montreux nie dotarły.

Czterdzieste piąte urodziny Freddiego były chyba najcichsze w jego życiu. Świetnie zdawał sobie sprawę, że nie jest w szczytowej formie i że nie zdoła już ukryć faktu, iż koniec zbliża się wielkimi krokami. Nie miał ochoty na huczną libację i tłum przyjaciół, bo nie chciał, żeby zobaczyli go w takim okropnym stanie. W czasie swych ostatnich urodzin życzył sobie od wszystkich tylko jednego: spokoju.

Ale prasa wciąż deptała mu po piętach. Poszliśmy kiedyś na lunch do Pontevecchio na Earl's Court. Kierownik sali powiedział nam, że przed restauracją poluje na Freddiego reporter i fotograf z „News of the World". Z tą informacją zadzwonił do niego Liam Byme, kierownik pubu Coleheme po drugiej stronie ulicy. Tak więc Freddie i ja wynieśliśmy się po cichu tylnymi drzwiami.

W październiku Queen wydał singla *The Show Must Go On (Przedstawienie musi trwać),* z nagraniem *Keep Yourself Alive (Trzymaj się przy życiu)* na stronie B. Zgodnie z oczekiwaniami Freddiego prasa natychmiast zajęła się pełnymi zapytań i obsesji tekstami obu utworów. Dziennikarze spekulowali na temat ukrytych znaczeń wersów: „Po cóż żyjemy?" i „Już niedługo zniknę za rogiem", w chwili gdy Freddie wyglądał tak wątle. Dla mnie jednak najbardziej osobisty wers to: „Mój makijaż się złuszcza, ale uśmiech nie znika mi z twarzy". To była prawda. Nieważne, jak

bardzo był chory, nigdy się nie uskarżał i nie szukał współczucia. To była jego walka i zawsze robił dobrą minę w obliczu wciąż piętrzących się przeciwności.

Ostatnim wideoklipem Freddiego był film do singla *These Are the Days of Our Lives*, który wkrótce po jego śmierci został wydany na stronie B singla *Bohemian Rhapsody.* To nagranie jest prawdziwym łabędzim śpiewem. W trakcie kręcenia tego klipu Freddie wyglądał gorzej niż kiedykolwiek. Teraz gruby makijaż, który miał zakrywać ślady na twarzy, tylko podkreślał ostrość wychudłych rysów. Studio było niezwykle ściśle strzeżone, a przy nagraniu obecni byli tylko najbardziej niezbędni technicy. Diana Moseley i ja siedzieliśmy cały czas na krawędzi sceny, u stóp Freddiego. Na koniec ostatniego ujęcia Freddie uśmiechnął się i mrugnął do mnie, a ja się zarumieniłem. Diana powiedziała:

– Jim, na miłość boską, weź się w garść!

Mieszkanie Freddiego w Szwajcarii (najwyższe piętro budynku po prawej). Ostatni raz byliśmy tam w październiku 1991 roku. Wiem, że właśnie wtedy Freddie zdecydował, że jego walka z AIDS się skończyła

Na Gwiazdkę 1989 roku dałem Freddiemu kryształową czarę na kawior

Freddie był teraz niebywale słaby, ale zebrał w sobie dość sił, żeby zrobić jeszcze jedno, bardzo specjalne przyjęcie w Garden Lodge. Było to podziękowanie dla wszystkich lekarzy, którzy opiekowali się nim podczas choroby. Był tam doktor Gordon Atkinson z pięcioma innymi specjalistami, między innymi z doktorem Grahamem Moyle'em.

Nikt przy stole nie znał mojego stanu zdrowia, choć z pewnością kilka osób miało podejrzenia. W trakcie posiłku doktor Moyle zagadnął mnie na temat zrobienia sobie testu na AIDS. Nie próbował niczego owijać w bawełnę.

– Zrób sobie test – powiedział. – Jeśli się okaże, że jesteś nosicielem, to przynajmniej będziesz wiedział. A jeśli wynik będzie negatywny, to stracisz tylko kilka siwych włosów.

Tak czy tak znałem odpowiedź. Druga opinia mogła jedynie potwierdzić smutną prawdę. Ale zrobienie sobie drugiego testu nie wydawało się głupie, więc się zgodziłem.

Freddie chciał ostatni raz zobaczyć mieszkanie w Szwajcarii, więc polecieliśmy tam prywatnym odrzutowcem – my dwaj, Joe, Terry i dawny przyjaciel Freddiego, Tony King, który był asystentem Micka Jaggera.

Poszedłem do kliniki doktora Atkinsona, żeby pobrał mi krew do testu na AIDS. Ponieważ rezultaty z laboratorium miały przyjść dopiero za jakiś czas, przyrzekł mi zadzwonić do Montreux natychmiast, gdy tylko dostanie wyniki.

Była to nasza trzecia wizyta w mieszkaniu w Montreux, ale widać było, że Freddie i ja nie przyjedziemy tu razem po raz czwarty na nasze starannie zaplanowane ciche Boże Narodzenie. Codziennie przez dziesięć dni wychodziliśmy wieczorami do restauracji, choć Freddie poruszał się już bardzo wolno i potrzebował pomocy przy chodzeniu.

Wykorzystał tę podróż do Szwajcarii dla odzyskania spokoju i jako okazję do podjęcia kilku ostatecznych decyzji. Właśnie wtedy zdecydował się odstawić leki i umrzeć. Postanowił, że żaden z nas się o tym nie dowie. Walka z chorobą się skończyła. Był gotów odpłynąć bez dalszych przepychanek.

Zaczął spędzać więcej czasu w swej sypialni, leżąc w łóżku w podkoszulku i szortach, przedrzemując większość dnia. Opiekowaliśmy się nim po kolei. Tony King siedział przy nim cały dzień, a Joe i ja w nocy, pilnując jego snu, kiedy nie miał siły plotkować.

Na cztery dni przed terminem naszego powrotu do Londynu miał zadzwonić doktor Atkinson z wynikami testu. Mimo że wiedziałem, jaki będzie rezultat, byłem kłębkiem nerwów. Przecież istniała jedna szansa na milion, że wynik pierwszego testu był pomyłką. Freddie i Joe nie wiedzieli, że spodziewam się telefonu tego ranka. Joe był w pobliżu, a ja nie potrafiłem się przytulić do Freddiego na sofie i oglądać telewizji, nie potrafiłem się odprężyć.

Całymi godzinami chodziłem po pokoju i czekałem na telefon. Zastanawiałem się, jak Freddie przyjmie wiadomość, jeżeli powiem wszystko wprost. Kiedy już niemal wydeptałem w dywanie koleiny, Freddie spytał, o co chodzi.

– Jestem wkurzony na tego twojego doktorka! – wybuchnąłem. – Obiecał mi, że zadzwoni dzisiaj z wynikami mojego testu na AIDS!

– A dlaczego sam do niego nie zadzwonisz? – spytał spokojnie Freddie.

Zatelefonowałem. Przedarłem się przez telefonistkę i sekretarkę. Doktor był bardzo oficjalny i rzeczowy.

– Przykro mi – powiedział – ale jesteś pozytywny.

Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na Freddiego.

– No i? – spytał.

– Jestem nosicielem – odparłem.

Z jego twarzy odpłynęła krew.

– Skurwiele! – syknął, mając na myśli tego, kto mu to sprzedał, i poprzedniego, i jeszcze poprzedniego... cały łańcuch.

Później Freddie położył się i odpoczywał, a ja pogadałem sobie z Joem o mojej sytuacji. Powiedział mi, że i on, i Freddie znali odpowiedź, jeszcze zanim zadzwoniłem; byłem bardzo blady i wynik miałem wypisany na twarzy.

Wszystko to bardzo mnie przygnębiło. Niezależnie od moich przyszłych losów zaakceptowałem wreszcie fakt, że Freddie już

długo nie pożyje. Były to już ostatnie dni i nie dawało się dłużej oszukiwać samego siebie.

Cały czas chciało mi się płakać. Gdy Freddie spał, szedłem na krótki spacer lub paliłem papierosa za papierosem. Zamiast kłaść się do łóżka, wychodziłem z domu, bo wiedziałem, że i tak nie zasnę. Pewnego razu na długim powolnym spacerze wokół jeziora towarzyszył mi Tony. Zaczęliśmy gadać.

Opowiedział mi o kilku sprawach, jakie przedyskutował z Freddiem. Mając na myśli mnie, zapytał Freddiego:

– A co będzie z chłopakami?

– No cóż, Jim będzie mieszkał w Garden Lodge – odrzekł Freddie.

– Ale przecież Mary go nie cierpi! – zawołał zaskoczony Tony, na co, według jego relacji, Freddie miał odpowiedzieć:

– No to będą musieli jakoś się dogadać, prawda?

Nie byłem zaskoczony stwierdzeniem, że Mary mnie nie lubi.

Kilka dni później Freddie i ja siedzieliśmy razem na sofie w salonie i oglądaliśmy czarno-biały film z lat trzydziestych. Filmowa bohaterka spytała swego partnera:

– Czy spędzimy ze sobą resztę życia?

Freddie spojrzał na mnie i powtórzył to pytanie.

– Oczywiście, że tak – odparłem. – Nie bądź niemądry.

Poczułem, że w gardle rośnie mi jakaś kula.

Kiedy wracaliśmy ze Szwajcarii, Freddie był w dobrym nastroju. Załatwiliśmy z urzędnikami celnymi szybkie przepuszczenie go przez odprawę, o czym opowiadał wszystkim przez ostatnie tygodnie życia.

– Nawet Liz Taylor nie mogła tego uniknąć, a mnie puścili!

Oczywiście Freddiemu wydano specjalne pozwolenie na ominięcie kolejek na cle i kontroli paszportowej, ponieważ był tak ciężko chory. Łatwo się męczył i wyglądał strasznie,

okrucieństwem więc by było pozwolić na to, żeby się słaniał na oczach tłumu. Nikomu z nas nie pozwolono mu towarzyszyć i na pewien czas został od nas oddzielony – pierwszy raz od wielu lat był zdany na zupełnie obcych ludzi. Usiłowaliśmy protestować, ale nic to nie dało. Musieliśmy przejść przez kontrolę imigracyjną jak wszyscy, a biedny wychudzony Freddie siedział samotnie w hali odpraw celnych i czekał na nas.

Śmiał się potem, że równie dobrze mógł się przedzierać przez kolejki z nami, ale przyznał, że personel urzędu celnego bardzo się o niego troszczył.

Po powrocie do Garden Lodge Freddie rozpoczął ostatnie trzy tygodnie życia. Podobnie jak to było w Szwajcarii, pozostawał w pogodnym nastroju, choć większą część dnia leżał w łóżku. Ani razu nie wspomniał o pracy. Często schodził rano do kuchni w szlafroku, wypijał filiżankę herbaty i wracał do łóżka, albo ja zanosiłem mu herbatę wraz z jego ukochaną Delilah do towarzystwa.

Przy zdrowych zmysłach trzymało nas to, że wykonywaliśmy codzienne prace domowe i udawaliśmy, że wszystko jest jak dawniej. Założyłem lampki na drugim drzewie magnolii, pod oknami sypialni. Ogród nabrał wyglądu jarmarcznego, ale cóż to miało za znaczenie, jeśli Freddie był przez to szczęśliwszy?

Odczekałem do czasu, kiedy zostałem z Freddiem sam na sam w sypialni, i dopiero wtedy pokazałem mu lampki.

– Nic nie mówisz o drzewie – powiedziałem z udawanym wyrzutem.

– O jakim drzewie? – spytał.

– Chodź do okna, to ci pokażę – odrzekłem.

Wyjrzał i na widok błyskających w gałęziach lampek pojaśniał z zadowolenia.

– Och, więc zrobiłeś to! – szepnął i objął mnie.

Jeszcze nie tak dawno zareagowałby zupełnie inaczej, na przykład rzucając sarkastycznie:

– Dlaczego ci to zabrało tak dużo czasu?!

Ale teraz nie miał już siły na takie pokazy.

Znalazłem ukojenie przy pracy w ogrodzie. Żyłem dla radości, jaką przynosiło mu oglądanie mnie i ogrodu z okna sypialni. Aż do ostatniego dnia pracowałem w ogrodzie. Nawet w niedzielę, gdy umarł, kosiłem trawę.

Ponieważ Freddie wyraźnie się wykańczał, odwołałem zaplanowaną podróż do Irlandii. Joe powiedział mi, że w drugim tygodniu po powrocie ze Szwajcarii Freddie odstawił wszystkie lekarstwa poza środkami przeciwbólowymi. Decyzję tę podjął wbrew sprzeciwom lekarzy.

Większość czasu spędzał, śpiąc lub oglądając telewizję. W ciągu dnia byli z nim ciągle Joe lub Phoebe, zmieniani na krótko przez Mary lub Dave'a Clarka. Dave przychodził co dzień, a my bardzo ceniliśmy jego pomoc.

Freddie zawsze mógł mnie zobaczyć w ogrodzie, zerknąwszy przez okno. Ale ponieważ w tym okresie bardzo potrzebował moich ciągłych zapewnień o tym, że go kocham, mimo natłoku zajęć ogrodowych zacząłem co jakiś czas wbiegać na górę do jego sypialni. Wsadzałem głowę przez drzwi i wołałem:

– Hej, ty! Kocham cię!

Potem zbiegałem z powrotem do pracy. Wiedziałem, że te głupiutkie zagrania poprawiają mu humor – choć na kilka minut. Czasami, kiedy już wróciłem do pracy, zerkałem w górę, w okno, i dostrzegałem jego twarz. Czekał tam na moje ponowne pojawienie się, a gdy spotykaliśmy się wzrokiem, posyłał mi całusa.

Wieczory spędzałem sam z Freddiem. Gadaliśmy, oglądaliśmy telewizję albo drzemaliśmy obok siebie. Często wtulał swą wynędzniałą twarz w moją rękę, a ja delikatnie masowałem mu głowę.

Joe, Phoebe i ja zaczęliśmy też dyżury przy nim w ciągu nocy, zwykle leżąc obok niego w ciągłej gotowości. Kazaliśmy założyć system interkom, żeby móc się szybko powiadamiać, podobnie jak pagery. Chcieliśmy być przy nim w chwili śmierci.

W ostatnich dniach przed śmiercią Freddiego prasa rozbiła obóz przed Garden Lodge. Wczesnym rankiem pojawiało się dwóch, trzech dziennikarzy i z każdą godziną ich przybywało. W okolicach południa było ich już kilkudziesięciu.

Jeden z reporterów, siwy typ z dużym wąsem, podrzucił mi liścik dla Freddiego. Takie liściki to była norma, a ich zawartość standardowa. Dziennikarz informował, że wraz z kolegami przepraszają za kłopot, ale jeśli Freddie pozwoliłby zrobić sobie tylko jedno zdjęcie, oni mogliby pomóc uciąć plotki.

Kilka dni później co bardziej wścibscy dziennikarze obstawili oba wejścia do Garden Lodge. Robili co mogli. Włazili na przykład na mury posesji po drugiej stronie ulicy i robili zdjęcia domu. Ich teleobiektywy obserwowały wszystkie okna. Każdy, kto wchodził lub wychodził z Garden Lodge, był natychmiast przesłuchiwany, a za gośćmi biegli jeszcze parę przecznic dalej. Ja zwykle pochylałem nisko głowę i na wszystkie pytania odpowiadałem burkliwie, na przykład:

– Pewnie zaraz będziesz chciał wiedzieć, jakiego koloru papieru toaletowego używam, co?

Na pytania o zdrowie Freddiego z reguły odpowiadałem, że nie ma go w domu, że jest za granicą.

Pewnego dnia odegrałem się na nich. Ich ulubionym miejscem była ławka po drugiej stronie muru, naprzeciw osłony przeciwsłonecznej, którą nazwaliśmy „wiatą autobusową nr 27". Siedzieli tam dziennikarze i fotoreporterzy i plotkowali. Wyciągnąłem z garażu myjkę ciśnieniową i puściłem wodę wysokim łukiem ponad murem. Odpowiedzią były pełne przerażenia wrzaski z drugiej strony. Musiałem ich zupełnie przemoczyć.

Terry miał z prasą bardzo ciężkie życie. Reporterzy wiedzieli, że był jednym z najbardziej zaufanych pracowników Freddiego, więc go zamęczali. Ale i on się w końcu odgryzł.

Dziennikarze zablokowali nam przejazd i zatrzymali nas tego samego dnia, kiedy na Wyspach Kanaryjskich znaleziono zwłoki magnata prasowego, Roberta Maxwella, który między innymi był właścicielem „Daily Mirror".

– Jak się dzisiaj czuje Freddie? – zapytał nas dziennikarz „Daily Mirror".

– Lepiej niż Maxwell! – warknął Terry.

Pewnego razu, późną nocą, Roger Taylor przyjechał do nas w odwiedziny i skręcił w Logan Mews. Paparazzi jak na komendę nacisnęli wyzwalacze w aparatach fotograficznych, z czego powstał jeden wielki błysk. Roger, oślepiony, stracił na chwilę wzrok i wpakował się w tył samochodu policyjnego.

Oblężenie Garden Lodge stanowiło ogromny problem dla różnych osobistości, które przyjeżdżały z ostatnimi odwiedzinami. Używaliśmy sekretnego wejścia do posesji przez garaż w Mews. Tamtędy wślizgiwali się bez wiedzy prasy. Elton John informował nas o swej bliskości przez telefon komórkowy z samochodu i przemykał się przez szeregi dziennikarzy w zwykłym starym morrisie mini.

Freddie wiedział, że na zewnątrz czekają dziennikarze, bo z sypialni często było ich słychać, ale nigdy nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów ich grupy. Myślał, że ot – od czasu do czasu pojawia się ich kilku. Oczywiście nikt z nas nie wyprowadzał go z błędu. Przecież w niczym by mu to nie pomogło.

W przeciwieństwie do tego, co wypisywały niektóre gazety, sypialnia Freddiego nigdy nie zmieniła się w miniszpital. Obok łóżka miał stojak do kroplówki, na wypadek gdyby konieczna była nagle transfuzja, ale poza tym wszystko w pokoju pozostało dokładnie tak samo jak przedtem. W ostatnich dniach Freddie przestał przyjmować pokarmy stałe; jadł tylko miękkie owoce i pił soki owocowe.

Pod koniec drugiego tygodnia dostarczono do Garden Lodge kupione przez Freddiego na aukcjach obrazy, które odesłał do odświeżenia lub renowacji. Wśród nich był portret chłopca kupiony w Dzień Świętego Walentego. Dobrze wiedzieliśmy, gdzie Freddie chciał je widzieć, więc po powieszeniu zabrałem się do ich właściwego oświetlenia.

Portret chłopca miał wisieć w salonie, obok okna. Oświetliłem go ukrytym reflektorem punktowym.

Mary zdarzało się wypowiadać okropne rzeczy, ale chyba mówiła je bezmyślnie. Pewnego dnia zaproponowała, żebym poprosił Freddiego o zdjęcie ślubnej obrączki, bo kiedy jej matka zmarła, strasznie napuchły jej palce.

– Nie, Mary, obrączka zostanie na miejscu – powiedziałem z naciskiem.

Później, kiedy byłem z Freddiem sam, wspomniałem o pomyśle zdjęcia obrączki na wypadek napuchnięcia palców, ale nic więcej nie powiedziałem.

– Nie – odrzekł. – Będę ją nadal miał na palcu.

Nie zdjął jej już; została nawet wraz z nim poddana kremacji.

W niedzielę, siedemnastego listopada, Freddie poprosił mnie o przystrzyżenie brody. Za każdym razem gdy mnie o to prosił, udawaliśmy, że wciąż jestem fryzjerem, a on umawia się na wizytę.

– Okay – odparłem. – Zrobię to dla ciebie we wtorek o dziesiątej trzydzieści rano.

We wtorek wszedłem do jego sypialni o umówionej godzinie. Był z nim Dave Clark. Freddie popatrzył na mnie.

– Och, przykro mi, kochanie. Nie mogę dzisiaj. Czy moglibyśmy to przełożyć?

– Nie ma problemu – odpowiedziałem. – Zrobimy to jutro w jakiejś wolnej chwili.

Wróciłem do niego nazajutrz rano, ale znowu był z nim Dave Clark. Tym razem jednak Freddie chciał przystrzyc brodę od razu.

– Wiesz – powiedział, kiedy skończyłem. – Od kilku dni się nie kąpałem.

– Nie martw się – uspokoiłem go. – Zaraz się tym zajmiemy.

Był już w takim stanie, że prawdziwa kąpiel byłaby dla niego udręką. Zszedłem więc na dół i odnalazłem Phoebego.

– Chyba czas go porządnie umyć – powiedziałem.

Wróciliśmy razem na górę i Phoebe przygotował łóżko.

Ponieważ Freddie miał bardzo wysuszoną skórę, była to kąpiel oliwkowa. Gdy byliśmy w połowie, weszła Mary, a zorientowawszy się, co robimy, chciała się wycofać. Jednak przed wyjściem odwróciła się i popatrzyła przeciągle na Freddiego.

– Wiesz co? – rzuciła. – Masz taką zadowoloną minę. Nie żałujesz, że nie zmusiłeś ich do tego już przed laty?

Freddiemu ta kąpiel wyraźnie dobrze zrobiła; zdecydowanie poprawiła mu nastrój. Miał teraz niewinną, chłopięco-łobuzerską

minę. Kiedy go zostawialiśmy, paplał szczęśliwie z Dave'em. Choć już wtedy raczej słuchał, niż sam mówił.

Jedna z gazet donosiła, że Freddie szuka u Dave'a zapewnienia, że jego muzyka nie umrze, ale to nieprawda. Nie musiał robić niczego takiego. Wiedział doskonale, że jego muzyka przetrwa próbę czasu. Słuchał dużo muzyki w tych ostatnich tygodniach, lecz nigdy własnych utworów. Najbardziej lubił wsłuchiwać się w muzykę z albumu Natalie Cole, na który składały się stare piosenki miłosne. Lubił je, bo były tak bardzo mu bliskie; ale były bliskie również mnie. Kiedyś słuchał tego albumu, a gdy zaczął się utwór *Mona Lisa,* zacząłem wtórować.

– Znasz to? – spytał.

– Jasne, że tak – odrzekłem. – Znam wszystkie stare nagrania.

Słuchał przez chwilę mojego podśpiewywania, a potem powiedział coś niebywale śmiesznego:

– Powinniśmy byli nagrać razem jakąś piosenkę.

Czwartek, dwudziestego pierwszego listopada, był dla mnie bardzo smutny już od samego rana. Tego dnia Freddie po raz ostatni pojawił się w oknie, wołając „Cooee!", a ja widziałem, że koniec jest już bardzo bliski.

W nocy opiekowałem się nim. Leżałem na pościeli obok niego; drzemał. Wystarczyło, że mnie lekko trącił, a już byłem gotów do udzielenia mu pomocy. O świcie byłem całkowicie rozbudzony i w ciszy oglądałem telewizję. Freddie jeszcze spał, wtulony w moje ramię, i trzymał mnie kurczowo za rękę. Co jakiś czas ściskał mi dłoń.

– Kochasz mnie? – spytał, gdy się obudził. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem chciał słyszeć, że mi na nim zależy.

– Tak, kocham cię – szepnąłem i pocałowałem go w czoło.

Około pół do siódmej chciał iść do ubikacji. Poszedłem z nim i podtrzymywałem go. Usiadł, żeby się wysiusiać, a ja oparłem się o jego ramię, żeby go podeprzeć.

– Przeszkadzasz mi – burknął i szturchnął mnie boleśnie.

– Jak się odsunę, to spadniesz – nie ustąpiłem.

Odprowadziłem go z powrotem do łóżka, gdzie posiedział przez chwilę cicho, a potem podniósł na mnie wzrok i powiedział:

– Wiesz, chciałbym jeszcze zobaczyć jedną rzecz.

– Co takiego? – spytałem.

– Marzę o zobaczeniu moich obrazów – odparł.

W tym czasie tak bardzo utracił już władzę w mięśniach, że nie był w stanie nawet objąć nikogo za szyję, kiedy się go niosło.

– Nie ma sprawy – powiedziałem. – Zaniosę cię.

Freddie jeszcze kilka minut siedział bez ruchu na łóżku, zbierając siły, po czym mrugnął i sapnął:

– Dobra. Idziemy!

Był w swojej piżamce w Myszki Miki i miał bose nogi. Choć obiecałem, że go zaniosę, chciał przynajmniej spróbować przejść kawałek. Oparł się o poręcz schodów i powoli, chwiejnie zwlókł się na dół. Szedłem tuż za nim, delikatnie dotykając dłonią jego ramienia, żeby natychmiast go złapać, gdyby stracił równowagę. Ciągle odpychał moją rękę. Typowy dla niego odruch przekory.

Stanąwszy wreszcie u podnóża schodów, rozejrzał się po hallu i dostrzegł powieszone tu przez Petera grafiki. Westchnął cicho i patrzył na nie przez kilka chwil.

– Och, wspaniale wyglądają – wyszeptał.

Potem poprowadziłem go do salonu i posadziłem w fotelu. Siedział dokładnie na wprost pogrążonego w ciemności portretu chłopca.

Powoli, po kolei, oświetlałem wszystkie obrazy od lewej do prawej. Na koniec oświetliłem portret chłopca. Prawie całe światło padało na jego twarz, ubranie jedynie tonęło w poświacie.

– Są piękne! – powiedział cicho Freddie.

Najbardziej poruszył go portret chłopca. Był nim dosłownie zahipnotyzowany. Posapał i powzdychał z zadowoleniem, a po jakichś dziesięciu minutach oświadczył, że może już wracać. Wniosłem go po schodach do sypialni, co okazało się wcale nie takie łatwe. Już na górze powiedział:

– Wiesz, nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś taki silny.

– Dobrze o tym wiedziałeś – odparłem.

Wiedział, musiał wiedzieć już od naszych najwcześniejszych wspólnych chwil, kiedy nim miotałem po zatłoczonym parkiecie w klubie. Myślę, że powiedział tak tylko po to, żeby jakoś wyrazić podziękowanie za opiekę.

Zszedłem z powrotem na dół, żeby powyłączać światła. Rozejrzałem się powoli dookoła, wdychając piękno tych obrazów. Myślę, że ten piątkowy przedświt był ostatnią chwilą, kiedy Freddie był szczęśliwy, ostatnią chwilą jego wyraźnej obecności, ostatnią chwilą, w której Freddie Mercury tryskał swym sławnym entuzjazmem.

Przez resztę poranka pozostał rozbudzony i w pełni świadomy tego, co się dzieje. Po przyjeździe Jima Beacha na prywatną wizytę zaczęło się straszne zamieszanie w związku z oświadczeniem Freddiego dla prasy, że cierpi na AIDS. Zawsze byłem pełen wątpliwości, czy Freddie wydał to oświadczenie z własnej woli. Tak długo trzymał wszystko w tajemnicy, że dziwaczna wydała mi się nagła chęć wyznawania czegokolwiek, jakby się czegoś wstydził. Jestem pewny, że uważał, iż jego losy nie powinny się stawać przedmiotem publicznych rozważań. Była to sprawa tylko jego

i jego najbliższych przyjaciół. Przekonany jestem także, że nie miał zamiaru wystawiać Joego i mnie na pastwę prasy. Nie miałem w ogóle pojęcia, że Freddie ma zamiar wydać oświadczenie.

Uważam, że został zmuszony do wydania tego oświadczenia. Jednakże wiem, że skoro już się dał przekonać, specjalnie kazał Jimowi Beachowi ogłosić tekst na cały świat, żeby brytyjska prasa brukowa nie miała wyłączności na taki materiał. Był to jego sposób na powiedzenie tym wyczekującym niecierpliwie jego śmierci hienom: „Pier... się wszyscy!".

Tego piątku wymknąłem się na relaksującego drinka w Gate Club w Notting Hill. Po powrocie do domu wszedłem wprost do sypialni Freddiego. Spał; obok niego drzemał Peter.

Przespał prawie cały następny dzień, a wieczorem poszedłem na górę, żeby sprawdzić, czy mu niczego nie trzeba. Leżeliśmy przez dłuższą chwilę na łóżku, gdy nagle spytał mnie, która godzina.

– Jest ósma – odparłem.

– Wkrótce cały świat się dowie – szepnął, patrząc na mnie smutno swymi wielkimi ciemnymi oczami. Była to pierwsza wskazówka, że coś się dzieje.

Po chwili zasnął, a ja zszedłem na dół i przekazałem jego słowa Joemu i Peterowi. Potwierdzili, że właśnie jest przygotowywane oświadczenie dla prasy i ma być wydane około północy.

Tego wieczoru nie ja miałem czuwać przy Freddiem; to była kolej Joego. Ale wyszedł do siłowni, a potem na drinka, i nie wrócił. Byłem z Freddiem, gdy około dziesiątej obudził się i był strasznie podenerwowany. Ciągle się dopytywał, dokąd poszedł Joe.

– A właściwie dlaczego tak się dopytujesz? – spytałem.

– Muszę wziąć lekarstwa! – wyjaśnił nerwowo.

– No to w czym problem? – odrzekłem. – Przecież mogę podać ci tabletki. Które to mają być? – Wiedział dokładnie, które trzy czy

cztery proszki musi wziąć – przeciwbólowe. Przedtem brał AZT, ale odstawił to wraz z innymi lekami.

Przegadałem z nim cały wieczór. Nie pamiętam, o czym paplaliśmy, po prostu paplaliśmy. Już nie oglądaliśmy telewizji. Leżeliśmy i tuliliśmy się do siebie, póki nie zasnął. Ja też się zdrzemnąłem.

Co jakiś czas trącał mnie, żebym przestał chrapać. Potem poprosił, żebym mu przygotował jakieś owoce. Pokroiłem w plastry mango i dodałem trochę sorbetu, bo cierpiał na chroniczne odwodnienie.

Później znów zasnęliśmy. Ponownie obudził mnie około trzeciej, ale nie potrafił się wysłowić. Nie mógł normalnie mówić, pokazywał tylko na usta i się krzywił. Coś było bardzo źle. Usiłowałem zrozumieć, o co chodzi, ale nie zdołałem.

Jakieś pół godziny później wrócił Joe. Zorientował się, że mam jakieś kłopoty, a Freddie na jego widok natychmiast znów pokazał na usta.

– O co chodzi, Freddie? – spytał Joe. – Czego chcesz?

Powiedziałem mu, że Freddie robi tak już od pół godziny, od czasu, gdy dałem mu mango.

Joe pochylił się nad chorym i otworzył mu usta. Kawałek mango przywarł do gardła Freddiego w taki sposób, że nie mógł go ani połknąć, ani wypluć. Joe rozchylił szczęki Freddiego i palcem usunął zawadzający kawałek owocu. Freddie nic nie powiedział. Joe i ja w pełni zdawaliśmy sobie sprawę, że zdrowy Freddie dostałby szału w takiej sytuacji, ale teraz tylko popił trochę soku i znowu zasnął.

Zszedłem na dół na kawę, a tuż za mną Joe. Chciał się usprawiedliwić za ucieczkę, lecz nie dopuściłem go do słowa.

– Nie przejmuj się – powiedziałem po prostu.

Rozumiałem go. Ten dzień był dla niego tak wyczerpujący, że musiał iść gdzieś, gdzie mógł zapomnieć na chwilę o Freddiem i Garden Lodge.

Teraz Joe poszedł na górę do Freddiego i położył się obok niego. Po kilku minutach przyszedłem tam również i powiedziałem Joemu, żeby poszedł się trochę przespać. Sam zająłem jego miejsce obok Freddiego, który mocno spał.

Freddie obudził się ponownie około szóstej rano i wyszeptał cicho to, co miało być jego ostatnim słowem w życiu: „Siusiu". Chciał, żeby go ktoś zaprowadził do ubikacji. Był niesłychanie słaby. Musiałem go nieść. Kiedy kładłem go z powrotem do łóżka, usłyszałem ogłuszający trzask. Brzmiało to, jakby jedna z kości pękła jak sucha gałąź. Freddie zawył i dostał konwulsji.

Zacząłem głośno wzywać Joego. Potrzebowałem go, żeby przycisnął Freddiego do łóżka i powstrzymał go od dalszego rzucania się. Przez te wszystkie lata Joe widywał Freddiego w trakcie napadów lęku i umiał sobie z tym radzić. Po prostu przywalał go swym ciężarem i trzymał, póki atak nie minął. Teraz próbował tego samego, powtarzając:

– Freddie, uspokój się, Freddie, uspokój się!

Nagle dłoń Freddiego wystrzeliła w górę i zacisnęła się na szyi Joego. Wyglądało to tak, jakby tonący szukał pomocy.

Joe z łatwością uwolnił się z chwytu i w końcu uspokoił Freddiego, który, wykończony tym wszystkim, natychmiast znów zasnął. Zadzwoniliśmy po doktora Atkinsona; przyjechał i zrobił choremu zastrzyk morfiny, żeby mu pomóc w przetrwaniu dnia. Joe powiedział mi potem, że Freddie był uczulony na morfinę, ale na tym etapie choroby nie miało to już znaczenia.

Nieco później wpadła do nas Mary i wszyscy staliśmy w kuchni, czekając na orzeczenie doktora Atkinsona. Pojawił się niedługo

i powiedział:

– Freddie prawdopodobnie przetrwa do czwartku.

Joe i ja popatrzyliśmy po sobie. Obaj wiedzieliśmy, że nie ma mowy, by pociągnął tak długo.

Mary wkrótce sobie poszła. Resztę dnia Freddie przetrwał w półśnie, drzemiąc i budząc się na przemian. Ostatni raz odwiedził go Elton John. Przyjechał swoim zielonym bentleyem i zaparkował przed bramą, kompletnie blokując Logan Road. Na uwagi ze strony prasy odparł z prostotą:

– Wypchajcie się wszyscy! Chcę zobaczyć mojego przyjaciela i gówno mnie wszyscy obchodzicie.

Ale nie został długo.

Odczułem potrzebę wyrwania się z Garden Lodge, więc po południu pojechałem volvem do Holland Park, gdzie szwendałem się przeszło godzinę.

Kiedy wróciłem, Freddie był chory jak jeszcze nigdy. Wydawało się, że wie, co się dzieje wokół, lecz nie był w stanie na nic reagować. Słyszał, lecz nie mógł nawet ruszyć oczami dla potwierdzenia, że zrozumiał. Po prostu patrzył wprost przed siebie wytrzeszczonymi oczami.

Doktor Atkinson pozostał z nami przez całe popołudnie i wyszedł dopiero około pół do siódmej. Podziękowałem mu za tak długą wizytę i odprowadziłem go, po czym wróciłem do chorego.

Przez cały dzień Delilah była w sypialni, lecz ani razu nie wskoczyła na łóżko; siedziała tylko zwinięta u podnóża. Obok łóżka siedział Dave Clark i masował Freddiemu dłoń. Wziąłem Delilah na ręce i posadziłem na łóżku, przy Freddiem. Dave podniósł dłoń Freddiego i pogładził nią futerko kotki.

– To Delilah – powiedział miękko do Freddiego, który zdawał się rozumieć, co się do niego mówi.

Freddie zdołał dać nam wyraźnie do zrozumienia, że chce do ubikacji. Po strasznych przeżyciach przy poprzedniej wizycie w toalecie nie miałem odwagi wysadzać go sam. Pognałem więc na dół po Phoebego.

Zanim wróciliśmy, Freddie zmoczył łóżko, czego Dave chyba nie zauważył.

Peter popatrzył na mnie.

– Zmieniamy pościel? – spytał.

– Lepiej zmieńmy – odparłem. – Bo jak się obudzi, dostanie szału.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Być może było to podświadome pragnienie bagatelizowania wszystkiego, udawania, że jeszcze nie jest tak źle.

Peter zaczął zmieniać pościel, a ja zająłem się Freddiem. Chcąc przebrać go w świeży podkoszulek i szorty, poprosiłem Dave'a Clarka, żeby na chwilę wyszedł.

Właśnie wciągałem Freddiemu szorty, kiedy poczułem, że usiłuje mi pomóc, podnosząc nieco lewą nogę. To był jego ostatni ruch. Spojrzałem na niego i wiedziałem, że już nie żyje.

– Phoebe! – krzyknąłem. – On umarł!

Wsunąłem rękę pod głowę Freddiego i pocałowałem go, a potem tak leżałem, tuląc go do siebie. Oczy wciąż miał otwarte. Doskonale pamiętam wyraz jego twarzy – co noc, gdy kładę się spać, widzę tę jego twarz. Wyglądał promiennie. Jeszcze przed chwilą był chłopcem o znużonej, smutnej twarzy, a zaraz potem – uosobieniem ekstazy. W jednym momencie powróciło mu na twarz wszystko, co na niej było niegdyś. Wreszcie był zupełnie spokojny. Jego wygląd dawał ukojenie mej rozpaczy. Poczułem wszechogarniające poczucie ulgi. Zrozumiałem, że on już nie czuje bólu.

Dave Clark zdążył dojść zaledwie do drzwi, kiedy Freddie umarł. Wrócił i został ze mną, a Peter pobiegł szukać Joego.

Zatrzymałem malutkie koło zamachowe w nakręcanym budziku przy łóżku. Dałem go Freddiemu, bo powiedział, że zawsze chciał mieć taki. Było za dwanaście siódma. Nigdy już nie uruchomiłem jego mechanizmu.

Nie uciekniesz przed rzeczywistością

Kilka minut po śmierci Freddiego tej listopadowej nocy 1991 roku Joe wpadł do sypialni, rozglądając się za lusterkiem. Chciał sprawdzić, czy nie ma już śladu oddechu.

– Joe – powiedziałem cicho. – On umarł.

– Gdzie jest lekarz? – zawył Joe, biegnąc w kierunku Mews. Płakał.

Skrzyżowaliśmy ramiona Freddiego, układając mu w dłoniach małego misia. Maskotkę przysłał ktoś, kto go naprawdę lubił, wydawała się nam więc odpowiednia.

Jako pierwszą zawiadomiono telefonicznie Mary. Potem złapano w samochodzie lekarza, który zaczął się przebijać przez miasto z powrotem do nas. Mary zadzwoniła do rodziców i siostry Freddiego, przekazując wieści.

Mnóstwo rzeczy, które zaszły w godzinach bezpośrednio po śmierci Freddiego, widzę jak przez mgłę. Nie bardzo wiedziałem, gdzie jestem.

Zszedłem na dół, żeby na kilka sekund wyłączyć światła w ogrodzie, a potem wślizgnąłem się do swojego pokoju i zadzwoniłem do mamy w Irlandii. Kiedy podniosła słuchawkę, zacząłem płakać. Nie mogłem się powstrzymać. Nie rozumiała, co do niej mówię, a ja prosiłem ją, żeby zadzwoniła do biskupa i zamówiła mszę za Freddiego.

– Uspokój się, synu – powiedziała, a kiedy mi się to wreszcie udało, dokończyła: – No! A teraz mi powiedz, co się stało?

– Freddie umarł – powiedziałem.

Nic, co mogłaby powiedzieć, nie było w stanie mnie ukoić, ale przynajmniej próbowała. Poprosiła mnie, żebym jej dokładnie wszystko opowiedział. Zrobiłem to. Czułem potrzebę wygadania się przed kimś, kto zrozumie. Potem odłożyłem słuchawkę i stałem w ciemności, usiłując powstrzymać łzy.

Kiedy wreszcie powróciłem do pozostałych, Phoebe próbował złapać telefonicznie Jima Beacha, który poleciał do Los Angeles po spotkaniu z Freddiem w piątek. Potem wrócił doktor Atkinson.

Poszedłem jeszcze raz do pokoju Freddiego. Kiedy zostałem z nim na chwilę sam na sam, zmówiłem krótką modlitwę, a potem powiedziałem na głos:

– Ty bydlaku! No, wreszcie jesteś wolny! Żaden pismak już cię nie skrzywdzi!

Mniej więcej pół godziny po śmierci Freddiego przyszła Mary, żeby go pożegnać. Pozostała dziesięć minut. Kiedy Joe i Phoebe weszli do pokoju, uścisnęliśmy się we czwórkę. W tej ciężkiej godzinie wszyscy zwróciliśmy się do Phoebego. Niedawno zmarła mu matka i wiedział, co należy robić. A tylko Joe, Phoebe i ja wiedzieliśmy, jak wyczerpujące było niańczenie Freddiego przez te ostatnie noce, kiedy patrzyliśmy bezradnie, jak choroba wysysa z niego życie.

Późno w nocy nadjechali rodzice Freddiego i stanęli koło jego łóżka. Freddie wyglądał tak spokojnie, szczęśliwie i promiennie, że spytali, czy nałożyliśmy mu makijaż. Odparliśmy, że nie.

Wszyscy w Garden Lodge wiedzieliśmy, jak mamy postępować po śmierci Freddiego. Nie potrzebowaliśmy instrukcji od niego; po prostu wiedzieliśmy. Jego ciało miało być zabrane z domu tak szybko, jak to możliwe. Ojciec Phoebego był emerytowanym przedsiębiorcą pogrzebowym i wszystko miało być załatwiane przez jego firmę. Zwykle zwłoki są zabierane w worku i w metalowym

pudle, ale zgodziliśmy się, że to nie jest odpowiednie dla Freddiego. Uparliśmy się, żeby opuścił dom w porządnej dębowej trumnie.

Zaplanowaliśmy, że ciało Freddiego opuści Garden Lodge z wybiciem północy. Zwłoki miały być odwiezione do utrzymywanego w tajemnicy miejsca – kaplicy przy domu pogrzebowym w Ladbroke Grove w zachodnim Londynie. Jednak Phoebe miał takie trudności ze złapaniem Jima Beacha w Stanach Zjednoczonych, że odbiór zwłok się opóźnił. Kiedy w końcu się do niego dodzwoniliśmy, Jim poprosił, żebyśmy przetrzymali ciało Freddiego w Garden Lodge do następnego dnia, aby zdołał wrócić z Ameryki i towarzyszyć Freddiemu. Phoebe i ja byliśmy przeciwni.

Wieści o śmierci Freddiego dotarły do dziennikarzy na dwadzieścia minut przed wywiezieniem jego ciała z Garden Lodge, co stało się dwadzieścia minut po północy. Ale zwłoki zabrano nieoznakowaną furgonetką, a policja wykonała genialną robotę, nie dopuszczając, aby dziennikarze i fotoreporterzy za nią pojechali.

Nazajutrz wokół Garden Lodge zapanowało pandemonium. Śmierć Freddiego była główną wiadomością na całym świecie, a prasa wyłaziła ze skóry, żeby się dowiedzieć, o której dokładnie zmarł i jak wyglądał. Kiedy w domu odzywał się telefon, nie zwracałem na niego uwagi; zostawiałem to Phoebemu i Joemu.

Z całego świata zaczęły napływać kwiaty od fanów Freddiego. Było ich tyle, że Joe, Phoebe, Terry i ja działaliśmy jak sztafeta, odbierając kwiaty przy bramie i przenosząc je do domu. W końcu biuro Queen przysłało swoich ochroniarzy, którzy nam w tym pomagali.

Im więcej kwiatów przybywało, tym bardziej zaczynałem się rozklejać bez Freddiego. W końcu obiegłem dom i zebrałem wszystkie kasety z teledyskami Freddiego, jakie znalazłem. Potem

usiadłem i w towarzystwie kotów oglądałem to wszystko na okrągło, szlochając. Naprawdę bardzo mi to pomogło. Robiłem tak niemal cały czas przez następne dwa tygodnie, wypłakując morze łez i tuląc się do kotów. A kiedy wychodziłem z domu, w moim walkmanie lub w odtwarzaczu samochodowym obracała się taśma z nagraniem albumu *Mr Bad Guy,* który Freddie dał mi w pierwszym naszym wspólnym roku.

W tytułowym nagraniu, *Mr Bad Guy,* jest wers, który za każdym razem powodował, że włosy mi się jeżyły na karku: „O tak, dla każdego jestem złym facetem. Nie widzisz, że jestem Pan Mercury? Rozłóż swoje skrzydła i odleć ze mną". Dla mnie Freddie był zawsze dobrym facetem. Słysząc tę piosenkę, cieszyłem się, że odlatywaliśmy razem, póki nasze skrzydła nie zostały okrutnie podcięte.

Każdy z nas trzech w Garden Lodge zmagał się ze śmiercią Freddiego na swój sposób. Phoebe nie wychodził z kuchni, oglądając non stop telewizję. Joe wypacał swój smutek w siłowni, ale zbyt mocno się do tego wziął i omal się nie połamał. Po powrocie z siłowni nie mógł znieść, że ciągle słucham nagrań Freddiego. Pognał do kuchni, gdzie wrzasnął na cały głos:

– Dlaczego on puszcza wszystkie nagrania Freddiego?!

Poszedł potem do swojego pokoju, gdzie uspokoił się i uświadomił sobie, że to, co robię, jest po prostu odpowiednikiem jego ćwiczeń w siłowni. Ochłonął i w okropnych dniach, które nastąpiły potem, był mi prawdziwą podporą duchową.

W poniedziałkowy wieczór, nazajutrz po śmierci Freddiego, wyszedłem z domu, by w samotności utopić smutki w alkoholu. Poszedłem do Gate Club w Notting Hills z zamiarem zalania się w pestkę. Kiedy wszedłem, Bobby – barman – powiedział do mnie:

– Jim, wyglądasz na strasznie przybitego!

– Tak – odparłem. – Mój chłopak właśnie umarł.

Wspomniałem, że był nim Freddie, ale nie sądzę, żeby mi ktokolwiek uwierzył. Późną nocą, pijany i wyprany emocjonalnie, powoli powlokłem się do Garden Lodge. Znalazłem przyjaciela w zupełnie obcym człowieku, samotnym fanie Freddiego, który siedział pod bramą Garden Lodge, zanosząc się płaczem z bólu i smutku.

Próbowałem go jakoś pocieszyć i przegadaliśmy kawał czasu, opowiadając sobie nawzajem, jak wspaniały był Freddie. Przytakiwałem jego każdemu słowu pochwały na temat Freddiego. Sądzę, że wziął mnie po prostu za innego fana, który przybył z pielgrzymką. W sumie miał rację pod pewnymi względami.

Na Logan Road zatrzymała się taksówka i wysiadła z niej kompletnie pijana kobieta. Chwiejnie przeszła obok, bełkocząc do nas coś, czego nie zrozumieliśmy. Po pięciu minutach powróciła, niosąc nam po kubku straszliwie gorącego kakao. Tej chłodnej nocy był to nieoczekiwanie miły gest.

Kiedy popijaliśmy kakao, kobieta odezwała się zupełnie trzeźwym głosem:

– Wiecie, mieszkam tu od dawna, ale nigdy nie widziałam Freddiego Mercury'ego, choć zawsze byłam świadoma jego obecności tutaj.

Pogadaliśmy w ten sposób jeszcze jakiś czas, aż w końcu wstałem.

– Przepraszam was – powiedziałem. – Muszę już iść do łóżka.

Wyjąłem klucz i włożyłem do zamka w bramie.

– Co to ma znaczyć? – spytała kobieta. – Czy to jakiś trik?

– Co pani ma na myśli? – nie zrozumiałem.

– Otwiera pan bramę – wyjaśniła.

– Tak. Ja tu mieszkam – odrzekłem.

Biedny fan Freddiego nie wiedział, co ma zrobić. Zaprosiłem oboje do środka, do ogrodu, i pokazałem gigantyczny pas kolorowych kwiatów pokrywających trawnik. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę, potem oni wyszli, a ja poszedłem do łóżka.

We wtorek znów od świtu zaczęły nadchodzić kwiaty i znów musieliśmy wahadłowo nosić je od bramy do ogrodu. Nie pozostawiliśmy na zewnątrz ani jednego kwiatka, każda najmniejsza wiązaneczka, każdy pączek pojechał następnego dnia na pięciu karawanach pogrzebowych. Nie wiedzieliśmy, co zrobić z tymi wszystkimi kwiatami po pogrzebie, aż w końcu Phoebe wymyślił rozwiązanie. Zostały rozesłane do wszystkich hospicjów AIDS i wszystkich domów starców w okolicy.

Kwiaty były dla Freddiego tak ważne, że chciałem posłać od siebie coś naprawdę odpowiedniego. Mając w pamięci jego ukochane widoki w Montreux, posłałem mu łabędzia z białych kwiatów. Dołączyłem do niego karteczkę z wierszem, który napisano dla mojego zmarłego prawie dziesięć lat wcześniej ojca:

Inni też odeszli, wiem,
Ale Ty byłeś mój, tak bardzo Cię kochałem.
Modlitwa, łza po wsze czasy
Dla kochającego przyjaciela,
Którego miałem honor nazywać swoim.
Jaki smutny koniec tak pięknego życia.
Umarłeś, jak żyłeś – przyjacielem wszystkich.

Ranek w dniu kremacji Freddiego, w środę, dwudziestego siódmego listopada 1991 roku, był pochmurny i ponury. Obudziłem się w okropnym stanie. Ubierając się, czułem, że mam początki kolejnego nawrotu ciężkiej grypy. Niezbyt dobry początek tak strasznego dnia.

Uroczystości pogrzebowe miały się odbyć o drugiej po południu w West London Crematorium. Ale nawet tego jednego jedynego dnia odebrano nam prawo do prywatności. Na zaproszenie Jima Beacha fotograf Richard Young pojawił się w Garden Lodge, żeby robić zdjęcia przed pogrzebem i i po nim.

Joe zaproponował, żeby do zdjęć po pogrzebie każdy z nas założył biżuterię Butler and Wilson's, którą dostaliśmy od Freddiego na Gwiazdkę 1989 roku. Joe uważał to za piękny gest i powiedział, że Freddiemu by się to podobało. Zgodziliśmy się z nim.

Aż do tego dnia nigdy nie miałem na sobie tej masywnej, srebrnej spinki do krawata. Ale na całym świecie mówi się o noszeniu z dumą baretek; ja tego dnia z dumą nosiłem swoją spinkę do krawata.

Już wcześniej uzgodniono, że Mary i ja powinniśmy jechać w pierwszym samochodzie procesji pogrzebowej. Ale w trakcie przygotowań do wyjazdu z Garden Lodge po raz pierwszy dostałem od Mary policzek – metaforycznie. Oświadczyła, że nie chce mnie w pierwszym aucie. Chciała Dave'a Clarka. Bardzo mnie to zraniło.

Kiedy opuszczaliśmy dom. Mary i Dave wsiedli do pierwszego auta, Jim Beach do drugiego, a Joe, Phoebe i ja gnietliśmy się w trzecim. Wszyscy trzej czuliśmy się zlekceważeni. To my byliśmy z Freddiem przez cały czas jego ciężkiej choroby, na dobre i na złe, a okazało się, że jeszcze dobrze nie wystygł, a już nas spychano na bok.

W małej kapliczce rodzina Freddiego usiadła po prawej stronie, a my wszyscy po lewej. Poczułem lekkie bicie serca, zobaczywszy w pierwszym rzędzie samotną Mary oczekującą naszej trójki. Dave Clark musiał zdać sobie sprawę z tego, że sposób, w jaki Mary nas potraktowała, to okrucieństwo, i przesiadł się do jednego z dalszych rzędów. Zanim jednak się do niej przysiedliśmy, porozmawialiśmy

z rodzicami Freddiego. Cała uroczystość była bardzo trudna, uznałem więc, że powinienem trzymać Mary za rękę.

Freddie wyznawał najstarszą religię na świecie – zaratustrianizm. Z tego powodu ceremonia była prowadzona w bardzo nietypowy sposób – przez kapłanów w białych szatach śpiewających stare modlitwy, niezrozumiałe dla zebranych. Tak więc po cichu odmówiłem własne modlitwy i w duchu odprawiłem swój ceremoniał dla Freddiego. Gdy żył, nigdy nie rozmawialiśmy o swych wyznaniach, jestem jednak pewny, iż się domyślał, że jestem katolikiem. Ale póki żył, póki mieliśmy siebie, nic innego się nie liczyło.

Na ceremonii byli obecni Brian, Roger i John, podobnie jak Elton John. Później Brian uścisnął mi dłoń i powiedział, jak bardzo mu przykro z powodu śmierci Freddiego. Roger nie potrząsnął moją ręką; uściskał mnie i powtórzył słowa Briana. Byłem zadowolony, widząc na pogrzebie Johna. Powiedziałem mu to i podziękowałem. Trzymał się z dala, gdy Freddie gasł, ale przyszedł złożyć ostatnie uszanowanie. Uścisnęliśmy sobie ręce i objęliśmy się. Niewiele więcej pamiętam z tej ceremonii.

Po pogrzebie odbyło się małe przyjęcie w Garden Lodge, który wciąż był oblężony przez prasę. Jim Beach uważał, że jeśli żałobnicy będą mieli ochotę, powinniśmy umożliwić im spotkanie w domu po ceremonii. Brian, Roger i John poszli sobie jednak od razu na cichy lunch, Elton po prostu zniknął, ale lekarze Freddiego przyszli do Garden Lodge.

Może to zabrzmi ponuro, ale spodziewałem się, że w Garden Lodge usiądziemy i będziemy cicho rozmawiać o pogrzebie i ogólnie wspominać Freddiego – z godnością i delikatnością. Okazało się jednak, że zamiast stypy zrobiła się regularna impreza.

Z kuchni dobiegały straszliwe, przerażające ryki śmiechu, które rozdzierały mi serce.

Kiedy wystrzelił pierwszy korek szampana, zacząłem się odsuwać od towarzystwa. Byłem pełen obrzydzenia, uważałem takie zachowanie za brak szacunku dla Freddiego. Jestem pewny, że Freddiemu bardzo by się podobało ogromne, pożegnalne przyjęcie z szampanem, ale to nie było to. Może gdybyśmy wyszli gdzieś razem do restauracji, Rodzina i zespół, może zdołalibyśmy urządzić uroczyste pożegnanie Freddiego. Niestety, tak się nie stało; Freddie otrzymał pożegnanie iście surrealistyczne.

Echo tego przerażającego śmiechu prześladuje mnie do dziś. Nie byłem w stanie go znieść, wyniosłem się więc do „wiaty autobusowej nr 27", gdzie tuliłem do siebie Delilah i Goliata. Co jakiś czas zerkałem w okno sypialni Freddiego i zawsze widziałem go tam, wyglądającego na ogród i wołającego: „Cooee!". Byłem tak zatopiony we własnych myślach, że nie mam pojęcia, co się działo tego okropnego popołudnia i kiedy goście zaczęli się rozchodzić.

Phoebe, Joe i ja nie potrafiliśmy od razu usiąść i rozmawiać o naszej przyszłości. Było to coś, na co miał przyjść czas później, kiedy już oswoimy się ze śmiercią Freddiego i wszystko ucichnie. A tymczasem postanowiliśmy prowadzić normalne życie, jakby Freddie po prostu wyjechał na tournée.

Potem Joe poinformował nas, że nie zostanie w domu długo, bo bez Freddiego nie miał komu gotować, nie miał co robić. Co ważniejsze, zdawał sobie sprawę, że jego czas też szybko się kończy, chciał więc wrócić do Ameryki. Oczywiście praca Phoebego jako asystenta Freddiego również już się skończyła, nie miał jednak chwilowo żadnych planów.

W tych dniach Jim Beach był dla nas ogromną pomocą. Jako wykonawca ostatniej woli Freddiego znał jego życzenia.

– Co z nami będzie? – spytał go Joe.

– No cóż – odrzekł Jim. – Jak wiecie, Freddie chciał, żebyście mieszkali w tym domu tak długo, jak chcecie.

– Tak – odparliśmy. – Wiemy o tym.

Wiedzieliśmy też, że Freddie zapisał posiadłość i dom Mary, a Jim to potwierdził. Wspomniał także o czymś, co było dla nas bardzo istotne, a mianowicie, że każdy z nas dostanie wolną od podatku kwotę pięciuset tysięcy funtów.

– Mój Boże! Tak dużo? – wysapał Phoebe, wyrażając również moje myśli. Wszyscy zostaliśmy zupełnie zaskoczeni.

Myślałem, że Freddie mógł mi zapisać kilka tysięcy funtów, ale nie spodziewałem się aż takiej kwoty. Dużo później odkryłem, że kiedy rozmawiał z przyjaciółmi na nasz temat w kontekście swego nieuniknionego losu, powtarzał:

– Zadbam o nich. Już nigdy nie będą musieli pracować.

Potem Joe zadał inne pytanie o kolosalnym znaczeniu dla niego i dla mnie. Freddie zapewniał nas, że kiedy on umrze, z pozostawionego przezeń majątku będą pokrywane nasze wydatki na leczenie. Wiem, że tego chciał; mimo że nigdy o to nie prosiłem, zawsze upierał się przy płaceniu rachunków za moje leczenie. A Joe był przerażony, bo już poddawał się niezwykle kosztownej, prywatnej kuracji przeciw AIDS. Jim Beach niczego nam nie obiecał, ale powiedział, że zorientuje się, co można zrobić.

Wciąż brała mnie grypa, kiedy więc goście się wynieśli, położyłem się na kanapie w salonie. Odkręciłem gaz w kominku na pełny regulator i owinąłem się pledem. Było mi tak zimno, że się trząsłem, a jednocześnie spływałem potem.

W domu byli wciąż trzej spośród czterech lekarzy Freddiego, Joe zaczepił ich więc i zapytał, czy nie mogliby mi jakoś pomóc. Jednak było to po prostu silne przeziębienie, niczego nie mogli mi więc zaproponować. Joe uparł się, żeby dać mi dwie tabletki nasenne i odprowadzić do łóżka. Połknąłem je i przespałem jakieś pół godziny, po czym od razu byłem w pełni obudzony. Mój mózg nie przestawał pracować pełną parą.

Przypominały mi się te wszystkie wspaniałe chwile z Freddiem. Niektóre musiałem dzielić z tysiącami innych ludzi, ale były też takie, kiedy byliśmy tylko my dwaj. Przez głowę przelatywały mi miliony obrazów, a w nich Freddie albo zaśmiewał się do łez, albo wyglądał tak miękko i bezbronnie jak pączek róży.

Jeszcze około czwartej nad ranem pamięć eksplodowała mi kolorowymi wspomnieniami naszego wspólnego życia. Przypominałem sobie zdziwienie na twarzy Freddiego, gdy w domu pojawiał się nowy kot, i szczęście, gdy karmił *koi*. Poleciałem myślą dookoła świata, odwiedziłem Japonię, Ibizę, Barcelonę, Montreux i Węgry. W końcu myśli przestały galopować, zapadłem się w ciemność i zasnąłem krótkim, ale ciężkim snem.

Kiedy wstałem nazajutrz, poszedłem do kuchni na kawę, a Joe spytał mnie, jak spałem. Opowiedziałem mu o moich nocnych szaleństwach myślowych na temat Freddiego, które spowodowały, że właściwie nie spałem.

– Wziąłeś obie tabletki naraz? – spytał.

– Tak – odrzekłem.

– Powinieneś był wziąć tylko jedną – oświadczył zaniepokojony. – Tak działają, kiedy się weźmie ich za wiele. Wtedy działają jak *speed*.

Kilka nocy spędziłem w sypialni Freddiego – mimo że bez niego był to strasznie pusty pokój. Leżałem na pościeli, płacząc albo

uśmiechając się bez powodu. Nigdy nie położyłem się normalnie do łóżka – toby mnie chyba zupełnie załamało. Obawiałem się przebudzenia w tej sypialni i stwierdzenia, że jego tu nie ma. Wiele razy miałem nadzieję, że to wszystko jest tylko strasznym snem, ale zaraz wracałem do rzeczywistości będącej ponurym koszmarem.

W czwartek rano wstałem i znów zacząłem przenosić kwiaty spod bramy do ogrodu. Pogadałem też z kilkoma fanami Freddiego, którzy przyjechali złożyć mu hołd. Przyjeżdżali chyba z całego świata – z Wielkiej Brytanii, Japonii, Ameryki. Ale przynajmniej prasa już zniknęła.

We trzech ustaliliśmy z Mary, że jeszcze tego roku, po raz ostatni, spędzimy Boże Narodzenie razem w Garden Lodge – z Piersem, małym Richardem, Dave'em Clarkiem i Trevorem Clarkiem. Potem, dokładnie w tydzień po kremacji Freddiego, zebraliśmy się na drugie spotkanie, które również odbyło się w domu. Tym razem było to zebranie z Jimem Beachem – biznesmenem.

Przeszedł od razu do rzeczy. Tydzień wcześniej zapewnił nas, że wolą Freddiego było, abyśmy mieszkali w Garden Lodge, jak długo zechcemy. Tym razem jednak mówił co innego:

– Jak wiecie, życzeniem Freddiego było, żebyście tu mieszkali, jak długo chcecie. Niestety, nie zapisał tej woli w testamencie, nie jest więc ona prawnie wiążąca. Mary zaś otrzymała na własność posiadłość i, oczywiście, dom – Garden Lodge.

Oho, pomyślałem, teraz się zacznie.

– Tak więc – ciągnął Jim – otrzymujecie trzymiesięczne wymówienie na czas znalezienia sobie innych mieszkań. Tymczasem, żebyście mogli sobie jakoś poradzić, postaramy się wydostać część z przeznaczonych dla was pieniędzy. Będę się starał o dziesięć procent zaliczki.

Sądzę, że tyrada Jima była skierowana przede wszystkim do mnie, jako że mieszkając od siedmiu lat z Freddiem, nie miałem innego dachu nad głową. Zaliczka pozwoli mi przynajmniej na zdobycie szybkiego kredytu i kupienie jakiegoś mieszkania. Dano nam do zrozumienia, że Mary wkrótce wprowadzi się do Garden Lodge wraz z Piersem i Richardem. Tak że jedyną dobrą wieścią tego dnia było zapewnienie, że do czasu opuszczenia domu będziemy otrzymywać pensje.

Data, jaką ustalono jako dzień naszej wyprowadzki, wciąż stoi mi przed oczami: pierwszy marca, niedziela. Wisiała nade mną jak chmura i znaczyła również termin, z nadejściem którego stosunek Mary do mnie dramatycznie się zmienił.

W trzy tygodnie po śmierci Freddiego w pośpiechu wydano największy utwór Queen, *Bohemian Rhapsody.* Był to hołd dla Freddiego i metoda na zbieranie pieniędzy, bo wszystkie wpływy z tej płyty zostały przekazane na badania AIDS. Utwór natychmiast znów wszedł na pierwsze miejsce list przebojów, co znaczyło, że wszędzie, gdzie poszedłem, słyszałem śpiewającego Freddiego. Brakowało mi go aż do bólu, ale nie było ucieczki przed rzeczywistością.

Pewnego wieczoru znowu poszedłem do Gate Club i gadałem z pracującym tam znajomkiem. Od czasu mojej ostatniej tam wizyty musiano mnie widzieć w gazetach, bo tym razem wszyscy zdawali się doskonale wiedzieć, że naprawdę byłem chłopakiem Freddiego Mercury'ego. Siedziałem z kwaterką piwa przy barze, gdy nagle z głośników buchnęły pierwsze dźwięki *A Kind of Magic,* a monitory wideo wypełniły wizerunki Freddiego. W ciągu dwóch sekund zarówno muzyka, jak wideo zostały wyłączone. James, jeden z kierowników, podbiegł do mnie z przeprosinami za taką niedelikatność.

– Nie wygłupiaj się – powiedziałem spokojnie. – Włącz to.

Za moment twarz Freddiego znów pojawiła się na monitorach.

Popijałem piwo i paląc papierosa, rozglądałem się wokół. Wszyscy zdawali się cieszyć tą muzyką. To właśnie mój mężczyzna, pomyślałem radośnie.

Postanowiłem pojechać na tydzień do Irlandii i pobyć trochę z rodziną. Obawiałem się nieco tego powrotu, bo „Sunday Mirror" dopiero co przedrukował kolejny raz artykuł mówiący o mnie jako o chłopaku Freddiego. To znaczy, uważałem, że istnieje poważne ryzyko, iż prasa będzie mnie nagabywać, żeby znaleźć coś nowego na temat śmierci Freddiego, co dałoby się wydrukować na pierwszych stronach.

W czasie gdy szykowałem się do wyjazdu, Mary również opuszczała Garden Lodge. W jakimś dziwacznym i zupełnie bezmyślnym usiłowaniu poprawienia mi nastroju powiedziała:

– Freddie już pewnie na ciebie czeka.

Bardzo brutalna i okrutna uwaga, jeśli się pomyśli, że czekał mnie ten sam los co Freddiego.

Okazało się na szczęście, że nie było żadnych kłopotów z prasą. Do Irlandii wróciłem z Johnem – moim najstarszym bratem – zaraz po wzięciu udziału w uroczystości na stadionie Wembley, na której moja bratanica wygłosiła prezentację na temat omdleń. Kiedy ogłoszono, że w celu uczczenia pamięci najsłynniejszego ucznia Ealing College of Art, Freddiego Mercury'ego, zostanie tam wysłany bukiet kwiatów, gula stanęła mi w gardle. Kiedy później zarządzono minutę ciszy dla Freddiego, zaniosłem się niemym szlochem.

Pierwszej nocy w Irlandii położyłem się około dziesiątej i szybko zasnąłem. Cztery godziny później obudziłem się z najdziwniejszego snu w życiu: unosiłem się w powietrzu w tunelu wypełnionym piórami i rozmawiałem z Freddiem. Zszedłem na dół, szeroko

uśmiechnięty, i w kuchni natknąłem się na mamę, która często urzęduje w kuchni do późnych godzin.

– Coś taki uszczęśliwiony? – spytała.

Opowiedziałem jej o swym śnie i po wypiciu filiżanki herbaty wróciłem do łóżka, ale nie zdołałem już przywołać marzenia. Ciągle jeszcze marzę o tym, żeby śnić o Freddiem, lecz przewijają mi się w snach tylko krótkie błyski jego twarzy.

W trakcie tej wizyty postanowiłem skoncentrować wysiłki i energię na urządzaniu domu mamy.

Pewnego dnia zadzwonił do mnie Phoebe i zasugerował mi spędzenie Bożego Narodzenia z rodziną w Irlandii.

– Nie! – odparłem stanowczo, nie zdając sobie sprawy, że Peter usiłuje mi delikatnie powiedzieć, iż nie jestem mile widziany w Garden Lodge. Ale ja byłem uparty. – Postanowiłem, że spędzę mimo wszystko święta w Garden Lodge! – powiedziałem.

Wróciwszy do Londynu, spotkałem smutnego Phoebego. Powiedział mi, że już nie śpimy w Garden Lodge. Zostaliśmy przeniesieni do Mews. Od tej pory Garden Lodge miał być otwierany co dzień, żebyśmy mogli wykonywać swoje obowiązki, a o szóstej zamykany – i nikt nie mógł tam spędzać nocy. A system alarmowy posiadłości wzmocniono dziesięciokrotnie.

Tak więc powróciłem do domu i stwierdziłem, że już nie mam domu. Było to paskudne posunięcie, które nas trzech niezwykle przybiło. Powiedziałem Phoebemu, że moim zdaniem atmosfera po śmierci Freddiego zrobiła się nieznośna, a on się ze mną zgodził.

– Równie dobrze mogę iść do hotelu albo wynająć mieszkanie – powiedziałem. – Mews nic dla mnie nie znaczy. Wszystkie moje wspomnienia o Freddiem są w domu.

Później dowiedziałem się, co spowodowało tę zmianę. Pewnego dnia podczas mojego pobytu w Irlandii dom został bez opieki i bez

włączonego alarmu. Ale to nie do końca była prawda. Tego dnia Joe spał w Garden Lodge, a Phoebe w Mews. Ponieważ Joe umówił się na śniadanie z przyjaciółmi, wyszedł z domu o ósmej trzydzieści. Phoebe miał przyjść w ciągu pół godziny, więc Joe zamknął drzwi, lecz nie włączył alarmu. Jednak jeszcze przed przyjściem Petera do Garden Lodge przyjechała Mary i – znalazłszy dom bez opieki – powiadomiła o tym Jima Beacha, który zadzwonił do Joego i Phoebego. Powiedział im, że nasza trójka zostaje przeniesiona do Mews aż do czasu zupełnego opuszczenia przez nas posiadłości.

Byłem zdruzgotany traktowaniem nas w ten sposób. Wiem, że Freddie wpadłby w furię – Garden Lodge, niegdyś tak ciepłe i miłe miejsce, zmieniał się w Fort Knox.

Sprowadzono kilku chłopaków z ochrony biura Queen dla zapewnienia dwudziestoczterogodzinnego nadzoru nad posiadłością. Znaliśmy ich wszystkich, a oni znali Garden Lodge za życia Freddiego i nie rozumieli, co się dzieje. Zwłaszcza jeden z nich, Sean, ciągle się dopytywał:

– Co tu jest, cholera, grane?

Nie powiedziałem mu, ale odpowiedź brzmiała: to wszystko robota jednej osoby i następstwo jej paranoi.

Garden Lodge, który powinien być pogrążony w cichej żałobie, tętnił tłumem obcych z hukiem i łomotem wiercących niezliczone dziury pod okablowanie kamer, które miały chronić posiadłość przed fanami Freddiego. W domu wciąż stały kwiaty, ale poza robotnikami nie było nikogo, kto by się nimi cieszył. Wiele z tych kwiatów przyniesiono spod bramy, gdzie wciąż zostawiali je pielgrzymujący fani. Nie mieli pojęcia, że po drugiej stronie muru cudowny świat Freddiego przestawał istnieć.

Dostałem niezmiernie miły list od matki Freddiego. Dziękowała mi za miłość do Freddiego i tak czułą nad nim opiekę. Były to

bardzo uprzejme słowa. Byłem za nie wdzięczny.

Potwierdzono nasze domysły, że po naszej wyprowadzce z Garden Lodge przeniesie się tam Mary z Piersem i Richardem. Powiedziano nam, że „rodzinne" święta odbędą się zgodnie z planem, ale również w Mews. Był to kolejny kopniak. Co więcej, nie będzie na nich Joego. Mary powiedziała Phoebemu i mnie, nie przebierając w słowach, że go nie lubi. Dodała, że skoro raz opuścił Garden Lodge, więcej jego noga tam nie postanie. Brutalne słowa, jak na wypowiedź o kimś, kto był tak lojalny i oddany Freddiemu przez całą jego chorobę.

Jedynym miłym zdarzeniem w tym okresie był telefon od Eltona Johna. Zapraszał naszą trójkę na przyjęcie w pierwszy dzień świąt do swej przepięknej posiadłości w Old Windsor. Nie mogliśmy się zdecydować, kto będzie prowadził, bo zanosiło się na uczciwą imprezę, ale Elton zajął się tym. Czekał na nas samochód.

Nie wyczekiwałem Bożego Narodzenia. Myślałem: nie ma Freddiego, nie ma świąt. Byłem tak zrezygnowany, że nie miałem nawet ochoty zajmować się kupowaniem i ubieraniem choinki, ale Phoebe mnie przekonał. W końcu więc kupiłem małe drzewko, lecz nawet po przystrojeniu wygadało ono jak stary wiecheć w porównaniu z choinkami, jakie miewaliśmy w Garden Lodge.

Jako że Joe nie był zaproszony, w Wigilię Phoebe przygotował w kuchni Garden Lodge posiłek i przeniósł go do Mews. Bardzo się staraliśmy być weseli, ale nie czuliśmy się swobodnie. Wszyscy boleśnie odczuwaliśmy brak człowieka, który tyle lat urządzał nam święta. Dla mnie dzień ten był sztuczny, a atmosfera nijaka. Wymieniliśmy się prezentami – Phoebe, Mary, Piers, Richard – jednak nie było to ani trochę radosne. Freddiemu także nie podobałby się ten wieczór. On chciałby, żebyśmy spędzili święta w Garden Lodge. Niemniej robiliśmy co można, żeby uratować ten

dzień. Dave Clark i Trevor Clarke wpadli na chwilę, żeby zobaczyć, jak sobie dajemy radę.

Przyjęcie u Eltona w pierwszy dzień świąt stanowiło miłą odmianę po koszmarze Garden Lodge. Jego dom to wiejska posiadłość położona wśród akrów fantastycznych wiejskich krajobrazów. Będąc, jak zawsze, znakomitym gospodarzem, Elton wyprawił przyjęcie z ogromnym bufetem. Z początku bardzo dobrze się bawiłem, ale potem – przy zachowaniu całego szacunku dla Eltona – zacząłem się nudzić. Było tam dwadzieścia czy trzydzieści bardzo miłych osób, ja jednak znałem ledwie parę z nich. Nigdy nie miałem do czynienia z muzycznym światkiem, moje miejsce było u boku Freddiego. Jedną z niewielu przyjaznych mi twarzy był tam Tony King, który spytał, jak się miewam. Ponieważ nie była to sytuacja, w której wypadało narzekać, powiedziałem mu, że jestem trochę rozdygotany, ale poza tym wszystko w porządku.

Zrobiło mi się okropnie smutno, kiedy Elton zaczął wymieniać się prezentami ze swymi gośćmi. Ta zwykle najszczęśliwsza ze scen napełniła mnie okropnym smutkiem, przypomniała mi radość, jaka panowała zawsze przy tej okazji w Garden Lodge. Wymknąłem się z domu i poszedłem na spacer. Szedłem, aż natknąłem się na dwa śliczne koniki pony. Stałem przy nich długo i wróciłem do domu tylko na chwilę, żeby zabrać jabłka dla zwierzaków.

Nawet wśród tak wielu ludzi czułem się przerażająco samotny. Nie umiałem się z nimi bawić. Około ósmej wieczorem goście zaczęli się rozchodzić, lecz ja nie miałem ochoty nigdzie się ruszać. Po spędzeniu czasu w tak miłym otoczeniu, z tak dbałym gospodarzem, powrót do Mews wydawał się okropny. Był powrotem w pustkę. Wszystkie moje wspomnienia o Freddiem wiązały się z Garden Lodge.

Menedżer Eltona, John Reid, czekał w samochodzie, żeby się ze mną pożegnać.

– Słuchaj, Jim – powiedział. – Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebował, powiedz nam o tym.

Zrozumiałem, że mówiąc „nam", miał na myśli siebie i Eltona. Było to bardzo miłe, ale żaden z naszej trójki nie miał zwyczaju zawracać komuś głowy swoją osobą.

Wróciliśmy do Mews. Ten dom był tak obcy, tak odpychający, że od razu wyszedłem do pubu. Nazajutrz rano stanąłem na progu i wpatrzyłem się w okno sypialni Freddiego. „Cooee!" – zadźwięczało mi w głowie. Oczy zaszły mi łzami.

Przez cały ten czas jedynymi regularnymi gośćmi Mews były koty. Miko spała ze mną co noc, a Romeo szukał u nas schronienia przed szaleństwem Garden Lodge.

Na sylwestra wyszedłem z domu jedynie przez wzgląd na Freddy'ego. Wiedziałem, że tak właśnie by zrobił, więc ja też powinienem. Noc była porażką – desperacką imprezą u znajomego znajomych.

Zaraz po Nowym Roku Mary powiedziała nam trzem, że możemy zabrać z Garden Lodge wszystkie prezenty, jakie daliśmy Freddiemu. Naszą instynktowną odpowiedzią było: „Nie!", bo przecież kupiliśmy te wszystkie rzeczy dla Freddiego! Były częścią jego i częścią Garden Lodge, stworzonego od podstaw przez Freddiego! Każdy z tych prezentów miał swoje specjalne miejsce w naszych sercach i w tym domu! Ale Mary powróciła do tego tematu kilka dni później, kiedy wszyscy byliśmy w kuchni. Powiedziała wówczas, że aby utrzymać dom, będzie musiała sprzedać trochę rzeczy: na pierwszy ogień pójdą wtedy nasze prezenty dla Freddiego, chyba że je zabierzemy.

Nasza trójka wymieniła między sobą znaczące spojrzenia. Nadal uważaliśmy, że nasze prezenty powinny pozostać między innymi skarbami Freddiego. Niemożliwe było, żeby Freddie zostawił Mary bez środków do życia, z całą pewnością nie musiała więc się wyprzedawać. Po prostu chciała nas wyrzucić. Zrozumieliśmy, co chciała nam powiedzieć tego dnia: wiedziała, że każda z rzeczy wręczonych przez nas Freddiemu jest wspomnieniem naszych cudownych czasów z nim. Każdy prezent był wyjątkowy na swój sposób. A ona chciała nam teraz powiedzieć, że to wszystko już się nie liczy.

Byliśmy bardzo przeciwni odbieraniu prezentów, ale musieliśmy w końcu przyznać się do porażki. Dalsza dyskusja z Mary nie miała sensu, a my nie chcieliśmy, żeby nasze rzeczy po prostu wyleciały z Garden Lodge. Rozejrzeliśmy się więc po domu, zabierając z powrotem część prezentów, które niegdyś dawaliśmy z miłością. Pod wieczór każdy z nas pozostawił za sobą wielki kawał życia.

Jedynym meblem, jaki zabrałem z Garden Lodge, była kanapa z Japońskiego Pokoju. Freddie dał mi ją do naszego domu w Irlandii. Natomiast z rozmysłem pozostawiłem w sypialni oba zrobione na życzenia Freddiego stoliki. Uważałem, że należą do tego pokoju.

Jestem pewny, że Freddie nigdy nie chciał, żebym został usunięty z domu, o którym zawsze wyrażał się „nasz". Zapewne spodziewał się również, że wciąż będę się troszczył o koty, i nawet gdybym musiał się wyprowadzić z Garden Lodge, zabrałbym je ze sobą. Spytałem więc Mary, czy mogę zabrać ze sobą Miko, ale odpowiedź była krótka: nie. Zgodnie z zawsze wyrażanymi przez Freddiego życzeniami Joe miał prawo do Goliata i Delilah, prosił mnie więc, abym się nimi zajął w jego zastępstwie. Ale szybko i stanowczo sprowadzono nas na ziemię: żaden z kotów nie opuści Garden

Lodge. Później usłyszałem, że być może będę mógł zabrać Goliata, jeśli nie będzie się dobrze zachowywał w stosunku do małego Richarda. Goliat alergicznie reagował na dzieci, więc istniała nadzieja. Jednak już nigdy nie słyszałem słowa na ten temat.

Szóstego lutego Freddie został pośmiertnie uhonorowany nagrodą Brits brytyjskiego przemysłu fonograficznego. Żaden z nas trzech nie został zaproszony na uroczystość. Biuro Queen uznało, że nie byliśmy wystarczająco bliscy Freddiemu. Było to okrutne z ich strony. Obejrzałem ceremonię w telewizji.

Tego dnia spotkałem się w kuchni Garden Lodge z Mary. Ciągle nie wiem, czy miała wtedy napad wyrzutów sumienia.

– Jim – powiedziała nagle. – Tak sobie myślę. Może byś został w Garden Lodge, póki nie znajdziesz sobie innego mieszkania?

– Mary – odparłem bardzo uprzejmie. – Dziękuję ci bardzo, ale chyba powinnaś to omówić najpierw z Jimem Beachem.

Na tym skończyła się rozmowa. Nazajutrz Mary w następujący sposób powróciła do tematu:

– Wszystko jest tak, jak było.

I w ten sposób sprawa została zakończona.

Moje stosunki z Mary były wciąż napięte. W Garden Lodge miałem zbiór zdjęć, z których część chciałem odzyskać na pamiątkę moich chwil z Freddiem, ale nie chciałem robić tego na własną rękę. Kiedy więc pewnego dnia byłem z Mary w sypialni Freddiego, spytałem ją, czy mógłbym sobie zabrać część spośród fotografii w ramkach, które Freddie ustawił po mojej stronie łóżka. Nie odpowiedziała.

Następnego dnia rano siedzieliśmy w kuchni – Mary, Joe i Terry. Spytałem ją ponownie, czy mogę zabrać zdjęcia z mojej strony łóżka. Jej odpowiedź mnie zaskoczyła.

Odwróciła się na pięcie i zaczęła krzyczeć, że nigdy jej o to nie pytałem, że nigdy nie słyszała takiego pytania, Terry również nie. A przecież Terry'ego wówczas z nami nie było. Mary zaczęła go wypytywać, czy słyszał takie pytanie.

– Nie, Mary – odparłem za niego. – Terry nie słyszał.

Mary nadal wykrzykiwała, że mnie nie słyszała. Zachowywała się jak pies z kością, kiedy wbiła sobie coś w głowę. Była tak hałaśliwa i niemiła, tak samolubna, że straciłem panowanie nad sobą.

– Mary! – wrzasnąłem. – Straciłem przyjaciela, straciłem kochanka, straciłem dom, całe moje życie!

Wybiegłem do ogrodu. Terry i Joe zamarli w drzwiach, przekonani, że jestem tak wściekły, iż mogę ją uderzyć. Przez wszystkie te lata, kiedy mnie znali, nigdy nie widzieli, żebym stracił panowanie nad sobą.

W ogrodzie ochłonąłem i po dziesięciu minutach wróciłem do kuchni. Podszedłem do Mary i objąłem ją.

– Przepraszam za ten wybuch – powiedziałem, ale nie dostałem odpowiedzi.

Był to ostatni raz, kiedy się do niej odezwałem – aż do wyprowadzki.

Sam

Ostateczny termin opuszczenia przez nas posiadłości, pierwszy marca 1992 roku, nadciągał nieubłaganie, a ja wciąż nie miałem dokąd iść. Na szczęście w ostatniej chwili pomógł mi jeden z moich przyjaciół, proponując pokój w swoim małym mieszkaniu w Shepherd's Bush.

Powiedziano nam, że Mary zatroszczyła się, aby z chwilą naszego wyjazdu do Garden Lodge wprowadził się ktoś, kto będzie się opiekował posiadłością do czasu, kiedy Mary i jej rodzina będą gotowi do zamieszkania. Tak więc zupełnie obcy człowiek miał być pierwszą osobą, która zamieszka w świecie Freddiego od czasu naszego wygnania w grudniu.

Zapewniono nas, że ten człowiek nie przybędzie wcześniej. Miał to być wyraz troski o nasze uczucia; każdy z nas miał mieć chwilę czasu dla siebie, na pożegnanie z domem i wspomnieniami o Freddiem.

Dwu- czy trzykrotnie wyjeżdżałem do Isleworth w Middlesex, przewożąc różne swoje drobiazgi na przechowanie do przyjaciół. W czasie jednej z tych podróży wpadłem w taką depresję, że omal nie spowodowałem wypadku na autostradzie. Nie mogłem nawet słuchać *Mr Bad Guy*, po prostu płakałem.

W miarę upływu czasu jasne się stało, że Mary nie ma zamiaru osobiście pożegnać się z żadnym z nas. Było to żenujące. Nasze ostatnie wypłaty przyszły pocztą pod koniec weekendu – po raz pierwszy nie zostały nam doręczone osobiście przez Mary. Otrzymaliśmy też odprawę – w moim wypadku równowartość

zarobków za cztery tygodnie. Poza tym dowiedzieliśmy się, że mimo iż zwróciliśmy już dawno nasze klucze do Garden Lodge, w ciągu paru godzin od naszego wyjazdu wszystkie zamki mają być zmienione. Smutny koniec szczęśliwych lat.

Poranek ostatniej niedzieli zaczął się dzwonkiem do drzwi o siódmej trzydzieści. Pojawił się nowy, nadgorliwy zarządca Mary. I oto stał tam, na schodkach, z walizeczką w ręce, gotów wprowadzić się do swojego nowego domu. Nawet obiecane godne odejście zostało nam odebrane.

Phoebe odszedł pierwszy, około dziesiątej. Pożegnanie nie było łzawe. Do tego czasu już wszystkie łzy zostały wypłakane. Mimo że się rozdzielaliśmy, wiedzieliśmy, że zawsze będziemy w kontakcie. Joe i ja objęliśmy go i poszedł. A jednak przy odjeździe Joego znów polały się łzy. Leciał wprost do Ameryki. Pomogłem mu się spakować, a kiedy nadszedł czas jego odejścia, długo obejmowaliśmy się w drzwiach Mews.

Postanowiłem odjechać dopiero około drugiej. Jeśli nie liczyć nowego zarządcy i pełniącego tego dnia służbę strażnika, Seana, byłem sam i miałem całą posiadłość ostatni raz dla siebie. Zacząłem z zadumą obchodzić dom i rozglądać się.

– Jim, a co z twoimi sypialnianymi meblami? – spytał Sean.

– No cóż – odparłem – nie mam ich gdzie przechować.

Z wielkim żalem musiałem wszystko to zostawić. Biedermeierowski stolik, który Freddie zaprojektował specjalnie dla mnie, przepiękne biedermeierowskie wezgłowie łóżka, zdobione pięknym mosiądzem, i komody.

Jeszcze jeden, ostatni raz obszedłem powoli dom, wyszedłem przez frontowe drzwi i popatrzyłem na okno sypialni Freddiego, wyobrażając sobie ostatnie „Cooee!". Wróciłem do Mews i zabrałem

resztę rzeczy. Znów przeszedłem przez ogród, rzuciłem ostatnie spojrzenie na jego okno i odjechałem.

Szóstego marca były urodziny Mary, wysłałem więc do Garden Lodge kwiaty. Jeśli o mnie chodzi, nie czułem do niej nigdy żadnej animozji. Uważam nawet, że pozostało coś w rodzaju starej długotrwałej przyjaźni. Zawsze obiecywałem Freddiemu, że będę się opiekował Mary, a to, czy mieszkałem w Garden Lodge, nie miało tu żadnego znaczenia.

Po pewnym czasie dotarło do mnie, że zostałem usunięty z pozostałości po życiu Freddiego. Były noce, kiedy nie mogłem znieść tej myśli. Popadałem w depresję, czułem się zagubiony i miałem załamanie nerwowe. Całe tygodnie i miesiące były ponure. Chodziłem wtedy do Garden Lodge – późną nocą, gdy nie było nikogo w zasięgu wzroku – i cicho wołałem Miko i inne koty. Ku mojemu wielkiemu zadowoleniu jeden lub dwa zawsze w odpowiedzi na mój głos przeskakiwały przez mur. Bawiłem się z nimi i głaskałem je, otwierałem przed nimi serce i wypłakiwałem żale. Ich towarzystwo choć odrobinę zbliżało mnie do Freddiego. A to już dużo.

W ciągu marca, kwietnia i maja odprawiałem ten rytuał cztery razy w tygodniu. Nie potrafiłem myśleć o żadnym innym miejscu i o nikim poza kotami, w których obecności odżywały wspomnienia o Freddiem. Regularnie powtarzałem te wizyty aż do pierwszej rocznicy śmierci Freddiego. Potem koty przestały wychodzić na moje wołanie. Już nigdy ich nie widziałem.

Zaliczka obiecana nam przez Jima Beacha wreszcie nadeszła, ale zamiast pięćdziesięciu tysięcy funtów, na które mieliśmy nadzieję, każdy z nas dostał tylko po dwadzieścia.

W wielkanocny poniedziałek, dwudziestego kwietnia 1992 roku, cały świat śpiewał i tańczył dla Freddiego w trakcie koncertu

ku jego czci, zorganizowanego na stadionie Wembley. Zamówiłem bilet w biurze Queen i – jak wszyscy – nie żałowałem grosza, choć było drogo. Wszystkie przychody były przekazane na badania nad AIDS i szeroką profilaktykę oraz uświadamianie.

Byli tam również Joe i Phoebe, a wszyscy mieliśmy ograniczone pozwolenie wejścia za kulisy w trakcie przerwy. Spotkaliśmy Briana, Rogera i Johna – po raz pierwszy od dnia kremacji. Byli bardzo mili i przyjacielscy.

Stojąc w tłumie, pośród siedemdziesięciu dwóch tysięcy ludzi, miałem mieszane uczucia na temat tego widowiska. Byłem zadowolony, że odbywa się coś ku pamięci Freddiego, ale sam koncert nie przekonywał mnie do końca. Choć wiedziałem, że z pewnością Freddiemu podobałby się taki pomysł, nie miałem już tej pewności, jeśli chodzi o niektórych wykonawców. Przed koncertem odniosłem wrażenie, że mają w nim uczestniczyć jego najbliżsi przyjaciele z branży muzycznej. Gdzież więc była Montserrat Caballé? Gdzie Cliff Richard? Peter Straker? Albo muzycy, których lubił? Aretha Franklin, Dionne Warwick, Natalie Cole. Nie sądzę, żeby ktoś ich choćby zaprosił.

Tego lata dostałem resztę swej części spadku po Freddiem. Ani Joe, ani Phoebe, ani ja nie zostaliśmy poinformowani, kiedy testament się uprawomocnił; sami musieliśmy wyczytać to sobie w prasie.

Za część tych pieniędzy kupiłem skromny dom z trzema sypialniami w Stamford Brook i zabrałem się do jego całkowitego przerobienia. Nareszcie miałem stałe miejsce zamieszkania w Londynie, gdzie mogłem trzymać skarby po Freddiem. Rzuciłem się do pracy w ogrodzie, przekształcając go według swoich upodobań. Zrobiłem nawet małą sadzawkę na dziesięć *koi.*

Nie zapomnę nigdy kotów z Garden Lodge, ale ponieważ nie mogłem ich mieć, znalazłem sobie dwójkę nowych kocich przyjaciół o imionach Zig i Zag.

Odwiedzała mnie rodzina i przyjaciele; były to zawsze ekscytujące i ciepłe spotkania. W lecie 1992 roku wyjechałem z przyjacielem do Włoch – kraju, w którym nigdy nie byłem z Freddiem. Nie było już limuzyn z kierowcami, nie było wyczekujących fanów. Jedną z prostych przyjemności związanych ze zwykłym podróżowaniem okazało się dla mnie własnoręczne taszczenie walizek wszędzie, gdzie się przenosiłem.

Już w Londynie, kiedy malowałem z zewnątrz cieplarnię, słuchałem na cały regulator utworów z albumu Freddiego *Barcelona*. Sąsiadka poprosiła mnie o ściszenie, ale zaraz pojawiła się inna i spytała, czy u mnie jest przyjęcie. Kiedy powiedziałem, że nie, spytała:

– A co to za muzyka? Siedzę w ogrodzie i słucham, i bardzo mi się podoba.

Potem człowiek, który pracował w niewielkiej fabryczce z tyłu ogrodu, okazał się fanem Freddiego. Zaczepił mnie i powiedział:

– Słyszałem, że ciągle pan gra utwory Freddiego Mercury'ego.

Od śmierci Freddiego odczuwam dumę za każdym razem, gdy ktoś w mojej obecności mówi, że ta muzyka mu się podoba. I zawsze wtedy myślę sobie: „To mój mężczyzna!".

Wiosną 1992 dostałem zaproszenie na doroczną konwencję Queen dla „Zawsze Lojalnych Fanów". Byłem na takim spotkaniu pierwszy raz w życiu i dobrze się czułem w towarzystwie ludzi, którzy jak ja chcieli pamiętać i czcić Freddiego jako największego śpiewaka wszech czasów. Zorganizowano aukcję charytatywną pamiątek Queen. Jednym z eksponatów był piękny, pełen życia olejny portret Freddiego, namalowany przez utalentowanego fana. Joe

zakupił kiedyś portret Freddiego, ale zabrał go ze sobą. Zakochałem się z tym obrazie i kupiłem go, widząc już oczami duszy, gdzie go powieszę.

Joe spędzał teraz większość czasu w podróżach z Ameryki do Anglii i z powrotem w związku z kuracją AIDS. Zawsze obiecywał, że mnie odwiedzi w nowym domu, ale nigdy nie znalazł na to czasu.

Piątego września 1992 roku, w urodziny Freddiego, zapakowałem kupiony na aukcji portret, wziąłem dwa tuziny czerwonych róż i pojechałem do Garden Lodge. Przyjechałem dość wcześnie i niezapowiedziany. Zadzwoniłem do bramy, usłyszałem w domofonie głos Mary, a potem zabrzęczał zamek furtki. Wszedłem i zobaczyłem, że Mary wychodzi kuchennymi drzwiami i rusza w moją stronę. Przez moment myślałem, że mnie obejmie, ale jakieś cztery stopy przede mną zatrzymała się i chłodno spytała, o co chodzi. Powiedziałem jej, że kupiłem portret Freddiego na konwencji i chcę go zostawić w Garden Lodge. Proszę, żeby go powieszono – gdziekolwiek, byle w Garden Lodge.

– Kupiłem go dla tego domu – wyjaśniłem.

– Odzywaj się czasem – powiedziała mi na pożegnanie po kilku minutach.

Dwa miesiące później, w pierwszą rocznicę śmierci Freddiego, wróciłem do Garden Lodge. Zadzwoniłem i Mary mnie wpuściła. Byłem uzbrojony w ogromny bukiet kolorowych kwiatów, coś, co Freddie uwielbiał – mnóstwo różnych rodzajów. Wszedłem do kuchni i pogadaliśmy przez jakiś czas. Tym razem, kiedy już miałem wychodzić, pojawiła się mała Miko. Weszła do kuchni i mruczała na mnie przez minutę lub dwie. Uśmiechnąłem się do niej, ale wiedziałem, że na mnie już czas.

Później spacerowałem z kilkoma przyjaciółmi po Chiswick High Road obok restauracji o nazwie Tootsie's i nagle dostrzegłem kogoś, kto skakał i machał rękami jak szalony. Był to Joe; nawet nie wiedziałem, że znów jest w mieście. Z początku go nie poznałem, tak bardzo wychudł. Wyraźnie zdrowie mu się pogarszało. Umówiliśmy się na spotkanie przy kawie nazajutrz.

Dużo się uśmiechał, ale terapia tego dnia nie była chyba najprzyjemniejsza. Był podminowany. Gadaliśmy o wszystkim, wspomnienia o Freddiem płynęły jak rzeka. Potem poszliśmy razem do mnie, gdzie spędził prawie cztery godziny. Opowiadał mi o swych planach otwarcia jakiegoś małego interesu, może hoteliku, i bardzo się tym entuzjazmował. Powiedział też, że planuje podróż do Japonii, i spytał, czy z nim pojadę. Odparłem, że nie. Uważałem, że Japonia to jedno z tych miejsc, które zbyt mocno się wiążą z Freddiem, i że tak szybko po jego śmierci nie zdołałbym tego wytrzymać. Odwiozłem go potem do domu, objęliśmy się i pożegnali.

Jakieś dziesięć dni później znienacka zadzwonił do mnie Phoebe. Tego dnia zmarł jeden z moich najstarszych przyjaciół, powiedziałem więc od razu Peterowi, że jestem przygnębiony.

– No to lepiej weź się mocno w garść – poradził miękkim głosem. – Dziś rano umarł Joe.

Byłem wstrząśnięty, zdruzgotany. Szok po śmierci Freddiego jeszcze nie do końca minął, nie byłem przygotowany na kolejny, po Joem.

Od listopada 1991 roku nasza trójka stała się sobie bardzo bliska. Poznaliśmy szczegóły naszego prywatnego życia, o jakich się nam nie śniło, gdy Freddie żył. Od chwili gdy zamieszkaliśmy w Mews, staliśmy się bliskimi przyjaciółmi. Nagle świadomi swojej nawzajem obecności, dobrych i złych nawyków. Cieszę się, że wciąż

jestem w kontakcie z Phoebem. Wiedzieć, że jest, to już bardzo dużo.

Byłem w Garden Lodge z bukietami kwiatów jeszcze we wrześniu i listopadzie 1993 roku. Za każdym razem Mary zapraszała mnie na kilka minut. Miałem wielką ochotę spojrzeć choć raz na ogród Freddiego, ale Mary sama mnie tam nie zaprosiła, a głupio mi było prosić.

Od drugiej rocznicy śmierci Freddiego nie byłem już w kontakcie z Mary. Rozmawiałem z nią przedtem przez telefon, ale nigdy nie dostałem od niej listu. Uznawszy, że co było, minęło, wysłałem do niej kartkę z podróży do Włoch, a ona powiedziała, że to miłe.

Miała jakieś dziwaczne wyobrażenia o ostatnich dniach Freddiego. Poinformowała mnie na przykład, że Freddie zupełnie stracił wzrok na długo przed śmiercią, w co nie mogę uwierzyć. Pewnego razu byłem z Mary w sypialni Freddiego i włączyłem telewizor, a wtedy Mary powiedziała, że Freddie nie mógł znieść myśli o włączonym telewizorze. Była to dla mnie zaskakująca nowina, bo przecież tak wiele wieczorów spędziliśmy razem przed telewizorem po wyjściu Mary do domu i nigdy nie poprosił mnie o wyłączenie odbiornika. Nie, jeśli rzeczywiście stracił wzrok, to stało się to dopiero w niedzielę, dwudziestego czwartego listopada.

Po śmierci Freddiego Mary poinformowała również prasę o tym, jak strasznie cierpiał z powodu ciągłego bólu. Nie rozumiem tych uwag. Nigdy nie słyszałem, żeby choć raz skarżył się na pogarszający się stan zdrowia. I zdziwiłbym się, gdyby swe ewentualne skargi zawierzył wyłącznie Mary. W końcu to Joe i Phoebe podawali mu leki. Uważam te uwagi Mary za objaw lekceważenia i obrazę dla lekarzy, którzy tak ofiarnie opiekowali się nim aż do końca.

Część moich rzeczy wciąż pozostaje w Garden Lodge. Zupełnie zapomniałem na przykład o kufrze z różnościami – w tym z tekstem *Bohemian Rhapsody* – który Freddie dał mi przed śmiercią. Kufer zapewne wciąż jeszcze stoi w warsztacie, gdzie go wniosłem. A jeśli nie, to mam nadzieję, że choć oryginał tekstu nie został przez pomyłkę wyrzucony. To by była tragedia.

Nie mam oryginału tekstu *Bohemian Rhapsody,* ale mam oryginalny tekst *How Can I Go On,* napisany własnoręcznie przez Freddiego. Miałem małą starą walizkę z różnymi szpargałami i do niej to właśnie Freddie wrzucił mi kiedyś kartkę ze słowami piosenki. W albumie *Barcelona* utwór *How Can I Go On* jest nagrany po *Guide Me Home.* Słucham obu na okrągło.

Gazety ciągle powtarzały stare powiedzonko Freddiego, że każdy zakochiwał się w jego gwiazdorstwie. Uczciwie mówię, że ja nie. Dla mnie mógłby być równie dobrze zamiataczem ulic. Gwiazdorstwo było częścią jego pracy i nie zakochałem się w nim ani ciut bardziej niż on w moim zawodzie fryzjera.

Ostateczne miejsce spoczynku prochów Freddiego jest tajemnicą, ale jestem niemal pewny, że je znam. Dwa, a może trzy miesiące przed śmiercią Freddie siedział na słońcu w „wiacie autobusowej nr 27" z Mary i ze mną. Właśnie skończyliśmy karmić *koi.* Nagle odwrócił się do nas i powiedział:

– Macie mi oboje przyrzec, że zakopiecie moje prochy tutaj, pod tą wiśnią, żebym mógł mieć na was wszystkich oko.

Tak więc jego miejsce wiecznego spoczynku powinno być w Garden Lodge, u podnóża wiśni, w wyjątkowo dobrym punkcie obserwacyjnym całej posiadłości.

Jego prochów nie odbierano z przedsiębiorstwa pogrzebowego prawie przez rok. Według jednej z gazet zabrali je jego rodzice i ustawili urnę na kredensie, ale ja w to nie wierzę. Jestem pewny,

że Freddie leży pod wiśnią w ogrodzie, a fakt ten jest trzymany w tajemnicy, żeby uniknąć niechcianych wizyt fanów.

W trakcie załatwiania formalności związanych z kremacją na North London Cemetery Phoebe zamówił tam również pomnik dla Freddiego. Był on absolutnie fantastyczny, a miał kosztować dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Z początku wszyscy się do tego bardzo zapalili, ale jak przyszło co do czego, to nagle się okazało za drogo i zamówienie szybko wycofano. Czy mnie to złości? Tak. Bo gdyby pomnik postawiono, fani mieliby gdzie składać wyrazy uszanowania – i byłoby to najwłaściwsze miejsce.

Dziś żyję normalnie i rzadko przytrafiają mi się czarne dni. Żeby powspominać Freddiego i nasze wspólne życie, słucham jego muzyki. Moimi ulubionymi utworami są jego dwa solowe albumy, *Mr Bad Guy* i *Barcelona.* Spośród dorobku całego zespołu Queen zawsze najbardziej porusza mnie miłosna piosenka *These Are the Days of Our Lives z* albumu *Innuendo.* Ponieważ jest ona także na odwrocie pospiesznie wydanego singla *Bohemian Rhapsody,* można powiedzieć, że to ostatnia piosenka Queen.

Freddie był największą miłością mojego życia; wiem, że już nigdy nikogo tak nie pokocham. Choć lubił manipulować, nigdy nie próbował mnie zmienić. A ja nie próbowałem zmienić jego. Kochałbym go równie mocno niezależnie od tego, kim był i co robił – za jego wyjątkową osobowość. Kiedyś spytałem go, dlaczego ze wszystkich ludzi na ziemi wybrał akurat mnie.

Popatrzył na mnie tymi swoimi wielkimi ciemnymi oczami.

– Bo ty mnie pokonałeś. Wygrałeś ze mną – odpowiedział.

Gdybym mógł przeżyć to jeszcze raz, zmieniłbym coś. Freddie i ja nigdy nie omawialiśmy AIDS, HIV czy w ogóle czegokolwiek związanego z tą straszliwą chorobą. Jeśli ktoś jest szczery ze mną, to ja też mówię prawdę. Ale my dwaj nigdy nie rozmawialiśmy o tym,

co działo się w naszych sypialniach, zanim się spotkaliśmy. Wydawało nam się to bez sensu. Dziś każdy powinien wiedzieć, że ta choroba jest przenoszona drogą płciową. Będąc z Freddiem, sądziłem, że nie potrzebujemy prezerwatyw. A to był okropny błąd.

Patrząc na to z dystansu, uważam, że powinienem był od razu sobie uświadamiać, że Freddie o wiele bardziej niż ja należał do potencjalnych nosicieli wirusa HIV. To, że miał wielu partnerów, nigdy nie miało wpływu na nasz związek. Nigdy o tym nie myślałem. Spotkałem Freddiego i byliśmy kochankami przez ostatnie siedem lat jego życia. Jeśli o mnie chodzi, nasz związek zaczął się od zera. Ludzie mogą sobie mówić: „Ty głupku!". Nie jestem w stanie im przeszkodzić. Ale ja i tak zrobiłbym jeszcze raz to samo – tyle że z kondomem.

Oddałbym wszystko za przeżycie związku z Freddiem jeszcze raz. Gdyby mogło się tak stać, byłbym dużo bardziej aktywny w próbach kierowania jego życiem – i chorobą. Kiedy postanowiłem nie wtrącać się do podawania mu lekarstw, byłem pewny, że tak jest lepiej. Teraz zrobiłbym co innego – chciałbym wiedzieć wszystko.

I wreszcie nie dopuściłbym, by ludzie traktowali mnie tak, jak to robili. Przez cały czas mojego związku z Freddiem żyłem wśród ludzi, którzy mnie brali za „ogrodnika Freddiego" i tak samo przedstawiali mnie innym. Freddie nigdy nie zrobiłby mi tak okrutnej krzywdy. Mam wiele sympatii wobec Johna Deacona, który mówi o sobie: „Ja tu tylko gram na basie".

Joe przyszedł kiedyś do mnie, już w Mews, i powiedział:

– Jim, chciałbym cię przeprosić.

– Za co?

– Za to, że zawsze widziałem cię tylko jako ogrodnika Freddiego – powiedział. – Nigdy nie uznawaliśmy cię za chłopaka Freddiego.

To wyznanie nieco mi wynagrodziło wszystkie te pełne okrucieństwa lata.

Nie jestem bardzo religijny, ale wierzę, że kiedyś spotkam znowu Freddiego. Nie wiem jak, ale tak będzie. Kiedy rozmawiałem z Joem i zeszliśmy na temat śmierci, powiedział:

– Nie martw się. Jeśli umrę przed tobą, opowiem mu o wszystkim, co tu się działo.

– Nie będziesz musiał – odparłem z uśmiechem. – On wie.

Podziękowania

Wielu jest ludzi, którym chciałbym podziękować za pomoc w realizacji tego projektu, lecz przede wszystkim i najbardziej dziękuję Dominicowi Denny'emu. Bez jego pomocy nie byłoby tej książki.

Zwracam się też z wyrazami wdzięczności do Tima Wapshotta, który pomógł mi uporządkować myśli. Dziękuję również mojemu agentowi literackiemu Gilesowi Gordonowi z firmy Sheil Land Associates.

Jestem winien podziękowania tak wielu ludziom! Ale najpierw proszę o wybaczenie wszystkich tych, których niechcący pominąłem. A więc serdeczne dzięki dla: Johna Alexandra, dra Gordona Atkinsona, Liz Bennett, Bloomsbury Publishing, Johna Deacona, Joego Fanellego, Leslie Freestone, Petera Freestone'a, Terry'ego Giddingsa, Juliana Hedleya, Roberta Kirby'ego, Soni Land, Debbie Leng, Philipa Lovedaya, Briana Maya, Billy'ego Mullena, Johna Rowella, Dominique Taylor, Rogera Taylora, Nicholasa Wapshotta, Misy Watanabe i na koniec – acz z całą pewnością nie na ostatku – Jackie Gunn i wszystkich członków fan clubu Queen.

Dodam tylko, że większość zdjęć w tej książce pochodzi z moich własnych zbiorów. Za pozostałe dziękuję Richardowi Youngowi i Misie Watanabe.

Jim Hutton
Londyn, sierpień 1994

Przypisy

[1] Queen Size – gra słów, po angielsku „King Size” oznacza dosłownie „królewski rozmiar”, czyli coś bardzo dużego, „Queen” zaś to „królowa”, a także nazwa zespołu Mercury’ego, z czego można by wnioskować, że łóżko było naprawdę duże (przyp. tłum.).

[2] W roku 1985 Dominique nie była jeszcze żoną i nosiła panieńskie nazwisko Beyrand (przyp. red.).

[3] Gra słów – „fan” to po angielsku wentylator lub wielbiciel (przyp. tłum.).

[4] Utwór został wydany na płycie Made in Heaven w 1995 roku (przyp. red.).

Freddie MERCURY I JA

Gdy Jim Hutton po raz pierwszy zobaczył Freddiego, nie rozpoznał wielkiej gwiazdy rocka. Także w kolejnych latach nie traktował go jak idola. Zostali przyjaciółmi, nierozłącznymi kompanami i kochankami. Ekscentryczny i kontrowersyjny na scenie, w życiu prywatnym Freddie Mercury był wrażliwym i serdecznym mężczyzną. Uwielbiał wystawne imprezy, ale też pragnął bliskości i uczucia.
Hutton pisze szczerze, ale z klasą. Jego historia jest jak przepustka do nieznanego świata muzycznej legendy, daleka od sensacji rodem z brukowej prasy. Jest opowieścią pełną osobistych wspomnień oraz intymnych szczegółów. Hołdem dla Freddiego – człowieka, którego świat nigdy naprawdę nie poznał.

Freddie Mercury był szczerym człowiekiem
i zasługuje na szczerą opowieść.

Jim Hutton

Patronat

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE
www.publicat.pl
ISBN 978-83-271-5613-6
EAN 9788327156136
U.WD.BIO034.1.01.01